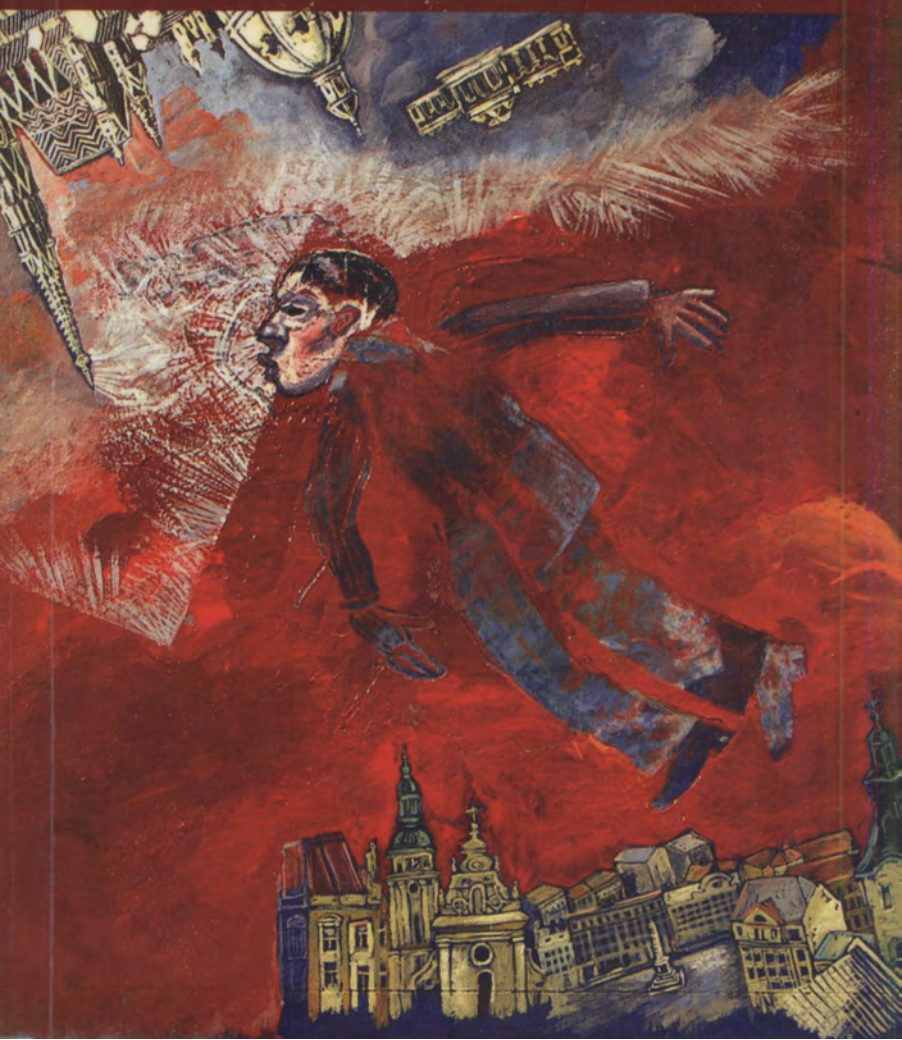




WYDAWALNIA KSIĄŻEK I ARTYSTYCZNA

Jurij Andruchowycz

DWANAŚCIE KRĘGÓW



Seria INNA EUROPA INNA LITERATURA to egzotyczna podróż po nieznannej Europie; to literackie safari po krainach, o których prawie nic nie wiadomo.

Seria INNA EUROPA INNA LITERATURA jest kontynuacją programu realizowanego od początku istnienia Wydawnictwa Czarne: prezentować literaturę światłą, choć rzadko na polskim rynku obecną. Taką, która daje czytelnikowi ekscytujące poczucie odkrywania nowych, nieznanych, choć geograficznie nieodległych lądów.

W serii ukaze się m.in.:

Serhij Żadan

BIG MAC



DWANAŚCIE KRĘGÓW



Jurij Andruchowycz

DWANAŚCIE KRĘGÓW

Przełożyła

Katarzyna Kotyńska



Wołowiec 2005

Tytuł oryginału ukraińskiego DWANADCIAT' OBRUCZIŃ

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ

Zdjęcie Autora na IV stronie okładki © by RENATE SCHMIDGALL

Copyright © by JURIJ ANDRUCHOWYCZ, 2003

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2005

Copyright © for the Polish translation by KATARZYNA KOTYŃSKA, 2005

Redakcja i korekta FILIP MODRZEJEWSKI

Projekt typograficzny i łamanie ROBERT OLEŚ



Edukacja i kultura

Kultura 2000

Książka została wydana dzięki pomocy finansowej programu Unii Europejskiej Kultura 2000.

The book was published with the support of the Culture 2000 programme of the European Union.

ISBN 83-89755-18-1

Christianowi, Sołomii i innym

*Samotny druhu, jak w zasłone ciemną,
tajemniczością świata tyś spowity.
W ten wieczór pełen wiosny chodźże ze mną
do karczmy na księżycu wypić okowity.*

Bohdan Ihor Antonycz

I

PRZYPADKOWI GOŚCIE

W listach z Ukrainy Karl-Joseph Zumbrunnen pisał: *Wszystko, czego sobie życzymy, o czym myślimy i czego się spodziewamy, z pewnością nam się przydarzy. Sęk w tym, że zawsze za późno i zawsze jakoś inaczej. Tak więc, gdy stajemy z tym twarzą w twarz, nawet tego nie rozpoznajemy. Dlatego przeważnie boimy się przyszłości, boimy się podróży, dzieci, boimy się zmian. Nie umiem stawić temu czoła, ale ze wszystkich sił udaję, że się opieram. Niedawno znów zaczęto tu na dłuższy czas wyłączać światło.*

Ostatecznie nikt spośród najbliższych przyjaciół nie uzyskał od niego wyraźnej odpowiedzi na pytanie, po co tam jeździ. Dziewczyna, z którą spotykał się przez osiem lat (miała na imię Eva-Maria i nie wiadomo, kogo właściwie było w niej więcej — Marii czy Ewy), pewnego ranka oznajmiła, że ma dość. Razem z nią odprowadził do bramy kamienicy większą część swojej młodości — tę, w której z oszałamiającą, wzruszającą otwartością chwyta się wszystkie napotkane spojrzenia. Ale Karl-Joseph Zumbrunnen nie przestał jeździć na Ukrainę nawet po tym zerwaniu. Odrobinę

się tylko przygarbił, co zauważyli jedynie najbliżsi, ponadto okulista musiał przepisać mu szkła o całą dioptrię silniejsze.

Podobnie nie przestał jeździć i wtedy, gdy ukraiński rząd znacznie skomplikował procedury wizowe, a także istotnie podniósł ceny usług konsularnych. Karl-Joseph, na nic nie zważając, przekraczał próg ich konsulatu, godzinami wysiadywał w poczekalniach razem z ochrypłogłosymi uciekinierkami z burdeli oraz wszelkimi innymi gastarbeiterni, kątem oka dostrzegał rzucane w jego stronę ciekawskie, ale najczęściej pogardliwe spojrzenia pokrytych coraz grubszą warstwą makijażu korpulentnych rosyjskojęzycznych sekretarek i dopuszczony wreszcie Przed Oblicze, znów powtarzał roztargnionemu urzędnikowi swoje nazwisko, imię, *profesję* i cel wyjazdu. Na pewnym etapie rozmowy urzędnik w końcu go sobie przypominał i obojętnie spuszczał wzrok, obiecywał poparcie.

Pierwszą swą podróż Karl-Joseph odbył na samym początku lat dziewięćdziesiątych. Zupełnie nowe państwo przyciągało w owym czasie na Wschód wielu podróżników. *Jeśli przetrwają tę zimę — pisał w listach Zumbrunnen — będą mieli szansę na dobrą przyszłość. Teraz pod każdym względem jest tu bardzo ciężko, brak najbardziej podstawowych rzeczy, z wódką i zapalkami łącznie, tymczasowa pseudowaluta z każdą chwilą traci na wartości, ale nie należy zapominać, że to jest Wschód, i dlatego sfera materialna nigdy nie zyska tu*

decydującego znaczenia. Rozmawiałem z młodymi intelektualistami i niektórymi studentami — to nadzwyczaj interesujący ludzie i mogą oni radykalnie zmienić swój kraj. Adresaci jego listów tylko wzruszali ramionami: wszystkie te ekstatyczne *notatki podróże* wydawały im się co najmniej banalne i naiwne, jeśli nie przepisane z dzieł zebranych jakiegoś Rollanda czy Rilkego. Karl-Joseph Zumbrunnen do Wiednia powrócił z początkiem lata, przywożąc drewnianego, lakierowanego orła, dwa włochate huculskie liżnyki (jeden dla swojej dziewczyny) i paczkę papierosów Watra. Karl-Joseph nie palił, ale czasem częstował watrą kogoś spośród swych lubiących mocne wrażenia gości — i tak w ciągu kilku lat od owego pierwszego powrotu paczka została opróżniona zaledwie do połowy.

Opublikował swoje fotografie z Karpat i ze Lwowa w kilku niszowych pismach, lecz osobna wystawa, pod zaplanowanym tytułem *Europa. Przesunięcie Centrum*, nigdy się w końcu nie odbyła. Nie pomogła nawet gotowość Karla do zmiany tytułu na nieco bardziej kompromisowy: *Świat bez Rotha, świat bez Schulza*. W ostatniej chwili interweniowały jakieś siły wyższe z muzeum archeologii i etnografii — wszystko rozsypało się w proch i pył. Ale Karl-Joseph nadal jeździł.

Pod tym względem był całkiem nietuzinkowy, co nie mogło nie wynikać z jego zawikłanej, podobnie zresztą jak u przeważającej większości jego austriackich rodaków, genealogii. Przez ostatnie cztery czy pięć wieków jego przodkowie tak starannie wszystko pomieszali — stanowo, etnicznie, wyznanio-

wo, politycznie oraz wybuchowo — że Karl-Joseph mógł z powodzeniem uważać się za potomka bawarskich browarników-anabaptystów, sudeckich poganiaczy mułów, tyrolskich serowarów, salzburskich lichwiarzy-bankrutów, soprońskich handlarzy soli, kilku bankierów-samobójców i także samobójców, ale biskupów, a oprócz tego innych barwnych postaci, wśród których byli również pewien połykacz ognia i noży z Leibach, i zezowata właścicielka teatru lalek z Tarnowa, publicznie spalona jako czarownica, i znany autor kalendarzy rolniczych z Mattersburga, i nie mniej znana feministyczna dziennikarka, też zezowata. Jedna z najdalszych gałęzi rodu Zumbrunnenów sięgała kompozytora Buxtehudego, inna — artysty Altdorfera. Ale nie można wykluczyć, że swoją pierwszą ukraińską podróż Karl-Joseph odbył pod wpływem rodzinnego mitu o pradziadku, fanatycznie rzutkim nadleśniczym z Worochty, później przeniesionym służbowo do Czortopola. O dziwo, pradiad także nosił imię Karl-Joseph. O dziwo, Karlami-Josephami nazwano łącznie dziewięć dziesiątych wszystkich mężczyzn z rodu Zumbrunnenów. Pradiad Karl-Joseph Zumbrunnen zapisał się złotymi zgłoskami w historii austriackiego (a może nawet światowego?) leśnictwa jako ten, kto w połowie XIX wieku zasadził drzewa iglaste i buki na wielkich połaciach łąsych karpackich grzbietów. *Tutaj nikt już o nim nie pamięta* — pisał Karl-Joseph prawnuk w swoich listach — *i wszelkie moje starania, by więcej się o nim dowiedzieć, są daremne. Można odnieść wrażenie, że*

w XX wieku rzeczywiście miał tu miejsce straszliwy katakлизм, coś w rodzaju wstrząsu tektonicznego, w wyniku czego wszystko, co wydarzyło się i istniało wcześniej, powiedzmy, przed trzydziestym dziewiątym rokiem, zapadło w niebyt. Rozmawiałem z kilkoma młodymi historykami; zapewnili mnie, że będą starali się o nadanie imienia pradziadka jednej z katedr tutejszej akademii leśnictwa. Ale nie o to mi przecież chodzi!

W dziewięćdziesiątym drugim jeździł dwa razy, w dziewięćdziesiątym trzecim tylko raz, ale za to na długo, przesiedział we Lwowie chyba pełne trzy dozwolone przez wizę miesiące. W dziewięćdziesiątym czwartym, gdy dotarły doń wyniki ostatnich wyborów na Ukrainie, uznał, że już nigdy nie uda mu się tam pojechać. Jego ówczesne listy cechuje szczególna ostrość i gorycz: *Ten kraj miał wielkie szanse na przemianę i niemal błyskawiczny skok ze stanu permanentnej potworności i oligofrenicznej bezradności do co najmniej normalności. Okazało się jednak, że liczba tych, którzy w samym jego wnętrzu tego nie chcą, w ogóle nie chcą samego jego istnienia, znacząco przekracza wszelkie dopuszczalne granice. Wygląda na to, że dwa lata temu bardzo się myliłem. W sumie to nie moja sprawa, tylko ich, to oni każdego dnia dokonują własnego wyboru. Szkoda mi tylko tej mizernej garstki innych, których tu poznałem i z którymi nie najgorzej mi się współpracowało. Dziś wszyscy oni zamarli w przeczuciu zła — likwidacji i czystek, ktoś nawet wypowiedział gdzieś na głos słowo „emigracja”, ktoś inny — „podział, Galicja, Zbrucz”. Nie sądzę, by miała tu znaczenie dawka*

spożytego alkoholu: to były całkowicie trzeźwe komentarze. Oczywiście takie organizacje, jak stowarzyszenie historyczno-kulturalne Klub Dunajski, nie zostaną zamknięte już i natychmiast, stąd trzeba — póki tylko się da — zdążyć jak najwięcej zdziałać. Dlatego w drugiej połowie lipca tego samego dziewięćdziesiątego czwartego roku Karl-Joseph Zumbrunnen na długo zniknął w Karpatach, fotografując przeważnie stare cmentarze do planowanej wystawy *Memento*. Prawie miesiąc spędził między niebem a ziemią, orientując się w terenie według starych map wojskowych, zapobiegliwie przywiezionych z Wiednia, wędrując i dolinami rzek, i drogami gruntowymi, a niekiedy górskimi grzbietami, raz po raz wymawiając dziwne jak zakłęcie słowo „Gorgany”. Zachodził do wsi tylko po to, by dokupić nieco jedzenia — tuzin ukraińskich słów i gesty na ogół wystarczały; ktoś inny zapewniał, że już wtedy była z nim tłumaczka, ale to jakoś nie współbrzmi z tonem i nastrojem jego ówczesnych listów o samotności pod rozgwieżdżonym niebem. Tego lata nadeszły niezwykle upały, trawa pożółkła jeszcze przed sierpniem i Karl-Joseph bardzo się opalił. Ponad wszystko lubił zanurzać się w niezliczonych górskich potokach i leżeć w nich w skupieniu, patrząc w nasycony, bez jednej białej chmurki, bezkresny błękit w górze. Deszcz nie padał już od dawna, więc wody w potokach wyraźnie ubyło, ale oczyściła się przy tym, nabrała zielonkawej przejrzystości i była cieplejsza niż zazwyczaj. A Karl-Joseph Zumbrunnen, jak wszyscy zresztą moi bohaterowie, ogromnie lubił wodę.

Pochodził z miasteczka Sitzgrass gdzieś na wschodzie, a może na południu Austrii (oto ono, przyjdzie je opisać ponownie, ale nie ma rady: gotyk kościoła, zegar na dzwonnicy, uliczka z pocztą i winiarnią, poranne gruchanie gołębi, chodniki, prawie wszędzie równo podzielone między pieszych i rowerzystów, na wzgórzu stary majątek barona — taki sobie *Schlößchen*, obecnie muzeum grafiki i rybołówstwa słodkowodnego — kasztanowa aleja, Alpy Wschodnie na horyzoncie, młyn wodny i kąpiele w zielonkawej wodzie). Tak, właśnie woda, pływanie do późnego wieczora koło starego młyna, nie wiedzieć czemu nie zbombardowanego podczas ostatniej wojny, nurkowanie w najzieleńszym, ciepłym wodnym wnętrzu z nigdy nie wypowiedzianą zabawną ideą, by już nie powrócić, na zawsze przepaść w głębinie, właśnie to i właśnie tak lawinowo nawiedzało czasem Karla-Josepha Zumbrunnena w słonecznych snach, podczas gdy w pochmurnych słyszał jedynie jakąś krzykliwą muzykę i nie mógł zrozumieć ni słowa z tego, co do niego mówiono.

Tego lata po powrocie z Karpat ze zdziwieniem dostrzegł, że na razie nic złego się nie stało. Wszyscy jego lwowscy znajomi mieli się dobrze, oczekiwana fala aresztowań i kurczenia się patriotycznych struktur jednak nie nadeszła. Niektórzy z przyjaciół twierdzili nawet, że wyszło nie najgorzej i że z nową władzą można i trzeba tak samo dobrze się porozumieć, to przynajmniej pragmatycy, co samo w sobie nie jest już takie złe, poza tym nastąpiło wyraźne odmłodzenie

kierowniczych szeregów — czyli to, na co społeczeństwo od dawna czekało. „Teraz do władzy dochodzą nasi rówieśnicy — mówił pewien germanista, jego tymczasowy tłumacz, a skądinąd tłumacz Heideggera. — Kilku z nich znam, to znaczy znałem osobiście. Życie staje się ciekawe”. Karl-Joseph Zumbrunnen bez pośpiechu sącył przesłodzone mołdawskie wino, choć ciężar wciąż nie spadał mu z serca. Jego wystawa *Memento* odbyła się w kilku galicyjskich miastach, z towarzyszeniem tłumów odwiedzających i szaleńczo pokąźnych „lampek wina”. Jacyś oficjalni panowie i panie zawsze otwierali te imprezy speechami o nowym, wielkim państwie europejskim — Ukrainie, jakieś w miarę atrakcyjne dziewczątka niczym na skinienie reżysera odaliskowo wirowały wokół *popularnego wiedeńskiego fotografa*, przypadkowo i oczywiście niechcący ocierając się o niego jędrnymi pośladkami. Karlowi-Josephowi znów zaczęło się podobać w owym ciepłym kraju.

Jesienią tego samego roku, jak już zostało powiedziane, porzuciła go długoletnia wiedeńska przyjaciółka, gdy usłyszała, że na Boże Narodzenie Karl-Joseph znów jedzie do Lwowa. Powiadają, że o piątej trzydzieści cztery rano Eva-Maria musnęła wargami jego wciąż jeszcze opalony po karpackich wędrówkach dołeczek pod jabłkiem Adama — i było to po raz ostatni. Wtedy jeszcze nie nosił na szyi nieśmiertelnika z wygrawerowanym imieniem i adresem. Było to więc ostatnie lato, gdy jej ulubiony dołeczek mógł się opalić. Ostatnie lato, ostatnia jesień.

Natomiast już następnego lata Karl-Joseph pisał ze Lwowa, ani trochę nie ukrywając sztucznie podsycającej w sobie euforii: *Pojawiło się dobre piwo! Pojawiły się nowe kawiarnie, a nawet przyzwoite restauracje! Coś się jednak zmienia — jakieś fasady itp. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie przejść chwilowo z czarno-białego na kolor — rzecz jasna, nie z powodu piękna, ale dla historii. Z tego mógłby wyjść całkiem wesoły album: Lwów. Nowa skóra. Te próby przemalowania tutejszej powierzchni przywiezionymi z sąsiednich polskich bazarów zapewne fałszowanymi farbami byłyby nawet zabawne, gdyby nie godne wielkiego szacunku idealistyczne porywy nowych tutejszych przedsiębiorców. To naprawdę młodzi ludzie, którzy nade wszystko pragną zmienić swój kraj, i — odpukać w niemożliwe — uda im się! I dalej: Doprawdy, grubo się myliłem, gdy na początku lat dziewięćdziesiątych pisałem, że bardzo szybko odnajdą najlepszą drogę rozwoju i błyskawicznie zmienią na lepsze położenie kraju. Następne lata pokazały, że jest on jednak zbyt wielki i nieruchawy, a tym samym nie dojdzie w nim do gwałtownych przemian. Ale — na szczęście — myliłem się również wtedy, gdy rok temu orzekłem, że na tym wszystkim trzeba postawić wielki i ostateczny krzyżyk. Bo rzeczywistość przyniosła nam nowe niespodzianki. Pożegnanie z młodością nie jest znów takie tragiczne, jeśli w ślad za nią przychodzi dojrzałość.*

Ostatnie zdanie niezupełnie pasowało do wcześniejszego kontekstu amatorskiej analizy i przyjacielom Karla-Josepha znów pozostało tylko wzruszenie

ramionami. Ja jednak, jak sędzę, rozumiem, o co tu chodzi. Ale o tym później.

Jego listy z drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych to dziwna mieszanina prywatnej publicystyki, sprzecznych notatek z dziennika i niczym nie uzasadnionych emocjonalnych wycieczek w sfery graniczące z metafizyką. *Ogromną przykrość sprawiają kontakty z niektórymi spośród tutejszych autorytetów — czytamy w jednym z listów. — Niedawno jeden z nich, były więzień sumienia i autor drugoobiegowych poezji, przez ironię władzy wyższej i miejscowych intryg dworskich usadzony na kuszącym stołku, przekonywał mnie, że jego naród liczy sobie niemal dziesięć tysięcy lat, że Ukraińcy mają bezpośredni kontakt z kosmicznymi siłami dobra i wedle kształtu czaszek oraz łuków brwiowych są stosunkowo bliscy do wzorcowego Aryjczyka, wskutek czego istnieje wymierzony przeciw nim światowy spisek, którego bezpośrednimi uczestnikami są najbliżsi pod względem geograficznym sąsiedzi oraz pewne wewnętrzne etniczne czynniki rozkładu — „Rozumie pan, o kim mówię, panie Zumbrunnen”. Później włożył mnóstwo wysiłku w wykazywanie mi kompletnej bezwartościowości kultury rosyjskiej; jak mu się zdawało, w proch i pył startł Musorgskiego, Dostojewskiego, Siemiradzkiego i Brodzkiego (a nazwiska, już z samych nazwisk widać, krzyczał w ekstazie, ochlapując mnie od stóp do głów żółto-błękitną pianą swej śliny — Rubinstein! Eisenstein! Mandelsztam! Mindelblat! Rostropowicz! Rabinowicz!), najlepsze, że musiał to wszystko wykladać po rosyjsku, bo żadnego języka zachodniego*

ten prawdziwy praeuropejczyk nigdy nie zechciał się nauczyć. Musiałem przerwać jego chaotyczną wypowiedź kilkoma niewygodnymi pytaniami, w odpowiedzi na które jedynie tępo zamrugał. Zapytałem na przykład o rzecz następującą: „Dobrze, jeśli rzeczywiście macie tak starożytną i potężną kulturę, to dlaczego wasze toalety publiczne tak śmierdzą? Dlaczego te miasta w większości przypominają gnijące śmietniska? Dlaczego stare śródmieścia całymi ulicami niszczejają, dlaczego odpadają balkony, dlaczego w bramach nie ma światła, a pod nogami chrzęści tyle potłuczonego szkła? Kto jest temu winien — Rosjanie? Polacy? Inne wewnętrzne czynniki rozkładu? Dobrze, nie radzicie sobie z miastami, ale co z przyrodą? Dlaczego wasi wieśniacy — ci, jak pan mówi, dziedzice liczącej dziesięć tysięcy lat tradycji cywilizacyjnej — z takim uporem spuszczaają całe swoje gówno wprost do rzek, i dlaczego wędrując po waszych górach, napotyka się dziesięciokrotnie więcej porzuconego żelastwa niż ziół leczniczych?”. Z trudem pohamowałem pokusę, by spytać o kwestię natury bardziej osobistej; dlaczego on sam, od niedawna kawaler orderu Księcia Włodzimierza, ma na ramionach tyle łupieżu. Ale już tego, o co zapytałem na głos, całkowicie wystarczyło, by wyraźnie ochłódł i podejrzliwie przypatrując się kształtowi mojej czaszki, długo i zawile tłumaczył, że nie widzi możliwości finansowego wsparcia naszej tegorocznej ekspedycji. Wszystko to prowadzi do bardzo smutnych wniosków, gdy tego typu państwowotwórczą postać, jakby na pośmiewisko wyrwaną z archiwalnych otchłani jakiegoś bardzo zwulgaryzowanego XIX wieku,

zestawi się z tutejszą rzeczywistością. Piszę ten list w samym środku ciężkości zagubionej Europy, w przesiąkniętych opuszczeniem, chłodem, pleśnią i niekończącym się fikcyjnym remontem legendarnych pokojach hotelu George, gdzie typy o niedwuznacznie skulonych sylwetkach tajnych informatorów policji przynoszą mi liściki od znajomych, a zaspane i niedomyte bufetowe o nalanych cielskach — paskudną, przestodzoną kawę; muszę przy tym słuchać hałaśliwej i pustej muzyki, patrzeć na jakieś tępe pyski, potylice i tyłki (nie patrzę w ich stronę, ale tego nie da się nie widzieć — w tym całe nieszczęście!), wdychać ich pot, perfumy, dym z papierosów, muszę wpadać coraz głębiej w ten tragikomiczny entourage, w tę cyniczną beznadzieję — i wierzyć, że oni naprawdę są potomkami starożytnych Egipcjan i Etrusków, czego dowodzą ich barwy narodowe i kalendarz obrzędów, odzwierciedlających całe piękno i harmonię stosunków Człowieka z Przyrodą i Stwórcą (s bolszoy bukwy, riebiata, s bolszoy bukwy!).

Jednakże w innym liście, chronologicznie niezbyt odległym od cytowanego, znajdujemy wyraźnie odmienne akcenty: *Kto dał mi prawo pouczenia ich, wytykania wszystkich tych dziur w jezdniach i złotych zębów? Żyją, jak chcą, bo są u siebie, a ja nie mam racji choćby dlatego, że jestem przybyszem. A najważniejsze, czego w żadnym razie nie można im odmówić, to ich dobre, pijackie ciepło. Według jakiejś najwyższej skali oni są o wiele bardziej ludzcy niż my. Mówiąc „ludzcy”, mam na myśli ich zdolność do nieoczekiwanego otwarcia się, dostrzeżenia nawet w nieznanym kogoś bar-*

dzo bliskiego. Ot, choćby odległość 400–500 kilometrów, którą nasze intercity pokonują w niecałe cztery godziny, tutejsze pociągi potrafią wydłużyć do jakichś trzynastu. A jednak ludzie, w tych niewygodnych i jakby naumyślnie zbyt ciasnych przegródkach wagonów, rozkładają jedzenie i napoje, poznają sąsiadów, dzielą się każdą kromką chleba, opowiadają o najważniejszych, często bardzo osobistych sprawach. Życie i tak jest zbyt krótkie — dokąd się śpieszyć? To chwile najsilniejszych emocjonalnych wstrząsów, gdy dotykasz odkrytej nagle, cieplej, wódczanej prawdy, znacznie ważniejsze od oficjalnego, zapracowanego pośpiechu i zamkniętej, fałszywej uprzejmości, pod którymi tkwią jedynie pustka i wzajemna obojętność. Podoba mi się, że niekiedy wszyscy oni zdają się jedną, wielką, bezgranicznie rozgałęzioną rodziną. Gdy częstują swoim prowiantem i wódką, mogą być nawet nieznośnie, nie do wytrzymania natarczywi, jeśli ktoś zacznie się wymawiać. I sądzę, że to nie dlatego, że artykuły spożywcze i wódka są tu znacznie tańsze niż u nas, ale dlatego, że ci ludzie naprawdę mają bardziej szczerą i szczodre dusze. Stąd też wymawiając się od poczęstunku, odbieracie im prawo do porozumienia. Jakże odmienne to od klimatyzowanej, sterylnej i czystej, idealnie ogrzewanej, ale równocześnie pozbawionej ludzkiego ciepła atmosfery naszych rączych eurocity, powierzchownego prześlizgiwania się uśmiechów i nienaturalnej ciszy, z rzadka tylko zakłócającej pstryknięciem zapalniczki albo szelestem folii!

O tak, od połowy lat dziewięćdziesiątych Karl-Joseph Zumbrunnen w istocie zaczął sam w sobie

dostrzegać, że przywyka i zaczyna lubić. Jakoś nagle i zdecydowanie — przechodził właśnie ze swojego osiemnastego wagonu do dziewiątego, restauracyjnego, w nieprzesadnie rozkołysanym pociągu osobowym z Iwano-Frankiwska do Kijowa — a więc, właśnie tam i właśnie wtedy, nagle i zdecydowanie, zrozumiał, że lubi chodzić takim szerokim krokiem, udając pewność siebie i znajomość rzeczy, lubi mijać się z idącymi z naprzeciwka w nazbyt ciasnych korytarzach wagonów i przedsionkach, lubi podpite spojrzenia i złote zęby konduktorek, podoba mu się, że pamięta nazwę następnej stacji — Zdołbuniv, podoba mu się, że ktoś przyniesie na niej do pociągu tanie piwo, podoba się, że ze wszystkim tak świetnie sobie radzi, że drzwi przedziałów na ogół są otwarte na oścież i że kiedy nareszcie dojdzie do dziewiątego wagonu, to spodoba mu się też niewątpliwie niezdrowe kolejowe jedzenie, i wymięte twarze, i ostre ruchy bywalców baru, i opięte *skórami* uda hałaśliwych bywalczyń, i tak samo krzykliwe żarty, z których nie zrozumie ani słowa, ale będzie wybuchał najszczerszym rechotem razem ze wszystkimi przypadkowymi rozmówcami, i — kto wie? — może nawet ich krzykliwa muzyka, w której zdoła rozróżnić tylko przypadkowe rosyjskie zwroty, w rodzaju *podruga moja, wied' niet u menia, ty obniemał jejo...*

Zapewne właśnie dlatego w jednym z następnych listów pisał: *Droga cudzoziemca pełna jest niebezpieczeństw i prób, ale nie ma nic słodsze go ponad uczucie żywania się z Obcym. W pewnej chwili dociera do cie-*

bie, że mógłbyś tu żyć, i to bez przesady. I nie będzie niczym dziwnym, jeśli jutro zapragniesz już żyć i mieszkać tylko tu.

Do adresatów jego listów coraz jaśniej docierało, że nie obeszło się tu bez odwiecznej kwestii kobiecej. Ukrainki w owym czasie rzeczywiście zdobyły już na Zachodzie niejaki rozgłos — używano ich nie tylko jako seksualnych niewolnic, ale też w tradycyjnych związkach małżeńskich w kilku różnych krajach południa i północy. „To fajne babki — żartował jeden z kawiarnianych znajomych Karla-Josepha, dentysta, którego imię nie ma tu znaczenia. — Są seksowne jak kurwy i ani trochę nie zepsute przez feminizm”. Warto zauważyć, że od pewnego czasu Karl-Joseph nie zawsze adekwatnie reagował na podobne dowcipy, co trochę bawiło i intrygowało jego cotygodniowe towarzystwo, które wedle dawnego burżuazyjnego obyczaju co piątek zbierało się na kieliszeczek w prowadzonej przez Chorwatów kawiarni „Alt Wien”. W ten sposób mimo woli łamał on przyjęte w tym czysto męskim kręgu niepisane zasady, w szczególności obowiązkową swobodę werbalną i lekceważąco-elegancki pokazowy cynizm. Stary Charlie-Joe traci poczucie humoru, notowali w myślach, wszystko jasne, bez pudła: bye, bye, Charlie, wpadłeś jak śliwka w kompot, z głową w jakąś cipkę wpadłeś, dobrze ci tam, Charlie?

A naprawdę było, jak było: pogorszenie wzroku, niezwykła jesienna samotność, otepienie, niemrawe oczekiwanie wyjazdu na Boże Narodzenie (według starego stylu) do Lwowa, czterogodzinna rewizja na

granicy w Czopie — *cel prijezda*, dopytywał się jeden z nich, w zimowej czapie z opuszczonymi uszami (choć nieco tępawy *obywatel Republiki Austrii* odpowiedział wyuczone „ciennikasz, foto”, sam jeszcze nawet się nie domyślał swojego *prawdziwego celu*), potem odwilż, ciepłe deszcze, karkołomne prześlizgiwanie się po lwowskich pagórkach, upaprane ulicznym błotem buty i nogawki, częste upadki, świąteczny wieczór w jakiejś willi na ul. Łysenki, starzy znajomi, nowi znajomi, nowa tymczasowa tłumaczka i pomocnica („Nie, panie Karolu, nie *pomacnica!*”), obżarstwo i opilstwo, pastuszkowie z barankiem, Pani Niezgraba (po pierwsze, na samym początku wylała na siebie kieliszek czerwonego wina, zaczepiwszy rękawem sukni w stylu ludowym; po drugie, boleśnie szturchnęła Zumbrunnena łokciem, gdy siadała do stołu po powrocie z *myjni* („Z łazienki, panie Karolu!”); po trzecie — wszakże *do trzech razy sztuka!* — skrzyła nogę, ledwie unikając upadku na krętych schodach do piwnicy, dokąd zaproszono wszystkich na oglądanie szaro-czarnego malarstwa pana domu; Karl-Joseph zdążył ją złapać — i to być może nie tylko dlatego, że akurat stał o schodek wyżej; tym sposobem na pięć minut został bohaterem staroświeckiego filmu — Ratującym Damę przed Śmiertelnym Niebezpieczeństwem; „Alesz phoszę, alesz phoszę” — odpowiadał na jej podziękowania, bo machnąć ręką i zbyć wszystko parodią i kurtuazją nie pozwalały mu braki w zakresie ukraińskiego słownictwa; tak więc wciąż powtarzał „alesz phoszę”, a wszyscy bez sensu kręcili się wokół

i przepychali, szukając pierwszej pomocy w przypadku skręcenia kostki; jakiś dobrze napity wąsacz-dyrektor (prorektor-korektor-erektor?) za trzecim podejściem zdołał usztywnić ją bandażem elastycznym („wszyscyśmy starzy karpaccy tropiciele!”), a co tu ma do rzeczy cielę, nie zrozumiał Karl-Joseph; potem wezwano taksówkę i Pani Niezgraba — a w rzeczywistości pani Roma Woronycz — kulejąc, przepadła wśród śliskiej, wilgotnej nocy, prowadzona przez własnego, pijanego bardziej niż obowiązująca w tym towarzystwie średnia męża, którego — jak się okazało — miała.

Potem minęło jeszcze kilka świątecznych, tak samo zachlapanych deszczami i resztkami śniegu dni i nocy; jakieś obdarte szopki, bardziej przypominające rozproszone po przegranej bitwie resztki dawnego wojska, natarczywe dzieci ostrzyżone na zero, które w pośpiechu kołędowały, fałszując z powodu mutacji — w ich kieszeniach można się było domyślać obecności noży i petard; potem w hotelu nawaliło ogrzewanie; potem znów je naprawiono, w samą porę — z Arktyki powróciły zwarte masy mroźnego powietrza; na Nowy Rok starego stylu wreszcie spadł śnieg i Karl-Joseph wykreślił jej numer, bo nagle przypomniał sobie, że ona zna jego język, a tym samym on może czuć się znacznie swobodniej i nawet spytać, jak jej kostka.

Od razu spodobało im się bycie razem, wspa-
niale asystowała mu przy realizacji kilku następ-
nych projektów, nie tylko jako tłumaczka, ale też jako
doświadczona doradczyni, biegła w wielu typowo
lwowskich labiryntach stosunków międzyludzkich.

Jednakże od pierwszego telefonu w sprawie *skręconej kostki* musiały minąć jeszcze prawie dwa lata zasadniczo zawodowej współpracy, a mówiąc ściślej, bolesnej, cierpkiej nieokreśloności, musiały nastąpić jeszcze dwa powroty Karla-Josepha do Wiednia i dwa kolejne przyjazdy na Ukrainę, aż wreszcie pewnego dnia *stało się, co się musiało stać* (jakaś nieproszona autorka powieści dla pań syknie tu jak żmija — precz z nią, precz!), tak więc, był to pokój w hotelu George, w którym rzucili się na siebie z taką oszałamiającą skwapliwością, że Pani Niezgraba ściągnęła zasłonę razem z nadgryzionym przez korniki karniszem, Karl-Joseph kolejny raz przekonał się, że nie radzi sobie z biustonoszami; za ścianą jacyś nieokrzesani Olbrzymi kontynuowali remont sąsiedniego pokoju, bez litości waląc w tęże ścianę swoimi Hipertroficznymi Szlakborami i Majzlami, i o coś się kłócąc brutalnym Językiem Zawodowym; *ciąg dalszy* przebiegł mniej więcej, może nawet więcej, a nie mniej, to znaczy całkiem nieźle, ale kiedy ciut później łoskot w łazience obwieścił, że Pani Niezgraba poślizgnęła się i ręką zawadziła o półeczkę z różnymi after-shave'ami, szamponami, dezodorantami i innymi takimi, Karl-Joseph Zumbrunnen, niespodziewanie samotny na pomiętych wśród ich pieszczot prześcieradłach, na zsuniętych razem łózkach, zwrócił się do wysokiego hotelowego sufitu z retorycznym pytaniem, jak można *posuwać* kobietę, która ma już niemal pełnoletnią córkę. I zamiast wysokiego sufitu sam sobie odpowiedział: „Wychodzi na to, że można”.

Robili, co mogli, ale warunki zewnętrzne wciąż się pogarszały. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Ukraina trafiła jednocześnie na kilka czarnych list, prowadzonych przez nadmiernie bezstronnych obserwatorów z rozmaitych organizacji międzynarodowych. *Podczas przekraczania granicy ukraińskiej zalecamy mieć przy sobie banknot dziesięcio- lub nawet dwudziestodolarowy — radzili czytelnikom autorzy przewodnika turystycznego Karpaty Południowe i Wschodnie (Londyn–Paryż–Berlin 1998).* — *To standardowa wysokość stymulacji dla ukraińskich celników, dzięki której można uniknąć długotrwałych, a niekiedy poniżających czynności na cle. Jeśli mimo wszystko znajdziecie się na terytorium tego państwa, byłej republiki radzieckiej, koniecznie zachowajcie niezwykłą ostrożność: wszelkie rodzaje przestępstw, w tym grabieże, okradanie samochodów, a nawet porwania, w ostatnich latach ogromnie się tam rozpleniły. Podobnie nie warto liczyć na pomoc ich policji z jej przerażająco niskim poziomem zawodowym i technicznym. W dodatku jej przedstawiciele nie znają żadnych języków europejskich, więc nikt was nie zrozumie, ale za to nieraz spróbuje oszukać. Wszystko to razem wzięte, podobnie jak wyłączenia prądu w długie jesienno-zimowe wieczory, jeszcze nie stanowiło dla Karla-Josepha tragedii — o wiele gorszym objawem była rosnąca bezczelność władzy i towarzyszące jej rozmarzanie w ludziach owego wewnętrznego piekła, któremu na imię strach. Wydaje mi się — pisał w którymś z listów — że nieodwracalnie dobiega kresu najszcześniejsze w historii tego*

kraju dziesięciolecie. Niektórzy z moich przyjaciół mają wrażenie, że ich telefony znów są na podsłuchu. Jednakże całkowita powtórka z przeszłości nie jest możliwa: o ile dawna władza rozprawiała się z innymi za pomocą sądów, obozów i tzw. psychiatrii, o tyle obecny totalitaryzm nazwałbym pełzającym: w istocie, skrada się on w ciemności, wykorzystując metody kryminalistów. Być skazanym, nawet na tajnym, bezprawnym, ale mimo wszystko, proszę wybaczyć, prawdziwym procesie, gdzie z wysoko podniesionym dysydenckim czołem elegancko rzucasz systemowi otwarte oskarżenie, pamiętając, że na Zachodzie i tak się o wszystkim dowiedzą, to jedno; zostać cynicznie porwanym przez osobników w maskach i zaduszonym podczas tortur, a potem wyrzuconym bez głowy na pustkowiu — to co innego. Przepadają bez wieści politycy, dziennikarze, worki pieniędzy, i jeśli nawet ktoś zostaje później odnaleziony, to jako trup. Zza wszystkich niewyjaśnionych okoliczności bardzo wyraźnie przebijają podręcznikowe samobójstwa i wypadki samochodowe, niektórych rozstrzeliwują z bliska w windach albo na schodach ich własnych domów. Mało tego, na tak sprzyjającym gruncie przerażająco rozwinęła się też zwyczajna, niepolityczna przestępczość — przeciętnemu obywatelowi już nikt nie może zagwarantować bezpieczeństwa, a czarny rynek broni palnej niebawem będzie tu przeżywać swoje złote czasy. A na razie cóż — mrok, wszechogarniający mrok, wielogodzinne wyłączenia światła i półciężkie ciała w przepelnionych pojemnikach na śmieci.

I nieco dalej: *Mimowolnie ułożyło mi się coś w rodzaju aforyzmu: państwo policyjne poznać po tym, że jego policja jest tak samo wszechmocna wobec uczciwych obywateli, jak bezsilna wobec przestępców.*

Ale nawet po tych wyznaniach Karl-Joseph Zumbrunnen nie przestał jeździć na Ukrainę. Nie przestał, choć rządy krajów Unii Europejskiej już *nie zalecały* swoim obywatelom takich podróży. Ale cóż te rządy mogły wiedzieć o wietrznych, kamienistych grzbietach, o kolorze gliny na butach po tygodniowym marszu, cóż wiedziały o zapachach — drewnianych cerkwi, starych cmentarzy, potoków po deszczu? A już tym bardziej nic nie mogły wiedzieć o pani Romie Woronycz, o tym, jak pali w łóżku, albo jak szuka w mroku drogi do łazienki, wpadając na krzesła, albo po prostu oddycha tuż obok, albo gasi wszystkie światła, by się rozebrać, bo jak każda kobieta w jej wieku zaczyna już nieco wstydzić się własnego ciała.

Dlatego Karl-Joseph Zumbrunnen ani myślał podporządkowywać się *zaleceniom* zachodnich rządów. I oto cud mniemany: stałość jego upodobań została nagrodzona — w zeszłym roku odszukał go jeden z ważnych redaktorów ogromnego, prestiżowego wydawnictwa, specjalizującego się zarówno we współczesnych sztukach wizualnych, multimediami, jak i fotografii dokumentalnej, i zamówił u niego album krajobrazów karpackich pod roboczym tytułem *Ojczyzna masochizmu*. Popularny w ostatnich latach nurt kulturologii masochologicznej i masochoznawczej miał być podtrzymany dzięki *martwej* czy raczej

zgwalczonej naturze zniszczonych pejzaży; redaktora interesowało przede wszystkim połączenie zdeformowanej przyrody z *industrialem*, a ponieważ tam, na Wschodzie, *industrial* ulegał degradacji tak samo katastrofalnej, jak przyroda, to chodziło już o ruinę do kwadratu. „Rozumiesz — mówił redaktor — interesują nas wszystkie te zarośnięte krzaczorami cysterny i rurociagi, brzegi zatrutych rzek, martwe łądy itd. Polska? Słowacja? Rumunia?”. „Jeśli kontekst Masocha ma dla was tak wielkie znaczenie, to Ukraina” — jak najobojętniejszym głosem odpowiedział Karl-Joseph, bo jak wszystkie na świecie stare wróble pamiętał, żeby się czasem tanio nie sprzedać. „O, to Masoch nie jest z Polski?” — redaktor uniósł przekłutą kolczykiem brew. „Przepraszam, my w Düsseldorfie czasem nie najlepiej orientujemy się w waszych austriackich sprawach” — dodał, gładząc ogniście fioletowego irokeza. Wysokość zaliczki sprawiła, że równo godzinę później Karl-Joseph odtańczył niedźwiedzi czardasz zwycięstwa, już we własnym, nieco przyciasnym dla zwycięskich tańców mieszkaniu na Pratersternie.

Karl-Joseph Zumbrunnen miał zatem pewne powody, by w kolejnym ze swoich tegorocznych listów napisać: *Cała tajemniczość świata wynika z naszej niechęci do przyjmowania rzeczy takimi, jakimi są. Ale tak naprawdę istnieje tylko jeden porządek rzeczy. Dlatego tak boimy się przyszłości, boimy się podróży, dzieci, boimy się zmian. Nie umiem stawić temu czoła, ale ze wszystkich sił udaję, że się opieram.*

Teraz nadeszła pora, by ujawnić ich wszystkich. W jednej ze znanych mi książek analogiczne miejsce nazywa się „Bohaterowie dramatu”. Chociaż, nie wiem, czy takich znów bohaterów. I na ile jest to dramat.

Ale na początek należy całkiem wyraźnie, z wysokości ptasiego lotu, zobaczyć małą stację kolejową w górach — z tych, które swoimi fasadami, mimo wielokrotnych i pozbawionych sensu remontów, wciąż przywołują czasy wiedeńskiej secesji. Ktoś opowiadał, że pewnego razu Bohumil Hrabal powiedział mniej więcej tyle: mógłby żyć wszędzie, gdzie są stacje kolejowe habsburskiego wzoru. Czyli Bohumil Hrabal mógłby żyć także i tu.

W związku z tym zdecydowanie zniżamy wysokość. Tak więc mamy dach, kryty starą, miejscami wybrakowaną dachówką, niewysoką wieżę z zatrzymanym na wieki zegarem — w jego zardzewiałym mechanizmie uwiły gniazdo kukułki czy może wrony, z którymi zresztą rymują się perony, wąskie pasmo pokruszonych żółtawych kafelków, kilka niezbyt

funkcjonalnych latarni, niegdyś gazowych. Musi też być nadtłuczony witraż z granatowymi dekadencckimi irysami i pierwszymi wiosennymi muchami na ich podłużnych liściach, poczekalnia z kilkoma pokaleczonymi nożem i kawałkami szkła drewnianymi ławkami (*REZERWA 84, ZSZ 18, Alona Cipa, Murmańsk 95, Said pedał i huj, Andżela + Pomidor = WNM*), czarny żeliwny piec na wypadek zimowego oblężenia przez śniegi, nad zamkniętym zazwyczaj okienkiem kasy lakoniczny rozkład jazdy pociągów, a dokładniej pociągu, bo jest tylko jeden. Okienko otwiera się dwa razy na dobę — o siódmej piętnaście wieczorem i czwartej zero trzy rano, kiedy pobrzękując tak samo chyba habsbursko-hrabalowskimi kluczami, z chaty na pobliskiej górze schodzi niska, zasuszona kobiecina w chustce i — o tej porze roku — w gumiakach. Przychodzi, by sprzedawać swoje starożytne bilety, owe małe, brązowe prostokąciki z twardego kartonu, przepustki do jakiegoś wokółdworcowego dzieciństwa. Chociaż prawie nikt nie kupuje u niej biletów.

Coś jeszcze? Tak, oczywiście: płaskorzeźba z sierpem i młotem nad drzwiami z peronu do poczekalni i na wpół zdarta reklama „Usłuchaj swego pragnienia”, wszystko jedno gdzie.

Pociąg jest tylko jeden i wieczorem, gdzieś o siódmej trzydzieści trzy, powinien przyjechać, jak tutaj mówią, z dołu, czyli z równin. Postój zgodnie z rozkładem ma trwać dwie minuty, ale na ogół trwa dłużej, bo trzeba przez ten czas wyładować od pięciu do siedmiu skrzynek chleba. Pod koniec kwietnia —

a trafiliśmy tu właśnie o tej porze — o wpół do ósmej wieczorem jest jeszcze jasno, ale pociąg przyjedzie dopiero dobrze po zmroku. Albowiem do kobieciny w okienku niedawno zadzwonili z informacją o jego prawie dwugodzinnym opóźnieniu, gdyż *na torze* między stacjami Dupa Średnia i Dupa Wyżna leżał pacholek; złowieszczo czarny, ebonitowy aparat, jak z opowiadki o Leninie, a także daleka od doskonałości dykcja dyspozytora pozostawiały wiele wątpliwości, czy rzeczywiście *pacholek* (*matolek?* *bawolek?* *baobab?*). To jednak nieistotne, ważny jest sam fakt dwóch godzin opóźnienia. Wynika z tego, że kobiecina może na powrót zamknąć kasę i wrócić do domowych zajęć na pobliskiej, na razie pozbawionej jagód górcze, a woźnica w czapce z królików i tureckim swetrze — puścić karą szkapę na świeżą przystacyjną trawę, a samemu zalec na pobazgranej ławce w oczekiwaniu codziennych pięciu skrzynek chleba (ryby nie będzie).

Mija jeszcze z kwadrans całkowitej ciszy i od strony szosy dolatuje ryk szaleńczo podskakującego na wybojach i kamieniach ostatniego, niewyasfaltowanego kawałka drogi automobila, który na koniec malowniczo hamuje na małym placyku przed głównym wejściem. To jakiś džipoid, a może coś na kształt mini-vana, coś japońskiego, amerykańskiego, singapurskiego, jakieś takie safari, western, action i fiction, słowem, wóz marki *Marka Zachodnia*, ale przy tym, sądząc z ryku, możliwe, że z wojskowym silnikiem od BWP. Wybiega kierowca (wielkie uszy, mocne kar-

czycho, czarna skóra — nie, nie Murzyn, to kurtka!), szybko przemyka przez poczekalnię, nogą pcha drzwi na peron, rozgląda się po całej okolicznej pustce, kopie w latarnię, jakby to był słup szubienicy, spluwa serdecznie, odczepia od pasa *komórę*, ale nim zdąży wybrać numer, niedaleko peronu dostrzega niezaprzęzoną furkę, a potem i puszczoną luzem szkapę, tak więc, dość słusznie, postanawia skoczyć znowu do poczekalni. Tam najwyraźniej ucina sobie pogawędkę z woźnicą bezceremonialnie obudzonym szturchaniem, po czym wyraźnie uspokojony, z powagą wymaszerowuje na peron, gdzie przysiadła w kucki i zapala papierosa. Albo wraca do dżipoida, mimo wszystko wybierając numer. Albo włącza w aucie muzykę (tu pytanie do naszych słuchaczy: jakiej on, kurwa, muzyki może słuchać?) i odchyła do tyłu fotel, albo przymyka oczy.

Tak mijają kolejne dwie godziny, podczas których możemy zająć się własnymi sprawami.

Teraz to już naprawdę następuje: *przybycie*, a dokładniej *przyjazd bohaterów*. Ma to miejsce dopiero przed dziesiątą: rozcięty reflektorem lokomotywy stacyjny mrok, coraz wolniejszy stukot kół, skrzyp i zgrzytanie, i ciężkie drżenie wagonów, tak to to tak. Nie będziemy obserwować, jak wyładowuje się chleb, ani jak woźnica z zapuchniętą od snu twarzą — „Najlepszego, Masza!” — ostatni raz klepie w bezkształtny pośladek wagonową z ołówkiem chemicznym i specyfikacją w rękę, *specyficzną wagonową Maszę*.

Znacznie ważniejsze, byśmy zwrócili uwagę na wyjście bohaterów z pociągu. Zapamiętamy przy tym, że jest ich ośmioro i że z jednego wagonu wyłania się cała czwórka, z drugiego — troje, a z kolejnego jeszcze jeden. Stosunek płci w pierwszym wypadku wynosi dwa do dwóch, w drugim jeden do dwóch, w trzecim jeden do zera, tym sposobem otrzymujemy cztery osoby płci silnej i tyle samo — pięknej. Wszyscy oni (a nie tylko jakaś jedna), potykając się w ciemności o szyny i podkłady, docierają w końcu do wąskiego peronu, po czym rozlega się, na przykład, świst lokomotywy i pociąg rusza dalej, a oni pozostają sami pośród gór i ciemności, na małej stacyjce, gdzieś między Galicją a Transylwanią, ale w żadnym razie nie Pensylwanią. Są trochę zagubieni i nie wszyscy się znają, ale zapewne już podejrzewają, że warto by zacząć ze sobą rozmawiać, bo wszystkich ich zwołano w tę noc w jakimś jednym, wielkim celu, raz i na całe życie, i ta noc nadejdzie, i zmieni ich życie, bo tylko tej nocy każdemu z nich przydarzy się coś — o nie, przepraszam, niespodziewanie wyrwały się ze mnie *Rekreacje*, tak więc, piszemy jeszcze raz od początku: bo wszystkich ich przywieziono w *jedno i to samo miejsce*.

Problemy w nawiązywaniu stosunków likwiduje przybycie czarnoskórego kierowcy, i całe towarzystwo, takim samym sznureczkiem, pojedynczo, w tej samej kolejności, przemieszcza się za nim przez poczekalnię na przydworcowy placyk, gdzie zaczyna beżładnie i w nerwach, głupio się przepychając i depcząc sobie po piętach, pakować się do chyba tylko przypadkiem

nieopancerzonego dżipoida, na którym w czasie naszej nieobecności pojawiła się tabliczka z napisem: Program Charytatywny BOHATEROWIE BIZNESU — BOHATEROM KULTURY, choć oni jej po ciemku nie widzą, ale dla nas ma to znaczenie, bo w końcu oni są *bohaterami*, a to jest *przybycie*.

Nareszcie usadawiają się na swoich miejscach i hipotetyczny „ford-aerostar”, z niemiłosiernym wyciem bojowego czy wręcz quasi-bojowego silnika, rusza naprzód, a dokładniej, byle dalej od stacji, nie omijając żadnego wyboju ni kamienia. Z nieznanych przyczyn — może przez niezwykle okoliczności, może przez kierowcę z wielkimi uszami, może przez jego, kurwa, muzykę — zalega długie, niezręczne milczenie, co pozwala mi zrobić pauzę i wymyślić dla nich jakiś ciekawszy sposób przemieszczania się.

Oczywiście, zgadzam się w stu procentach z poważnymi zarzutami, że przynajmniej w dwóch trzech moich dotychczasowych powieści bohaterowie zostają dokądś *przywiezieni*. Poprzednio udawało mi się już zamawiać dla nich pociąg, autobus marki Ikarus, symbolicznego i mitycznego chryslera imperiala, a także — szczyt fantazji! — infernalną i półlatającą kapsułę „mantykozy”, zaprojektowaną być może w samych podziemnych biurach Belzebuba i wypróbowaną na stojących w ogniu poligonach, pod ulewą kamieni, siarki i nieczystości.

Tak więc pozostaje mi jeszcze możliwość wykorzystania statku, który płynąłby gdzieś za ocean, ale to nie tu i nie teraz.

Bo w tej chwili kierowca tak beżładnie przeze mnie opisanego dżipoida, nie przeryczawszy nawet dziesiątka kilometrów po nocnej szosie, gdzie z lewej niebezpiecznie nawisłe, kamieniste zbocza, a z prawej w dole Rzeka, bez ostrzeżenia skręca właśnie w prawo i w dół (bohaterowie podskakują jak trupy w workach), i bez wahania przebywa wspomnianą już Rzekę w poprzek nurtu, by wyskoczyć na rozmiękłą leśną drogę, po której pędzi coraz bardziej agresywnie (a cóż mu pozostaje?), wyżej wymienioną tablicą z napisem tnąc wszelkie leśne gałęzie i chaszcze, a reflektorami przeczesując złą drogę na kilkaset metrów w przód. I mimo wszystko ta *jazda w nieznane* nie może trwać wiecznie, bo znalazłem już sposób, a dokładniej środek, i niechaj to będzie helikopter!

I oto już samochód hamuje na jakiejś księżycowej (bo księżyc zeszedł, psy się uśpiły — a więc zalanej anemicznym księżycowym blaskiem) anemonowej polanie, a tam w istocie drży w niecierpliwym oczekiwaniu nie do wytrzymania nakręcony helikopter, olbrzym wagi ciężkiej, weteran walk, mający jak najbezpośredniejsze historyczne związki z desantem, powietrznymi operacjami szturmowymi, ekspedycjami karnymi, bezpieczeństwem narodowym i takąż obroną, przewrotami państwowymi, zabijaniem jeńców wojennych i ochroną środowiska. Tak więc wojkowego wyglądu pilot w słuchawkach pomaga przy bagażach, podczas gdy kierowca przekazuje mu wedle spisu całą ósemkę i nawet nie rzucając „dobranoc”, startuje swoim „dżipem-aerostartem”, rozrzucając

na wszystkie strony salwy błocka spod rozgrzanych opon.

Dopiero wtedy unoszą się w górę, wibrującymi tyłkami przywierają do twardych żołnierskich siedzeń i myślą o takich rzeczach, jak spadochrony i spuszczyny, a także spadanie i spadkobiercy, spawy i spazmy, i o wszystkim innym na „sp”...

Helikopter też jest kiepskim miejscem do rozmów, a sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że wszyscy nieopatrznie usiedli twarzami do siebie (cztery do czterech), i teraz pozostaje im co najwyżej spoglądać w bok, w dół, albo kręcić głowami w udawanym zainteresowaniu niewyszukanym wnętrzem.

Artur Pepa, literat ze Lwowa, znalazł najmądrzejsze z dostępnych rozwiązań i wy dostał z kieszeni gazety, kupione jeszcze w pociągu od jakiegoś sprawnego inaczej: jedną ściśle regionalną („Eksces”), jedną wąskopartyjną („Wszechukrainiec”) i jedną rosyjskojęzyczną („Wszystkie barwy tęczy”). Ta ostatnia okazała się pismem dla gejów i lesbijek, więc Pepa po obejrzeniu zdjęć wzdycha i odrzuca ją precz, koncentrując się na dwóch pierwszych, z nudów przeczytanych jeszcze w pociągu. Dlatego teraz musi już nie tyle czytać, ile udawać, że czyta. Tak więc, po raz setny prześlizguje się wzrokiem po tradycyjnie krzykliwych tytułach „Ekscesu” (STRAŻ POŻARNA JAK ZAWSZE NIE ZDAŹYŁA! CENA BENZYNY PÓJDZIE W GÓRĘ, A KURS HRYWNY SPADNIE! SIEDEMNASTOLETNIA WNUCZKA ZADŹGAŁA STRZYKAWKĄ WETERANA WOJNY I PRACY!

TRAGICZNE SKUTKI SAMOGONU NICZEGO NIE NAUCZYŁY! PRZYBYSZE ZABRALI W KOSMOS NIE TYLKO RODZINĘ BARANIUKÓW!), odnotowuje w myślach, że wszystko to składa się na niezły wiersz, przegląda stronę „Kultura” z niepojętym wywiadem jakiegoś laureata nagrody im. Tarasa Szewczenki: ZAWSZE MÓWIŁEM NARODOWI TYLKO PRAWDĘ, i w końcu wraca do półstronicowej reklamy, która wydaje mu się naprawdę zabawna:

Co jogurt, to jogurt:

to Joga jogurt!

Firma „Jog” — karpacki guru jogurtu

Potem bierze się za „Wszechukraińca”, przez jakiś czas wpatruje się w nie do końca zrozumiałe motto: „Siła Narodu — w Jego Przyszłości!”, obojętnie przebiega wzrokiem po największych tytułach — NARODOWOWYZWOLEŃCZA REWOLUCJA PRZECIWKO ZBRODNICZEMU REŻIMOWI JEST NIEUNIKNIONA! oraz WETERANI UPA ZIEMI CZORTOPOLSKIEJ POPIERAJĄ OBECNEGO PREZYDENTA — i zagłębia się w nieśpieszne doczytywanie na przedostatniej stronie artykułu CO POWINNA WIEDZIEĆ KAŻDA UKRAINKA, BY NIE ZAJŚĆ W NIEPOŻĄDANĄ CIĄŻĘ — akurat od słów: „Stosunek podczas miesiączki w żadnym razie nie daje stuprocentowej gwarancji...”, i tak dalej.

Po jego prawej stronie siedzi Kola, dziewczyna teraz już osiemnastoletnia, w spódniczce tak krótkiej, że chciałoby się spytać, jakich jej właścicielka używa

podpasek. Pełne imię Koli (choć ona go nienawidzi) brzmi: Kołomeja. Wszyscy biorą ją za córkę Artura Pepy, ale w rzeczywistości jest jego pasierbicą. Zdążyła już rzucić parę zalotnych spojrzeń jakiemuś rudemu i zarośniętemu goblinowi z naprzeciwka, kilkakrotnie, jak w filmach, koniuszkiem języka erotycznie oblizać wargi i tak samo kilka razy założyć nogę na nogę. Goblin okazał się nie tylko rudy i zarośnięty, ale też wstydlivy jak panienka, więc to opuszczał wzrok, to go podnosił, aż wreszcie schował się w jakiejś książce z obrazkami, w wyniku czego Kola zobojętniała i teraz ziewa.

Po jej prawej stronie siedzi pani Roma Woronycz, jej mama, interesująca kobieta w wieku, który bywa nazywany *lepszą stroną czterdziestki*. Pani Roma, żona Artura Pepy, nie najlepiej się czuje — nigdy nie lubiła latać, nawet gdy Aerofłot przeżywał swój rozkwit, a dziewczęta podobne do stewardesy-antyterrorystki, Nadieždy Kurczenko, nieprzerwanie rozdawały spokorniałym pasażerom miętowe cukierki i wodę mineralną. W tamtych czasach była nawet młodsza niż Kola teraz (i cóż, Kola jest już przecież dorosłą dziewczyną!) i latała z rodzicami do Kijowa, Symferopola i Leningradu. Dlaczego teraz jej się to przypomina, sama nie wie, może dał o sobie znać uraz psychiczny, spowodowany rozbiciem kolana na trapie któregoś z tych samolotów. Pani Roma czasem pracuje jako tłumacz na rozmaitych postfreudowskich konferencjach w stowarzyszeniu Klub Dunajski, i stąd co nieco wie o takich sprawach. Ale teraz ją mdli.

Zamyka ten rząd obywatel Republiki Austrii Karl-Joseph Zumbrunnen, z wyglądu trochę od Artura Pepy młodszy, choć według danych w paszporcie jest na odwrót. Karl-Joseph chyba jako jedyny w tym towarzystwie cieszy się z sytuacji, która praktycznie uniemożliwia normalną rozmowę. Strasznie słabo rozumie ukraiński, trochę lepiej jest z jego rosyjskim, ale mówić nie potrafi w zasadzie w żadnym z tych języków. Dlatego w nieznanym albo słabo znanym otoczeniu woli milczeć. Włada inną mową, dokładniej: innym organem mowy — swoim aparatem fotograficznym, który nawet tu trzyma blisko siebie i czule piastuje na kolanach. Do tego strasznie zaparowują mu szkła i prawie nie widzi osób, które siedzą naprzeciwko.

A naprzeciw siedzą dwie identyczne *panny* czy może *diewuszki*, albo krótko mówiąc, *laski*. Tak, powiedziałem *identyczne*, chociaż jedna z nich to farbowana brunetka, a druga — także farbowana blondynka. Nie, to w żadnym razie nie jest identyczność taka jak u bliźniąt, w istocie są one różne, a mimo to jednakowe. Jest to ten rodzaj identyczności, jak ta, która uniemożliwia odróżnienie od siebie wszystkich na świecie gwiazd pop, dziwek, modelek, uczennic starszych klas, dziewczyn z zawodówek, słowem, wszystkich *nam współczesnych*, bo ową identyczność stworzyła dla nich wszystkich telewizja, okładki pism i *nasz radziecki styl życia*. Nazywają się Lila i Marlana (proszę nie myśleć, że Lilla i Weneda), choć tak naprawdę to Swietka i Marina. W tej chwili (ale czy tylko w tej chwili?) obie tak samo o niczym nie myślą —

z tą wszakże różnicą, że we wnętrzu Lili panuje zupełna cisza, przytłoczona z zewnątrz wyciem silnika, a Marlenie wciąż krąży gdzieś po głowie *widziałam orła cień, orła cień, orła cień...*

Po ich lewej znajduje się wspomniany już rudy zarosnięty facet o nieukrywanie artystycznej powierzchowności (gruby sweter, który wcześniej należał do znanej awangardowej aktorki niemieckiego teatru młodzieżowego, koszula noszona przez kurdyjskiego wojownika o państwowość dla jego narodu, a równocześnie studenta Uniwersytetu Lwowskiego, absurdalne spodnie, chyba prosto z paczek, kolczyk w uchu, dalej wiadomo), a więc jest to coraz popularniejszy (ale gdzie i wśród kogo?) clipmaker i teledesigner, który na imię ma albo Jarema, albo Jaromir (za tym nie trafisz, bo zawsze przedstawia się jako Jarko), a na nazwisko Mahik, co całej *branży* daje podstawy, by wołać na niego Magiker, podczas gdy *reszcie świata* — podejrzewać, że tak naprawdę nazywa się Magikow, i uważnie przyglądać się kształtowi jego nosa oraz nieco wyłupiastych oczu. Jarko zdecydowanie i jak się wydaje, z lekceważeniem odwrócił je od głupio otwartych zagrywek chudej jak kaloryfer *szparki* z naprzeciwka i naśladując znanego z gazetowych fotografii *lyterata*, jej sąsiada (*jak mu tam? Biba, Buba?*), zagłębił się w kolorową broszurę Świadków Jehowy „Uczyń Samego Siebie Godnym Zbawienia”, kupioną w tym samym pociągu od tego samego pouszkanego gościa. A w ogóle będzie kręcić klip. To będzie klip z Lilą i Marleną.

I wreszcie jeszcze jeden obiekt — dość przysadzisty i bardzo okrągłutki dobrodziej, właśnie tak, *dobrodziej*, jeden z tych, którzy wydają się stworzeni dla tego słowa. Wyraźnie akademicka tusza i szlachetne krągłości sylwetki wskazują na przynależność do wykładowczo-profesorskiego rodzaju ludzkiego, ale nie w sprofanowanym przez tzw. *szkolnictwo* wyższe wariancie ograniczonego karierowicza i piły, nadzorcy studentów i — bądźmy szczerzy — beznadziejnego łapówkarza, ale klasycznego — styl wiedeńsko-warszawski — profesora w trzecim pokoleniu, znawcy martwych języków i przedwojennych anegdot, związanego najpewniej z jakąś katolicką uczelnią albo tajnym towarzystwem naukowym. To profesor Doktor (bywają w Galicji i takie nazwiska!), badacz *alchemii słowa*, antonyczoznawca, choć jak sam twierdzi, jest raczej *antonycziańcem*. Z życzliwym i przyjaznym uśmiechem na wąskich, starczych ustach od czasu do czasu wpatruje się w kogoś z obecnych, jakby wyszukiwał wśród nich najlepszego słuchacza (słuchaczki?) dla mającego już wypłynąć z jego ust błyskotliwego wykładu wstępnego z lirycznymi intermezzami i zmienną intonacją: „Bohdan Ihor Antonycz (1909–1937), poeta, krytyk i eseista, obiecujący prozaik, jest bez wątpienia jedną z czołowych postaci literatury ukraińskiej xx wieku. Pojawienie się Antonycza na początku lat trzydziestych w samym centrum ukraińskiego życia literackiego było tyleż pożądane, ile zaskakujące. Dziwne i zawsze nieprzewidziane spłoty osobistych losów, okoliczności histo-

rycznych i związanych z nimi aberracji społecznego postrzegania sprawiły, że Antonicza można uznać za poetę długo wymazywanego z naszej pamięci. Równocześnie za życia jego sytuacja była raczej korzystna. W 1928 roku wszechstronnie uzdolniony młodzieniec, wychowanek dalekich łemkowskich wsi, gdzie spędził dzieciństwo w rodzinie duchownego, przenosi się do Lwowa — niezaprzeczalnie społecznej i duchowej stolicy Galicji — i wstępuje na uniwersytet. Niemal od razu zwraca uwagę wykładowców i kolegów, demonstrując nieprzeciętne zdolności i wielką pracowitość. Już w latach studenckich debiutuje w czasopismach jako literat, nie koniec na tym — mając dwadzieścia dwa lata wydaje własny, oryginalny tomik poezji *Przywitanie życia* (1931). Po ukończeniu studiów (1933, wydział filozofii, instytut filologii słowiańskiej) otrzymuje od razu kilka propozycji związanych z sukcesami w nauce, w szczególności odbycia na koszt państwa stażu w stolicy Bułgarii. Jednakże Antonicz wybiera drogę wolnego twórcy. Wolnego — we wszystkich aspektach tego złożonego pojęcia. Bo gdy tylko zaczynamy wspominać Bohdana Ihora Antonicza, w nieunikniony sposób odczuwamy władcze i zadziwiające nadciąganie tajemnicy, zagadki, misterium. Przed ukończeniem dwudziestego ósmego roku życia poeta odszedł do *lepszego świata*, pozostawiając nam wiele pytań albo — tak chyba dokładniej — wrażenie nasyczonej niemal podzwrotnikowymi oparami przestrzeni dla przypuszczeń i domysłów. Ukraińskie literaturoznawstwo stosunkowo mało uwagi poświę-

ciło zagadnieniu Antonycza i inności czy powiedzmy, Antonycza jako *innego*, koncentrując wysiłki na kwestiach zupełnie przeciwnych. Dalej postaram się odsłonić ową inność przynajmniej częściowo, ograniczając ją do pojęcia *egzotyki*, i udowodnić obecność w tej *egzotyce* samego Antonycza”.

Ale dalsze odsłanianie inności Antonycza profesorowi się nie udaje, bo niespodziewana podróż powietrzna się kończy — ile to trwało, kwadrans? — a więc helikopter ląduje, wysokość tysiąc osiemset siedemdziesiąt sześć, przejście piętra subalpejskiego w alpejskie, alpejskiego w tybetańskie, a tybetańskiego w himalajskie, i dlatego — jałowiec i kosodrzewina, i nadgryzione przez wiatr kamienie, bo wiatr wieje tu zawsze i zewsząd, i księżyc znów chowa się za poszarpaną lecącą chmurę, a potem wyskakuje zza niej, by znowu schować się za następną, i szkoda, że państwo tego nie widzą: zapadając się w poszarzały, twardy w dotyku śnieg, wszyscy pojedynczo pełzną połoniną do góry, łykając wiatr razem z mieniącym się księżycowym blaskiem, prowadzeni przez pilota o wyglądzie oficera na spotkanie elektrycznych błysków i ujadania psów.

Bul-bul-bul-terier! Każdy chyba zna ten rytm i bulgot? Ale, ale, czy w ogóle ktoś słyszał, jak szczekają bulteriery? Rottweilery — tak, czasem nawet pitbule. Ale nie jestem pewien, czy bulteriery w ogóle szczekają. Bulgot z głębi gardzieli — tak, bez wątplenia, ale szczekanie? I w ogóle, po co mi bulteriery, po co te aluzje, te stereotypy? Żadnych psów tam nie było,

z karpackimi pasterskimi włącznie. A więc i ujadania żadnego też nie.

Ale były elektryczne błyski i sygnały świetlne — hej! Był wysokogórski pensjonat, dokąd wreszcie wtarał się cała ósemka tzw. bohaterów. Teraz niezdecydowanie czekają na zalanej ciepłym światłem werandzie. A jeśli to nie weranda? Może salon albo na przykład sala kominkowa z jelenimi rogami i głowami dzików na ścianach? I jak mógłbym zapomnieć o niewiarygodnie wielkiej, na całą niemal podłogę, niedźwiedziej skórze?

I jak miałbym wreszcie ukazać dziewiątego z nich, Warcabycza? Może pod postacią ogromnej wizytówki, karty-bilbordu, na której już z odległości stu metrów można przeczytać:

Pan VARTSABYCH, Ylko, Jr., Owner

a na odwrocie:

Warcabycz Ilko Ilkowicz, Właściciel?

I niech na tej karcie
ożyje do bólu znajome
i waluta, i ropa,
i blizna, i — do rymu — ojczyzna?

I wtedy wszystko będzie jak należy, całe imperium ze wszystkimi elementami i czynnikami: sieć stacji benzynowych, sieć pensjonatów i *bacówek*, sieć kanto-

rów „Redyk”, firma „Jog” z jej ekologiczno-jogicznymi jogurtami, zakłady spirytusowe „Moonshine” z ich balsamami wiecznej młodości, ekstraktami wiecznej radości i płynami do płukania ust, dwie czy trzy fermy futer, tymczasowo żywych, po tuzinie bazarów z artykułami przemysłowymi i spożywczymi, wszystkie kryte, także *od góry*, jeszcze jedna ferma, ale strusia, dalej już drobiazgi — jakieś juhasówki, budy z szaszłykami i pierogami, bilardy, toalety publiczne, kioski z zeszłorocznym transylwańskim piwem i snikersami, a także sponsorowanie konkursów piękności i nocnych klubów zainteresowań, handel detaliczny w pociągach podmiejskich, rozbój na drogach, sieć żebraków w stolicach trzech okręgów, dawne fabryki: mebli i ozokerytu, dziś opakowań, trzy i pół kilometra ślepego odgałęzienia toru kolejowego, trochę gazociągu, podziemne zbiorniki gazu, silosy rakietowe, grzybne i jagodowe działki leśne, kamienie rzeczne, złomowisko samochodów...

(Ale to wszystko tylko tak, dla ludzkich oczu, bo w rzeczywistości trzeba pamiętać o wolnej strefie ekonomicznej i grze bez zasad, a więc o niekończących się karawanach jakichś nigdzie nie zarejestrowanych TIR-ów, a także o nocnych transportach drewna i cementu, o nieustającym stukocie zaplombowanych wagonów, o metafizycznych gwizdach lokomotywy na przygranicznych stacyjkach towarowych, o czerwonych i zielonych serafinich oczach semaforów, o wiecznym niepokoju i ruchu w jednym kierunku — na południowy zachód, do Transylwanii, bo choć znaj-

dujemy się w *centrum Europy*, wszystko u nas kończy się wyłącznie na Transylwanii, zewsząd przyświeca nam właśnie ona, Transylwania, no może czasem jeszcze *zgniła Warszawa*, ale przeważnie Transylwania i kropka, lecz on, Warcabycz Ilko, Właściciel, dawno już zdołał pokonać skutki tej geograficznej sytuacji bez wyjścia i dosięgnąć finansowo innych, bardziej bajkowych terytoriów — i Keksholmu, i Helgolandu, i Strasznych Wyp Salomona. Choć ja osobiście nie wierzę w tych nielegalnych uchodźców z Bangladeszu, których dziesięciu czy dwudziestu udusiło się pod świeżo położoną podłogą samochodu-chłodni, to już złe języki gadały).

No tak, ani słowa więcej.

(Choć można jeszcze wspomnieć o zupełnie innym, egzotycznym i ezoterycznym, biznesie: o kwitnieniu paproci, zbieraniu odkruchów meteorytów, odławianiu zjaw i obmywaniu z krwi starożytnych kosztowności. Istnieją wszakże dwie równoprawne wersje historii błyskawicznej drogi Ilka na finansowe i majątkowe szczyty. Według jednej z nich Warcabycz, jeszcze zwykły *śmieć*, w porę wykorzystał inflację i stworzył płątną dyskotekę w Czortopolu, włożywszy pierwszych pięćdziesiąt srebrników w jazgoczące pakistańskie stereo. Według innej, jako jedyny według drzewa genealogicznego bezpośredni potomek wpływowego zbójnickiego rodu, dostał się wtajemniczenia w sekrety największego w Karpatach Wschodnich skarbu, z którego korzysta teraz pełnymi garściami, nie odmawiając niczego ani sobie, ani swojemu krajowi).

Jakże więc mam go ukazać, gdy to wszystko już opowiedziałem, w jaki sposób powinien on wreszcie wyjść do swych gości — ten *żłób, burak, bulterier, bysio, kark, skóra, fura i komóra*? Z tymi grubymi, krótkimi palcami, z łysą pałą, mięsistym karczychem i tłustym dupskiem? I co, niech papla rozmaite głupoty w rodzaju powitania, niech plecie mennipejskie dyrdymały albo jeszcze lepiej: niech czyta wszystko z kartki, zabawnie potykając się na literach i głoskach — o bohaterach biznesu, bohaterach kultury, *bębnach Stradivariusa*, chuju-muju, niech przejdzie ze wszystkimi na ty, niech familiarnie nazwie wszystkich *facetów* (z przedwojennym profesorem Doktorem włącznie) *kolesiami*, a wszystkich *lasek* w ogóle nie nazwie, *no jak w pysk dał*? To nie mój bohater.

A może niech uda bananową młodzież, wiecznego komsomolca i działacza, z tyłu liceum, z przodu muzeum, ulizany przedziałek i krawat na bakier, niech olśni wszystkich swoim prowincjonalnym blaskiem, niech zaśmieci eter nieżnośnymi dla normalnego ludzkiego ucha sformułowaniami, w rodzaju *szanowni działacze kultury, drodzy przyjaciele, w tym trudnym dla naszej młodej państwowości okresie gospodarczym... my, krajowi przedsiębiorcy i producenci... ogrzejemy was ciepłem naszej troski... karpackiej gościnności... syberyjskiej długowieczności... twórczej pasji... zaczerpnijcie ze źródeł... rośnij duży, okrągłutki... chuju-muju... łazienka i wc... śniadania i obiady... sto lat sto lat i szacuneczek...*

Ale to także nie on, przepraszam.

Warto by w istocie znaleźć *inny* punkt wyjścia — i niech bohater okaże się jakimś bladym do przezroczy-
stości nastolatkiem, zakompleksionym okularnikiem,
prymusem i cudownym dzieckiem, złym komputero-
wym geniuszem, hakerem-wirtuozem, astmatykiem
na wózku inwalidzkim, opryskanym zieloną śliną ma-
niakalnym wynalazcą albo złośliwym cyrkowym kar-
łem z brodą do kolan! Albo niech będzie kobietą,
dama, lafiryndą, wiedźmą, kurwą-staruchą z haczy-
kowatym nosem, zdolną do przemiany w czarownicę
i powabną panienkę, i dalej w wilczycę, wronę, marę,
karę?

Wariantów jest bez liku, ale nic się takiego nie sta-
nie, bo Warcabycz Ilko, właściciel i sponsor, nie wyj-
dzie, nie pojawi się, nie uszczęśliwi, a wtedy, po tak
samo skonfundowanym dreptaniu po werandzie
czy może salonie albo wręcz sali kominkowej, cała
ósemka wreszcie rozpełźnie się po przeznaczonych
dla nich piętrach i pokojach, odkładając do jutra pro-
cedurę zapoznawania się i zbliżania oraz wszelkie wy-
prawy topograficzne.

Budynek, do którego wszyscy oni trafili tej nocy, od niedawna nosił nazwę „Karczma „Na Księżycu” — właśnie tak, z asymetrycznym cudzysłowem pośrodku, się to pisało. Oczywiście, nie mogło się tu obejść bez prahistorii, a nawet całych trzech prahistorii, z których każda wymaga szczególnej uwagi.

Wszystko zaczyna się od beznadziejnie spazmatycznego ataku szarej, zawszonej piechoty, której rozkazano za wszelką cenę zepchnąć przeciwnika z grzbietu i przejąć kontrolę nad mającą strategiczne znaczenie połoniną Dzyndzuł. To chyba 1915 rok i każda opracowana na górze operacja bojowa ma wyraźny posmak awanturyzmu i nieporadności. Dlatego właśnie wszyscy żołnierze giną, podchodząc pod pozycje wroga, metodycznie ostrzeliwani z góry szrapnelami, a ich ciała bezsensownie staczają się po zboczach połoniny. Właśnie tam, w lepkiej od krwi trawie, leży, zapadając się już w mroczne korytarze ostatniego snu, jeden z nich — szarooki student-ochotnik. Jego ostatnią ateistyczną wizją w coraz bardziej szklanych oczach jest, oprócz poszarpanego na strzępy nieba, postać Anioła

Cyklonów — tego, który spędza razem i znowu rozgania chmury nad tym przeklętym miejscem. Szarooki piechur zapada się co prawda w pustkę i nie widzi już, jak utkana z eteru postać w końcu się nad nim pochyla.

Mija zaledwie dziesięć lat i wszystko się niemal powtarza: leżąc na wznak w tej samej, pełnej starych łusek trawie, młoda nadzieja warszawskiej szkoły meteorologicznej patrzy, tak samo jak wtedy, w poszarpane niebiosy, aż wreszcie ta sama anielska dłoń przesłoni tak samo szare oczy. We śnie ujrzy swój cel.

Nigdy nie przychodźcie do miejsca, w którym niegdyś umieraliście.

Następne lata mijają pod znakiem walki o urzędy i wzięcie snu. Niekończące się posiedzenia rad naukowych, płomienne referaty i raporty, jeżdżenie z konferencji na konferencję, przemówienia przed członkami akademii, męczące rewizje budżetu, zbieranie podpisów pod listami polecającymi ze Sztokholmu, Paryża oraz Londynu, i na koniec — prywatna audiencja u niezwykle wysokiego rangą męża stanu. Wszystko to w jakiś sposób przyczyniło się do wydania pozytywnej decyzji; stąd też pewnej wiosny budowa naprawdę się rozpoczęła, drewno, kamienie i metal zwożono do podnóża góry specjalnie przeciągniętym od linii kolejowej odgałęzieniem, jednak na końcowym etapie, gdzie zbocze stawało się zbyt strome, pozostawały już tylko hucyły, niesamowita siła pociągowa, niezrozumiale wytrzymałe i niewymagające koniki, dzięki którym wszystko, co

potrzebne — i niepotrzebne też — dostarczano na sam grzbiet. Bez wątpienia ratunkiem dla budżetu była śmiesznie tania siła robocza: tutejsi mężczyźni sprzedawali się wówczas tak samo nierozsądnie i łatwo, jak ich potomkowie za lat siedemdziesiąt będą się sprzedawać na rynkach Europy Wschodniej. Tak więc, za cenę nieustannie trzaskających biczy, do granic nabrzmiątych żył i kilku przypadkowych śmierci, spowodowanych urazami i wódką, a także niezliczonych machinacji budowlanych i kilku ryzykownych kompromisów, wszystko się nareszcie urzeczywistniło: sale i pokoje, gabinety, półokrągła wieża z punktami obserwacyjnymi, laboratoria, radiowęzeł, własna elektrownia i system ogrzewania z ciepłą wodą w łazienkach, pralniach i prysznicach, a dalej już zupełne *marzenie*: biblioteka, sala taneczna z gramofonami i szafami grającymi, sala bilardowa, ogród zimowy z filodendronami, klub filmowy i skromna galeria obrazów z niezłymi kopiami późnoromantycznych pejzaży alpejskich. Wszystko to razem nosiło nazwę stacji meteorologicznej — i tu właśnie przyjechał na początku pewnego lata ten sam szarooki entuzjasta, a w ślad za nim również cała zgrana załoga obserwatorów cyklonów. Nie obeszło się bez żon, dzieci i kilku służących. Życie na górze musiało wydawać się normalne i niczym nie różnić od warszawskiego, krakowskiego, a nawet lwowskiego.

Jednak życie na górze okazało się przede wszystkim wietrzne i niejeden z nich podczas przechadzki po dawnej wojskowej drodze stracił kapelusz, uniesiony

w zagraniczne transylwańskie przepaście. Ciekawe, że tylko ich młodemu kierownikowi udawało się od czasu do czasu znajdować tamte łuski, zardzewiałe hełmy i przestrzelone, na wpół zetłałe kaszkiety — jak mawiają, znał miejsca. Jego żona z kolei była mistrzynią w zbieraniu kwiatów i ziół leczniczych, więc wszystko to z czasem gromadziło się w licznych zielnikach. Można by tu jeszcze dodać coniedzielną idyllę z dwójką hałaśliwych dzieci i służącą, która ledwie za wszystkimi nadążała, niosąc specjalny piknikowy kosz z mlekiem i biszkoptami, ale nie jestem pewien, czy już mieli dzieci. Natomiast wiem na pewno co innego: musiały im towarzyszyć ptasie krzyki, zawsze znoszone, podobnie jak kapelusze, damskie chustki i szale, w tę samą stronę — do Transylwanii.

Zresztą, czy były to tylko ptasie krzyki?

Tak samo jestem pewien, że tego pierwszego lata młody człowiek był całkowicie szczęśliwy — żyć na jednym ze szczytów świata, patrzeć, jak ogromna w rzeczywistości bywa ta górską kraina, obserwować niebo i ruchy mgieł, prowadzić szczegółowe notatki i rachunki, słuchać, jak przetaczają się gromy, jak masy chmur puchną od gradu, przewidywać, jak w ciągu jednego i tego samego sierpniowego dnia pogoda zmieni się ośmiokrotnie, i wszystkie cztery pory roku nadejdą w nieco pomieszanej kolejności: lato, zima, jesień, wiosna. Było to równocześnie i wypełnianie obowiązków, i realizacja zamysłów, i urzeczywistnienie snu. Czy nie za wiele jak na jednego piechura?

Tymczasem już w początkach następnej wiosny konieczne stało się wykonanie pewnych niezawartych w kosztorysach prac. Wszakże realizacja tak drogich marzeń sennych nie mogła nastąpić bez znaczącego wsparcia któregoś z najpotężniejszych światowych partnerów, o czym właśnie była zresztą mowa niemal otwartym tekstem podczas owego poufnego spotkania szarookiego idealisty z pewnym wysokim dostojnikiem. Niedługo po niej miejsce odwiedził wyposażony we wszelkie pełnomocnictwa *przedstawiciel rządu Zjednoczonego Królestwa* (dalej PRUK) w towarzystwie kilku nieźle jak na kwiecień opalonych ekspertów. W tydzień później, po kolacji w pewnej ukrytej przed niepowołanym wzrokiem czortopolskiej willi, lśniący PRUK kolejny raz zanurzył koniuszek cygara w kieliszku z koniakiem i uroniwszy ostatnią pauzę na wonne pyknięcia dymu, rzekł do zamarłych i drżących warszawskich strategów coś w rodzaju *Well, you have convinced me, gentlemen*, po czym podpisał wszystkie stosowne protokoły.

Tym sposobem już z początkiem lata naiwne towarzystwo synoptyków zostało w swej wysokogórskiej rezydencji odsunięte na bok, może nie brutalnie, ale dość władczo. Pomieszczeń zrobiło się dwukrotnie mniej, a mieszkańców dwukrotnie więcej, a ci nowi przynieśli ze sobą nie tylko nowocześniejszą aparaturę radiową, przyrządy treningowe, niezliczone sejfy, zamki, makiety szkoleniowe, amunicję i inne książki (głównie podręczniki kryptografii i języka rosyjskiego, który całkowicie szczerze uważali za język

miejscowych *Ruthenians*) — przynieśli ze sobą także coś innego, co można by określić jako *atmosferę*. Był to przede wszystkim niepokój, duszące konspiracyjne porządki, które z łatwością przechodziły w nerwowy dryl. Całą załogę łącznie z czeladzią niezwłocznie zmuszono do podpisania pewnych obowiązkowych oświadczeń. Potem nastąpił dość ostry podział terytorium, w wyniku którego stacja meteorologiczna straciła kilka podstawowych centrów operacyjnych, w tym wieżę. Przybysze na porannych przebieżkach skandowali jakieś niezrozumiałe, wojownicze hasła, a połowę sali tanecznej zabrali na salę gimnastyczną. Stawało się jasne jak słońce, że świat zmierza ku czemuś bardzo niedobremu i że w każdej chwili mogą się w nim rozpocząć wszelkie okropności.

Zrozumienie, jak bardzo i nieubłagane wszystko rozsypało się w diabły, nie od razu ogarnęło geniusza meteorologii. Do pewnego momentu starał się on siłą opanować rozczarowanie i znaleźć jakiś optymalny modus vivendi w obliczu tego nieuniknionego zła. Niekiedy nawet sprawiało mu przyjemność wypicie w wolnej chwili butelki czy dwóch z naczelnikiem nowych współmieszkańców i poćwiczenie angielskiego (jako dawny habsburski poddany, ze wszystkich trzech języków zachodnich najgorzej znał właśnie ten). Albo powiedzmy, zagranie z nim w szachy — siły graczy były mniej więcej wyrównane. Oprócz tego, jak mu się zdawało, cyklony i wiatry pozostały niezmienione, gwiazdy tak samo przedzierały się zza chmur na ruchomym nocnym niebie, a tu-

tejsze zgęszczone powietrze tak samo niosło ptasie krzyki.

Ale pewnego dnia doznał wprost szoku, gdy oburzony kolejnym naruszeniem meteosuwerenności, wspomniawszy prawo pierwszego właściciela, a dokładniej, popychany przez podejrzenia, wdarł się na zakazane terytorium, gdzie w jednym z pomieszczeń zastał ich oboje — swoją żonę i szefa szpiegów — *w splocie ciał* (tak więc nasz film z popularnonaukowego przemienia się w melodramat). Kilka dni (a przede wszystkim nocy) później ona jednak porzuciła to miejsce na zawsze (czterech Hucułów niosło za nią manatki w dół po zboczu połoniny, potem biały, przezroczysty szal po raz ostatni mignął zza pierwszych drzew pralasu, niczym górna część flagi spuszczonej do połowy masztu). Ostatecznie nie udało mu się wyzwać jej kochanka na pojedynek. Ale upił się do nieprzytomności i tego wieczoru, i następnego.

Pomiędzy tymi wieczorami a wieczorem ostatniego zstąpienia Anioła Cyklonów na połoninę Dzyndzuł młody meteorolog jakoś przetrwał jeszcze z rok. Wszystko naprawdę szło w diabły, wódka nie dawała, tylko odbierała, Hitler objął swym panowaniem Czechów, a każde nowe rozporządzenie warszawskiego kierownictwa śmierdziało paniką i oszukaństwem; do tego wszystko wskazywało na to, że od którejś ze swoich szczerbatych kochanek złapał syfilis. Tym razem Anioł Cyklonów nie miał żadnych szans, choć po trzynastu latach wszystko wyglądało prawie tak samo: ta sama połonina Dzyndzuł, ta sama trawa, ten sam

szklany wzrok utkwiony w niebo, tyle że tym razem mężczyzna okazał się o wiele prawdziwszym *ochotnikiem* i strzelił do siebie ze znajomością rzeczy i całkiem bez przymusu. Pozostaje sądzić, że po jego *odwołaniu* sprawy stacji meteo potoczyły się jeszcze gorzej — załoga rozleciała się po świecie, wyczerpana całkowitą swoją zbędnością, a może po prostu niecichnącym wyciem wichrów i ptasimi krzykami. O dziwo, równocześnie z tymi wydarzeniami rozpoczęło się zwijanie również sąsiedniej instytucji — mogłoby się zdawać, że miejsce to interesowało ich dopóty, dopóki prowadzono tu prace nad żywiołami.

Ostatnie sejfy z tajnymi archiwami i spisami agentów wywieziono w stronę Transylwanii dopiero na kilka dni przed siedemnastym września trzydziestego dziewiątego roku. Później był tylko ogromny, wszechogarniający pożar — płonęły meble, podłogi, topiły się ściany, a wraz z nimi patefony, radioodbiorniki, niezliczone zielniki i podręczniki rosyjskiego, choć właśnie teraz mogłyby się wreszcie do czegoś przydać.

I tak kończy się pierwsza prahistoria.

By mogła zacząć się druga, wypalone ruiny stacji meteorologicznej muszą stać nietknięte prawie trzydzieści lat. Choć „nietknięte” to za dużo powiedziane — tak czy owak czasem korzystali z nich jeśli nie przypadkowi wędrowcy, chowający się przed śniegiem i gradem pod resztkami sklepień, to okoliczni mieszkańcy, którzy wykorzystali dla własnych potrzeb rozmaite fragmenty i segmenty minionej całości. Co

się oprócz tego działało? Ktoś rozpalał jakieś ogniska z ocalałych mebli, inni kochali się na żeberkach okopconych kaloryferów, ktoś umierał ze strachu, nasłuchując wilczego wycia i rzecz jasna, ptasich krzyków.

W każdym razie, gdy gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to miejsce odwiedziła specjalna *komisja z rejonu*, panowała w nim kompletna pustka, a wśród zapachów przeważały miazmaty.

Wspomniana komisja wspięła się na sam grzbiet zupełnie nie tak sobie: był to czas *aktywizacji pracy z młodzieżą, a zwłaszcza z dziećmi*; władza ludowa po raz kolejny zwróciła szczególną uwagę na problemy czasu wolnego *dzieci mas pracujących*; wychowanie fizyczne i sport zyskiwały ogromne znaczenie; ruch olimpijski ogarniał terytorium całego kraju, wszędzie więc odbywały się pracochłonne i mozolne poszukiwania młodych talentów dla rezerw olimpijskich. *Nasze* osiągnięcia sportowe zwiastowały także ogólne zwycięstwo *naszych* idei. Oczywiście, w sportach zimowych także to *my* byliśmy niedoścignieni. Wszakże w kilku dyscyplinach *istniały pewne braki*, a ich likwidacji poświęcono niejedno rozszerzone plenum i naradę selekcyjną. Najgorzej sprawy wyglądały ze skoczkami narciarskimi, których dziennikarska inwencja nazwała *latającymi narciarzami*. Tak więc, *wychodząc naprzeciw*, itede, komisja z rejonu zgodziła się, że internat przygotowujący młodych sportowców-narciarzy ma zielone światło. Jako rozsadnik *naszych* nieustannych zwycięstw. (Jakieś podstawy dla

tak skrzydlatych nadziei rzeczywiście istniały: tutejsze huculskie dzieci tradycyjnie od wczesnego dzieciństwa świetnie się czuły na nartach i niekiedy zarabiały swoimi sztuczkami, pokazywanymi gapiom z równin, na browarek i paliwo).

I choć w owym czasie na gospodarstwie nie było już ani jednego pokornego hucuła, a odgałęzienie torów zostało w dwóch trzecich rozebrane w pierwszych latach po wojnie, to mimo wszystko pewnej wiosny na połoninie Dzyndzuł znów się zaczęło.

Ten obraz wygląda nieco inaczej niż poprzedni: po raz pierwszy odnotowujemy pojawienie się jakichś monstrów na gąsienicach, ryk silników pierwszy raz konkuruje z rykiem wiatrów nad grzbietem, jednak główną siłą napędową budowy również i tym razem stanowi wódka, co prawda wspomagana gardłowymi przekleństwami nadzorców, przez te same wiatry, jak wszystko inne w tej krainie, niesionymi nad Transylwanię.

Z początkiem nowego sezonu sportów zimowych internat z niedokończoną skocznią poniżej został uroczyście otwarty. Kilkadziesięcioro najbardziej utalentowanych dzieci zajęło miejsca w klasach i sypialniach, korzystając też z wygód systemu ogrzewania, pryszniców i kanalizacji, nie bez wysiłku reanimowanych na fundamentach meteorologicznej przeszłości.

Jednakże *kierownictwo rejonowe* dopuściło się przy tym błędu, wprost fatalnego w skutkach dla całego projektu. Zresztą, dlaczego błędu? Po prostu nie było innego wyjścia — nikt z *miejscowych* nie uległ ani na-

mowom, ani pogrożkom, a niektórzy nawet otwarcie mówili o złym miejscu. Tak więc dyrektorem internatu zgodził się wreszcie zostać pewien Malafej — obsypany piegami i pryszczami, cokolwiek wyleniały typ koło trzydziestki, absolwent technikum wychowania fizycznego, rodem gdzieś z równiejszej wśród równych bratniej republiki, skoczek-nieudacznik, który swego czasu zajął jakieś siedemdziesiąte dwięte miejsce na obwodowej spartakiadzie i od tamtej pory wiązał koniec z końcem z lichych zarobków nauczyciela WF w podstawówkach, pędził życie samotnicze, niechlujne i w zasadzie ciche, choć od czasu do czasu *po pierwszym* straszliwie się upijał. „A mnie tam wsio ryba”, powiedział Malafej, biorąc pod swe rządy internat daleko w górach. „Dobrze, że przynajmniej w pobliżu się żaden Moskał nie załęganie”, pomyślał na to kierownik wydziału, z obrzydzeniem ściskając spoconą dłoń Malafeja.

Wszelako, po oddaleniu się na bezpieczną odległość (a przede wszystkim wysokość) od wkurwiającego losu wuefiarza, ponadto po poznaniu ogromu i faktycznej bezgraniczności swojej władzy, przynajmniej nad nastolatkami, nowo mianowany dyrektor internatu w szokującym tempie przeskoczył w następne wcielenie. Po miesiącu czy dwóch sytego wygrzewania się na nowym miejscu i rządzenia kieszonkowym podniebnym państwkiem raz na zawsze wywietrzała zeń dawna zagubiona nieśmiałość, dłonie przestały się pocić, a uszy czerwienić; jeśli zaś chodzi o wyrażnie kurzy nos, to oczywiście nie przemienił się

w orli, ale mimo wszystko nabrał jakiegoś wieloznacznego blasku. Wszystkie te metamorfozy można by tylko pochwalić, gdyby nie towarzyszyło im jak najburzliwsze wyzwolenie wszystkiego, co latami niezaspokojone, zalegało na samym dnie tego mężczyzny, niemalże pozbawione nadziei przelania się kiedykolwiek przez brzegi. I tak nastała godzina Malafeja.

Przed wszystkim nareszcie dorwał się do kobiecych organów płciowych. W ciągu kilku zaledwie tygodni wymiętosił kilka nieszczęsnych i bezbronych nauczycielek (język ukraiński, geografia i historia średniowieczna), jakby umyślnie zesłanych mu na pokuszenie, potem przerzucił się na niemal sześćdziesięcioletnią, przesiąkniętą oparami tłuszczu głuchoniemą kucharkę, aż w końcu złamał ostatnie bariery prawne, zmuszając do zabronionych zajęć fizycznych niektóre uczennice. Zachowywał się agresywnie i bezczelnie, i szybko zrozumiał, że najlepsza metoda rządów to dyktatura, więc utrzymywał wszystkie swoje ofiary w całkowitym poniżeniu i pokorze, osiągając cel za pomocą podszczipywania, pięści i nie wiadomo z jakiego baraku przywiezionych kajdanek, najczęściej na dywanie we własnym gabinecie, ale czasem i w klasach, na materacach w sali gimnastycznej czy w podziemnych zakamarkach łazienek.

Oprócz tego, dzięki nowemu stanowisku, zyskał możliwość picia naprawdę na umór, bez ograniczania się do *pierwszego*. Wykorzystywał w tym celu przeważnie uczniów płci chłopięcej, dzięki wymyśleniu czegoś w rodzaju normy na długim dystansie, do

knajpy na trzynastym kilometrze i z powrotem, *bieg z przeszkodami, czas start!* — i zdecydowanie nie należało przychodzić z *flaszką* później niż w dwie godziny, trzydzieści cztery minuty, szesnaście sekund i siedemdziesiąt siedem setnych od startu. Później wymyślił dla nich jeszcze jedno, *półmaratońskie* ćwiczenie — do sklepiku na stacji kolejowej, gdzie czasem rzucali tanie wody kolońskie (Brzozową? A może Wrzos? O, zapachy dzieciństwa!). Bo miejscowego samogonu Malafej z jakiegoś powodu nie znośli.

Pod wszystkimi innymi względami powodziło mu się dobrze i jako członek KPZR, niekiedy, gdy dobrze wypoczął, odmoczył się i doprowadził do jakiego takiego stanu, osobiście schodził nawet w dolinę na zebranie podstawowej organizacji partyjnej.

Jego panowanie nad internatem i światem trwałoby jeszcze wiele lat, gdyby nie nowa uczennica, w środku roku szkolnego przeniesiona z innego okręgu ze względu na niezłe wyniki w narciarstwie. Dziewczyna prezentowała nazbyt tradycyjne wychowanie, za jakiś rok miała wychodzić za mąż i jak to mawiają, *uważała na siebie*, więc przez kilka tygodni sprytnie wymykała się coraz wścieklejszym atakom i pogrożkom Malafeja (*dupe rozerwe, suko jedna!*), ale w końcu, gdy późnym wieczorem, po *ciszy nocnej*, odpracowała już dyżur w kuchni i umyła pół setki talerzy po kaszce mannine, wciśnięta w beznadziejnie ciasny kąt przy wyjściu z jadalni (rozczapierzone, piegowate łapska, pstryk kontaktu, ciężki zaduch mieszanki kolońsko-żołądkowej), wreszcie poddała się, na koniec szeptem wyblągawszy

jedną jedyną *łaskę* — i tak, zgodnie z ludowymi formalnościami, pozostała *nietknięta*.

Następnego ranka uciekła, przepadła, rozplynęła się w mgłach i wichrach, a w rzeczywistości po pięciu dniach i nocach pojawiła się w swoim okręgu (to osobna historia, te autostopy, pociągi podmiejskie i nabity pijanymi robotnikami leśnymi *ostatni* autobus) — teraz pozostaje nam tylko wyobrazić sobie jej zeznania, łzy rozmazane na pokąsanych wargach, badania lekarskie, sińce na pośladkach, wymaz z odbytu, obdukcje, zgrzytanie zębów, telefonogramy, zamknięte zebranie *działaczy oświatowych i stróżów prawa*, podjęcie przez władzę wykonawczą *trudnej decyzji*.

Wszystko, podobnie jak za pierwszym razem, kończy się wprost fatalnie: późną nocą, wśród śnieżnej zamieci, do szkoły rezerw olimpijskich wpada cały desant (jak ich tam dowieźli — helikopterem?), a w rzeczywistości kilku krzepkich chłopów, którzy maszerują przez korytarze, gabinety, klasy, ale nigdzie go nie znajdują, choć w końcu któreś z dzieci ze strachem kieruje ich do piwnic, jakaś zaryczana i na wpół rozebrana siksa wyskakuje z pryszniców, strumienie gorącej wody spadają na cementową posadzkę, on barykaduje się szafą, oni dają mu dziesięć minut na ubranie się (*i żadnych sztuczek, bohaterze!*), ale gdy i po dwunastu minutach nie wychodzi dobrowolnie, przypuszczają szturm. W dwudziestej drugiej minucie wpadają do środka i przedzierając się przez gęstą parę, zgniatając stopami opróżnione butelki po wodzie kolońskiej, wreszcie znajdują go w ostatniej kabi-

nie, całej już czerwonej. Nadtłuczona butelka nadała się do skutecznego podcięcia żył na obydwu rękach i idę o zakład, że ostatnim jego zdaniem było zasłyszane w ulubionym od dzieciństwa filmie: „*wrriosz — nie wozmiosz*”...

Tak właściwie kończy się druga prahistoria, bo o tym, że internat narciarski z nigdy nie ukończoną skocznią w pobliżu niedługo potem został zlikwidowany, nawet nie trzeba mówić. Najbardziej doświadczeni pamiętają, że jeszcze w tym samym roku kierownictwo państwowe uczyniło zdecydowany zwrot od narciarstwa górskiego do kajakarstwa i kanadyjkarstwa.

A dalej — znów opuszczenie, niszczenie i rozdrapywanie na wszystkie możliwe strony wszystkiego, co tylko mogło się do czegokolwiek przydać.

Jeśli zaś chodzi o trzecią — i na razie nie zakończoną — prahistorię, to do jej rozpoczęcia musiało minąć kolejne ćwierć wieku, ale nie tak po prostu minąć. Ta trzecia część nie mogłaby się nigdy zacząć, gdyby nie cały łańcuszek fantastycznych kataklizmów, w wyniku których w odległym od połoniny Dzyndzuł mieście Berlinie upadł Mur, mapa geograficzna Europy Wschodniej doznała dość radykalnych zmian zarówno pod względem kolorów, jak i tu i ówdzie konturów, a w młodym państwie ukraińskim pojawił się *nowy typ człowieka*, to znaczy pojawiła się wąska niczym ucho igielne ścieżka bardzo szybkiego i pozbawionego skrupułów bogacenia się. Tak więc, ledwie minęła jakaś połowa lat dziewięćdziesiątych,

wszystko znowu zawirowało: umowy, certyfikaty, hipoteka, papiery wartościowe, akcje, kilka efemerycznych banków, trustów i holdingów, a potem nikomu nie znany obywatel Warcabycz I. I. znienacka chapsnął to wszystko za bezcen, no ale w końcu kogo to obchodziło? To i dobrze, że się ktoś znalazł, i świetnie, że chapsnął, bo gdzież by się podzieli tej nocy moi bohaterowie?...

I tak w jakieś dwa czy trzy miesiące wiadomy budynek został jeszcze raz odbudowany, razem z wieżą i loggiami na wszystkich trzech kondygnacjach: fińska blachodachówka, niemiecki karton-gips, hiszpańska glazura i terakota, parkiety z Włoch, wyposażenie łazienek z Emiratów, a nie, przepraszam, parkiet z Emiratów, a wyposażenie łazienek z Belgii, no i oczywiście ekskluzywne kotły co, miedziane rury, woda, ogień, laminat, aluminiowe okna i okna mansardowe trzysta baksów sztuka — to wszystko razem otrzymało nazwę: pensjonat „Karczma „Na Księżycu” — właśnie tak, z asymetrycznym cudzysłowem w środku, się to pisało.

Jak widać, całkiem krótka jest ta trzecia prahistoria, ale jeszcze się nie skończyła.

Tymczasem nastał ranek i warto by obudzić Zumbrunnena. Będzie nam potrzebny do obejrzenia wnętrza budynku, póki wszyscy inni jeszcze śpią. Można się spodziewać, że jego krótkowzroczne oko jest profesjonalnie lepsze od wielu innych tu obecnych oczu. Dlatego właśnie warto go obudzić. Ale jak?

Karla-Josepha Zumbrunnena obudziło to, że za ścianą ktoś z kimś niedwuznacznie i głośno — jak by to powiedzieć? — kochał się. Kobięcy głos osiągał przy tym tak przenikliwie wysokie częstotliwości, że trudno sobie było nawet wyobrazić całą głębię namiętności, czasem dołączał do niego jeszcze jeden — tak samo doprowadzony do szaleństwa. Jeśli chodzi o głos męski, to nie można było mieć żadnej pewności, chociaż dwukrotnie rozbrzmiało zadowolone, gardłowe pomrukiwanie, ponadto zdawało się, że wszystkie znajdujące się w tamtym pokoju meble — nie tylko przemienione w batut łóżko — podskakują we wspólnym, coraz szybszym rytmie. Nie wiedząc, co zrobić z mimowolną erekcją, Karl-Joseph w myślach ustalił, że sąsiedni pokój w żadnym razie nie może należeć do małżeństwa Woronycz-Pepa, co zdjęło mu spory ciężar z serca. Tak, był zupełnie pewien, że pani Roma z mężem otrzymali pokój, po pierwsze, dwoje drzwi od niego, a po drugie, z innej strony. Pozostawało wyteńczyć pamięć i dojść do średnio realistycznego wniosku, że wspomniana feeria dźwięków dobiegała z pokoju stareńkiego profesora Doktora. Rezygnując z poszukiwania jakichkolwiek wyjaśnień tego fenomenu, Karl-Joseph (erekcja nie mijała) właśnie odwrócił się od ściany, gdy nagle wszystko zakończyło się huraganowym orgazmem, obydwaj głosy ostatni raz zadrżały w duecie, a potem wszystko zamarło w ciszy — łącznie z meblami.

Jednakże o ponownym zaśnięciu nie było już mowy. Rozpalona wyobraźnia kazała Karlowi-

-Josephowi wstać, dopełnić niezbędnego minimum zabiegów (pobudzenie ostatecznie ustąpiło po wzięciu zimnego prysznica) i przejść się po uśpionym budynku. Tak więc po jakichś dziesięciu minutach wyszedł na korytarz i w pierwszej kolejności dłuższą chwilę stał pod drzwiami sąsiedniego pokoju. Ale cisza za nimi była — zresztą jak wszędzie — tak głęboka, że przywodziła na myśl śmiertelny sen, który zmógł nieznaną parę, gdy tylko osiągnęła szczyt swoich pieśszot. Podobny przypadek został opisany przez poetę Antonycza (patrz: *Ballada o błękitnej śmierci*), ale Karl-Joseph o tym nie wiedział. Podobnie jak nie wiedział, czy tym razem rzeczywiście chodziło o parę.

Wszystko, co Zumbrunnen zobaczył, błędząc piętarami, przechodząc z jednego skrzydła do drugiego, mijając większe sale i mniejsze pomieszczenia, rodziło wrażenie dziwnego zestawienia epok, gdzie całe fragmenty dawnego istnienia co raz to przypominały o sobie, bardzo wyraźnie włączając się w dzień dzisiejszy — to nieotynkowanym fragmentem ściany, wzniesionym z przedwojennej cegły *serafini*, to kawałkiem mozaikowego panneau z radzieckimi kosmonautami i sputnikiem. To znów w całkiem nieoczekiwanej niszce pojawiała się, bezwstydną w swej nagości, żelazna austriacka wanna ze szlachetnie pozieleniałymi kranami, to fosforyzujący jelen — szczyt osiągnąć zdobnictwa lat sześćdziesiątych, ale naturalnej wielkości — oszałamiał z postumentu, wyłożonego kamieniami rzecznyymi.

Kolejna rzecz, która wpadała w oczy, to kompletne zagralenie — przy czym wszystko, na co trafiało się w tych pokojach, korytarzach i na schodach, nosiło na sobie tę samą pieczęć chimerycznego współistnienia kilku naraz warstw przedmiotowo-życiowych, bo były tu przede wszystkim: jakieś komputery, faksokopiarki, drukarki, symulatory oraz syntezatory, a także omotane kablami stymulatory i sublimatory, przy czym niektóre z nich całkowicie wybebeszone; laserowo-cyfrową rozkosz wzmacniały porzucone na pastwę losu kamery wideo, *kina domowe*, anteny satelitarne i zwykłe, telewizory różnych generacji, wieże z karaoke i bez, monitory, vacuum-cleanery, roboty kuchenne, tu i ówdzie wylegiwały się rozmaite piloty i inna drobnica w rodzaju modemów, gniazdek, lampek halogenowych, radiostacji, zasilaczy, odtwarzaczy CD, konsoli, telefonów komórkowych i pasujących do nich pluskiew; cała ta obfitość graniczyła z rozpustą, bo trafiały się tu i całkiem już zbędne saturatory, depilatory i wibratory, potencjometry z elektrowstrząsem, turbinowe masturbatory, ejakulatory, noktowizory termiczne, dojarki elektryczne, a dalej już całkiem bez ładu i składu — koktajlowe i płytowe miksery, tostery, boostery, pojedyncze winchestery, miniaturowe systemy „ziemia-niebo-ziemia”, suszarki do pach, pachwin i pochw — nie byłoby więc nic zaskakującego, gdyby gdzieś tam znalazła się przypadkiem i walizeczka z czerwonym guzikiem; jednak to wszystko stanowiło zaledwie jedną trzecią, bo były tam jeszcze jakieś talerze — rzeźbione, me-

talowe i ceramiczne (kolory: żółty, zielony, brązowy), toporki i kute blaszki, pasy zbójnickie i bagnety, krysanie, lakierowane orły drewniane, niedźwiedzie, wilki, dzicze łby z pleksi i prawdziwe, hafty, naszyjniki i koraliki, z sera jednorożce i koniki, bociany w gniazdach, nietoperze, tak samo drewniane smoki na drucikach, drumle, daraby i trembity, skałkówki i skałki, kafle Ołeksę Bachmetiuka, bębny, sakwy, długopisy z erygowanymi Huculami, gwizdawki, fłojary, fujary, szkatuły inkrustowane otoczakami i muszelkami, koralale, płachty, serdaki, ruptury i kaptury, chińskie dresy adidas, kierzpce i nogawice, do strzyżenia owiec nożyce (i inne — dla knurów), liżnyki (kolory: szary, czarny, malinowy), matrioszki-jelcynki, pisanki z symboliką kosmiczną i olimpijską, haftowane krzyżkami portrety świętego Jura, Jurija Fed'kowycza, Iwana Franki i obecnego prezydenta, dzbany, siwaki, dwojaki i piersiówki, wcześniej wspomniane jako „ceramika”, rzeźba figuralna: *Radziecki komisarz Rudniew brata się z generałem UPA Szuchewyczem* — krótko mówiąc, powstawało wrażenie, że całe muzeum huculskiej sztuki ludowej z bazarem w Kosowie do kupy z jakiegoś powodu przewieziono teraz właśnie tutaj; jednakże, aby i tego nie było mało, trafiały się tam poza wszystkim innym również miecze samurajskie, arabskie i tureckie, smocze zęby, kilka obrazów Fragonarda (oryginały) i mniej więcej tyle samo Fraunhofera (kopie), kły słoniowe i mamucie; skałmieliny z czasów, gdy było tu morze, mezozoiczne muszle liryczne; drukowane szwabachą zabytkowe

podręczniki kabały i balistyki, korzenie mandragory, zakonserwowane w samogonie razem z lacertydami i salamandrami; kamienie nerkowe i księżycowe, weneckie lustra i maski, chalkantyt i chalcedon, pióro feniksa, jaja archeopteryksa, zestaw srebrnych kul, nad którymi stosowne modlitwy zmówiło siedmiu księży, siedmiu popów i siedmiu rabinów; hiszpańskie pistolety pojedynkowe „duende” (każdy w osobnym fute-rاله), noże rzeźnicze, sztylety, bransolety (i milicyjne bransoletki), amulety, arbalety, baletowe paczki, gipsowe płaczki, tak samo gipsowe kąpiące się i oddające, oleodrukowa wiktoriańska pornografia, urny z prochami nie wiadomo kiedy i za co spalonych pań i panów, skromna kolekcja czaszek do czerwonego wina, strasydła, mamidła i pachnidła, futro King-Konga, anielskie włosie i kurze łapki w dużym wyborze, a także mnóstwo innych zabytków kultury materialnej.

Druga okoliczność, która wywarła na Karlu-Josephie wielkie wrażenie podczas oględzin budynku, dotyczyła drzwi, ale nie tyle ich nieprzebranej ilości, mającej świadczyć o odpowiadającej im ilości pomieszczeń i przejść, ile napisów na nich umieszczonych. Mało tego, w całym budynku nie istniały dwie tak samo wykonane tabliczki — zupełnie jakby pozrywano je, skąd tylko się dało, i przywieziono w to dziwne miejsce, więc wrażenie głupiego chaosu tylko rośło, zapędzając pozbawionego pewności siebie Karla-Josepha w kozi róg bezpłodnych błędzeń i domysłów.

Jakaś część tabliczek (GABINET ZABIEGOWY, DYŻURNY PROKTOLOG, PROSEKTORIUM) niby wskazywała

na obecne sanatoryjno-rekonwalescencyjne przeznaczenie zakładu, niektóre wyglądały dość uniwersalnie i nie świadczyły o niczym (PIERWSZY ZASTĘPCA, KAWIARNIA I BAR, RZEŹNIA, AKUMULATOROWNIA, WYDZIAŁ SKARG I WNIOSKÓW), jeszcze inne miały całkiem zwykły w tym kraju charakter zaleceniowo-nakazowy (POKÓJ DEPUTOWANYCH, PALENIE WZBROJONIE, SALA ZAMKNIĘTA, ХОДА НЕТ). Ale jeśli z tym wszystkim jeszcze można było dać sobie jakoś radę, to całkowicie niezrozumiale wyglądały napisy: GABINET SMUTKU, OSTATNIA KOMUNIA czy DO TUNELU. Trafiły się też całkiem lekkomyślne: WIOSENNY BILARD, MILCZALNIA OWIEC, POKÓJ ŚMIECHU NR 6.

Karl-Joseph był już skłonny pomyśleć, że wszystkie te nieporozumienia biorą się z jego niedostatecznego władania językiem miejscowym — w ten wariant można by w sumie uwierzyć, gdyby natychmiast nie odepchnęły go tabliczki w językach bardziej znanych: FUCKING ROOM, RED ARMY OF THE UNIVERSE, DO NOT MASTURB' PLEASE, dalej szły: EXQUISITE CORPSE, ETERNAL DAMNATION, HELLFIRE, KISS OF DEATH, TORTURES NEVER STOP (mimowolnie przypominały się jakieś krwiste i czarne okładki z lat, gdy chodził do gimnazjum i umierał za metal, z dna pamięci niemal automatycznie wypłynęła jakaś pierwsza, cała w czarnych skórach i łańcuchach, dziewczucha z krwistymi ustami na trupiobladej twarzy), dalej było tak samo świetnie — DANCE MACABRE, SUICIDE REHABILITATION, po prostu THE DOORS, nie wiedzieć czemu w liczbie mnogiej, a potem jeszcze ПЕРВЫЙ

ОТДЕЛ, НАЧАЛЬНИК ОТДЕЛА КАДРОВ, ОТДЕЛ ВИЗ
И РЕГИСТРАЦИЙ, PIEPRZENIE NA ZIMNO, ACHTUNG —
SCHEISSE, VAMPIRENTREFFPUNKT, całkiem już nie-
dorzeczne LOKALBAHN NACH BADEN (ze strzałką nie
wiedzieć czemu do piwnic) i bezgranicznie alogiczne
DAMEN-PISSOIR...

Od tego wszystkiego zapragnął jak najszybciej zna-
leźć się na zewnątrz i dziwnym trafem od razu wyszedł
na werandę, gdzie napotkał złożone wieczorem i na-
dal nierozpakowane torby, sakwojaże i plecaki, i po
półgodzinnych zmaganiach z zamkiem w drzwiach
wejściowych wyskoczył na jeszcze zimowy stok przy
ganku, gdzie wreszcie uspokoił się myślą, że ponieważ
wyszedł bez okularów, większość tego wszystkiego po
prostu mu się przywidziała.

I teraz zdecydowanym krokiem, mącąc powietrze
rękami, schodzi w dół, zwalnia na śliskim, rozgląda
się i szuka wśród pierwszych jałowcowych krzaków
jakiejś ścieżki w dolinę, gdzie nie ma wiatru, zimna,
ptasich krzyków, gdzie już kilka tygodni temu zaczęła
się wiosna. Karl-Joseph idzie tą drogą po raz pierwszy,
ale nie ostatni.

A my musimy iść w ślad za nim, jeśli naprawdę
chcemy zobaczyć tę okolicę. Tak więc z tyłu jest
grzbiet oraz granica transylwańska, a z przodu, czyli
w dole — wiosna, której z każdą setką metrów przy-
bywa, i oto już dyszy z błyszczących kamieni na sta-
rej drodze wojskowej, a potem przypomina o sobie
zapachem rozgrzanego jałowca. Kamienie, jałowiec,
a także kosodrzewina, i dalej świeża, już tegoroczna

trawa. Za tydzień, dwa, zgodnie ze wszelkimi świętojurskimi zasadami, powinni tu przybyć pasterze i ich stada. Ale nie przyjdą, bo na połoninę Dzyndzuł nigdy nie przychodzą. I pewnie dlatego trawa na niej jest najśłodsza.

Pozostawimy z prawej strony, na zboczu, jakieś dwieście metrów dalej, niezgrabną budowlę niedokończoną skoczni, którą Karl-Joseph zapisze sobie w pamięci jako obiekt do przyszłego masochistycznego albumu: zardzewiałe stopnie na wieżę, co drugi wyłamany, rozbieg z kompletnie zniszczonym torem.

Niżej zaczniesz się pralas, ten las nie ludzką ręką sadzony, tylko przez samego Antyducha wysiany. Czyli żaden Karl-Joseph Zumbrunnen starszy, zasłużony cesarski leśniczy, nie miał z tym nic wspólnego, ale zdołał podpatrzyć u Antyducha (natury?), jak należy w tej krainie sadzić drzewa.

Na poziomie pralasu, dokąd niczym do budynku ogromnego dworca wchodzi po pewnym czasie Karl-Joseph Zumbrunnen młodszy — tak więc, na poziomie pralasu droga staje się coraz mniej stroma, niekiedy prawie równa, ale pełna wszelkich przeszkód: oblepione przez muchy wielkie kałuże, zwalone drzewa, zaschnięte na kamień gliniane grzebienie śladów gąsienic (coś tu jeszcze robili zeszłego lata, czy co?), dalej i sam traktor, który utknął bez nadziei powrotu — no, gdyby przez lato zarósł trawą, lianami, kwiatami, to wyszłoby niezłe zdjęcie na kiczowatą pocztówkę! — potem skądś pojawiają się druty kolczaste, resztki słupów, pozieleniałe szlabany, tablice

z dykty, z symboliką ostrzegawczo-zakazową, ale tu już tylko my, a nie żaden szpieg-fotograf, możemy domyślać się niedalekiej obecności baz raketowych, ich przesiąkniętych grzybem, moczem i całkowitą tajemnością silosów, roztrzaskanych pulpity i rozbitych na samym dnie butelek po piwie.

Ale to nie wszystko: tutaj, całkiem blisko, jest pod ziemią jeszcze jedna sieć, swego czasu tak samo tajna: bunkry. Ostatni z nich obrzucono granatami gdzieś na początku lat pięćdziesiątych i nikt już z niego nie wyszedł. Zresztą, wersja z granatami jest znacznie szlachetniejsza niż ta z gazem paraliżującym układ nerwowy.

I wtedy na naszej i Zumbrunnena drodze pojawi się jeszcze jeden rudymet — tory kolejowe, a dokładniej ich absurdalny fragment, ogryzek, znikąd donikąd, bez początku i końca, w sam raz dla węży, które po raz pierwszy wypływają na podkłady siódmego kwietnia, a potem żyją między nimi aż do późnej jesieni. Karl-Joseph nic nie wie o tym gadzim obyczaju, dlatego teraz ryzykuje, wstępując na te same podkłady i nic nie widząc pod nogami. Jednak tym razem zostanie mu to wybaczone jako zagranicznemu gościowi, więc bez uszczerbku przejdzie nad niewidzialnymi gadami, przypadkiem stawiając stopy właśnie tam, gdzie trzeba, i niespecjalnie nasłuchując niechętnego posykiwania z dołu.

Ten kolejowy rudymet, podobnie jak wszystko inne w lesie, teraz należy do Warcabycza, ale nikt nie wie, po co mu to. Może żeby mieć?

Tory kończą się przyzłą kamieni, więc Zumbrunnen będzie musiał parę chwil przedzierać się przez gąszcz leszczyny i znowu szukać lekkomyślnie porzuconej leśnej drogi. Gdyby ją znalazł, wyszedłby nią prosto na nadrzeczną łąkę, całkiem już dobrą na pastwisko, to znaczy młodą i zieloną, ale jeszcze z głębokimi śladami niedawnej powodzi, całą w błotnych pułapkach i w glinie, mlaskającej pod jego porządnymi, solidnymi butami.

Właśnie po tych butach od Salamandry i jeszcze po charakterystycznej, niezgrabnej nietutejszości zostanie rozpoznany przez nich — troje czy czworo nastolatków w starych swetrach z dziurami na łokciach, luźnych sztruksowych spodniach, wpuszczonych w gumiaki do kolan, brudnych i krzykliwych; przetną mu drogę, wybiegając ze swojej kurnej chaty nieco w górę Rzeki, oblegną go ze wszystkich stron, dalecy potomkowie potępionych braminów-Rachmanów z indyjskimi kolczykami w uszach i nosach, będą błagać we wszystkich językach tego kraju (*gimme, gimme some money, sir, gimme some candy, some cigarette, gimme your palm, your soul, your body!*) — no dobra, dobra, nie po angielsku, trochę przegiąłem, ale we wszystkich innych językach, to znaczy wieloma słowami z wielu języków, z sanskrytem włącznie. Odprowadzą go aż do mostu, bo ostatecznie pójdzie do mostu (to tam, gdzie kończy się leśna droga) i pomyśli, że po wieku sądząc, mogliby być jego dziećmi, ale i tak nie da im ani pensa, tylko pięć hrywien na pożegnanie.

Kiedy wejdzie na most, nie pójda ani kroku dalej i zostaną w tyle — bo tam, za most, już im iść nie wolno, zakazany świat: szosa, pokryta wybojami, po jej drugiej stronie jar, który latem bujnie zarasta łopianami, a na dnie jaru dziesiątki starych wraków; to taka samochodowa jama, koniec końców, dziesiątki karoserii, kabin, zardzewiałych rolls-royce'ów, mercedesów i volkswagenów, nie mówiąc już o ładach i skodach, i wszystko to też należy do niego, Warcabycza, choć nikt nie wie, po co jego ludzie zwożą tu cały ten złom. Tak więc jar, a dalej, mniej więcej naprzeciw mostu, od szosy odchodzi jeszcze jedna ścieżka, a może droga, czy nawet Droga, to znaczy jakaś dojazdówka dla drwali, która będzie kręcić wzdłuż Potoku w górę jego biegu, wspinając się coraz wyżej, ale iść nią nie należy, stanowczo nie należy, bo tam jest koniec końców, trzynasty kilometr, dziura zabita dechami z ostatnią na świecie knajpą dla tych samych drwali czy mar sennych.

Tak więc, dzieciaki zostają w tyle i nie wychodzą ze swoich zielonych terenów zalewowych. Nie wolno im iść na drugą stronę Rzeki, ale do lasu też nie wolno. I tak trwają, między dwoma zakazanymi terytoriami, na wąskim pasie ziemi między lękiem dnia wczorajszego i lękiem przyszłości.

Dopiero w trzydziestym siódmym roku życia Artur Pepa poczuł, że ma serce. Wszystko zaczęło się od przebudzeń w środku nocy, kiedy niespodziewanie lądował sam na sam z gęstą, czarną pustką, na wpół zanurzony w poszarpanych resztkach snów. Druga połowa była w pełni świadoma swego zaczepienia w tu-i-teraz, ale to nie przynosiło ulgi. Sam dla siebie postanowił przyjąć, że to przez alkohol. I rzeczywiście, przekłeta tachykardia natychmiast dawała się we znaki po szczególnie intensywnych *balach* i *jam-sessions* ze stawaniem na głowie i przemieszczaniem otchłani. Dość było porządnie wystartować po południu (*dwa razy po sto, sok pomidorowy, cokolwiek*), osiągnąć pełną prędkość wieczorem (*moonlight and vodka, take me away*) i wreszcie ostatecznie utknąć na pierwszej lepszej imprezie aż do świtu, z rozpędu dopijając resztki ze wszystkich butelek i rozgrzebując wszystkie paczki papierosów (*kto leci do nocnego, ja?*) — tak, dość było kolejny raz przejść przez wszystkie te *nocne* etapy, a następnego dnia z pewnością i nieodmiennie *to* powracało. Ktoś widział, jak

pewnego razu Pepa zemdlał w kawiarni, jak papieros wpadł do filiżanki kawy, jak stołek — metalowa nóżka na śliskiej podłodze — ze zgrzytem odjechał w bok. On sam tego nie widział, zapadł się na kilka minut w samotność i izolację, na dno jednolitego, mętnego migotania i monotonnego dzwonienia (czyżby *tam* miało być tak samo, myślał potem, tylko mętne migotanie i monotonne dzwonienie?). Tak, wtedy to stało się jasne, jak pot, który go oblał, gdy tylko trochę mu przeszło.

Szczerze mówiąc, wypadek w kawiarni nie był pierwszy. Doszło już do tego, że Artur Pepa zaczął przywykać i nawet lubić te stany — z tym samym oddaniem, z jakim rzucał się naprzeciw oszałamiającemu splotowi emocji przy przejściach ze stanu trzeźwości do upojenia. Coś jednak było w tym nagłym szaleństwie rozrywającego się serca, w jego drżącym podskakiwaniu gdzieś do gardła, w tej żelaznej dłoni, która nie bez zręczności łowcy ptaków lubiła go ścisnąć i nie puszczać. „Dobrze, że stało się właśnie tak — czasem przekonywałam sam siebie. — Teraz przynajmniej wiem, co mi przypadło. Nagłe zatrzymanie akcji serca to w sumie nie najgorszy wariant, mogło być coś znacznie bardziej powolnego i wyniszczającego”. Po czym przeglądał w pamięci niektóre inne *warianty*: rozrastanie się w ciele jakichś amebokształtnych, nieforemnych tworów, metamorfozy braku odporności, przerażający i poniżający zanik mięśni czy nieubłagane opadanie w wegetacyjną przepaść Alzheimera — nie, zdecydowanie wylosował tę lepszą możli-

wość. Choć niekiedy, odczuwając pośród nocy, gdzieś między drugą i czwartą, nieubłagany powrót arytmii, mimo wszystko się bał. Bał się, że jego serce któregoś razu nie wytrzyma i pęknie — i nie dlatego, że mogłoby nie wytrzymać i pęknąć, ale ze strachu, że może nie wytrzymać i pęknąć. Innymi słowy, bał się bać.

Myśli o śmierci są niezaprzeczalną oznaką kryzysu życiowego, to jasne. Kryzys Artura można było wyjaśnić przede wszystkim niebezpiecznym przedziałem wiekowym, do którego się zbliżał. Jednakże pora ta nie przychodzi sama i w ogóle niczego sama jako taka nie oznacza.

Poza tym było kilka porażających niepowodzeń wydawniczych, które trafiają się zawsze i wszystkim ulubieńcom publiczności w chwili, gdy swobodne i radosne bycie na fali nie jest już tylko ich prywatną sprawą. Zrozumienie faktu, że cały czas inni od ciebie czegoś oczekują, ten miłosny i niecierpliwy, nieprzerwany nacisk z zewnątrz, powoduje pośpiech i utratę siebie. W wypadku Artura Pepy najgorsze było nawet nie to, że przez kilka ostatnich lat zasłużył na rekordową ilość negatywnych recenzji każdego opublikowanego gestu (a twórczość była dla niego przede wszystkim i w ogóle gestykulacją). To wszystko nic, naskórek, chwilowy osad, wszystko to, zresztą, tylko przejawy dziwnej miłości naiwniaków, zazdrośników i drobnych intrygantów, celnie podsumowywał ich (jak mu się zdawało) Artur. Jednakże było coś jeszcze: utrata radości pisania. Najłatwiej wyjaśnić ją tym, że jak wszyscy narcyzi, Artur Pepa chorobliwie potrze-

bował zachwyty i uznania. Bez nich tracił lekkość. Przestawał podobać się samemu sobie, i to odbijało się na tym, co pisał. Innymi słowy, dopiero w trzydziestym siódmym roku życia Artur Pepa poczuł, że nie lubi pisać, że w istocie wprost nienawidzi tego zajęcia, że biurko w nieunikniony sposób staje się dla niego miejscem okrutnych tortur psychicznych i palącego wstydu, powodowanego przez wszystko, co ostatecznie trafiało na papier. Czasem zaczynał się już na drugim zdaniu, czasem nawet na pierwszym, niezdolny do pójścia dalej i pozbycia się, wygnania z siebie odbierającego mowę demona. Niekiedy skutkiem jego niewiarygodnie wyczerpującej, trzygodzinnej wojny z jednym jedynym zdaniem bywało coś w rodzaju: „Wiosna przynosi tymczasowe zepsucie cery kobiecej”.

Chociaż czasem bywał jeszcze z siebie zadowolony, gdy napisał: „Jego głupawy mózg rozsypał się na wszystkie strony jak ptasie gówno”. Może, pozostawiał sobie ślad nadziei, piszę teraz z większym bólem, bo piszę lepiej? Może pisanie prawdziwej literatury to właśnie zanurzenie w tortury, krzywił się na bezsensowny, wredny rym. Gdybym nie mógł pisać, to obrabiałbym ziemię, nie tyle cytował znanego poetę, ile go przedrzeźniał, a całe towarzystwo rechotało jak najeżone. Znali się na cytatach. Również na nim, Arturze Pepie, się znali.

Oczywiście przeceniał zainteresowanie własną osobą wśród szerokich, a także i wąskich mas społecznych. W istocie mało kogo obchodziło, co ten sukinsyn so-

bie bazgrze, więc całą boleśnie nakierowaną na niego energetyczną presję Artur Pepa raczej sobie wyobrażał, niż odczuwał. Zresztą, jaka tam, u licha, literatura z jej nadętą, drobiazgowością literackiego cechu! Jaka znów pieprzona służba słowu! Chodziło o sprawy znacznie bardziej ważne i realne.

W trzydziestym siódmym roku życia Artur Pepa nagle zauważył, jak wokół niego zaczyna w rytm walca krążyć śmierć. Pojawiła się w najbliższym kręgu, tym na wyciągnięcie ręki: umierali i ginęli jacyś krewni, znajomi, znajomi znajomych, więc konieczność bywania na pogrzebach, wynoszenia trumny, składania wieńców, wspomniania na stypach niemal dwa razy w miesiącu, nie mogła nie paraliżować jakichś decydujących ośrodków jego — cóż, wybaczymy mu! — kapryśnie wrażliwego „ja”. Z jej, śmierci, strony, było to tym bardziej podłe, że wyglądało na zwyczajną zemstę za wolnomyślicielstwo, którego Artur Pepa był się we wczesnej młodości dopuścić. Kiedyś, kolejnej oszałamiającej wiosny, kiedy jeszcze nie umiała ona psuć kobiecej cery, Arturowi prawie bez udziału świadomości napisało się nieodpowiedzialne i patetyczne: *Ani słowa o śmierci. To zaledwie forma o wiecznej treści: życie i trzmielę i rosa.* I śmierć mu tego nie zapomniła, zostawiła, jak zacios drwała na drzewie, swoje *jeszcze się policzymy.*

I tak podsunęła mu jego trzydziesty siódmy rok życia, którego szczytem stało się zabójstwo bliskiego przyjaciela, chętnego do wszelkich karkołomnych (do-

słownie) przygód wścibskiego dziennikarza, wyrzuconego z pędzącego pociągu osobowego gdzieś między Zdołbunowem i Kijowem (pijatyka w przedziale, palenie w przedsionku, przypadkowi współnicy i towarzysze podróży, lot wśród iskier, karkołomność). Artur Pepa nic prawie nie wiedział o prowadzonych przez zabitego rozmaitych *śledztwach dziennikarskich*, ale od czasu do czasu mógł się domyślać ich ryzyka i napięcia. Kiedy więc w miesiąc czy dwa po całym wydarzeniu *przedstawiciel organów porządku publicznego* uspokajał zebraną na konferencji prasowej *społeczność*, jakoby *dane zabójstwo nie miało nic wspólnego z zawodową działalnością poszkodowanego, przepraszam, zabitego*, również i Artur Pepa podpisał jakiś krzykliwy list protestacyjny, w którym dwie trzecie słów gniewnie puszyło się wielkimi literami. Jednak co tam wszystkie te listy czy podpisane po pijanemu apele — ważniejsze było przepełnienie się jego wewnętrznego kielicha. Odkąd lubiący ryzyko przyjaciel na zawsze odleciał w swoją pozawagonową, rozmazaną między szynami i słupami noc, Artur Pepa zrozumiał: coś minęło bezpowrotnie, złote czasy już nie nadejdą, przed nami tylko gęstniejące ciemności i chłód.

Jednak również i tych okoliczności nie można uznać za decydujące dla jego kryzysu. Wszystko to były raczej skutki: słabość pisania najczęściej świadczy o wypaleniu się uczuć, a śmierć nieodmiennie wdziera się tam, gdzie brakuje miłości. Nikt więc, oprócz samego Artura Pepy, nie mógł wiedzieć, że

wszystko to przydarza mu się właśnie z powodu utraty miłości. Albo — jeśli takie słowa zdają się nazbyt podniosłe — z powodu narastającego zobojętnienia wobec kochanej niegdyś kobiety. Albo — i tego Pepa bał się najbardziej — z powodu całkowitej utraty zdolności kochania. Było to przede wszystkim stopniowe wygasanie jego seksualności, choć niekiedy zauważone mimochodem mignięcia różnych ulicznych ud i pośladków jeszcze mogły rozruszać w nim spermozaura. Tego samego, który jeszcze całkiem niedawno, w cokolwiek lepszych czasach, gdy swobodnie przepędzając dzień, naprzyciągał się do woli zelektryzowanych spojrzeń, skinięć, spłonieć, nawdychał wiosny, wina, perfum i sekretów sekrecji, mógł jeszcze tej samej nocy tak szczerze wszystko oddawać, że Roma Woronycz, jego żona i najlepsza kochanka, prawie traciła przytomność.

Była starsza od niego o niecałe pięć lat, ale wtedy, w chwili ich pierwszego spotkania, nie mogło to mieć żadnego znaczenia.

Wszystko zaczęło się od wystawy litografii w muzeum sztuki starożytnej. Mieli szczęście żyć w mieście, w którym takie akcje są po prostu niezbędne, by od czasu do czasu trochę przewietrzyć pleśniejącą zastygłość otaczającego świata. Artur Pepa niespecjalnie znał się na sztuce litografii, w szczególności kolorowej (a była to właśnie wystawa kolorowej litografii), jednak nie przyjąć też nie mógł — choćby ze względu na nieuniknioną przy takich okazjach późniejszą pijatykę z udziałem całej armii *wędrownych komediantów*.

(„Wiesz, wszystko we mnie zamiera, gdy pomyślę, że tego wieczora mogłem tam nie dotrzeć” — powie jej dopiero po kilku latach, w łóżku, szczęśliwy z wyczerpania, trzymając ledwie zaspokojoną dłoń na jej śliskim od pieśczot brzuchu. Zrozumie, że chodzi właśnie o tę wystawę, bo odpowie: „A ja miałam tam zajrzeć tylko na pięć minut, zobaczyć znajomych”).

Chociaż może to wcale nie była wystawa litografii w muzeum sztuki starożytnej. Może wystawa zegarków mechanicznych w muzeum patologii i anatomii? Albo jakiś performance z Plastikową Rybą i termometrami rtęciowymi? Teraz nie ma to dla nas znaczenia. Teraz to już i dla nich prawie nie ma znaczenia.

Ale wtedy wyprzedzając na schodach jakąś młodą kobietę w płaszczu i starając się nie deptać po piętach małej dziewczynce, którą prowadziła za rękę, Artur Pepa musiał zwolnić, by złapać wspomnianą kobietę pod łokieć. Historia złamanego na schodach obcasa musiała zyskać kontynuację: czując się jak trochę parodystyczny paż królowej znieważonej przez czerń i nieostrożnie wydychając w twarz uratowanej damy niezwykłą mieszaninę spożytych dopiero co piwa, kawy i koniaku, Artur Pepa rozpoczął poszukiwania głównego bohatera wystawy („Tylko proszę poczekać, ja zaraz, zaraz...” — to do niej, a sam sfrunął schodami w wystawowy tłum, z którego w końcu wy dostał swego najwspanialszego przyjaciela, Furmana, z jego złotymi spinkami i rękami); tego wieczora Furman, jako gospodarz akcji, miał na sobie pożyczony z opery frak, co nie przeszkodziło mu,

jako bohaterowi, i to nieco podpitemu, uzbroić się w muzealny młotek i gwoździki, i zreperować złamany obcas od — a niech tam! — złotego pantofelka nieznajomej pani Niezgrabys. „Naści” — uroczyście ogłosił Furman, po szewsku i nieco po szefowsku wypływając z ust niepotrzebny gwoździć, za co został pocałowany w policzek, a Pepa, by nie stracić inicjatywy, kurtuazyjnie poprosił o zezwolenie na włożenie bucika na nóżkę (muzeum starożytności! klawesyny! *fêtes galantes*! rokoko! ochochoch!), oczywiście chodziło o jej nóżkę, choć i tak nie pozwolił sobie powiedzieć „pani pozwoli, że ją wżuję” — a język, owszem, świerzbiał. „A to jest Kola” — oświadczyła nie wiedząc czemu, wskazując na dziewczynkę i chichocząc nerwowo. „Kołomeja Woronycz” — mała poprawiła uroczyście, akcentując „r” w środku nazwiska tak, by wyszło z niego przynajmniej „rrr”. Obie były w płaszczach jednakowego kroju, różniących się, co oczywiste, tylko rozmiarem, i miały niewiarygodnie podobne fryzury. Dlatego nietrzeźwy Artur Pepa pomyślał, że stoi przed nim ze swoją uczennicą wróżka. „A jednak wypiłbym z niego szampana” — wskazał na pantofelek. „Dobra, *tam* na mnie czekają” — zapewnił mądrała Furman i w porę znikł, złoty człowiek.

A kiedy po jakichś dziesięciu minutach szli już przez Rynek w poszukiwaniu swego *szamańskiego szampana* (czasy były niezbyt sprzyjające dla takich pomysłów, właśnie dogorywał komunizm i lał nieznosny kwietniowy deszcz ze śniegiem), tak więc, gdy kolejny poryw niesamowitego, fatalnego wiatru wy-

rwał jej z rąk parasolkę, a ona nie wiedzieć czemu rzucała się za nią w pogoń, stąpając na tych obcasach po bruku jak czapla, i to bez szans na sukces, bo parasolka i bez tego była doszczętnie połamana, tak więc, w tym samym momencie Arturowi Pepie zdało się, że ta wróżka dawno już ma przechłapane u wszystkich wyższych sił świata, że nie wiedzie jej się w życiu aż tak dobrze, jak zazwyczaj wiedzie się wróżkom, że jej się raczej źle wiedzie, że chciałby coś dla niej zrobić, bo inaczej i z nim też będzie klops.

Oto, co w najogólniejszych zarysach miał na myśli, gdy kilka lat później wyszeptał w łóżku swoje typowe dla zakochanych: „Wiesz, wszystko we mnie zamiera, gdy pomyślę, że tego wieczora mogłem tam nie dotrzeć”. Bo tego wieczora jednak doszedł.

Roma Woronycz prowadziła lektorat języka niemieckiego i była młodą wdową. Wyszła kiedyś za mąż za pewnego etnografa rodem z okolic Kołomyi. Znacznie od niej starszy, właśnie szukał jakiejś lwowianki, żeby uporządkować swoje życie osobiste, kolekcję serdaków i wycinanek, a także kwestię coraz dokuczliwszych, kawalerskich wrzodów żołądka. „Panie Woronycz, pan sobie zdrowie zrujnuje — powtarzały mu troskliwe entuzjastki *niezmąconych źródeł ludowego piękna* — powinien pan mieć stałą kobietą opiekę!”. Ale wszystkie te miłośniczki pozagryzały wargi, gdy pewnego razu pan Woronycz oznajmił, że się żeni. I rzeczywiście, to był bardzo *nierówny* ślub, przyznawały to nawet miłośniczki jego pszeniczo-patriotycznych wąsisków.

Co sprawiło, że Roma swoje życie związała (i ręce sobie związała, to właśnie ten przypadek!) z tym niechlujnym, podstarzałym mężczyzną, z jego kaszlami, poźółkłymi zębami oraz kalesonami, z jego medalem przodownika oświaty, z jego kołomyjkami, zapisanymi ołówkiem chemicznym w szkolnych zeszytach, i z jego — co prawda, to nie grzech — nieprzyjemnie woniejącymi skarpetami, tego nikt wiedzieć nie może. Pozostaje wierzyć bardziej niż wątpliwej i typowo lwowskiej plotce, że wybitny działacz krajoznawstwa i etnografii był w rzeczywistości molfarem, huculskim czarownikiem, który dzięki wykorzystaniu całego arsenału swoich tajemnych środków zdołał podporządkować sobie wolę niedoświadczonej oraz skłonnej do fantazji idealistki.

Jakkolwiek było, po roku wspólnego życia urodziła im się nawet córka, ostatecznie odbierając Romie wszelkie możliwości zmiany decyzji i cementując rodzinne status quo. Następny okres (jakaś tam kolejna wieczność) minął wśród prania pieluch i kalesonów, choć w pewnym stopniu także na wystawianiu przed światem w kolejkach po *artykuły dziecięce*. Przemilczę już wszelkie dietetyczne manewry i farmaceutyczne napitki, mające uspokoić kapryśne wrzody męża. Któregoś ranka Roma Woronycz jakby ocknęła się ze snu i patrząc na swoje odbicie w lustrze, pomyślała tak: „Mam dwadzieścia osiem lat. Moja skóra ma paskudny kolor. Życie się skończyło”. I okazało się, że tego wystarczyło — tylko pomyśleć, tylko sformułować, tylko poprosić.

Wystarczyło, by jeszcze tego samego wieczoru *on* odszedł. Ktoś potężniejszy od niego po prostu dmuchnął — puch z dmuchawców zawirował nad starym Lwowem, dwóch przebranych za podpitych roboli kagiebiistów wzięło go pod ręce na przystanku tramwajowym i dokładając wyraźnie zbyt wiele starań, pchnęło twarzą do ziemi na tory. Tramwaj nie zdążył zahamować — Woronycz pewnie nie był molfarem.

Pozostała po nim w ich dwupokojowym, i tak ciasnym, mieszkaniu ogromna kolekcja, którą Roma, gdy przebrnęła pierwsze miesiące przenikliwej pustki, z czasem starała się poupychać po muzeach. Nawet bez tych serdaków słabo dawała sobie radę ze zbiorami. Ale przed nastaniem nowych, bardziej liberalnych czasów muzealne kierownictwo niezbyt chętnie wychodziło jej naprzeciw, nieodmiennie powołując się na nierozwiązane *trudności magazynowe*. Dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych trochę to wszystko odpuściło, imieniem *zbieracza skarbów kultury ludowej* Woronycza uroczyście nazwano nawet jakąś naukowo-badawczą pracownię pisankarstwa, ale resztki zgromadzonych przez niego osobliwości, czyli rozmaite inkrustowane szkatuły, toporki i rozebrany piec kaflowy, jeszcze długo i denerwująco przypominały Arturowi Pepie, że w tym domu niegdyś żył inny *gospodarz*, czy może nawet *gazda*, że chodził tu, kaszał, przypasywał do brzucha termofor, wypróżniał się — i co nieuniknione — spał w tym samym łóżku z tą samą kobietą. Ta myśl, co prawda, wносиła do jego i Romy seksualnych namiętności pewien motyw za-

kazanego owocu, a nawet grzechu, ich stosunki stały się dzięki temu pełniejsze, rozkosze ostrzejsze, a upadki słodsze. Było tak, jakby *on* mógł w każdej chwili powrócić i złapać ich na *gorącym* uczynku. Było tak, jakby przydzielono im niewiele czasu i koniecznie należało ze wszystkim zdążyć.

Jednakże z biegiem lat to *gorące* pasmo ich stosunków musiało oczywiście przeminąć, ustępując miejsca rodzinnemu automatyzmowi i inercji. Zagrożenie ze strony molfara bezpowrotnie odchodziło w najgłębszą podświadomość. Rosła natomiast jego córka ze swoim stosunkowo wczesnym przebudzeniem seksualnym. Wszystko to spletało się w dość nieznośny dla Artura Pepy kłębek: równowaga i równomierność, regularny i wyciszony, coraz bardziej formalny *zdrowy* seks, zasypianie i budzenie się w tym samym (i nudnym) łóżku, przywykanie do zawzięcie niegdyś ignorowanych koszul nocnych, piżam i szlafroków, poranne i wieczorne poziewywanie, zapadanie się w swój własny, odrębny sen i oczywiście, *wiosenne psucie się cery*. Nie, nie można powiedzieć, że między nimi już nic nie było, niekiedy *to* się zdarzało, ale właśnie *między nimi* i gdzieś szczerze mówiąc, poza nimi.

Upływ czasu w ogóle znęcał się nad Arturem, jak mógł, odsłaniając w nim skłonności, o które do tychczas się nie podejrzewał. Zbliżając się do swych trzydziestych siódmych urodzin, Artur Pepa zaobserwował u siebie nie tylko narastające zmęczenie, co przejawiało się między innymi w haniebnym i niepożądanym wcześniej chrapaniu, i nie tylko zarastanie

dziurek w nosie i małżowin usznych nie widywanymi dotąd, paskudnymi włoskami. (*Czym jeszcze mnie obdarzysz, dobry Boże, łupieżem, wypadaniem zębów, problemami z prostatą?! — buntował się w nim alkoholiczny agnostyk*). Otóż przede wszystkim odkrył w sobie zdolność dostrzegania, i to było najgorsze. Zauważył, że woli nie dotykać jej rękami. Że niespecjalnie chce rano, podczas ubierania, patrzeć na jej ciało. Że denerwują go te jej poślizgnięcia, potknięcia i rozlewania — wszystko, co kiedyś budziło w nim jak najszczerszą chęć, by ją chronić, bronić, ratować.

Upływ czasu podsunął mu jeszcze jedno okropieństwo w postaci dorastania Koli. Nie do wytrzymania ciasne *warunki* nie mogły nie prowokować choćby nieumyślnych spotkań i spojrzeń (naumyślne przemilczymy). Dziewczyna wyrosła niezwykle długonoga i bez wątpienia świadoma tego faktu, nie miała żadnych hamulców w skracaniu spódnic. Przez ostatnie półtora roku czy dwa lata na wszelki wypadek wolał w ogóle nie wchodzić do jej pokoju, w którym ściany pokrywały portrety Morrisona i Joplin. Zresztą, w jej wieku on też słuchał tych dwojga. Na osiemnaste urodziny oboje z Romą podarowali jej osiemnaście kompaktów z muzyką lat siedemdziesiątych. Po odprowadzeniu całego tabunu gości dobrze podpity Artur Pepa zamknął się w łazience i odkręcając ciepłą wodę, pomyślał: „Czy naprawdę można posuwać kobietę, która ma pełnoletnią córkę?”.

Właśnie wtedy zauważył, że rozpaczliwie żałuje tego swojego (*Wiesz, wszystko we mnie zamiera, gdy*

pomyśle, że tego wieczora mogłem tam nie dotrzeć) szaleństwa. Dość było, myślał, jeszcze przez pół godziny siedzieć na tyłku, Bomczyk właśnie trzeci raz brał po pięćdziesiątce, dość było się nie śpieszyć, sama mówiła, że tylko na pięć minut, że tylko do znajomych, dość było się minąć, niechby ktoś inny łapał ją pod łokieć, niechby komuś innemu tak się *poszczęściło*, a ja dziś byłbym sobą, a nie kimś, żyłbym własnym życiem, zaliczałbym baby na prawo i lewo, podrywał młode kózki, takie jak ta, wiosny przynosiłyby drzenie, jak dwadzieścia lat temu, i nie stawałbym się potencjalnym patentowanym impotentem. To ostatnie wyrażenie, nawet jeśli nie nadzwyczaj wyszukane, brało się z jego upodobania do wszelkich ozdobników fonetycznych. Bo nawet sam na sam z własnymi potokami i monologami Artur Pepa nie przestawał być zawodowym literatem.

Oznaczało to nic innego, jak to, że musiał żyć z literatury. Kiedyś wpadło mu do głowy, by napisać bestseller (w wewnętrznym getcie *procesu literackiego* z natarczywym paranoizmem właśnie dyskutowano tę perspektywę — i gdzież są nasze bestsellery? no i dlaczego nie mamy bestsellerów? i kto wreszcie napisze dla nas bestseller? wydawało się, że na tym punkcie fioła dostali wszyscy, od górnych i chmurnych autorytetów-ideologów do wiecznie niedoinformowanych i aktywnie plotkujących dziennikarskich żółtodziobów), tak więc, zachciało mu się pokazać całemu temu towarzystwu gest Kozakiewicza, język i może coś jeszcze. Oczywiście miała to być powieść. Tak samo oczywi-

ste jest, że wydana pod pseudonimem. Taka sobie historia mężczyzny, który zabija własną żonę — czy to w afekcie, czy raczej w efekcie gromadzącego się latami zmęczenia i nienawiści. Po zabójstwie zaczyna mieć kłopoty z trupem. Chce się go pozbyć tak, żeby nikt nigdy nie znalazł ostatków czy jak to się mówi — szczątków? Przywiązać dwa kamienie i utopić na dnie czarnego leśnego jeziora, na przykład. Czarne jezioro z białymi liliami, myślał. Trzeba by zapakować ciało do bagażnika i wywieźć samochodem daleko za miasto. Właściwie to nawet miała być historia jednej nocy. Jak jeździ z trupem zabitej kobiety w bagażniku, a na jego drodze wyrastają coraz to nowe przeszkody (policja, znajomi, przyjaciele, jakieś prostytutki, bandyci itd.), i dlatego coraz bardziej oddala się od celu. Rozwój akcji powinien od czasu do czasu być przerywany przez fragmenty liryczne. Które rzucałyby nieco światła na ich wcześniejsze życie i powinny epatować czytelnika skrajną, a nawet brutalną otwartością, zwłaszcza w szczegółach, odzwierciedlających fizjologię starzenia kobiety, wszystkie te jesienne zapachy, zmarszczki i fałdy, szelest suchych liści, chłód łona. Ogółem miała to być mieszanka thrillera ze spowiedzią i czarną komedią. Miała być, ale nie wyszła: Artur Pepa w końcu pogrzebał tę ideę, raptem uświadomiwszy sobie, że pokusa urzeczywistnienia koszmaru staje się coraz bardziej natrętna. Tak więc zatrzymał się w porę, pozostawiając innym pisanie *dawno oczekiwanego czytadła*, które miało uratować literaturę narodową przed zapomnieniem czytelników.

Ale co mogło uratować samego Artura Pepę? Gwałtowny rozwód? Spalenie mostów i ucieczka poza granice widzialnego świata? Dyskoteka czterdziestolatków? Zatrzymanie akcji głupiego serca przy kolejnej kawie z papierosem na kaca?

On sam uważał, że jedyna przeciwwaga dla wszystkiego, co się z nim dzieje, leży gdzieś między alkoholem oraz twórczością. Gdzieś tam było jeszcze niezmaterializowane terytorium, na którym mógł odnajdować dla siebie radość, czy może przynajmniej wspomnienia radości, aluzję do jej istnienia. Wszystko inne nosiło nazwę *chłodu przyszłości* i wskazywało jedyny możliwy kierunek ruchu oraz całkowity brak prawa wyboru.

Dotychczas był on znany tysiącowi czy dwóm swoich wielbicieli, przeważnie jako osoba bezpośrednio związana z pojawieniem się i zniknięciem dwóch książek (sam nazywał je *projektami*), z których żadna nie mogła pretendować do literackiej *prawdziwości*. Nawet więcej — obie tak demonstracyjnie pyszniły się własną *nieprawdziwością, sztucznością, książkowością*, że w tych samych wewnętrznych kręgach *procesu literackiego* Arturowi Pepie momentalnie założono pełną dowodów teczkę gracza niepozbawionego talentu, ale pustawego, sytego i niekiedy eleganckiego smakosza (dandy-brandy, trali-wali), który jednakowoż okrutnej krwi bytu nawet nie wahał.

Pierwsza książka nosiła tytuł *Arturowi Bracia* i była rodzajem antologii poetyckiej, w której Artur Pepa występował jakoby w roli autora wyboru. W rzeczywisto-

ści prostą mistyfikację łatwo było przejrzeć na wylot: Pepa wymyślił dziewięciu *nieznanych szerszym kręgom* poetów, ich biografie i charakter, po czym *wybrał* po półtora dziesiątka wierszy każdego z nich, w przedmowie zamieszczając aluzje do symboliki Okrągłego Stołu oraz Świętego Graala i robiąc to w tak bluźnierczy sposób, że przepojonemu neofickim fanatyzmem wydawcy przyszło wyciąć pierwotny tytuł *Arturowi Rycerze*. Wiersze każdego z wymyślonych poetów radykalnie różniły się od pozostałych, i to także nie mogło nie świadczyć o przejrzystości mistyfikacji. Pierwszy z nich pisał jakoby surrealistyczne poezje prozą, drugi rymowane sprośne kuplety na pograniczu miękkiej i twardej pornografii, trzeci — miniaturowe notatki wolnym wierszem jakiegoś zupełnego ekscentryka-fenologa czy może filozofa natury. Czwarty był, zgodnie z legendą, homoseksualistą-okcydentalistą, piąty neonarodnikiem z *sol*i i z *rol*i (z jego *spuścizny* wybrano nie pojedyncze wiersze, ale cały długi poemat, zatytułowany *Trypole i Tryzub albo Odra Odrodzenia*). Szósty najwyraźniej miał kota na punkcie *Statku pijanego* Rimbauda, ponieważ zajmował się wyłącznie tworzeniem wariacji wokół tego tekstu. Siódmy i ósmy jawili się jako, odpowiednio, niepowściągliwie anarchistyczny rzecznik narkotycznego róbta co chceta (jego część książki nosiła tytuł *Propaganja*) oraz sumiennie sonetowy klasycysta, maminsynek i prymus. Dziewiąty — najciekawszy — był seryjnym mordercą, więc każdy z jego wierszy przynosił historię kolejnej zbrodni i był dedykowany aktualnej ofierze.

Arturowi Bracia wywołali, rzecz jasna, powszechny oraz nieustępliwy odpór krytyki i odnieśli tak samo wielki sukces wśród czytelników. Nakład został wyczerpany w ciągu paru miesięcy, przede wszystkim dzięki kilku pozwom sądowym przeciwko *redaktorowi*. Wszystkie procesy Artur Pepa z wielkim hukiem przegrał, ale bez poważniejszych skutków. Mimo to międzynarodowy PEN-club umieścił jego nazwisko na liście pisarzy *potencjalnie zagrożonych represjami*. Niezyczliwi twierdzili nawet, że ten sprytny *imagemaker* *siebie samego* osobiście zaplanował wszystkie sądowe skandale. A ktoś najbardziej zazdrosny opublikował felieton o *czarnym pi-arze* (ot, takie słóweczko — właśnie zaczynało być wśród dziennikarzy modne). Choć w tym wypadku był to raczej Pe-Ar.

W rok później ujrzała światło dzienne jego druga i ostatnia książka — *Literatura mogła być inna* (z podtytułem *Ukraińska klasyka, odświeżona i uzupełniona*). W przedmowie Artur Pepa ze skruczą wyznawał, że *niechęć najmłodszego pokolenia do zagłębiania się w skarby klasyki narodowej musi zostać przełamana dzięki jakimś bardzo radykalnym środkom*. Ze względu na to proponował *nowe możliwości rozwoju znanych jeszcze ze szkoły najważniejszych podręcznikowych wątków*, spisując je na nowo z jako takim poszanowaniem poetyki autora i *zmieniając ich problematykę w stronę świadomego uwspółcześnienia*. Tak więc, pouczająco-usypiająca *Rodzina Kajdasza* w jego wersji stała się powieścią, owszem, o międzypokoleniowych sporach i swarach w rodzinie — ale mafijnej, semina-

rzyści w *Chmurach* zamiast żłopać wino upalali się przywiezioną z krymskich cukrowni trawą, a *Hajdamacy* — mścili na okrutnych i obojętnych właścicielach bazarów w Przemyślu oraz innych okolicznych miastach.

Rzecz jasna, wywołało to kolejne anatemy, a w kilku szkołach Lwowa i Galicji książka *Literatura mogła być inna* została nawet publicznie spalona podczas uroczystych akademii z okazji dnia nauki. Nagrodzony wspaniałym mianem jednego z *ojców duchowej truciizny* i wykonawców tak zwanego *projektu makdonaldyzacji Matki Literatury*, Artur Pepa na długo zamilkł, nieubłagane podążając w stronę swoich, niejednokrotnie tu już wspominanych, trzydziestych siódmych urodzin.

Wtedy właśnie zaczął myśleć o zupełnie innej powieści. Ale co to znaczy: „zaczął myśleć”? Naprawdę wyglądało to tak, że któregoś dnia przyjaciel zaprosił go do swojej chałupy na pogórzcu, na zbieranie resztki jabłek, które niezwykle tego roku obrodziły i przed którymi według jego słów *po prostu nie było zbawienia*. Arturowi żart się spodobał. Poza tym zwyciężyła chęć, by dokądś choć na kilka dni uciec. Podobnie jak niedwuznaczna perspektywa *przeptłukania gardła* na świeżym powietrzu. Takim oto sposobem, z woli własnej depresji i kolejowych aberracji, Artur Pepa znalazł się w straszliwie porannym pociągu podmiejskim, który z wysiłkiem przemieszczał się w stronę gór, z prędkością niewiele przekraczającą prędkość piechura. Mniej więcej o wpół do ósmej rano Artur Pepa kolejny raz

ocknął się z półsennego półdogasania, odlepiając policzek i skroń od brudnej szyby wagonu. Pociąg właśnie zatrzymał się na małej stacyjce, wokół zaczynały się pagórki. Oprócz tego była jesień, czerwono-żółte zakwitanie lasów, babie lato, błękitne niebo — takie, jakie bywa tylko w październiku. Wszystko to trwało nie dłużej niż minutę — ta odwieczna cisza z paniem koguta na samym dnie, zaniedbany budynek stacyjny, studnia, do której nawpadało czerwonych klonowych liści, zapach węgla. No i dwie postaci, które pomału oddalały się od stacyjki i najwyraźniej wysiadły z tego właśnie pociągu: ubrana na czarno kobieta z kosturem w jednej ręce i drewnianym kuferkiem w drugiej oraz beznogi mężczyzna na wózekczu, który urywanymi ruchami przemieszczał się do przodu, odpychając się od ziemi długimi (jak na niego) rękami w czarnych gałgankach. Artur Pepa widział ich tylko od tyłu, ale tego było dosyć. Po mniej niż minucie pociąg ruszył, i tak zaczęła się powieść.

To miała być historia starego teatru huculskiego (a może chóru — Artur Pepa jeszcze nie wiedział), opowiedziana jednym ciągiem, strumieniem świadomości, z pewnym zachłystywaniem się. Kiedyś coś takiego czytał albo słyszał: o tym, jak w czterdziestym dziewiątym w Moskwie postanowiono urządzić jak najhuczniejsze obchody siedemdziesiątych urodzin Stalina; z tej okazji sprowadzono legiony wszelkich folklorystycznych wykonawców, którzy mieli wziąć udział w poświęconym Nauczycielowi festiwalu wdzięczności. Wśród tłumów Jakutów, Karelów,

Mingreli i Czeczeno-Inguszków nie mogło zabraknąć i świeżo przyłączonych *ziem zachodnich*, spośród których wybór wysokich organizatorów padł bez wahania na egzotycznie efektownych, z kolorowymi piórkami przy kapeluszach, w obcisłych czerwonych spodniach, Hucułów. Imperium Józefa Nieśmiertelnego właśnie wkraczało w swoje późnorzymskie, nieco hellenistyczne stadium — pierwotny komunistyczny ascetyzm, odesłany do lamusa między innymi przez ostatnią, wyczerpującą wojnę, zastępowała całkiem hedonistyczna moda na przepych i wielobarwność. Zwycięzców rzeczywiście nie sądzono, przeciwnie — to oni sprawowali sądy, wykorzystując przy tym zdobyczne ułamki świata zwyciężonych. Takim oto sposobem czubek Piramidy przywykał już do obrazów Rubensa, pluszowych szeszlągów, czekolady i zwiewnej damskiej bielizny, sprawy nieubłagane szły w kierunku monstrualnych koniakowo-winogronowych nadużyć i zbroczeń płciowych. Słowem, taka rządowa rozrywka, jak kostiumowe *tańce ludów i narodów*, nie mogła nie spodobać się tym pierwszym postmodernistom.

Huculski teatr (albo chór?) istniał w Czortopolu jeszcze od austriackich czasów. Żadna z późniejszych władz nie odważyła się lub nie zdążyła go zlikwidować — oczywiście nie ma sensu wyjaśniać tutaj, dlaczego nikogo szczególnie nie drażnił. W jego składzie z pewnością nie przeważały *ludowe*, autentyczne i autochtoniczne samorodki, nie, była to zazwyczaj rozmaita miasteczkowa publiczność, rzecz by można,

inteligencja, ale znowu, taka, którą zwykło się uważać za pracującą, czyli *jeszcze nie oderwaną od korzeni*. Czyli — używając cokolwiek grafomańskiej obrazowości wielu Arturowych poprzedników — ich krew jeszcze pachniała dymem koliby, ale myśli dorastały już do pojmowania prawdziwej Treści Historii.

Rzecz jasna, gdy ociężały pociąg podmiejski ruszył dalej ze wspomnianej małej stacyjki, Artur Pepa niczego takiego jeszcze nie widział. Jedyne, co utkwiło w nim na długie tygodnie, to przeczucie powieści, zmateralizowane w dwóch wykoślawionych postaciach i porannej ciszy, usłanej czerwonymi jesiennymi liśćmi. Dopiero po jakimś czasie do tego wszystkiego dołączyła — wysuwając wężową głowę z innego schowka pamięci — historia podróży Hucułów do Stolicy.

Historia nęciła strasznie, była w niej możliwość mitu i poezji, było napięcie odwiecznego dramatu *artysta i władza*, była chronologiczna połowa wieku, co pozwalało we wszystkie strony przerzucać mosty w czasie, pchnąć w wir jednego tańca potomków i przodków, zabijać żywych i wskrzeszać martwych, tworzyć kolaż czasu, a przy okazji przestrzeni, przenosić góry i wybrzuszać otchłanie. Była w niej możliwość zbliżenia się do śmierci, bo sama ona straszliwie pachniała śmiercią, i Artur Pepa miał nadzieję, że podoła tej historii. Ze wszystkich jego powieściowych przeczuć przeziarał *Márquez*, właśnie on — taki sobie *realizm magiczny*, długie, hipnotyzujące okresy, prawie bez dialogów, skrajna zwartość i nasycenie detalami, eliptyczne aluzje. Właśnie dlatego, że tak to widział

i rozumiał, w ogóle nie chciał się za to brać. Bo nie chciał, by to był *Márquez*.

Powstrzymywało go również to, że dotychczas nie nauczył się opowiadania pełnowartościowych historii. Otaczające sploty wychodziły dużo lepiej niż główna linia. Na przykład, wciąż nie wiedział, co naprawdę stało się z teatrem (chórem?) po występach w Moskwie i czy w ogóle tam wystąpił? Czy na przykład doszło do zamachu na Wodza, do czego autor powinien stopniowo przygotowywać czytelnika książki za pomocą urywanych monologów bohatera, bez wątpienia związanego z podziemiem? Czy bohater miał strzelić ze sceny gdzieś na oślep, w czerń wysokiej łoży, z pistoletu skałkowego? Czy podać Ojczulkowi srebrny kielich z zatrutym winem? A może bohaterów było kilku, i zamachów takó¿, ale ¿adnemu bohaterowi jego zamach się nie udał? Czy była zdrada? A jeśli tak, to czy była miłość? I gdzie w ogóle w tej historii jest miejsce na miłość?

W ka¿dym razie, o czym pamiętał, nale¿ało unikać dokumentalizmu. To nie może być opowieść o wydarzeniach, które w czterdziestym dziewiątym naprawdę miały miejsce, to musi być zrobione i z większym wyrafinowaniem, i ze znacznie szerszymi horyzontami. Aby jednak nie stało się to zwykłą opowieścią o wydarzeniach, trzeba wszystkie te wydarzenia jak najdokładniej poznać. Bo jak uczył Artura Pepę stary Doktor Dutka, były profesor gimnazjalny, naprawdę wie nie ten, kto *wie*, ale ten, kto *zna*. Dlatego właśnie Arturowi Pepie brakło odwagi: nie znał.

Nie znał trasy ich podróży. Powinien widzieć ją ze szczegółami: bez wątpienia jechali pociągiem i bez wątpienia na północny wschód, ale powiedzenie *północny wschód* w żadnym razie nie wystarczało, należało jeszcze jak najwyraźniej zobaczyć, jak krajobraz staje się coraz bardziej północny, a jednocześnie coraz bardziej wschodni, przejrzyć tę pustkę jesiennych pól, to nagle przejście jesieni w zimę, deszczów w śniegi, a potem i przepełnione rozmaitymi zmarzniętymi uciekinierami piekielne stacje, odbudowywane z ruin rękami niemieckich, przez zimno pozbawionych godności jeńców; należało wyprzedzać całe transporty deportowanych, skazańców, niepostrzeżenie przekazywać za kraty chleb i papierosy, rozpoznawać wśród nich przyjaciół i krewnych, błednać i tracić przytomność. Geografia kryła w sobie przedziwne pułapki i podstępny, których istnienia Pepa nawet się nie domyślał.

Tak samo nie znał żadnego z labiryntów nieograniczonej władzy — co oznaczają te nocne przesłuchania w katowniach, przestrelone potylice, konfrontacje, rozpoznawanie zwłok i inne sprężyny tajnej policji. Należało przeżyć ten strach, być śledzonym, prowokowanym lub chociaż podejrzanym, trwać w rozdarciu między śmiercią i obowiązkiem, pamiętać ze szczegółami każdą z tysięcy tortur, nieustannie udoskonalanych dla *uzyskiwania* potrzebnych zeznań, a może raczej by zmusić do pełzania i zwijania się z bólu. Należało choćby na chwilę stać się kobietą i odczuć, czym jest gwałt, zwłaszcza gdy jest ich dziesięciu

i gwałcą po dwóch naraz, trzeba było poznać *zonę*, ale nie z opowieści.

Niczego również nie wiedział o stawianiu oporu. A w takiej powieści musiało znaleźć się wiele miejsca dla oporu, inaczej wszystko traciło sens. Tak więc, należało zrozumieć wszystkie zalety wojny partyzanckiej: brak pobudki o świecie i dyscypliny, podziemne kryjówki w leśnym gąszczu, konspiracyjne mieszkania i bunkry, należało nauczyć się gwizdania w umówiony sposób i stawiania min na drogach, pozbywania się wszy, pcheł i syfilisu, orientowania w nocy w lesie i rozumienia zaszytych w podszywce kaszketu szyfrogramów, a także wycinania swoich znaków zwycięstwa na korze drzew i ludzkiej skórze. Ale co najtrudniejsze — należało wiedzieć o beznadziejności i nieuchronnym końcu wszelkiej partyzantki, o tym, że wszyscy zdradzą wszystkich, i będzie ostatnia zasadzka i ostatni kocioł i ostatnia kula dla siebie, choć On przecież nie przyjmuje takich bohaterów do Królestwa Niebieskiego.

No właśnie — problem Boga, co z nim zrobić? Dać Mu szansę, uwierzyć w Niego?

Artur Pepa nie wiedział. Nie wiedział poza tym, co zrobić z Huculszczyzną. Istniała cała nauka o tej krainie, rozsypana po setkach książek i tym samym rozproszona, rozdrobniona, więc nie wiedział nawet, od czego zacząć i czy w ogóle zaczynać. Od Szuchiewicza, Vincenza? Hnatiuka, Kolberga, Żegoty Pauliego? Tuzina innych tutejszych krajoznawców? Może od szkolnych zeszytów w ceratowych okładkach męża Romy?

Bo nikt nigdy nie stworzył jednej wielkiej Księgi, która pomieściłaby wszystko — i język, i owczą wełnę, i siedem sposobów robienia sera, i palbę wokół cerkwi, i pierwszą krew weselną, i złowieszcze kręgi rytualnych tańców, i technikę spławiania drewna. Dlatego powinien znać masę dziwnych słów i zwrotów (*katuna*, powtarzał, dlaczego żołnierz to u nich *katuna*; dlaczego *fras*; dlaczego *hija*?) i sprawdzić mnóstwo danych dotyczących pasterstwa górskiego, a także pozamażeńskich, niemal nie-ludzkich stosunków. Stąd też powinien wiedzieć, jak pachną zioła, którymi naciera się ramiona i piersi przed stosunkiem, i jak nazywa się każda ozdoba ciała i ubrania, i wszystkie szczegóły ornamentów, razem wzięte i każdy z osobna, i z czego robi się rzemienie i sznurówki, i jaka skóra jest na to najlepsza, i jak nazywają się dziurki do tych właśnie sznurówek w chodakach (przecież i one miały własną nazwę, ale dla każdego rodzaju chodaków inną), i znów — jak pachnie pot *przed i po*, i czym najlepiej nacierać włosy, i członek, i usta, i jak upijać kochankę, i co pić samemu — ale nawet wiedząc to wszystko, nie wiedziałby ani dziesiątej części tego, co wiedzieć powinien, nie znałby wszystkich słów, zwyczajów, rzemiosł, roślin. Tak, należało znać setki roślin (a nie tylko jakiś jeden *pięciornik wyprostowany*), wszystkie ich nazwy i właściwości, i całą ukrytą, tajemną biologię, by w końcu gdzieś tam, na którejś stronicy powieści, mimochodem wymienić tylko jedną z tych setek, *pięciornik wyprostowany* na przykład.

I jeszcze: wiedzieć, jak jęczy umierająca czarownica.

I jeszcze: statystyka zachorowań na gruźlicę w wysokogórskich rejonach Karpat pod koniec lat czterdziestych.

I jeszcze: historia wszystkich instrumentów muzycznych, z wyjątkiem trembity.

Bo tak naprawdę jego powieść miała być bardzo fragmentaryczna i ledwie na jakieś sto stron maszynopisu, i nic z tego spisu nie musiało się tam znaleźć, ale musiała się znaleźć wiedza o wszystkim wyżej wymienionym — inaczej taka powieść po prostu nie mogłaby powstać. Tak więc, świadom tego, Artur Pepa krzywił się na myśl, że trzeba by kupić zapas notatników i dyktafonów, starych książek, map wojskowych, aparatów cyfrowych, wyjeżdżać na niekończące się ekspedycje, nie wracać z nich, systematyzować i klasyfikować ich wyniki, przyswajać je całym sobą, stawać się częścią tej kolekcji, łączyć z nią, słowem, być *Flaubertem*. Ale nie chciał być *Flaubertem*, i dlatego jego powieść nie powstawała.

A do tego nie wiedział nawet, po co to wszystko. Tysiąckroć porzucawszy natrętną powieściową ideę, jak porzucał już tysiące innych powieściowych idei, wciąż nie mógł się od niej uwolnić. Sądzę, że takie rozdwojenie musiało być związane z jego kryzysem, z lękami i rozpaczą. Powiedzmy, mógł świadomie odwlekać chwilę materializacji tekstu powieści, narzucając sobie myśl, że ma to być powieść ostateczna, czyli taka, która wyczerpie jego obecne przeznaczenie, stąd też, gdy tylko wszystko zostanie napisane, droga dla śmierci będzie z góry przygotowana. Dlatego wymyś-

łał niezliczone przeszkody, żeby jak najdłużej nie zaczynać. Zabobonność Artura Pepy w trzydziestym siódmym roku życia nie miała granic — był on przekonany, że takie powieści nie uchodzą bezkarnie, że raz startując na tym morderczym dystansie, zawrze ostatnią umowę pod tytułem *wszystko* albo *nic*.

Ale równocześnie był przekonany, że to nieuniknione, że nigdzie przed tą powieścią, tym pisaniem, tym starym huculskim teatrem (chórem?) nie ucieknie. A więc, tak czy owak, wszystko musiało skończyć się nagłym zatrzymaniem akcji serca (czy mogło być inaczej?). „Pewnie już po Wielkanocy”, pomyślał nie wiedzieć czemu. Byle nie już, nie od razu, nie tu-i-teraz. Byle przeżyć jeszcze jedną wiosnę. Od jakiegoś czasu wiosny zaczęły przemijać całkiem niepostrzeżenie — bez dawnego szelestu wilgotnych skrzydeł i awitaminozowego uniesienia, więc trzeba było jakoś się przed tym ratować.

Dlatego dość łatwo zgodził się w Wielkim Tygodniu pojechać w góry razem z Romą i jej córką. Nieznajomy właściciel firmy, dla której Artur Pepa czasami wymyślał hasła reklamowe, zapraszał w gości do swego pensjonatu na połoninie Dzyndzuł. Oficjalne przesłane pocztą zaproszenie otwierał cokolwiek przekręcony epigraf z Antonycza, gdzie słowa *wypić okowity*, jakby specjalnie dla Artura Pepy, były wyróżnione kursywą. W samym zaproszeniu, zgodnie z najgorszymi tradycjami frazeologicznymi epoki przejściowej, mowa była o chrześcijańskiej miłości i miłosierdziu, a także o *bohaterach biznesu*, którzy

w ekstremalnie trudnych warunkach ucisku podatkowego oraz wszechobecnej korupcji umieją nie zapominać o *bohaterach kultury* i w miarę skromnych możliwości wspierają ich swoimi *akcjami obywatelskimi* (te słowa także wyróżniono kursywą — jak się później okazało, wcale nie tak sobie); dalej była mowa o warunkach kilkudniowego pobytu gości w pensjonacie „Karczma „Na Księżycu” (wyżywienie, jaccuzi, osobne sypialnie, siamto owamto, chuju-muju); dalej nie wiedzieć czemu szedł tekścik o Antonyczu właśnie, którego jak się okazuje, mieli uczcić uczestnicy akcji; na czym miało polegać to uczczenie, nie zdradzono ani słowem. Wszystko zamykały dość bezsensowne wezwanie do poparcia w następnych wyborach bloku politycznego Karpacka *Akcja Obywatelska* (i tu cię mamy!) oraz kolejny wiersz, tym razem z pewnością nie przez Antonyczę napisany:

*Wyzwolą ciała wasze z objęć stresów,
pomocą szczerą wszystkich wnet obdarzą —
bohaterowie życia i biznesu
„Na Księżycu”, w karczmie waszych marzeń!*

Artur Pepa zgodził się, nawet nie zwracając uwagi na zamykającą strofę. Podobnie jak i na fakt, że w ślad za nimi w góry wyruszał towarzysz Romy, Austriak, dla którego czasem coś tłumaczyła. Artur niekiedy wpadał na tego trochę nieporadnego fotografa, choć podczas spotkań na ogół nie odzywali się do siebie ani słowem. „Nauczyłbyś się przynajmniej ukraińskiego,

dziubasku, skoro już tak ci się podoba jeżdżenie do nas” — dokuczał mu w myślach Artur Pepa, nawet nie podejrzewając, jak bardzo tamten chce mieć swoją tłumaczkę.

Fakt, że Kola też z nimi jechała, nie bardzo poprawiał sytuację, ale to pominiemy. Wystarczy nadmienić, że Artur Pepa stosunkowo łatwo pogodził się ze wszystkimi niewygodami tego rodzaju, bo przecież w głębi jego „ja” wciąż jeszcze czekał na swoje pięć minut poeta, Brat Artura, i niczego tak bardzo nie pragnął, jak przebudzić się wreszcie w trzydziestym siódmym roku życia.

II

Z KAMIENIA I SNU

A jednak pierwszego ranka wszyscy się w końcu obudzili, w różny sposób i w rozmaitych układach.

Artur Pepa został wyrwany z sennych marzeń niemal siłą, chciał jeszcze tam zostać, doprowadzić sprawę do końca, jakiegokolwiek, ale łomot, wywołany w łazience przez Romę Woronycz (istne lawiny strącanych do umywalki kosmetycznych drobiazgów, z rozmaitymi flakonikami i aerozolami włącznie), nieodwołalnie przerwał jego wędrówki po tamtej stronie. Teraz leżał na wznak na swojej części podwójnego łóżka, obok nietkniętego pasa ziemi niczyjej, między jego terytorium a terytorium żony, i smętnie rekonstruował senne przeżycia. Artur Pepa lubił owo melancholijne poranne przyglądanie się własnym snom.

Tym razem pół nocy zeszło na tym, że wciąż podrywał jakąś dziewczynę o rozmytej powierzchowności, najprawdopodobniej studentkę, i w żaden sposób nie mógł jej poderwać. W sumie był to jeden z najnudniejszych snów, jakie przytrafiły mu się w ciągu całego życia. Pamiętał, że w jakimś większym towarzystwie mała nagle całkiem wymownie na niego zerknęła

(zresztą, jak teraz rozumiał, nie było to nic innego, jak mała ciekawość) — ale to wystarczyło, by on, stary osioł, zdecydował się ją *rozpracować*. Przez kilka następnych godzin o czymś rozmawiali, siedząc tylko we dwójkę w którymś z najdalszych pokoi, przy czym sam dziwił się własnej niewyrafinowanej inwencji, gdy dziesiątki razy sprytnie wyprowadzał rozmowę z beznadziejnego ślepego zaułka i odnajdywał jakąś ostatnią szansę kontynuacji. Do tego jeszcze bez przerwy palili wszelkie gówno i Pepa z pewną obawą myślał o nieuniknionym przejściu do *pierwszych pocałunków*. Studentka niespodziewanie okazała się dość nieobyta, coś tam co prawda słyszała o swoim rozmówcy jako *ciekawym człowieku*, ale miała bardzo słabe wyobrażenie, czym on się właściwie zajmuje, więc bez przerwy opowiadała o sobie — o rodzicach, braciach, siostrach i jeszcze jakichś krewnych z Piotrkowa Trybunalskiego w Polsce, i o jakiejś Bagherze, która urodziła cztery kocięta naraz, i ile ma przyjaciółek, i które są prawdziwe, a które tylko udają, że są jej przyjaciółkami, bo naprawdę to takie świnię (tu z dziesięć razy, jakby się zacięła, z naciskiem powtórzyła „świnie, świnię, świnię”), ale w końcu przeskoczyła na to, jak wszystkie razem codziennie chodzą na zajęcia (tu przytoczyła cały calusieńki rozkład zajęć, od poniedziałku do piątku, szczególnie zapadła w pamięć czwartkowa *cyklomechanika latencyjna*) i jak przepisują od siebie konspekty, uciekają z seminariów, chodzą na kółko aerobiku, bo trener pływania *się dowala*, dalej było o tym, jak żyją w akademiku, jak

pozaklejały okna na zimę — nawet we wspólnej umywalni, przy czym w umywalni *większa połowa* umywalk jest potłuczona, a także jak sobie gotują makaron z zanętnikiem i chodzą piętro niżej oglądać w telewizji „Wielkie pranie”. Odpowiadając coś całkowicie bezsensownego na jej pytanie, jak skończył się wczorajszy odcinek *Bandyckiego Petersburga*, który przepuściła z powodu (uwaga — sen!) *burzy meteorytów*, zgrabnie zwekslował rozmowę na jej rajstopy i wysłuchał z tej okazji historii jakiegoś *Sławczyka z bazaru*, który poradził jej, by nosiła *o rozmiar mniejsze*. Chodziło oczywiście o dżinsy, w które ku rozczarowaniu Artura zdążyła przemienić się jej krótką, rozciętą spódniczka. Wtedy przyszła pora na wykładowców — i wszyscy oni, jak na proscenium, przemaszerowali przed udającym zainteresowanie spojrzeniem Artura, jacyś całkowicie pozbawieni charyzmy jejmoście i jegomościowie, ze dwadzieścia osób, z których każdą studentka opisała ze szczegółami i nie bez zjadliwości („A Jakub Markowicz, chemik, wiecznie *powietrze psuje!*” — zakończyła radośnie). Korzystając z nieoczekiwanej gadatliwości dziewczęcia, Artur Pepa przemysliwał tymczasem dalsze kroki. Pamiętał był o konieczności zabrania klucza, by zamknąć się od środka i móc przejść do konkretnych działań miłosnych. Zatem póki dziewczyna, metodycznie strącając jego dłoń ze swoich kolan (dżinsów już na sobie nie miała), opowiadała o wiszącej nad nią perspektywie zawalenia *taksonometrii*, zdążył uważnie rozejrzeć się na wszystkie strony i wreszcie zdecydował, że piep-

rzony klucz musi być nigdzie indziej, jak w sedesie, wmontowanym w parkiet na środku pokoju — klucz rzeczywiście się tam znalazł, więc starannie wytarł go chusteczką higieniczną *Tempo* i symulując bez troskę, przetańczył do drzwi, by zamknąć je na dwa zamki akurat w chwili, gdy nieznany jeleni postanowił walić w nie z drugiej strony, pewnie rogami. Dziewczyna tymczasem siadła na sedesie i dość otwarcie wyciurkała swoje *pi-pi*, jak sama to nazwała, co okazało się wystarczające dla uspokojenia i uciszenia kreatury za drzwiami. Wtedy Artur Pepa powiedział jej, że ją bardzo kocha, ale dziewczyna tylko przecząco kręciła głową i nie pozwalała mu nawet dotknąć piersi, nie wzbraniając jednak trzymania za rękę. Konieczna była znacznie bardziej intensywna perswazja, a więc Artur Pepa musiał odnaleźć w sobie wprost fantastyczne pokłady miłosnych słówek (zresztą wszystkie te kurtuazyjne kaskady pozostały tam, we śnie, choć pamiętał, że była to najwyższa szkoła jazdy) — mówił, że czekał na nią całe życie, że w zasadzie jest monogamistą, ale raz w życiu zdarza się cud, i dziś się właśnie zdarzył, i jemu dla pełni szczęścia wystarczy wiedzieć, że ona jest gdzieś tutaj, obok (najsłodsze, że wśród tych porwów w pewnym momencie nawet nazwał ją *jaskółeczką*, czego po obudzeniu wstydził się szczególnie), przy tym obcałowywał jej ręce i ramiona, rozpalając się coraz bardziej, musiał aż świecić na wylot miłością i czułością, więc ostatecznie ona z kokieteryą powiedziała: „No dobrze, dzisiaj ci uwierzę”, po czym położyła się przed nim na brzuchu, całkiem już naga.

I wtedy, próbując wziąć ją od tyłu, Artur Pepa zrozumiał, że tak naprawdę wcale nie ma ochoty, i najgłupsze było, że wszystko to kosztowało tyle czasu i wysiłku, a teraz pozostawało chyba tylko przeprosić za kłopot — i w tym momencie, gdy ostatnia nadzieja na taką erekcję pomachała łapką na pożegnanie, a za drzwiami znowu rozległ się szaleńczy łoskot, tym razem wywołany różnymi flakonikami i aerozolami, na tle szumu wody, puszczonej w łazience ze wszystkich możliwych kranów przez jego żonę, Artur Pepa otworzył oczy.

Leżał więc teraz na wznak, zastanawiając się, czy można taki sen uznać za erotyczny, czy nie jest on kolejnym świadectwem przemijania czasu, uciekania życia i co najważniejsze, czy nie zapowiada on czegoś bardzo niedobrego.

„Co za dureń, dureń, Boże, co za dureń!”, pani Roma też rozmyślała. „Co za dureń, dureń, dureń!”, myślała dalej, siadając w napełnionej właśnie akrylowej wannie niezwyklego kształtu.

Woda wydała jej się zbyt gorąca, więc odkręciła kran z zimną, myśląc o dwóch rzeczach naraz: że woda jest gorąca i że on jest durniem. Do tego jeszcze starsze się tak szybko, że przypomina to klęskę żywiołową. I gdyby wszystkie te idiotki, które on, ten dureń, usiłuje poderwać / które usiłują poderwać jego, gdyby tylko te wszystkie idiotki wiedziały, jak bardzo stał się niemrawy, nudny i nieporadny, i jak bardzo *na to* zo-bojętniał! Czy tak samo żebrałyby o jego autografy?

Ale to po prostu dureń i tyle, podsumowała, z rozkoszą wyciągając się w wannie.

Sprawiało jej przyjemność obmywanie swoich dosyć szerokich, płynnie zaokrąglonych ramion tą zielonkawą, leciutko spienioną wodą. Ramiona należały do jej największych zalet. „Powinnam nosić wieczorowe suknie z odkrytymi ramionami”, pomyślała i wyobraziła sobie siebie w dziewiętnastym wieku. Koło niej, ciężko posapując i pocąc się, przecisnął się przez tłum jakichś wrednych arystokratów Honore de Balzac i dość wymownie zerknął na jej dekolt. „A wiek balzakowski to ile lat?”, przyszło jej na myśl. To znaczy, od którego roku życia to się zaczyna, sprecyzowała, otwierając oczy. Po których urodzinach moja skóra zaczęła wiosną pokrywać się *plamkami*? Dobrze, że mam przed sobą jeszcze kilka wiosen.

Dobrze, że można tak leżeć w tej zielonej, wiosennej wodzie. A najważniejsze, że jest jej, ile dusza zapagnie, i ciepłej, i zimnej. Nie to, co we Lwowie. Nie tylko w pewnych godzinach. Tutaj jest zawsze. Ci miliony wszystko mogą. Ciekawe, kiedy on do nas przyjdzie? I jak może wyglądać? Pewnie jakieś takie łyse coś z wielkim brzuszyskiem i wąskimi szczelinkami zamiast oczu. Półtora metra wzrostu. Fałdy na karku itede. To przeważnie byli sportowcy, od wszelkich walk. Trudno sobie wyobrazić, jak jest w łóżku z takim wojownikiem. Wiecznie na łopatkach. No chyba że z wojownikiem o niepodległość, zażartowała.

„To moje ciało”, pomyślała, stając w wannie i dokładnie się namydlając.

„Dlaczego moje ciało jest właśnie moje? — przeszła do ulubionych sofizmatów. — To takie dziwne: myśleć o swoim *ja*, czym jest *ja*, dlaczego *ja* to *ja*. Coś się w tym kryje, zatajono przed nami jakąś rzecz ostateczną. To ciało mogło być czyjekolwiek. Dlaczego jest moje?”

Jej ciało z biegiem lat przybrało na wadze, ale nie za wiele. Wciąż jeszcze była atrakcyjna, bez wątpienia, pokryte cienką warstewką pary lustro nie kłamało (w rzeczywistości, podobnie jak większość ułamków zniekształconego Antyświata, lustro mimo wszystko odrobinę kłamało: troszkę wyciągało i tym samym wyszczuplało postać, tym razem akurat na tyle, by pani Roma pozostała całkiem zadowolona ze swojego ciała).

„Dureń — pomyślała — beznadziejny idiota i skończony dureń”.

Roma wciąż była nie tylko atrakcyjna, ale i seksowna. Bo seksowność to przede wszystkim pewność siebie. Coś w tym rodzaju wyczytała tydzień temu w „Elle Ukraina”. Bardzo jej się spodobała zręczność i precyzja tego sformułowania: „Seksowność to pewność siebie”. I rzeczywiście, niech to diabli, ciągnęła rozważania pani Roma, czym innym może być seksowność niż pewnością siebie, i czy w ogóle osoba pozbawiona tej pewności może być seksowna? Postanowiła, że od tego dnia będzie pewna siebie. Tyle lat przeżyła w niepewności, że dziś pozostało tylko pewnie brać wszystko, co zostało. „Dlaczego najważniejsze prawdy przychodzą do nas tak późno?”, skrzywiła się

do lustra i oczywiście pokazała sobie samej język. Język kojarzył się z kulką lodów, którą należało długo, namiętnie i ze wszystkich stron oblizywać. „To z telewizji”, słusznie zaopiniowała pani Roma.

Wtedy zachciało jej się stanąć na jednej nodze, zrobić kilka ćwiczeń, na przykład *jaskółkę*. Sto lat nie robiła *jaskółki*. Linie szyi, ramion, pleców, pośladków i nóg tworzyły cudowne łuki, półkola oraz wypukłości. Odkryła dla siebie swoją całkowitą plastyczność. Od dziecka przekonywano ją, że jest niezgrabna. Ciekawe, kto pierwszy wymyślił tę bzdurę? Kochany tatko z jego marazmami? Znienawidzona mamcia z jej miazmatami? A może to *on* jej to narzucił, żeby ją trzymać przy sobie na krótkiej smyczy, stary, żółtozęby molfar?

Pani Roma w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, czy uważano ją za niezgrabę jeszcze przed narodzinami Koli, czy dopiero po? Czy przed ślubem, czy już po? Czy zanim poszła do szkoły, czy później? A może przed jej własnym narodzeniem? Może ktoś tak za nią zdecydował — i kropka?

On pilnował każdego jej ruchu, nie pozwalał tańczyć z innymi, a sam tańczyć nie umiał. I właśnie dlatego, pieprzony stary cap, wszystkim mówił, że jego żona nie tańczy, że — trzymajcie mnie! — wstydzi się własnych ruchów! A teraz, zdechły, stary molfarze, patrz, patrz, jak ja — trzymajcie mnie! — robię *jaskółkę*!

Nie mogła się nie poślizgnąć i ciężko zanurkowała w wannie, rozpryskując białe strzępy i wychlapując na dywanik z napisem „Szczęść Boże!” mniej więcej

jedną trzecią piany. „Idiota — pomyślała. — Boże, jaki idiota, bałwan i dureń!”

Nieco później, masując pod prysznicem lekko stłuczone i nie mniej od tego atrakcyjne miejsce, dodała: „Stoję między nimi dwoma”. Chciała rozwinąć tę myśl, ale była jak zahipnotyzowana. Stoję między nimi dwoma. Stoję. Między nimi. Dwoma. Sto. Jęmiędzy. Nimidwo. Ma.

Potem, gdy już wycierała się wszystkimi pięcioma ręcznikami, jej myśl poszła o krok dalej: „Jednego z nich kocham, drugi mi się podoba”.

Ale czegoś tu brakowało. „Jeden z nich mnie kocha”, tego była pewna. Z drugim tej pewności nie było, więc o nim cyt. Jednego z nich kocham. Jeden z nich mnie kocha. Jednegoznich ja. Jedenznich mnie. Ciało stawało się suche i ciepłe. Było to bez wątpienia jej ciało. Dobrze, że było jej.

Znów stała przed lustrem — teraz już po kąpieli. Smarowała się swoim ulubionym kremem przeciwzmarszczkowym.

— Masz dorosłą córkę — zadudniło jej za plecami.

— O *Scheisse* — zaklęła. *On* znowu tutaj! Wiedziała już, że zaraz przylgnie od tyłu i zacznie dmuchać jej w kark, łaskoczac szyję opadającymi, pszenicznymi wąsikami. *On* tu jest, chociaż nie można go zobaczyć w lustrze. Postanowiła się nie oglądać.

— Masz dorosłą córkę — zadudniło po raz wtóry. — Pomyśl o swoim wieku. Jesteś moja.

„Zabierz ręce — pomyślała, drżąc od zimnego objęcia. — I zgiń, przepadnij. Ciebie nie ma”.

Ale władczo jej powtórzono:

— Jesteś moja.

„Tylko nie to”, pomyślała, czując, jak pochyła ją do przodu; próbowała się opierać, ale *on* miał tysiąc-kroć więcej siły w zimnych rękach, i właśnie te zimne jak u robota ręce zamknęły w sobie jej piersi, a potem jedna z nich przycisnęła jej głowę do ebonitowej półki pod lustrem. „Nie”, pomyślała błagalnie, czując, jak coś jeszcze zimniejszego, znacznie zimniejszego niż ręce, jakiś lodowaty drąg w kulistym szorstkim hełmie, usiłuje wdrzeć się w nią od tyłu. Po chwili zrozumiała, że wszelki opór jest daremny i że zaraz stanie się to, co już nieraz działo się z nią w snach i kończyło jej haniebną kapitulacją: orgazmem.

Ale gdy tylko to rozumiała, czując głęboko w sobie pierwsze bezlitosne drgania znienawidzonego i słodkiego trzpienia, równocześnie rozumiała coś jeszcze — że to tylko sen i że można się z niego w każdej chwili obudzić, wystarczy zapragnąć.

Dlatego niedostrzegalnie uwolniła prawą rękę spod śmiertelnie zimnego ciężaru, który się na nią zwałił, i z wysiłkiem wyciągnęła ją w stronę zasłony na prawo od lustra, by odpędzić go strumieniem dziennego światła. Usłyszała jeszcze, jak ze wszystkich półek, o które po drodze zaczęła, posypały się niezliczone, przeważnie wiedeńskie flakoniki, aerozole i tym podobne dyrdymały, jak wszystko to zahuczało różnobarwną lawiną w umywalce i na terakocie, a potem świetlista biel uderzyła ją po oczach, lodowaty trzpień raptownie zmiękł, osłabł i bezboleśnie się z niej wyślizgnął.

Woda w wannie zdążyła wystygnać. Pani Roma znowu odkręciła ciepłą i powoli dochodząc do siebie, nawet się nie zdziwiła na widok rozsypanych wszędzie — na podłodze i w umywalce — śladów swojej niedawnej walki, o której ten dureń, dureń, dureń i ostatni idiota w sypialni za ścianą nie miał nawet pojęcia.

Reżyser Jarko Mahik tego ranka po raz kolejny przeglądał warianty scenariusza wideoklipu, który miał tu nakręcić. Chodziło o kilkuminutową reklamę *cudotwórczego Balsamu Warcabycza* — nad podziw paskudnego i wątpić można, czy nieszkodliwego dla zdrowia konsumentów napitku, który niedawno pojawił się na rynku alkoholi i w żaden sposób nie mógł przebić się wśród bardziej znanych i uznanych konkurentów. Nie pomagała ani śmiesznie niska cena (sześć hrywien sześćdziesiąt pięć kopiejek), ani mętno-błotnisty kolor produktu, mający, zdaniem producenta, kojarzyć się z karpacką długowiecznością, ani nawet zupełnie sympatyczny slogan „Od zawsze i na wieki”, starannie wykaligrafowany na etykietach pseudostarostwianśkim pismem. Uratować sytuację mogła tylko natrętna i głośna kampania reklamowa. *Produkt*, zamówiony u Mahika, był przeznaczony dla wszystkich krajowych kanałów telewizyjnych, chociaż — i *przedstawiciel klienta* tego nie ukrywał — ostatecznym celem było dotarcie do NTV, STS, TVN, RTL, MTV, a nawet Al Dżaziry.

„Wiesz co, weź ty jakąś *laskę*, albo lepiej dwie — wyrażał życzenia dotyczące projektu *przedstawiciel klienta*, bysio-szyta bez palca wskazującego na prawej ręce i kciuka na lewej — weź dwie *laski*, przebierz je za takie, no wiesz, Hucułki, wywieź na połoninę i...”.

Dalej *przedstawiciel klienta* nic nie mówił, tylko dolewał sobie do musztardówki *balantajnsa* i jedną z bezpalcych dłoni wrzucał w swoją rekinia paszczę garść orzeszków ziemnych, by zmiażdżyć je wszystkimi czterema rzędami zębów jednocześnie. To, co miało się wydarzyć po wieloznacznym „i”, najwyraźniej leżało całkowicie w kompetencjach reżysera. Wierzono mu jako działaczowi kulturalnemu i *przedstawiciel klienta* nie omieszkiał tego podkreślić. Miało to miejsce we Lwowie, siedem i pół tygodnia temu.

A teraz Jarko Mahik czytał w propozycji scenariusza nr 1, co następuje: „Słoneczny poranek na połoninie. Dwójka młodziutkich dziewcząt, odzianych w najbardziej charakterystyczne wzory tradycyjnego huculskiego stroju ludowego, wesoło biega po trawie. Wokół nich fruwać motyle. Dziewczęta śmieją się wesoło. Na nogach mają piękne trzewiki do kolan. Jedna z nich zbiera piękne kwiaty. Druga plecie z nich piękne wianki. Gdy obydwie wianki są już gotowe, piękne dziewczęta wkładają je. Jedna z nich kładzie drugiej ręce na ramiona, a druga obejmuje ją w talii. Zaczynają wirować w rytm hucułki. Kolana. Taniec wciąż przyspiesza. Dziewczęta wirują to w jedną stronę, to w drugą. Kolana plus. Muzyka znów przyspiesza. W końcu padają sobie w objęcia i ich usta łączą

się w pocałunku. Całują się coraz bardziej namiętnie. Głos zza kadru: *Od zawsze i na wieki: liryczna kraina pracy i piękna*. Pojawia się butelka Balsamu Warcabycza na pół ekranu. Na drugiej połowie ekranu dziewczęta, które wciąż jeszcze całują się łapczywie. Głos zza kadru: *Balsam Warcabycza — jak pocałunek góralki. Pozwól sobie zwilżyć wargi*”.

„Ciekawe, ile płacą tym zasrańcom za taką bazgralinę?”, pomyślał Jarko Mahik, z obrzydzeniem odsuwając propozycję nr 1 i zagłębiając się w propozycję nr 2.

Było tam napisane: „Słoneczny poranek na połoninie. Dwójka młodziutkich dziewcząt w wesołych spódnickach w żółto-czarne paski i z przezroczystymi wesołymi skrzydełkami na ramionach wesoło przefruwa z kwiatka na kwiatek. Na jednym z kwiatków zaczynają wirować w rytm hucułki. Uda. Taniec wciąż przyspiesza. Dziewczęta wirują to w jedną stronę, to w drugą. Uda plus. Muzyka znów przyspiesza. W końcu padają sobie w objęcia i ich czułki (na papierze wydrukowano błędnie *czubki*, ale Jarko Mahik nie dał zbić się z tropu) splatają się czule przy pocałunku. Ssą coraz namiętniej. Głos zza kadru: *Od zawsze i na wieki: obce trutnie nie mają szans*. Pojawia się butelka Balsamu Warcabycza na pół ekranu. Na drugiej połowie ekranu dziewczęta, które wciąż jeszcze pracują czułkami (jednak czułkami, utwierdził się Jarko). Głos zza kadru: *Balsam Warcabycza — jak miód ojczysty. Posłuchaj głosu rodzimych pszczół*”.

„Bez polityki się nie obeszło” — skrzywił się Jarko Magik, równocześnie przyznając mimo woli, że wa-

riant drugi wygląda lepiej. „Tylko jak to zrobić, żeby te głupie cipy latały?” — postawił zupełnie słuszne pytanie techniczne.

(I tu konieczny jest komentarz. Budżet wideoklipu przewidywał honoraria wystarczające na zaproszenie kilku zupełnie przyzwoitych modelek jeśli nie z którejś kijowskiej agencji, to przynajmniej z dowolnej lwowskiej. Jednak Jarko Mahik, jako doświadczony wykonawca podobnych zamówień, już nauczył się twórczego stosunku do budżetów i nieustannego manewrowania między pozycjami wydatków. Tak więc znajomy działacz, były kaowiec z Czortopola, podrzucił mu dwie miejscowe gąski — striptizerki, farbowaną na czarno blondynkę i farbowaną na blond brunetkę, odpowiednio „Lilę” i „Marlenę”, jak kiedyś je nazywał. Dziewczyny gotowe były pójść na wszystko, bo już dobre półtora miesiąca nic nie zarobiły z powodu Wielkiego Postu. I to one właśnie przed chwilą zostały w myślach nazwane głupimi cipami).

Ale jako ostatnia w teczce leżała propozycja scenariusza nr 3: „Ciemna noc na połoninie. Gdzieś na zaczarowanym karpackim uroczysku odbywa się tajny obrzęd motocyklistów. Szaleją wokół ogromnego ogniska, potem zeskakują z motorów i zaczynają tańczyć, podając sobie z rąk do rąk rozmaite butelki (Jim Beam, Courvoisier, Acapulco, Smirnoff) i po kolei z nich pociągając. Kalejdoskop twarzy, odbłasków ognia na kamieniach i trawie, rozbłyśki różnokolorowych cieczy. Wybór pada na dwójkę dziewcząt. Jedna z nich jest czarna jak wrona, druga biała jak gołąbka. Wychodzi

to na jaw, gdy obie zdejmą kaski. Trafiają do środka korowodu i niemal oblizywane przez języki ognia, zaczynają zrzucać z siebie motocyklowe skóry. Wszyscy brodacze wokół nich aż zamierają w napięciu i oczekiwaniu z rozdziawionymi, pożądliwymi gębami. Ale po chwili dziewczęta już tańczą hucułkę, odziane w najbardziej charakterystyczne wzory tradycyjnego huculskiego stroju ludowego. Wszyscy znów puszczają się wokół nich w tan, a przekazywana teraz kołem butelka — to tylko jedna, za to *dobrze znajoma* butelka. Resztki zostają strząśnięte do ognia, ciecz wybucha, nad ogniskiem unosi się wielki słup światła i nagle wokół drży ziemia. Dziewczęta nadal tańczą, a tymczasem spod ziemi powstaje olbrzymi szkielet, który dosłownie w kilka sekund obrasta ciałem, włosami, ubraniem, błyskawicznie przebywa od tyłu wszystkie stadia i stany ludzkiej fizjologii, stopniowo zmieniając twarz zmarłego na twarz starca, tę znów na twarz dojrzałego mężczyzny i tak dalej, i oto przed nami już młody przystojny *łegiń*, który porywa obie dziewczyny — czarną i białą — w niesamowicie szalony wir hucułki, z siłą i mocą trzymając je rękami poniżej talii. Muzyka wciąż przyśpiesza. Głos zza kadru: *Od zawsze i na wieki: swoje poznajmy*. Pojawia się butelka Balsamu Warcabycza na pół ekranu. Na drugiej połowie ekranu uśmiechnięty *łegiń* obejmuje w łóżku szczęśliwe dziewczęta. Głos zza kadru: *Balsam Warcabycza — jak woda żywa. Podniesie nawet niezabalsamowanego*”.

„Zajebicie — pomyślał Jarko Mahik. — Tu to bym poszalał. Enya, Marilyn Manson, Rusłana, Stan-

ley Kubrick. Steven Spielberg. Freddy Krüger. Efekty specjalne, grafika, animacja, photoshop, corel draw. Znaleźć ze dwudziestu przyzwoitych motocyklistów też nie problem, tak samo parę normalnych nieogolonych bikerskich pysków. Trupa się znajdzie zajebistego, starego grzyba też. Ale skąd mam wziąć tego *łeginia* kraśnego? Tego przystojniaka-*łeginia*?”.

Okoliczny ród męski jakoś rzeczywiście coraz słabiej spełniał mitologiczne standardy. Było wprawdzie paru jako tako przystojnych aktorów, ale ostatnimi czasy zapraszano ich do udziału w reklamach tak często i gęsto, że ich wyeksploatowane gęby zwyczajnie przestały uderzać w oczy, bo wyraźnie znudziły się całemu światu, a przynajmniej pewnemu konkretnemu krajowi.

Jarko Mahik miał więc bez wątpienia rację, kiedy zamyślił się nad problemem głównego bohatera i drapiąc rudą włochatą pierś, wyruszył na poszukiwanie kuchni i obiecanego w umowie, jako nieodłącznego elementu pełnego wyżywienia — śniadania.

— Obleci — powiedziała Lila, nierasowa, ale całkiem zgrabna koteczka, przeciągając się na łóżku.

— Spoksik, idzie wytrzymać — zgodziła się z nią Marlena, kotka numer dwa, dla odmiany czarna, wydostając się spod stolika przy lustrze, gdzie właśnie znalazła zgubiony złoty *kulczyk*.

To były dwie najlepsze przyjaciółki, które nigdy się nie kłóciły, bo przecież kochały się jak siostry. I nie tylko.

— Coś jak w Czechach — dodała Lila. — Pokoje w Czechach też są takie: meble i w ogóle.

Swego czasu Lila rzeczywiście pojechała do Czech, gdzie obiecano jej posadę tancerki w — jak określili to werbownicy — *głównym variétés miasta Pragi*. Jednak nie udało jej się przekroczyć słowacko-czeskiej granicy i przez więcej niż pół roku zasuwała jako tak zwana zmywająca (*sto baksów miesięcznie i każdy cię może przelecieć*) w jakimś pieprzonym *pogostinstwie* koło Liptowskiego Mikulasza. Ale o tym wiedziała tylko ona.

— W Czechach też jest zajebiście? — spytała Marlina, wpinając przed lustrem w ucho świeżo znaleziony *kulczyk*.

— Jak w Erefenie — westchnęła Lila. — Prawie że tak samo.

Usłyszała gdzieś takie porównanie, w jakimś poście. Jechała tam jedna wszystkowiedząca lady, która na cały wagon obwieściła, że *w Czechii oni pocztą jak w Bundesie żywut*. Teraz Lila wykorzystała podpowiedź pamięci.

— W Polsce też ujdzie — zapewniła Marlina. — Tam trzysta na miesiąc płacą.

— I co, i tobie płacili? — z pewnym niedowierzaniem spytała Lila.

— A co, a nie? — uparcie potwierdziła Marlina, udając, że nie dostrzega wątpliwości przyjaciółki. — No czasem bywało, że mniej.

— A ty tam co, też tańczyłaś? — kontynuowała zastawianie sideł Lila.

— A co, a nie? — powtórzyła ulubione wyrażenie Marlana. — Taki zajebisty bar, za walutę. No i tak się po ichniemu nazywał: Bar Walutowy. Dla dzianych gości.

— To Rusłan co opowiadał, że niby ty na dworcach? — trzasnęły zęby pułapki.

— Rusłan? — rzuciła Marlana, nieco nerwowo łapiąc za kosmetyczkę.

— Niby że cię na jakimś dworcu przyłukał — spreyczowała Lila, ziewając.

— Pierdoli jak zawsze — znalazła odpowiedź Marlana. — Co ty, wierzysz mu? Kretyn i tyle!

— Kretyn czy nie, a brykę już trzecią wymienił — argumentowała Lila.

— Też mi historia, brykę wymienić — sparowała Marlana, wysypując z kosmetyczki na stolik wszystkie posiadane gadżety. — Lepiej niech powie, jak go ze śledziami na dziesięć paczek zielonych zrobili.

Lila jeszcze raz przeciągnęła się po kocie mu i usiadła na łóżku.

— Pani Walewska? — spytała po chwili, patrząc, jak Marlana bierze się do malowania rzęs.

— Estée Lauder — odparła Marlana, zdecydowana absolutnie w niczym się z przyjaciółką nie zgadzać.

— Ja tam wolę Max Factor. Albo Revlon — Lila zaczęła ściągać przez głowę kusy nocny komplecik, dokładniej mówiąc, *kombinacyjkę*. — Estée Lauder to u nas same podróby — dodała, niby tak przy okazji.

— A to nie nasze — wdrapała się na wyżyny wyższości Marlana. — Dostałam. Od jednego takiego z Beneluksu, biznesmena.

— Ja to ci powiem, za granicą to wszystko jedno, jak kaszkę stukać — wróciła do tematu Lila, znajdując w końcu na podłodze, koło wezgłowia, swoje symboliczne, jak je nazywała, *majtałki*. — Byle normalnie płacili.

— Brzuch ci wisi — zauważyła Marlena. — Poćwiczylaśbyś.

— I na to jest amator — machnęła ręką Lila.

— Jeszcze trochę i przestaniesz na scenie normalnie wyglądać — nie odpuszczała spragniona rewanżu Marlena.

— Chrzanie — Lila mało się nie wściekła. — Tak czy siak ani myślę do końca życia się pod muzykę przed facetami rozbierać.

— Gorzej ci? — Marlena machnęła ręką, kończąc błyskawiczną obróbkę rzęs i przechodząc do szminki. — Przecież nic innego nie umiesz! — Ori-
flame — dodała po chwili, pokazując Lili swoją szminkę.

— Wielkie mi halo — nie poddawała się Lila, która zdecydowanym ruchem wstała z łóżka i energicznie zapięła biustonosz. — Łeśkę z trzydziestej drugiej grupy w szkole pamiętasz? Jełopa taka, nic specjalnego! No i siedzi teraz we Włoszech, w tym, no, miasto takie z wodą, coś jak Wenecja, łapiesz? Znaczy, ma tam niby miejsce w płatnym kiblu; nic, tylko cały dzień siedzi. I normalnie płacą, a jeszcze coś jakby faceta znalazła, Armeńca jakiegoś czy Greka, czy coś w ten deseń. I głupia cipa, nic nie umiała, nawet się na scenie rozebrać...

— Płatny kibel? I nic, tylko siedzieć? — Marlena aż prawie przestała malować usta.

— I nic, tylko siedzieć! — kontynuowała atak Lila, wedle dawnego zwyczaju wszystkich praprzodkiń chwyciwszy się rękami pod boki. — No, znaczy tam, porządku pilnować, żetony sprzedawać...

— Wszystko jedno, i to praca — pokręciła głową uparta Marlena.

— A u nas co, to nie praca? Nie, no sama powiedz, to nie praca? — Lila wstrząsnęła białą grzywką, nie wypuszczając własnych boków z tak samo własnych rąk. — Tańce się to nazywa! Tańce-łamańce! A może tańce-jebańce! Te ich tańce, każdy by tylko poobmacywał na krzywy ryj, a jak się da, to i przeleciał za bezdurno! I cała forsa dla alfonsów, a dla nas... Ty wiesz, ile nam dają?

— A co, a nie? — powiedziała Marlena.

— Nic ty nie wiesz, głupia Hucułko — zaprzeczyła Lila. — Nam dają sześć i pół procenta, łapiesz? Sześć całych, pięć dziesiątych!

— Sama jesteś Hucułka — nie wytrzymała Marlena i cisnęła w Lilę pustą (niestety) kosmetyczką. — Hucułka Ksenia! — dodała, żeby jej ostatecznie dopiec.

Jednak Lila w odpowiedzi tylko pokazała jej środkowy palec — gestem, którego nauczyła się od znajomego Paszy z podatkowej — i znikła za drzwiami łazienki.

— Zęby umyj! — krzyknęła za nią Marlena.

Nie zobaczyła pokazanego raz jeszcze zza drzwi środkowego palca, ale usłyszała, jak gwałtownie spuszczonej została woda w sedesie.

Młoda Kołomeja Woronycz, albo krótko mówiąc, po prostu Kola, już od dawna była strasznie głodna, więc nie czekając dłużej na jakieś oznaki zainteresowania czy przynajmniej przebudzenia z pokoju starych, samodzielnie ruszyła na spotkanie własnych przygód. Na szczęście poszukiwanie kuchni nie trwało zbyt długo — przemknęła koło drzwi z napisem DEFLO-RACJA, prawie nie zwróciła uwagi na inne z napisem LASCIATE OGNI SPERANZA, i już trafiła do narożnej izdebki, gdzie od razu rzuciła się do pogryzionych przez korniki starych kredensów. Kola pomyślała, że największą chęć ma na sernik — i natychmiast go znalazła. Sernik był dość świeży, ktoś już odciął z niego kilka kawałków, ale większa część jeszcze leżała nie-tknięta na talerzu. Oprócz tego Kola miała ochotę na mleko, ale w tej części jej życzenie zostało wysłuchane bez należytej uwagi, więc musiała zadowolić się słoi-kiem ciemnozielonego miodu spadziowego, co samo w sobie nie było złe.

Kola usiadła przy stoliku koło okna, odłamywała kawałki sernika i maczała je w słoju z miodem. Patrzyła przy tym na góry za oknem, na mokrą od topniejącego śniegu trawę, na wiatr, który niemal bez ustanku buszował w krzakach jałowca. Dzień był słoneczny, a sernik z miodem bardzo smaczny. Kola usiłowała nie mlaskać, choć była strasznie głodna i miała na to wielką ochotę. „Sernik — myślała. — Sernik, ale super, po prostu jedwabście!”

Jednakże szybowanie jej myśli zostało bezcere-monialne przerwane pojawieniem się w izdebce sta-

rego, przysadzystego dobrodzieja Doktora. Wszedł do środka, przecierając swoje międzywojenne okulary i z rozkoszą mrużąc oczy przed światłem słonecznym.

— Cóż za piękno! — powiedział Doktor. — Uszanowanie miłej, młodej panience. Czy sernik smakuje?

Kola właśnie napełniła usta słodką, zalepiającą masą, więc zdołała zareagować tylko niewyraźnym „uhu”.

— Poranek i młodość — nie ustępował Doktor, moszcząc się przy stoliku obok. — Wszystko, czym oddycha prawdziwa poezja. W panienki wieku (powiedział *rokach*, ale było jasne, że chodzi o *wiek*), w wieku panienki poezja określa każde drgnienie duszy. Czy panienka lubi poezję?

— Tak — odpowiedziała Kola, gdy przełknęła.

— Tak! — entuzjastycznie kiwnął głową Doktor. — Ten okres, którym miła panienka ma szczęście się cieszyć, pewien młody poeta nazwał był niegdyś przywitaniem życia. Oczywiście wie panienka, o jakim poecie mówię?

Doktor spojrzał na Kolę znad okularów, jak życzliwy egzaminator.

— Tak — odpowiedziała trochę niepewnie Kola.

— Wiedziałem, wiedziałem, że panienka wie! — szczerze ucieszył się Doktor. — Niestety, w dzisiejszych czasach nasza młodzież nie nadto orientuje się w tych kwestiach. Ale panienka jest inna, głęboko w to wierzę. Proszę jeść, ależ proszę, sernik z pewnością jest nadzwyczaj smaczny, nie mówiąc o tym

nadzwyczajnym górskim miodzie! (Powiedział *ekstraordinaryjnym*, ale Kola i tak dalej jadła, co prawda teraz jakby pod lekkim przymusem).

— Bohdan Ihor Antonycz — odezwał się po chwili profesor, otwarcie delektując się jej młodzieńczym apetytem — był i pozostał w naszej świadomości poetą przede wszystkim młodości i wiosny. Poeta chmielu, wiosny, pędu, tak sam o sobie powiedział i lepiej nie można tego ująć.

Kola nie wiedziała, co odrzec, w dodatku słowo „chmiel” w interpretacji ojczyrna miało według niej jakieś inne znaczenie, ale Doktor, na jej szczęście, pociągnął wątek:

— Wy, młodzi, przeważnie nie dostrzegacie wiosen. Wydaje się wam, że wiosna jest czymś tak nieustannie obecnym na tym świecie, że postrzegacie ją i przyjmujecie bezrefleksyjnie. Dopiero znacznie później przychodzi świadomość, że wszystkie nasze wiosny, podobnie jak nasze lata, są policzone. „Śmiech mój jeszcze młody i dusza wciąż zielona”, tak nagle spada bielmo z oczu poety Antonycza. Łaskawie proszę zastanowić się nad tym *jeszcze*. Czy nie jest ono początkiem tragicznego w swej istocie odkrycia, że zostaliśmy obdarowani przemijaniem?

Profesor z uśmiechem patrzył na Kolę, od czego nawet nadzwyczajny górski miód nabierał gorzkiego smaku. Kola gorączkowo myślała, co by tu powiedzieć, bo trochę zrobiło jej się żal starego hobbita, więc w końcu zapytała:

— Może trochę sernika? Jeszcze dużo zostało...

— Serdecznie dziękuję — zamachał rękami Doktor — nie wolno mi słodyczy. Diabéte, rozumie panienka. Kiedyś nad wyraz lubiłem słodyczne, zwłaszcza makowniki mojej cioteczki. Ale proszę spojrzeć tam, za okno. Cóż za przepiękne góry! Jakież słońce! Góry i słońce to dwie rzeczy, które podarowano nam, abyśmy mogli w pełni rozkoszować się krótkotrwałą naszą egzystencją. W górach, gdzie bliżej słońca, tak sformułował to poeta Antonycz. I powiedział jeszcze: wiosna podobna karuzeli!

Na chwilę zapadło milczenie. Kola udawała, że starannie żuje sernik. Ale profesor najwyraźniej nie umiał zbyt długo milczeć.

— Interesujące jest też — oznajmił po chwili — jakie trudne do racjonalnego wyjaśnienia obrazy znajduje poeta, pisząc o wiosnie. Na przykład, dwanaście wiosny kręgów. Właśnie tak: dwanaście wiosny kręgów! Czy miłej panience zdarzyło się liczyć do dwunastu?

Kola wzruszyła ramionami i pomyślała, że głupszego rozmówcy nie pamięta, jak żyje. Ale z grzeczności musiała zebrać siły i odpowiedzieć:

— Zdarzyło.

— Wspaniale! — profesor mało nie podskoczył na krześle, zupełnie jakby tylko na to czekał. — Proszę więc spróbować wymienić wszystkie dwanaście wiosennych kręgów, o których pisze poeta Antonycz.

Kola pomyślała: „Aha, jeszcze czego”, i powiedziała wszystko, co przyszło jej do głowy:

— No, pierwszy krąg, to pewnie... pas niewinności na dziewczętach.

Sama nie wiedziała, dlaczego tak jej się powie-
działo.

— Wspaniale! — Doktor znowu podskoczył jak
derwisz. — A drugi krąg?

— A drugi... Drugi, to pewnie... taki taniec, kiedy
wszyscy tańczą w kole. No, znaczy, kładą chusteczkę
na podłodze i wszyscy się ze sobą całują.

— Fenomenalnie! Trzeci, czwarty? — zachęcał da-
lej Doktor.

Kola nastroszyła się i powiedziała:

— Muszę pomyśleć.

— Niechaj więc będzie to coś w rodzaju zada-
nia domowego dla miłej panienki — zatarł ręce pro-
fesor. — Obieca mi panienka, że do końca wakacji
będzie umiała wyliczyć wszystkie dwanaście kręgów?
A zresztą, proszę niczego nie obiecywać, to, najmoc-
niej przepraszam!, wyłażą ze mnie moje paskudne bēl-
ferskie nawyki (powiedział *nałogi*, ale Kola rozumiała,
o co chodzi). Proszę niczego nie obiecywać, tylko zwy-
czajnie patrzeć i radować się!...

Aby nie rozczarować zabawnego dobrodzieja, Kola
uważnie wpatrzyła się w zaokienny świat. Wydawało
jej się, że krąży na oszałamiającej karuzeli gdzieś pod
samym niebem. Cała kraina, z lasami, strumieniami
i maleńkimi stacyjkami kolejowymi rozciągała się pod
nią. Ale to szybko minęło — prawie równocześnie
z wilgotnym zapachem pierwiosnków. Pozostała tylko
maleńka postać nieznajomego, który powoli wspinał
się do pensjonatu po coraz bardziej stromym zboczu
od strony lasu.

— Albo dajmy na to, zapachy — odgadł jej zagwozdkę profesor. — Wiosna w górach obdarowuje nas tak niezwykłą i wzruszającą ich gamą! Zna panienka zapach jałowca? A igliwia? A mokrych szyszek? Albo właśnie pierwiosnków? Czy dajmy na to, pięciornika? Albo po prostu: jak pachnie glina, zwyczajna glina, z której wszyscyśmy wyszli i do której powrócimy? I wszystko to darowane nam jest nie pojedynczo, ale razem, w jednej ulotnej substancji! Interesujące, że Antonycz dla wszystkich tych odczuć znajduje jeden i ten sam epitet: „upojny”. Ale trudno to lepiej ująć. Trudno to lepiej ująć, nieprawdaż?

— Prawda — powiedziała Kola, mimochodem odsuwając opróżniony w jednej trzeciej słoik z miodem, ze spływającymi powoli ciemnymi zaciekami na ściankach.

— Albo dajmy na to, dźwięki — profesor niemal się rozpląnął. — Porywy wiatru, niecichnący szum drzew i wody, beczenie owiec i dzwonki krów, nie sposób ich zobaczyć, te niewidzialne krowy, ale słyszy się, jak dzwonią ich dzwonki. Proszę dodać do tego niesione wiatrem ludzkie głosy albo ptasie krzyki. Miła panienka na pewno lubi ptaki?

— Lubię — powiedziała Kola. — Niektóre.

— Wszystkie ptaki trzeba lubić — łagodnie zauważył Doktor. — A jakie też ptaki panienka lubi najbardziej?

— Orły — odpowiedziała Kola po chwili namysłu, żeby nie urazić staruszka niegrzeczną odpowiedzią.

Chociaż strasznie ją korciło, żeby powiedzieć „pingwiny”.

— Pingwiny też poeta Antonycz wspomina — trafił w unisono profesor. — Chyba w wierszu *Polaria*, a może nie. *Polaria* albo *Arktyka*. Panienka nie pamięta? Pingwiny czy foki?

— Zapomniałam — przepraszająco wzruszyła ramionami Kola.

„Trzeba wypytać Pepę o tego Antonycza”, pomyślała. Zazwyczaj ulegała naciskowi mamy i głośno mówiła o ojczymie „tata”. Ale w duchu zachowała wolność wyboru: bo żadne inne określenie nie pasowało do tego szubrawca tak idealnie, jak jego własne nazwisko. Pepa.

Profesor patrzył na nią z uśmiechem. Kilka razy odwracała wzrok, ale nagle postanowiła się nie poddawać i utkwiała w jego okularach śmiałe i długie, aż nieco natrętne spojrzenie — to, które czasem ćwiczyły z przyjaciółką przed wieczornym wyjściem na miasto. O hobbitach wiedziała, że bywają nieco bojaźliwi. Po nieznośnie długich, niczym wieczność, dziesięciu sekundach profesor zamrugał i zmieszał się, jego uśmiech leciutko zadrżał, Doktor skrzywił się, i to była kapitulacja. Koli wydawało się nawet, że odrobinę się spłonił.

„Zabawny dziadunio”, pomyślała.

Za oknem wciąż było tak samo pięknie, może tylko postać na zboczu znacznie się przybliżyła i Kola mogłaby iść o zakład, że to szedł austriacki znajomy jej mamy z czymś żółtym i białym w rękach. (Karl-

-Joseph właśnie wracał z porannego zwiadu, niosąc bukiet jeszcze mokrych krokusów — proszę zgadnąć dla kogo).

— No tak — mruknął w końcu Doktor, przemijając zawstydzonym, tajemniczym spojrzeniem po odsłoniętych nogach Koli i troszkę niezgrabnie wstając zza stołu. — Dziękuję szanownej panience za tak miłe towarzystwo. Nad wyraz interesująco się z panienką rozmawiało.

— Proszę — powiedziała Kola nie całkiem do rzeczy.

Profesor tak samo niezgrabnie uklonił się i z jeszcze mniejszą pewnością siebie, zupełnie jakby wpadł w worek własnego ubrania, trochę tyłem, a trochę bokiem wpasował się w drzwi.

— Przy okazji podaruję panience moją monografię o poecie Antonyczu — zapewnił już z korytarza.

— Podaruj swojej cioteczce, relikcie epoki! — odcięła się Kola i zrobiło jej się tak wesoło, że znowu sięgnęła po słoik z miodem. — Pełno tu rozmaitych oszołomków — dodała bez złości.

Po czym wyrwało jej się coś zupełnie niespodziewanego:

— A trzeci krąg, to objęcia mojego dalekiego miłego...

Dopiero wtedy usłyszała na ganku ciężkie salamandrowe kroki przepelnionego wiosną i krokusami Zumbrunnena.

Pogłoski o zbliżaniu się Bohdana Ihora Antonycza do Lwowa po raz pierwszy zelektryzowały tamtejsze środowisko chyba jeszcze w 1928 roku — czyli w istocie na rok przed tym, gdy poeta rzeczywiście osiadł w tym uroczysku skamieniałych lwów. W takiej grze przedwstępnej nie ma nic nadzwyczajnego — Antonycza we Lwowie przeczuwano, miastu w owym czasie niezwykle brakowało podobnej postaci, a tymczasem z Przemyśla, Sanoka i Drohobycza systematycznie nadchodziły już zatrważająco-przytłaczające wieści o coraz to nowych eskapadach tego *enfant terrible* galicyjskiej sceny alternatywnej. W znanym liście Brunona Schulza do Antoinette Spandauer, datowanym na marzec 1928 właśnie roku, odnajdujemy na przykład całkiem ciekawy fragment: *Drohobyczem nieraz już wstrząsnęły jego [Antonycza] najdziksze swawole. We wszystkich najzacniejszych salonach plotkuje się o nim jedynie i jego niedawnym performansie z ode-rżniętą świńską głową i nabitą na pal Małgošką. (...) Pomimo wszelkich dziwactw w lirycznym wyrażaniu siebie pozostaje on zjawiskiem dość czystym. I jak na*

swoje niespełna dziewiętnaście lat, daje nadzieję — całymi pękami nieco zatęchłych na tej codziennej prowincjonalnej słocie egzotycznych kwiatów. (...) Nie dalej jak wczoraj urządziliśmy sobie we dwóch niezwykle cokolwiek zabawę w „Czerwonej lampie”, zdecydowanie ignorując miasteczkowe wyobrażenia o porządnym zachowaniu i — co najważniejsze — stanowczo nieprzychylnie poburkiwanie mojej rygorystki Adelki. Nie chcę wdawać się w szczegóły — łaskawa Pani i beze mnie niebawem dowie się wszystkiego z kroniki skandali. Wystarczy chyba maleńka sugestia: baletowy trykot tym razem leżał na mnie jak ulał, a brzęk kajdanków i świst bata nie mógł nie zrodzić całkiem akmeistycznego wybuchu. I oto proszę — dziś całe miasteczko jest zbulwersowane, a ten tak zwany establishment zwyczajnie robi pod siebie z bezsilnej wściekłości.

Ten fragment, jedyna z dziś znanych w korespondencji drohobyckiego manekinnika wzmianka o Antonyczu, całkiem jasno przedstawia rolę, jaką bezdomny młodzieniec świadomie dla siebie wybrał w złożonej sytuacji przedstawienia teatru moralizatorskiego, każdego dnia wykonywanego przez tak zwaną *postępową społeczność galicyjską*. Jego rola, która początkowo była rolą złego chłopca i zwykłego, sympatycznego urwisa (notabene — po wielokroć potajemnie kochanego!), z biegiem lat (choć jakich tam lat! — życie Antonyczą wydaje się tak błyskawiczne, a ewolucja tak gwałtowna, że musi tu chodzić nie o lata, a o miesiące, jeśli nie tygodnie!), tak więc, z upływem miesięcy ta jego rola nabierała poważ-

niejszego, a nawet coraz tragiczniejszego wymiaru, by wreszcie obwieścić najuważniejszym z nas katastrofę osobowości, całkowicie i w pełni przynależącej do światowego stowarzyszenia poetów przeklętych. Śladów obecności Antonycza warto szukać właśnie tam, pośród nich, w ich nielegalnym nocnym klubie, gdzie Baudelaire odurza się opium, George w halucynacjach widzi przepięknych młodzieńców, Rimbaud wymiotuje własną przedwczesnością, Trakl wdycha z bandaży oszałamiająco-cierpki eter, a Jim Morrison zachłannie i nieostrożnie wpuszcza do swego wnętrza indiańską śmierć. Właśnie tam, gdzie chodzi o radykalne rozszerzanie świadomości aż do jej całkowitej utraty, właśnie wśród nich, potępionych i biseksualnych, powinno być stałe miejsce Antonycza, gdzieś między zalanym palącymi mieszankami alkoholi szynkwasem a odrapanym podium bezlitośnie beznosej striptizerki. *Przyjmij pod swój dach wędrowca, przyjmij wiecznego włóczęgę, przygarnij poetę buntu wraz z rozkoszą i rozpaczą* — zwraca się Antonycz do Gospodarza Zakładu i namalowawszy na wejściu swój osobisty tajny znak, na zawsze przekracza próg.

Tak więc, do Lwowa trafia on nie w dwudziestym ósmym, jak przypuszczano w kręgach wokół-cyganeryjnych, ale w dwudziestym dziewiątym, czyli o rok później. Istnieje gruba teczka dość sprzecznych wspomnień o tym, kto, kiedy i w jakich okolicznościach po raz pierwszy go zobaczył i — co za zuchwalstwo! — *powitał*. Nie należy wierzyć żadnemu z nich, a zwłaszcza tym z uniwersyteckich sal i kularów.

Wszystkie te próby (co charakterystyczne — pochodzące z późniejszych dziesięcioleci) przedstawienia Antonycza jako takiego sobie *studenta prymusa*, który zawsze i na wszystko ma gotową, umiarkowaną odpowiedź i który nie opuścił ani jednego wykładu z językoznawstwa porównawczego, są niczym innym, jak naiwnym i spazmatycznym usiłowaniem tego samego galicyjskiego *teatru*, by ocalić swoje zwyczajowe wartości, wedle których wielki poeta nie może nie być studentem-prymusem, inaczej skądże by się wzięła jego poetycka wielkość? Tak, właśnie tym obłudnym i filisterskim wyobrażeniem, jaki powinien być poeta, *wyraziciel i włodarz myśli ludu*, zawdzięczamy rozposzechnione później legendy o bojaźliwym i zacinającym się prawiczku, o kapciach, szlafrokach, skłonnej do migren, i dlatego nieustannie obwiązanej ręcznikiem łysiejącej głowie, o przysadzystości i niezdarności, a co najważniejsze — o zwierzęcym niemal strachu przed wszystkim na świecie: psami, dziewczętami, samochodami, bakteriami, przeciagami, a najbardziej przed despotyczną *cioteczka*, w której domu na ul. Gródeckiej 50 jakoby zmuszony był zamieszkać.

Ta wersja jest niezwykle charakterystyczna, jeśli chodzi o bezceremonialność wszystkich postantonyczowskich fałszerstw. Przecież w rzeczywistości nie było nawet cienia cioteczki. Osoba, u której poeta istotnie mieszkał na Gródeckiej, była przez kilka lat (1929–1933) jego kochanką, niepowstrzymaną w cięlesnych zabawach i cukierniczych pomysłach wdową po cesarskim urzędniku pocztowym, królową bali

sylwestrowych i loterii dobroczynnych przełomu wieków, której zielony namiętny Łemko zdołał ubarwić ostatnie rozbłyśki babiego lata swoją nieustającą nocną służbą. O jej silniejszym niż tylko cielesne przywiązaniu do młodego lokatora dobitnie świadczy choćby fakt, że Antonycz mieszkał u niej nadal nawet po stopniowym wygaśnięciu ich kontaktów seksualnych. Obok wspólnego zamięłowania do absyntu i mocnych, długich skrętów zachowali jeszcze wiele innych platonicznych obyczajów. Niekiedy grywał dla niej na skrzypcach, niekiedy, gdy dawała o sobie znać jej ciężka, dziedziczna choroba, podawał do łóżka kawę ze śmietanką. Zgodnie z właściwym większości kochanków, konspiracyjnym zwyczajem rzeczywiście dla zabawy nazywał tę istotę-wampa *cioteczką*; podobnie ona mówiła do niego *kocisko* — i wcale nie dlatego, że znała prawdziwe nazwisko jego ojca! Ale tylko Jarosław Kurdydyk, jeden z braci-włóczęgów i najbliższych przyjaciół poety, odważył się w swoich wciąż jeszcze nie opublikowanych wspomnieniach mgliście zacytować, jak podchmielonemu Antonyczowi, na jakiś rok przed śmiercią, gdy mówił o *cioteczce*, wyrwało się rzadkie wyznanie: „Nie ma takiej rzeczy, której byśmy z nią nie wyprawiali”. A potem dodał: „Ze wszystkich zjawisk najdziwniejszym jest — istnienie”.

Właśnie jego — Kurdydyka — wspomnieniom o Antonyczu możemy dziś wierzyć najpełniej, choć też nie bez zastrzeżeń, bo i tu zdarza się koloryzowanie i naciąganie faktów. Ale najważniejsze, że jest

tam życie, opis gwałtownych pijackich dyskusji i nocnych zabaw w proletariacko-bandyckich norach, jest tam niezwykle soczysta scena zaimprovizowanego deklamowania przez Antonycza *Obrotów* 11 czerwca 1936 roku (pierwsza we Lwowie kawiarnia jazzowa „Za murem”, solo na klawecie Alfonsa „Negrito” Cudmana), a także niezwykle przejmujący fragment, gdy śmiertelnie zmęczony całonocnymi bachanaliemi, poeta zawisa na stopniu pierwszego porannego tramwaju i kłaniając się i błaznując, żegna z tłumem znanych aktorek i kominiarzy nie całkiem dla nich zrozumiałymi, ale jak najbardziej proroczymi słowami: „Odjadę już. Tu byłem tylko przypadkowym gościem”. Tramwaj rusza, a znaczenie tych słów wszyscy obecni zrozumieją dopiero po kilku tygodniach, gdy składać będą lekkie ciało poety w ziemi Cmentarza Janowskiego. Ale we wspomnieniach jednego z braci Kurdydyków znajdziemy nie tylko to: jest tam i napięcie intelektualnych zrywów, i stosy przestudiowanych słowników, i nieustanna walka z normami języka literackiego, i ciche polowanie na najrzadsze rękopisy ezoteryczne w zakamarkach Ossolineum.

I co ważne — jest tam Lwów. Taki, jakim był w latach trzydziestych, miasto, które już w zasadzie nie istnieje. A jeśli jednak istnieje, to gdzieś poza granicami osiągalnego, oddzielone od dzisiejszego miasta niepokonaną przepaścią, której na imię Sen.

Tak więc Lwów i Antonycz. Czy była to miłość, czy wręcz przeciwnie? Nikt dziś nie odważy się bez namysłu odpowiedzieć na to pytanie. Bo czego by nie mó-

wić, właśnie tu poeta przeżył najważniejsze osiem ostatnich lat swego życia. I jest to akurat te osiem lat, które uczyniły go nim samym. Choć zgodnie ze wszystkimi późniejszymi *rozprawami* (tak, właśnie rozprawami, to dobre słowo!) analityków, powinien być czuć się tu źle. Przytłaczały go kamienie i asfalt, a także nieprzebrane tłumy ludzi, *cerkwie, giełdy, cukiernie*. Wielu spośród uczonych poetoznawców, z natury swej przeważnie szczwanych lisów, widzi Antonycza przede wszystkim jako rodzaj łemkowskiego Mowglięgo, do cna zanurzonego w głębiach, korzeniach, etnografizmie, zieloności. Niektórzy nawet przy pomocy jego tekstów dowodzą, że w miarę pojawiania się i rozwoju w kreacjach poety urbanistycznego obrazu świata jego powitalny i witalny duch wypełnia narastająca martwota, a na miejsce obfitego świętowania biosu przychodzą szaroczarne tanatyczne obrzędy pod otwarcie złowieszczym znakiem technosu, a stąd i chaosu.

Taką koncepcję w zasadzie należałoby przyjąć, jak mawia się w kręgach wyżej wymienionych analityków, *za podstawę*, gdyby nie pewność, że w rzeczywistości została ona na siłę przykrojona do tego modelu Antonycza, który ma straszliwie mało wspólnego z jego rzeczywistością (i nierzeczywistością) postacią. A to choćby dlatego, że model ów częściowo powstał za jego życia, ale w większej mierze stanowi pośmiertną pułapkę, zastawioną na poetę przez wspomniany już *galicyjski teatr społeczny*.

Bo naprawdę nic innego nie przyciągało go z tak nieubłaganą i nieprzepartą siłą, jak Lwów. (À pro-

pos, aluzje wielu badaczy do Wiednia, Paryża, Londynu lub Nowego Jorku świadczą jedynie o mąceniu obrazu: poeta dopiero przygotowywał się do Wielkiej Podróży, pisząc coraz bardziej rozpaczliwe listy — i nie wysyłając ich — do metropolity hrabiego Szeptyckiego z prośbą o finansowe wsparcie jego przyszłych wypraw).

O tak, Lwów, miasto policyjnych orkiestr dętych, prowincjonalnych wieców, ludowych kawiarni i obywatelskich herbaciarni, miasto z wielkim więzieniem na głównej ulicy, tuż obok grzesznego schronienia poety. Nietrudno dostrzec w tym mieście dwa najważniejsze elementy, które Antonycza przyciągały.

Pierwsza z nich to Lwów podziemny, pogrzebany i zatopiony, ze ślepyimi korytarzami i szybami, ukrytymi, na poły zasypanymi labiryntami i zamurowaną rzeką, u której brzegów do dziś spazmatycznie tłuką się ławice oślepych ryb, cisnąc od dołu na budynki i unosząc popękaną asfaltową skorupę.

Druga — to Lwów proletariacki, może nawet lumpenproletariacki, czyli te wszystkie ledwie oświetlone i nieprzebyte jesienno-wiosenne przedmieścia ze wszystkimi możliwymi gorzelniami, garbarniami, olejarniami i browarami, opanowane przez brudne bazyry i budy, a także rozbite i na wieki ugrzęzłe w błotach limuzyny, z uliczną sprzedażą bułeczek z psim mięsem, słomy makowej, denaturatu i dziewcząt; rzecz jasna — z niezliczoną ilością ciemnych i ciepłych nor, w których dzień i noc, zanurzeni w niemiłosiernie brzękliwą muzykę, bez przestanku łuskający prażony

słonecznik, wysiadują jacyś ostrzyżeni na zero faceci i ich wymalowane przyjaciółki z farbowanymi na niebiesko włosami.

Dodajmy na marginesie, że ten właśnie Lwów pod wieloma względami określał życiowe wybory Antonycza i zachęcał ówczesnych komunistów do prowadzenia z nim nieustających gier. Usiłowali oni jakoś włączyć go w swoją prasę — zarówno legalną, jak i podziemną — nie skąpili mu oznak uwagi i współczującego zainteresowania, umiejętnie przeplatając komplementy z pretensjami, ale ostatecznie nie osiągnęli zakładanego celu.

Dziś pozostaje tylko wierzyć świadectwom Kurdydyka starszego, wśród których niezwykle ciekawa wydaje się scena w jednym z burdeli na Lewandówce. Miała ona miejsce gdzieś na przełomie trzydziestego szóstego i trzydziestego siódmego roku, najprawdopodobniej w grudniu, przed Bożym Narodzeniem. *Tego dnia — pisze Kurdydyk — było ponuro i szaro jak nigdy, już o trzeciej po południu zaczęło zmierzchać. Spotkaliśmy się z Bohdanem na Wałach [Hetmańskich], kupiliśmy po piwie i powoli ruszyliśmy Podwalem w stronę placu Rzeźni, a potem na róg Węglarskiej i Kottłowej, gdzie mieściło się podówczas popularne wśród kieszonkowców kino „Złuda”. Bohdan lubił kino, zwłaszcza kronikę z różnych krajów świata. Po drodze kupiliśmy jeszcze butelkę dość paskudnego owocowego trunku — wyłącznie ze względu na jego śmiesznie niską cenę. Siedząc w zaciemnionej sali kinowej, podawaliśmy sobie butelkę i takeśmy z niej popijali. Na białym kino-*

wym prześcieradle pokazywano pierwsze epizody wojny w Hiszpanii. Jakaś cholernie źle wyszkolona dywizja całe czterdzieści dni szturmowała fortecę przeciwnika. Alkazar — chyba taką nazwę nosiła ta forteca, choć minęło wiele lat i pamięć może mnie zawodzić. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie z powodu słabego wzroku Bohdana. Często chodził do kina i zawsze siadał w pierwszym rzędzie. Popijaliśmy wino i od czasu do czasu śmialiśmy się. Śmieszyły nas niezgrabne, garbate czołgi, a złodzieje za nami rozmawiali głośno po polsku, aż Bohdan odwrócił się i kazał im zamknąć gęby. „Na czołe to sobie wymaluj”, odwarknął najgrubszy ze złodziei, niby że jeszcze się po kinie spotkamy. Ci złodzieje mieli sporą szajkę na Rynku Krakowskim i w okolicach. Bohdan tym razem zmilczał, ale nigdy nie sądziłem, że ze strachu. Potem pokazywano kolejną kronikę, z Abisynii, gdzie włoskie wojska w żaden sposób nie mogły dać sobie rady z uzbrojonymi czarnymi plemionami. Gdy tylko pokazano czarnych wojowników, którzy z łuków strzelali do włoskich aeroplanów, banda za nami aż zagdakała. Wtedy Bohdan jednym tchem dopił resztkę owocowego słodkiego, obrócił się i zajechał tego największego pustą butelką po durnej polskiej głowie, aż iskry poszły. Póki złodzieje dochodzili do siebie, wybiegliśmy z Bohdanem na ulicę i przez jakieś tylko jemu znane bramy i zakamarki przedostaliśmy się aż na początek Janowskiej, gdzieśmy się upewnili, że nikt nas nie goni. Po tym wszystkim zasiedliśmy u znajomego Fedia w „Świętej Babilońskiej”, gdzie zawsze mieliśmy zwyczaj zamawiać piwo Bock (ciemne) i po setce spożywczego spirytusu Bon-gut. W środku

siedziało już do diabła i trochę pijaków, a ulicznik przyniósł wieczorną gazetę i wykrzykiwał na całą knajpę, że japoński minister grozi inwazją. „Sławku, Sławku — mówił Bohdan, trąc zasępione czoło. — Cóż si niedobre dzieji na świeci: Hiszpania, Abisynia, Japonia”. I od czasu do czasu powtarzał: „Rzym, Berlin, Tokio”. Nie pamiętam już, jak długośmy tam siedzieli i czyśmy czasem nie zamówili jeszcze po setce spirytusu. Pamiętam natomiast, jak w środku nocy znaleźliśmy się w pewnym klubie na Lewandówce. Tam zawsze zbierali się robotnicy kolei żelaznej, było i paru inżynierów, ale też takich od kolei. Po schodach zeszły do nas dziewczyny ze śmiesznymi kokardami na dupach. Ja wziąłem sobie, jak zwykle, Oryskę, tę z nogami po szyję, bo nie lubię przywykać do nowej dupy, i kupiłem jej likieru. Bohdan zaś tylko powtarzał swoje „Rzym, Berlin, Tokio” i nijak nie mógł wybrać, aż inżynier Powroźnik wziął go na kpinę: „Czy to pan poeta muzy sobie tu szuka?”. Bohdan w rozdrażnieniu wziął sobie małą i kościstą Luizę, córkę lewandowskiego notariusza-alkoholika, niespełna piętnastoletnią. Ta Luiza była strasznie głupia i wiecznie ssła palec. Nikt jej na ogół nie brał, bo mówiono, że ma padaczkę. Przyjaźnie sobie o tym i owym jeszcze z kolejarzami pogawędziliśmy, a gdy nadeszła pora, by się z dziewczynami po pokojach rozchodzić, Bohdan kupił małej Luizie słodkiego lizaka, żeby przestała wreszcie ssać ten swój palec. Tak się rozeszliśmy, a Bohdan dalej powtarzał: „Rzym, Berlin, Tokio”. Za młodu byłem bardzo szybki i już za jakie pół godziny w jak najlepszym humorze zszedłem na dół poczekać na Bohdana,

bośmy się przecież umówili, że niedługo tam zabawimy. Siedzę godzinę — nie ma go, siedzę drugą, wtedy myślę sobie: „e-e, coś tu nie tak”, i znów idę na górę do sypialni Luizy. Bo to był taki zakład, w którym czasem klientelę nawet okradali albo i truli, jak dobrze poszło. Staję koło drzwi, a tam Bohdan akurat deklamuje: Na górach czarnych rąk i czarnych nóg — czerwona krew, żółta piana, śliska śmiertelna piana z warg rozdartych przez pocałunek armatni. Pukam do drzwi i całkiem już zaniepokojony wchodzę, a on dalej swoje: Ziemia w wybuchach min, jak w krzakach ognistych, jak w tulipanach dźwięcznych, wytryskających z głębi, wyrrywających się z matni. I co ja wchodzący widzę? Na środku pokoju stoi Bohdan na zydliku i recytuje świeżo złożony wiersz, a mała Luiza leży sobie jak aniołek w łóżku, starannie opatulona kołdrą, smocze Bohdanowego lizaka, patrzy na niego i tak uważnie, z takim respektem słucha. Teraz już wiem, że to było Słowo o czarnym pułku, którego też musiałem wysłuchać do samego końca, a potem jeszcze i Słowo o Alkazarze — obydwaj Bohdan ułożył tej nocy. I dopóki ich nie skończył, nigdzieśmy stamtąd nie poszli. A na pożegnanie mój niezapomniany przyjaciel i kolega ceremonialnie się pokłonił, majestatycznie zstąpił z zydlika, pochylił się nad dzieckiem i ucałował je w czoło. Nie powiedział: „Dobranoc”, prosił tylko, żeby za nas wszystkich i za niego samego przepiękna nimfa się modliła. Doszły mnie potem słuchy, że podczas wojny Niemiec zastrzelił ją wprost na ulicy. A my z Bohdanem jakoś pieszo i pod mokrym śniegiem dobraliśmy się do Gródeckiej, gdzieś koło czwartej nad ranem. „Wiesz — powiedział

mi, kiedy już paliliśmy na spółkę ostatniego papierosa przy jego bramie pod numerem 50 — czasem mam wrażenie, że te wiersze ktoś mi naszeptuje do ucha. Dosłownie naszeptuje”. Aż mi mrówki przebiegły po plecach, a on jeszcze powtórzył to swoje „Rzym, Berlin, Tokio” i wszedł po tych słowach do środka, nieco przygarbiony, pewno przeczuwając ciotczyną awanturę.

Co ciekawe, te same słowa — o kimś *naszeptującym* wiersze — Antonycz wypowiedział jeszcze przynajmniej do dwóch osób. Znajdujemy je przecież i we wspomnieniach innego z jego przyjaciół, malarza Wołodymyra Łasowskiego, i narzeczonej poety, Olgi Olijnyk.

Wołodymyr Łasowski, autor wyjątkowo wiernego w szczegółach, i dlatego przekonującego, artykułu *Dwie twarze Antonycza*, za życia poety pozostawał z nim w nie mniej bliskich stosunkach niż obydwaj bracia Kurdydykowie. Dość przypomnieć, że to właśnie Łasowskiego Antonycz prosił o graficzne opracowanie swoich drukowanych tomików. Tym bardziej dziwi, że z jego, Łasowskiego, wspomnień, wyłania się zdecydowanie inna osoba — ten sam najlepszy student i wzorowy uczeń, zdyscyplinowany kuzynek cioteczki, typowy galicyjski syn księdza z wyraźnymi skłonnościami do akademickiej wegetacji, domowych kapci, szlafroków i nadwagi.

Jeśli porównywać charakterystyki zachowań Antonycza, proponowane przez Łasowskiego i Kurdydyka, to z pewnością nie opuści nas wrażenie, że chodzi o dwóch różnych ludzi, tak bardzo oddalonych od siebie w realnym życiu, że ich trajektorie nawet przy-

padkiem nie mogły się przeciąć. (Przy czym Łasowski, przywołując obraz „dwóch twarzy”, robi aluzję do istnienia jakiejś tajemnicy).

I rzeczywiście: jeśli Antonycz u Łasowskiego jest na ogół niemrawy i nawet nieco apatyczny, to u Kurdydyka — nad wyraz ożywiony, jakby aż spalały go od wewnątrz nikomu nie znane żądze. ...*Znienacką wyrwał skrzypce i smyczek z rąk Ferenca, cygańskiego wirtuoza, i wyciął Diabelskiego brydża, a potem od razu i arkany tak, że zgromadzone towarzystwo aż z entuzjazmu pozrywało się z miejsc*, pisze na przykład Kurdydyk o zaimprovizowanym muzykowaniu Antonycza w restauracji hotelu George wiosną trzydziestego szóstego roku.

Jeśli Antonycz u Łasowskiego jest przeważnie nudny, a do tego zamknięty w sobie, niezdolny ani do rozpoczęcia rozmowy, ani do jej podtrzymania, to u Kurdydyka ma on niezwykłą inwencję i bywa bardzo dowcipny: *Wszyscyśmy niemal padli ze śmiechu, kiedy Bohdan wyskoczył na cyrkową arenę w błazeńskich, arcyszerokich spodniach w czerwono-zieloną kratkę, które potem w dodatku z niego zleciały. Tamtego wieczoru założył się był z Hawrylukiem i Tudorem, że pokaże się publicznie bez spodni. I rzecz jasna, wygrał.*

U Łasowskiego Antonycz jest nienaturalnie lękliwy (proszę sobie tylko wyobrazić, jak prawie sparaliżowany strachem przemyka lwowskimi chodnikami, resztką sił starając się trzymać z dala od samochodów i całym sobą wciskając się z tego powodu w mury budynków!). U Kurdydyka mamy za to do czynie-

nia z postacią raczej nierozsądną i zuchwałą. Przytoczony wyżej epizod z rozbitą na głowie kryminalisty butelką może posłużyć tu za najlepszy dowód. Choć nie, istnieje dowód jeszcze lepszy — oto Antonycz jako pierwszy dostaje się na dach płonącego domu i ratuje czteroletnią dziewczynkę z kotkiem w ramionach (upalne lato trzydziestego piątego roku, okolice Kajzerwaldu).

Łasowski pisze, że Antonycz miał opinię osoby dość skąpej, stąd jeśli komuś w towarzystwie udało się nawet zaciągnąć go, powiedzmy, do kawiarni, to zawsze tworzył całą masę problemów przy płaceniu rachunku, gubił się, plątał, coś niewyraźnie mamrotał — nie mówiąc o tym, że dla siebie zamawiał najczęściej najtańszą słabiutką herbatę, i to nawet bez cytryny. A Kurdydyk — to mało powiedziane, że podkreśla ogromną rozrzutność Antonycza: z jego wspomnień płyną zamówione i zapłacone przez niego rzeki piwa, tu i ówdzie z dopływami wódki, sznapsa, ponczu, koniaku i brandy; Antonycz tak samo sypie groszem na prawo i lewo, gdy kupuje sobie ekstraordynaryjne paryskie ciuchy, najdroższe panienki z placu Teatralnego czy dajmy na to, irański haszysz w składzie towarów kolonialnych na Zamarstynowskiej.

I jeśli u Łasowskiego tworzy się ogólny obraz jakiegoś takiego przedwcześnie postarzałego i bardzo gabinetowego *tłuscioszka w okularach*, to u Kurdydyka staje przed nami niewątpliwy ulubieniec dam i pozeracz serc niewieścich, wędrowny muzyk i cieśla, który w każdej wsi i miasteczku pozostawia po sobie stra-

towane grządki, bezsenne noce / wypłakane oczy i nieślubne dzieci. Zresztą, sam poeta najlepiej to podsumował: *szczęściem były pijane panny i mężatki. Oj, niejedna straciła wianek z tej przyczyny!*

Z drugiej jednak strony Łasowski całkiem taktownie równoważy swój dość niesympatyczny obraz jednym jedynym, ale bardzo znaczącym przeciwstawieniem. Jego Antonycz to równocześnie poeta. I to nie zwyczajny poeta, ale nocny wizjoner, którego prawdziwe życie toczy się w snach. *Rankiem na wpół senny Antonycz zakładał okulary, wstawał z łóżka i jak stał, siadał przy rozchwianym stoliku, by śpiesznie zapisać wiersz, który dojrzał w jego śnie*, pisze Łasowski, nie unikając, jak by to powiedzieć, pewnej beletryzacji (dlaczego, no dlaczego, ten stolik koniecznie musi być rozchwiany!), ale zarazem właściwie stawiając akcenty. Jeśli zaś chodzi o Kurdydyka, u niego właśnie prawie nie odnajdujemy jakichś prób głębszego wnikania w metafizykę poety — Antonycz to dla niego przede wszystkim kumpel, z którym świetnie się pije i włóczy po mieście, urządza skandale, ucieka przed policją, ale nic więcej. Od czasu do czasu pojawiają się co prawda barwne sceny *recytowania* poezji — jeśli nie w burdelu, to w knajpie — ale wszystkie one niespecjalnie pasują do rzeczywistej chronologii twórczości poety, budząc uzasadnione wątpliwości u każdego, kto rzecz tę poznał dogłębnie.

W poszukiwaniu salomonowego wyroku zajrzyjmy do wspomnień jeszcze jednej osoby — narzeczonej poety, Olgi Olijnyk. Ta modnie, jak na owe czasy,

ostrzyżona panienka o okrągłej twarzy, która wyglądem przypomina — sądząc z fotografii — typowe drugoplanowe aktorki filmowe o imionach dziś bezpowrotnie zapomnianych, nawet przez historyków gatunku, miała zostać *najważniejszą towarzyszką życia* Antonicza. Ślub planowano na jesień trzydziestego siódmego i gdyby poeta w lipcu nie umarł, to niewątpliwie historia musiałaby się zakończyć ich *szczęśliwym małżeństwem*. Antonicz zadedykował jej kilka dwustrofowych wierszy z *Pierwszego intermezza lirycznego* w tomie *Zielona ewangelia*, przede wszystkim *Weselną*, gdzie jakby naumyślnie pominięta została wszelka erotyka. No chyba że za erotyczne aluzje uzna się słowa: *Najdroższa moja, w twoje włosy zapłynął miesiąc kędzierzawy*, albo: *czemu zadrżały twoje dłonie*.

Jak się wydaje, możemy całkiem śmiało przypuścić, że poeta nie utrzymywał żadnych przedślubnych stosunków płciowych ze swoją narzeczoną. Tego żądała ówczesna moralność, te nieznosnie świętoszkowate reguły gry, wprowadzone przez siwogłowych intendentów *galicyjskiego teatru publicznego*. Stąd też nawet taki *beastly bad boy*, jak Antonicz, nic nie zdołał przeciw temu zdziałać. Wszystkie jego próby skuszenia panny o ustalonych poglądach przedwczesną intymną bliskością rozbijały się o jej nieporuszoną porządność i godność graniczącą z oziębłością. Można przypuszczać, że Ola nigdy nie pozwoliła, by okoliczności umożliwiły narzeczonemu pozostanie z nią sam na sam. Nie, zawsze w czyjejś obecności — jakichś przyjaciółek, wychowawczyń, mniszek-bazylianek,

nie w ostatnim rzędzie jej rodziców. Wszyscy oni mieli nadzwyczaj paskudny nawyk otwartego obserwowania oraz nieżyczliwego oceniania Antonycza, zupełnie jakby stał przed nimi jakiś Minotaur albo Fantomas, który poprzysiągł zawlec ich nierozumne dziecię do swego legowiska rozpusty. „A z czego on żyje?” — niejednokrotnie dopytywała się pani Olijnykowa, której w żadnym razie nie mogła zadowolić odpowiedź o jakiejś efemerycznej nagrodzie Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy czy nader symbolicznym stypendium od Jego Wielebności metropolity hrabiego Andrija.

Nic więc dziwnego, że ze wspomnień narzeczonej wyłania się raczej nijaki Antonycz. Woli ona zwracać uwagę na jego delikatność, dobroć i rozmarzenie. Albo powiedzmy, na to, jak pilnie się uczył, jak całymi wieczorami i tygodniami nie wysuwał nosa z bibliotek (hipoteza o prawdziwych motywach i miejscach jego nazbyt nieustającej nieobecności sama się narzuca). Ze wszystkich nieostrych i niedookreślonych zdań, które Antonycz miał wyrzec w jej obecności, naprawdę zapada w pamięć tylko jedno, być może zresztą wyczytane przez nią u Kurdydyka: „Wiesz, czasem mam wrażenie, że ktoś mi szepce do ucha. Dosłownie szepce”.

Nie trzeba wspominać, że Antonycz przeżywał tego rodzaju stosunki jako dosyć bolesny dramat. Mając pełną świadomość swego szczególnego miejsca w metafizycznym stowarzyszeniu poetów przeklętych, na wszystkie strony rozrywanych przez demony buntu i zniszczenia, nazbyt wyraźnie widział

najbliższą życiową perspektywę: ślub, codzienna rutyna i nuda, odstępianie od tego, co najważniejsze, kapitulacja, a dalej — poniżające dożywanie swoich dni w otoczeniu bezgranicznie obcej oraz wymagającej rodziny na nauczycielskiej posadzie gdzieś pod Kołomyją. Właśnie te jego nastroje wprost krzyczą do najuważniejszych spośród nas, gdy czytamy u niego: *w czaszce mojej łoże poślubne dwóch węży*, albo jeszcze wyraźniej: *Malowane w kwiatuszki zgodnego stadła mieszkanie, kozetka, łóżko, piesek i na miłość recepty*. A najważniejszy jest — i tutaj już dramat przerasta sam siebie — brak możliwości wyboru, to znaczy pełna świadomość, że tak to wszystko będzie, bo inaczej być nie może.

Lato 1937 roku miało stać się ostatnim latem jego wolności. Czas nieubłagane zbliżał go do ślubu. Zerwać tej zależności już nie mógł — znany nam teatr stosunków międzyludzkich już nie wybaczyłby mu dezercji i nigdzie by go nie wypuścił, a więc tak czy siak nie dałby mu odetchnąć. Sytuację wyraźnie skomplikowało jego nowe, burzliwe zauroczenie, które miało szanse stać się nawet czymś więcej niż zwykłym zauroczeniem. Antonycz spotkał je w głębinach śródmieścia, wśród zjawiskowych kamienic i śmierdzących podwórz z wąskimi i mokrymi schodami, gdzieś na Ormiańskiej czy Serbskiej.

Jego zauroczenie nosiło imię Fanni; miała ciut ponad trzydziestkę i dwoje dzieci, które wyganiała na dno podwórza ze swojej zagraconej sztucznymi kwiatami komórki, gdy tylko pojawiał się któryś z jej sta-

łych klientów (a należeli do nich dzielnicowy, wiecznie pijany taczkarz z Rynku Halickiego, kilku studentów medycyny i obwisłozady regent chóru Cerkwi Uspeńskiej). Od chwili pojawienia się w jej życiu Antonycza Fanni przestała przyjmować ich wszystkich, co ściągnęło na jej głowę niesamowity gniew przede wszystkim dzielnicowego, który jako jedyny korzystał z jej ciała za frajer, z uwagi na szczególne uprawnienia służbowe. Fanni miała długie nogi jak strumienie mleka, jedwabisty, ciepły brzuch i aksamitnie czystą pochwę, a jej skóra była tak biała, że jak napisano by w średniowiecznym romansie, kiedy piła czerwone wino, widać było, jak przepływa przez jej przewód pokarmowy. Swego czasu proponowano jej, by została nocną tancerką w „Złotym capie”, ale Fanni odrzuciła tę propozycję jako zbyt nieprzyzwoitą.

Z biegiem tygodni i miesięcy Antonycz odkrywał w niej wciąż nowe i nowe tajemne źródła. Wątpić przy tym należy, by kiedykolwiek rozmawiali o poezji — sami byli poezją, i to wystarczało. Kochając się na stosach sztucznych kwiatów, osiągalni utraconą jedność dwóch połówek, o której tak wiele i na próżno pisano w traktatach religijnych i medycznych. Dla każdego z nich było to coś, co przydarzało się po raz pierwszy w życiu, bo wcześniej mogli tylko słyszeć o czymś podobnym. Ale — co najważniejsze — każde z nich pewnego dnia i niemal w tym samym momencie zrozumiało, że jest to niezwykle zrzędzenie losu i że w żadnym innym wypadku, nigdy i z nikim, nie uda się przeżyć tego po raz drugi. „Kiedy twoje wese-

le?” — spytała Fanni gdzieś na początku czerwca, jednej z tych nocy, które przechodzą w świt, zanim na dobre się zaczyną. Ściślej było to w dzień, bo Fanni nigdy nie wyganiała dzieci *na dno podwórza* w nocy, więc spotykali się z Antonyczem tylko w dzień.

„Za trzy i pół miesiąca” — odpowiedział Antonycz i w tej samej chwili poczuł, jak zapiera mu dech. Prawdopodobnie właśnie wtedy zagnieździł się w nim jego *zamiar*.

Pod koniec czerwca przyszedł do niej o umówionej godzinie i razem starannie pozamykali wszystkie okna i drzwi. Rozbierając się, nie wyrzekli ani słowa. Wtedy Antonycz napisał węglem na ścianie swoje ostatnie trzy słowa, które pod względem znaczenia być może przerastają wszystkie strofy jego mistyki: *Nikogo nie winić!* Potem odkręcił kurki od gazu i opadł na łóżko. Nie, oczywiście, była jeszcze płyta — Fanni puściła *Modrego anioła*, ich ulubiony jazzowy kawałek z solo na klawirze Alfonsa „Negrito” Cudmana. Umieli kochać się z takim oddaniem, a równocześnie koncentracją, że śmierć — a może wieczysta pustka — powinna była ogarnąć ich dokładnie po ostatnim fłakaniu klarnetu i — tak samo ostatniej — odbierającej siły eksplozji. Wszystko to zostało już przez niego opisane w *Balladzie o błękitnej śmierci*, czego ona się raczej nie domyślała.

Wszystko zostało opisane — oprócz finału, którego nawet on w swoich kilka lat już sobie liczących wizjach nie zdołał przewidzieć. Więc tracąc przytomność — czy to od miłości, czy to od zatrucia —

usłyszeli jeszcze z zewnątrz, z nieistniejącego niemal świata, łoskot wyłamywanych drzwi. A już w chwilę później, kiedy wszystko im całkowicie zobojętniało, do komórki Fanni wdarł się tłum skulonych i odurzonych *ratowników*, z rozkrzyczanym dzielnicowym na czele. Choć nawet jego rozkazująco-przerażone krzyki nie zdołały zawrócić Fanni z drogi — jej już nie można było przywołać.

Natomiast Antonycza niezwłocznie przewieziono do kliniki na Kulparkowie (karetka pogotowia ratunkowego wściekle trąbiła pośród zapchanego przez pieszych, chłopskie wozy i tramwaje miasta), gdzie zbiegowisko najbardziej utytułowanych i odpowiednio do tego najbardziej cynicznych lekarzy podczas niedługiego konsylium podjęło decyzję, by rozpocząć walkę o życie poszkodowanego. Akcja ta miała polegać przede wszystkim na *odtruciu*, czyli pełnej transfuzji krwi. Tym sposobem następne cztery dni Antonycz tkwił w ledwie oświetlonym korytarzu między dwoma światami, pod bezsilną i uważną opieką medyczną oraz pod potężną i nie mniej od tego kruchą budowlą ze szklanych naczyń.

Wiść o jego pobycie w szpitalu od razu rozniosła się po całym Lwowie. Jednak *kierownictwo teatru* nie mogło się pogodzić z prawdziwą wersją jego katastrofy: próba samobójstwa w żadnym razie nie należała do motywów mających rację bytu na niwie naszej literatury. Z drugiej strony, nie było żadnych szans na zatarcie czy ukrycie samego faktu *ciężkiej choroby*. Świadomie modelując własnego Antonycza, *działacze*

teatralni puścili w obieg pierwsze lepsze, co wpadło któremuś z nich do głowy i wyglądało dość niewinnie, czyli neutralnie: ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, zakończone operacją ślepej kiszki. Oczekiwano przy tym, że po dobrych skutkach transfuzji krwi *chory* zmuszony będzie odleżeć w klinice mniej więcej tyle, ile trwa rekonwalescencja po takiej operacji. Nie można było wprawdzie mieć żadnej pewności, jak sam pacjent zachowa się później, po wyjściu ze szpitala — przede wszystkim, czy nie zacznie *rozpowszechniać* na prawo i lewo informacji o prawdziwej przyczynie swego balansowania między światłem a mrokiem. Ale najwprawniejsi spośród manipulatorów podejmowali się rozwiązania również tego problemu. Trzeciego dnia od wypadku wyprawili oni do kliniki całą delegację, która obsiadła łóżko Antonycza, obłożyła go ze wszystkich stron pomarańczami i piwoniami, i ostatecznie wydusiła zeń wymuszone kiwnięcie głową na znak uległości.

Chory wyraźnie zmizerniał, jego skóra ma ziemisty odcień, ale duch pozostał żwawy i długo jeszcze posłuży wielkiej sprawie społecznej — tak donieśli członkowie delegacji o swoich wrażeniach i większość czasopism podchwyciła to ich sformułowanie. Tymczasem już następnej nocy po ich wizycie Antonycz poczuł się znacznie gorzej i znów stracił przytomność. Jego ciało nie zamierzało pogodzić się z obcymi elementami w swoim wnętrzu — być może przy transfuzji pomyłono grupy krwi. Nie należy również odrzucać możliwości świadomego błędu: w owym czasie po całym

mieście krążyły plotki o czarnym rynku dawców i machinacjach z organami wewnętrznymi.

Brawurowe zapewnienia lekarzy, że wszystko idzie ku lepszemu, już następnego dnia ustąpiły miejsca jawnie panicznym oświadczeniom o nagłym pogorszeniu stanu. *Teatr* niemal natychmiast zareagował na to całkowitym zwrotem myślowym: tak, operacja ślepej kiszki była naprawdę udana, zdrowie poety nieustannie się poprawiało, ale tu na jego wycieńczony organizm spadło nowe nieszczęście — zapalenie płuc. Autorzy fałszywki niespecjalnie przejmowali się, że jak na początek lipca nie jest to taka znów typowa choroba. Jak wszyscy przeciętni beletryści i kłamcy, musieli uzupełniać i rozwijać wątek dzięki rozmaitym dodatkowym uzasadnieniom i okolicznościom, pośpiesznie gmatwając jego i tak niezbyt zgrabną konstrukcję. Stąd właśnie pochodzi idea szpitalnych przeciągów, w których jakoby przyszło poecie kilka dni przeleżeć, co też i doprowadziło do komplikacji. Tu jednak ostro zaprotestowali ich współnicy-lekarze: obraz wiecznych przeciągów, hulających nie tylko po korytarzach, ale i po salach kliniki, nijak miał się do poglądów personelu na kwestie rzetelności i sterylności. Bajarze musieli kombinować dalej: tak, warunki leczenia są zupełnie dobre, ale przecież wszyscy wiedzą, jak bardzo chorobliwą i mizerną istotą jest Antonym, a o tym, jak panicznie boi się właśnie przeciągów, choćby najmniejszych, we Lwowie nawet wróble ćwierkają. Wtedy właśnie pojawiają się znane opowieści o chronicznych przeziębieniach i katarach

Antonycza, o problemach z sercem i — co najwyraźniej miało stanowić szczyt imaginacji — o zwyczaju obwiązywania ręcznikiem umęczonej migrenami głowy. I cała ta, zupełnie pozbawiona sensu, krzątanina nad przedśmiertnym ciałem poety miała służyć niezwykle ważnej, zdaniem jej uczestników, sprawie ratowania jego moralności.

Antonycz był sam w swoim umieraniu, według niebieskich miar niedosięgły już dla wszystkich ratowników świata. Żadne z ich marnych wysiłków nie mogły spowodować jego powrotu tutaj, gdzie czuł się przypadkowym gościem, rozumiejącym, że jego prawdziwy dom jest *gdzie indziej*. Kilka lat wcześniej, w wierszu ironicznie zatytułowanym *Ars Poetica*, przewidywał również te ostatnie godziny, pisząc *a ty, jak zawsze, będziesz sam, by wszystko zapomnieć*. Zapomnieć w pierwszym rzędzie o tych, którzy tak starannie przywiązywali go do ziemi, gorączkowo i niechlujnie starając się spętać i wytresować.

Jego śmierć nadeszła w nocy z szóstego na siódмого lipca. Ktoś dopatrzył się w tym kolejnego dowcipu rozszalałych znaków — taniec pralasu i kupałowych ogni wokół ostatniego łóża, zaproszenie w rozbuchany wir zieloności. *Zieloność* przyszła, by go zabrać i zatracić w sobie.

A naprawdę była sześciogodzinna agonia, poza której granice i tak nie dane jest nam zajrzeć, bo możemy poznać jedynie najniższe stopnie tej metamorfozy, związane z rzeczami całkowicie namacalnymi, takimi jak krwiobiegi, serce, mózg, nerki i początki rozkładu.

Następnego dnia odwieziono go do domu na Gródecką, gdzie staraniem *teatru* odprawione zostały wszystkie właściwe dla takiego przypadku i surowo ocenzone ceremonie. Ponad połowa obecnych uparcie nie przyjmowała do wiadomości, że *to* stało się naprawdę. Niektórzy z nich przychodzili z *ostatnim pożegnaniem*, pewni, że to tylko kolejny performance — może i bluźnierczy, ale bardzo typowy dla tego dozgonnego dowcipnisa. Miało się wrażenie, że za moment po prostu siądzie w trumnie i zacznie deklamować swoje najlepsze, koniecznie jambiczne strofy, a potem zaprowadzi wszystkich do „Babilońskiej Świętej” czy wszystko jedno gdzie, by hucznie świętować swoje urodziny numer dwa. A on leżał — odziany w czerń i biel, czyli świątecznie, z lekkim makijażem, nieco sztuczny w swej przezroczystości, ale wszystko to zawsze należało do jego arsenału, wszystkie te sztuczki z charakteryzacją, przebierankami i pantomimą. I tylko obecność bliskiej oraz dalekiej rodziny, ściszone do półszepotu rozmowy, pełne zaafektowania manipulacje przy wieńcach, świecach, papierkach i modlitwach, a ponad wszystko zamarta w najodleglejszym pokoju *cioteczka* (od tego dnia do samej śmierci nie wyrzeknie już ani słowa) przekonywały, że *to* stało się naprawdę, bo żadna zabawa nie mogłaby zajść tak daleko.

Jego pogrzebowi towarzyszyły pewne niewyjaśnione zjawiska. Na przykład Oksana Kercz wspomina o długotrwałym i bezskutecznym poszukiwaniu przez Olgę Olijnyk jego ostatnich rękopisów. Narze-

czona pamiętała, że Antonycz do niedawna pracował równocześnie nad dwoma tomikami, pierwszy z nich — *Zielona ewangelia* — był w zasadzie ukończony, a drugi — *Obroty* — przygotowany w ponad jednej trzeciej. Ale niczego nie mogła znaleźć! Kilkakrotne i coraz niecierpliwsze przegrzebywanie szuflad i szaf zarzucało ją tylko rozmaitym śmieciem w rodzaju starych rachunków, gazetowych reklam i co najbardziej bolesne, nazbyt skandalicznych zdjęć z ulicznymi pięknościami. Ola przygryzała wargi i niemal płakała, gotowa uwierzyć, że żadne rękopisy po prostu nie istniały, a wszystko, co od czasu do czasu zdarzało mu się dla niej deklamować, gdy oglądał się na czujne uszy obecnych w pobliżu nadzorczyń, było fikcją i snem. Godzinę przed wyniesieniem ciała niespodziewanie uległa wewnętrznemu przymusowi (cień tulipana? szelest całunu? lot trzmiela?) i zdecydowanym krokiem podeszła do jego stolika (tego samego, który według Łasowskiego miał być *rozchwyany*), gdzie na najlepiej widocznym miejscu, pedantycznie ułożone strona po stronie, leżały obydwie rękopisy, ukończony i nie ukończony. Skąd się tam wzięły? Przecież tysiąc razy patrzyła wcześniej na ten stolik i nic tam nie było! *To on* — powiedziała Oksanie Kercz — *to ktoś, kogo pozostawił zamiast siebie, dopiero co położył na stół jego rękopisy.*

Inne dziwo wspomina poeta Hawryluk. W drodze na Cmentarz Janowski, dokąd podążał nie w ogólnej procesji, ale chodnikiem, nieustannie zbaczając do napotkanych zakładów, by pokrzepić się kolejnym

łykiem, kilka razy przywidziała mu się postać Bohdana — jeśli nie w tłumie, to w bramie, a raz nawet na czele procesji — jakby stary przyjaciel naprawdę dokąś ich za sobą prowadził. *Od tamtego dnia zacząłem myśleć o naszych odbiciach* — zapisał Hawryluk w kilka miesięcy później (sic!) w dzienniku — *i kiedy czytając później po raz kolejny jego Trzy pierścienie, trafiłem na wersy: i znów z portretu srebrnych ram na płótnie się wyłania kontur i woła do mnie mój sobowtór, zrozumiałem, że nie ma nic bardziej realnego niż poezja.*

Jego skrzypce postanowiono pogrzebać razem z nim, by w ten sposób, według idei organizatorów pogrzebu, odpowiedzieć na jego słowa sprzed pięciu lat: *Już Pan Bóg kładzie mnie do pudła niczym skrzypce.* Tak więc wraz ze smyczkiem zostały one włożone do futerału — wielu świadków obserwowowało ten symboliczny gest — a potem do trumny. Jak mogły te skrzypce ponownie znaleźć się w mieszkaniu na Gródeckiej, kiedy zapłakane i przygnębione towarzystwo wróciło z cmentarza na stypę? Czyżby pochowano tylko pusty futerał?

Te i inne niemożliwe do wyjaśnienia sprawy, zasiane na nader podatnym gruncie lwowskiego *środowiska*, nie mogły nie znaleźć kontynuacji. W ciągu najbliższych miesięcy i lat miasto wciąż na nowo opanowywały historie o *zobaczonym* Antonyczu. Pojawiał się przeważnie w ludzkiej ciżbie i znikał w niej przy pierwszej próbie zbliżenia. Najczęściej chodziło o plecy, niektórym udawało się dostrzec króciutki półobrót głowy, ale potem wszystko tajało. Raz je-

den Swiatosław Hordynski zobaczył go nie w tłumie, ale samego, za to z co najmniej trzystu kroków — stał na pagórku przed lasem, trochę nad Hołoskiem, miał nasunięty na oczy kapelusz, był przygarbiony jak zmarzluch i trzymał ręce w kieszeniach zapiętej na wszystkie guziki marynarki. Dzień był mglisty i dokuczliwie mokry, chyba 13 marca. Antonycz powstał chwilę bez ruchu, a potem wyciągnął ręce z kieszeni i kilka razy machnął nimi jak skrzydłami. Hordynski, pisząc o tym, oświadcza, że gest ów musiał być przeznaczony właśnie dla niego, jedyne w tej sytuacji obserwatora. Mimowolnie zapragnął zawołać z dołu tego *niewątpliwego Antonycza*, gdy ten odwrócił się i jakimś nieważkim krokiem ruszył w las, gdzie zniknął między pniami, pasmami mgły i smugami poszarzałego śniegu na gałęziach.

Rozmowy o Antonyczu stopniowo ucichły dopiero pod koniec trzydziestego dziewiątego, gdy nowa władza zaczęła stanowczo wybijać z głów miejscowej ludności wszelkie metafizyczne bzdury, a wielu z tych, którzy znali go osobiście, na zawsze opuściło Lwów, kierując się zarówno na zachód, jak i niestety — na wschód. *Teatr społeczny* został niemal doszczętnie zrujnowany — pozostały oderwane, rozrzucone po świecie ośrodki, które nigdy ostatecznie nie zdołały się w pełni i całkowicie odrodzić. Następne lata, z ich koszmarami wojny i represji, też nie sprzyjały jego powrotom, nawet w snach czy wizjach. W Krakowie został co prawda wydany tomik poezji, ale jego powszechnie szanowany redaktor, profesor literatury,

ograniczył się do samych tylko tekstów. Jeszcze później, w czasach *bezrefleksyjnego niszczenia pamięci historycznej*, brygady anonimów w kufajkach wzięły się za *porządkowanie* Cmentarza Janowskiego — tak został zrównany z ziemią również i jego grób, jeden z setek niepożądanych.

Stąd gdy na początku lat sześćdziesiątych nieoczekiwane grono jego nowych, dwudziestoletnich adeptów, kierując się księgami cmentarnymi i napisami na ocalałych nagrobkach, odnajduje miejsce jego pochowania i wznosi tam nowy nagrobek, nikt z nich nawet nie domyśla się, że tym samym postępują wbrew zapomnianej legendzie o tym, jakoby on nie umarł, tylko żył we Lwowie przez wszystkie te lata, jakoby wciąż gdzieś w nim żył, a pewnego dnia owa tajemnica wyjdzie na jaw.

Albo tego samego, albo już następnego przedpołudnia całe towarzystwo zebrało się jednak na śniadanie w większej jadalni. „Większa” to ta w północno-wschodniej części pensjonatu, na pierwszym piętrze, z oknem na połoninę; ta, w której na ścianach wiszą flamandzkie martwe natury, jelenie rogi i talerze różnych kształtów i przeznaczeń — od ceramicznych do miedzianych, upamiętniających nieznaną orkiestrę dętą.

Warto chyba wyobrazić sobie, kto z nich gdzie siedział. Tak więc, u szczytu prostokątnego stołu, naprzeciwko siebie, zasiedli: rzecz jasna, czcigodny profesor Doktor oraz nie wiedzieć czemu, wideomaker Jarko. Po lewej ręce profesora (czyli po prawej ręce Mahika) siedziała w pełnym składzie rodzina: pani Roma, Artur Pepa, ich córka Kołomeja. Po prawej ręce profesora — wszyscy inni, to znaczy Karl-Joseph Zumbrennen (naprzeciwko pani Romy, samo wyszło), a także Lila Czarna i Marlena Biała.

Było tam jeszcze dwóch typów z personelu — oczywiście ostrzyżeni na zapalkę, obydwaj w czar-

nich golfach i z *komórami* przy paskach. Możemy ich w zasadzie pominąć, bo tylko milczeli, kolejno wynosząc z kuchni rozmaite talerze z jedzeniem, kawę i herbatę, a potem znikając z pustymi naczyniami na tacach.

Gospodarza jak zwykle nie było, jednak nikt spośród obecnych się temu nie dziwił. Ktoś wprawdzie zadał jakieś neutralne pytanie, ale odpowiedź milczącego sługi brzmiała w pełni wyczerpująco: „Gospodarz się jeszcze zjawia”. Na tym sprawę zamknęto.

Milcząca atmosfera domu mimowolnie udzieliła się wszystkim gościom. Karl-Joseph, który i bez tego wolał unikać rozmów z powodu bariery językowej, łowił spojrzenia pani Romy i niepostrzeżenie dla innych drżał, gdy biorąc z rąk swojej *vis-à-vis* kolejny talerz czy salaterkę, dotykał na mgnienie jej dłoni, nadgarstka, rękawa. Pani Roma, wyraźnie pewna siebie i niewymownie dzięki temu pociągająca, z mokrymi jeszcze po kąpieli włosami, przy okazji wykonywała swój zawód tłumacza, specjalnie dla Zumbrunnena ogłaszając raz po raz: „*Wurst!*” albo „*Käse!*”, albo „*Frühlingssalat!*” — zupełnie jakby sam tego nie widział. Lila, która wyprzedziła swoją najlepszą przyjaciółkę i szybciej niż ona usadowiła się koło *zagranicznego fotografa*, teraz intensywnie myślała, jak by tu zacząć go oczarowywać. Marlena nic nie myślała, za to po cichu cieszyła się, że jej przyjaciółce *ni chuja* z tym oczarowywaniem nie wychodzi. Kola obserwowała je ukradkiem, w myślach bezlitośnie krytykując ich koszmarny makijaż. Ale szybko jej

to obrzydło i ukryła się głęboko w sobie, jak potrafią dziewczęta w jej wieku. Reżyser Mahik dużo jadł. Artur Pepa w skupieniu ukrywał swoją nietrzeźwość, co nadawało mu bardzo ironiczny wygląd, a jego nóż co chwilę jakby specjalnie ześlizgiwał się z kapelusza marynowanego grzybka i nieprzyjemnie zgrzytał po talerzu; pani Roma zerkiała wtedy na męża piorunująco. I tylko profesor Doktor z łagodnym uśmiechem zaburzał niekiedy tę małomówną agapę głośnymi rozważaniami w rodzaju:

— Niechże szanowni państwo łaskawie zwrócą uwagę na obecne tu przedmioty. Jakaż dziwna i całościowa elegancja! Tak, tak, jeszcze dla naszych dziadków i babć istniał „dom”, istniała „studnia”, znana im wieża, wreszcie ich własne ubranie, ich paltó (powiedział „paltot”, ale prawie wszyscy zrozumieli). Prawie każda rzecz służyła za naczynie, z którego czerpano to, co ludzkie, i w którym to, co ludzkie, gromadzono na cięższe czasy. I oto z Ameryki atakują nas puste, obojętne rzeczy, rzeczy-zjawy, butaforia życia. Ożywione, przeżyte przez nas rzeczy, rzeczy-nasi współuczestnicy, niszczeją i nie mogą być niczym zastąpione. Być może jesteśmy ostatnimi, którzy jeszcze poznali takie rzeczy.

Albo:

— W tej materii nieprzypadkowo Nietzsche zwraca się do obrazu prairiańskiego proroka Zaratustry. Osobowości twórcze Rudyarda Kiplinga i Josepha Conrada zapoczątkowały cały wybuch tak zwanej „kultury egzotycznej” w Wielkiej Brytanii. Zupełnie szczególny

rodzaj symbolistycznej egzotyki zaprezentował nam wybitny poeta iberoamerykański Rubén Darío, którego twórczość stanowi chimeryczny splot motywów antycznych, średniowiecznych i lokalnych, to znaczy indiańskich i afroamerykańskich.

Albo znienacka:

— Bohdan Ihor Antonycz, co całkowicie zrozumiałe, także nie mógł nie włączyć się w te symptomaticzne dla jego epoki poszukiwania. Kiedy czyta się niektóre jego wiersze, wyobraźnia mimo woli kreśli starożytne mapy morskie, gdzie z głębin i fal oceanicznych przestrzeni wyłaniają się okropne i najprzedszytniejsze stworzenia, przerażające potwory oraz wybryki natury, harpie, smoki i morskie psy, całe to wodne bestiarium, które stanowić będzie prolog nie tylko dla fantazmatów malarstwa surrealistycznego jemu współczesnych, ale także dla opatentowanej później w Hollywood produkcji kinowych straszylek.

— Bajupierdu — niespodziewanie zareagował na to Pepa i prychnął w talerz.

— Już zdążyłeś? — znów piorunująco spojrzała na niego z ukosa pani Roma, której zrobiło się cokolwiek wstyd za męża.

— Zdążyłem? — powtórzył jej pytanie zdemaskowany Artur. — O czymże mówisz, jaskółko?

— Już się od rana doigrałeś — zaopiniowała pani Roma, której porównanie z jaskółką wcale nie przekonywało, a raczej niepokoiło.

— Ale co też ty, jeszcze tu z nikim nie igrałem — z całą hamletowską, jak mu się zdawało, ironią oznaj-

mił Pepa i mrugnął do Lili, bo wyszło tak, że siedziała naprzeciwko.

Lila się nie zmieszała i pomyślała, że ten facio *też obleci*.

— Ma pan zupełną rację — profesor kontynuował, uśmiechając się już teraz do Pepy osobiście — zaprzeczając mojej ostatniej tezie. Naumyślnie uciekłem się do niej, jako do swego rodzaju prowokacji intelektualnej. Reakcja pańska jest tym właśnie, czego było mi potrzeba dla zradyzalizowania naszej dyskusji. Ale czyż można zaprzeczyć faktowi, że Antonycz nad podziw często operuje oceanicznymi obrazami?

— Nikt niczemu nie zaprzeczał, co też pan — najironiczniej jak mógł, odciął się Pepa. — Pewnie jesteście siostrami? — zapytał równocześnie i Lilę, i Marlenę.

— *Banusch* — ciut za głośno oznajmiła pani Roma — *ist eine typisch huzulische Speise, eine Spezialität sozusagen, etwas wie italienische Polenta...*

— Gawarit pa ispański — skomentował Pepa nosowym głosem.

— Ja znam banusz — skwapliwie zapewnił Karl-Joseph, któremu czasami udawały się jakieś zdania po ukraińsku.

— Siostrami? — powtórzyła Lila.

— Coś w tym guście — zgodziła się Marlena.

Pepa pochwycił jej rękę, która właśnie wyciągała się nad stołem w stronę dzbanka z kawą, gwizdnął i wypalił:

— A to ci dopiero paznokcie! Po co ci takie czarne paznokcie, jaskółko?

— Arturze! — władczo osadziła go żona, rękawem lnianej koszuli strącając szklankę po soku, tym razem pustą.

— Arturze? — powtórzył Pepa, a potem zgodził się — Tak, jestem Arturem. Już trzydzieści siedem lat, jak nim jestem.

„Taki stary, a jeszcze całkiem, całkiem”, pomyślały równocześnie Lila i Marlena, przy czym tej drugiej udało się wyswobodzić rękę.

— Proszę nie zwracać na niego uwagi — chłodno powiedziała do niej pani Roma zamiast możliwych w takiej sytuacji przeprosin.

— Nie zwracać kogo czego: uwagi; zwracać kogo co: szyję — analizował Pepa. — Proszę zwracać szyję. Ładne dziewczynki, nieprawdaż?

Pani Roma udała, że to nie ją pytano, i głośno zaczęła wstawać od stołu. I rzeczywiście: ileż można jeść śniadanie? Podeszła do okna, za którym tego przejrzystego jak rzadko dnia widać było spory kawałek górskiej krainy i pokryte śniegiem szczyty po ukraińskiej stronie.

Obydwie przyjaciółeczki ze znajomością rzeczy wymieniły spojrzenia, a profesor Doktor potrafił się znaleźć:

— To wspaniale, że z taką uwagą odnosi się pan do słowa, panie Pepo — przemówił w zachwycie. — Zdradza to w panu nieprzeciętnego poetę. Pamięta pan u Antonycza: *słowa prędkie, niezawodne z piorunami zderzam jak sztylety*?

— Ależ, co też pan, panie dobrodzieju — skromnie odrzucił jego pochwałę Pepa. — Gdzieżby tam! Z ja-

kimi piorunami? Chociaż muszę przyznać, że zderzenia same w sobie czasem mnie interesują...

Ale tym razem nie udało mu się złowić ani wzroku Lili, ani Marleny: dowiedziawszy się, że ten *zabal-samowany gość* to wszystkiego poeta, w myślach unisono powiedziały: „*Temu panu dziękujemy*”. Poetów musiały uczyć się na pamięć w szkole, i to była padaka. „To spadajcie na bambus, papugaje niedoskubane”, pomyślał w odpowiedzi Pepa i zapalił w pełni brutalnego pryłuckiego, po którym oczekiwał jeszcze silniejszego zamroczenia, albo innymi słowy, *roz-szerzenia świadomości*.

Karl-Joseph patrzył w stronę okna, bo nade wszystko pragnął podejść do Romy i widzieć coś, co tylko ona jest zdolna w tej chwili zobaczyć.

— *Es ist heute so unglaublich sonnig, dass wir dort auf der Terasse sitzen konnten* — oznajmiła pani Roma, nie myśląc o skutkach.

Ale słowo *Terasse* usłyszeli także inni. Lili i Marlenie z łatwością skojarzyło się ono z ich fantastycznie skąpymi kostiumami kąpielowymi. Artur Pepa pomyślał, że niegłupio byłoby uwalić się na leżaku i prosto z gwinta wysmoktać schowaną pod wanną połowę orzechówki. Kola ledwie się powstrzymała, żeby nie powiedzieć na głos: „Czwarty krąg — to objęcia ciepłego wiatru, krążenie energii”. A Jarko Mahik, profesjonalista, zrobił sobie siódmą wielką kanapkę z cielęciną na zimno, serem, plasterkami pomidorów, listkami sałaty, majonezem, sardynkami i keczupem, po czym znieńacka spytał profesora Doktora:

— A pan... znaczy... mówił, że ogląda hollywoodzkie filmy?... Bo ja tu mam kasotę z moim... no, nowym klipem. O tym waszym... *Stary Antonycz* się to nazywa... Obejrzymy?

— Ja tylko mówiłem, że każdy obraz musi odzwierciedlać głębokie uczucia — z życzliwym uśmiechem odpowiedział profesor — a „głębokie” oznacza „dziwne”, podczas gdy „dziwne” oznacza „niewiadome” i „nieznane”. By dzieło sztuki stało się nieśmiertelne, musi wykroczyć poza granice tego, co ludzkie.

— Aha — przytaknął reżyser — wszystko prawda. A pan, panie Arturze? Pana opinia mnie też... znaczy, tego...

— Mów mi po imieniu, stary — zezwolił Pepa.

A potem znowu wszyscy zamilkli, nawet profesor Doktor, pewnie żeby nie drażnić surowych typów z personelu i nie rozpraszać ich, gdy miarowo i obojętnie zbierali ze stołu wszystko, co jeszcze pół godziny temu można było nazwać śniadaniem.

Po płaskim ekranie olbrzymiego telefunkena przebiegały czarno-białe, przeważnie udające brunatną sepię kadry, które mogłyby kojarzyć się z kilkoma naraz popularnymi stylami, przede wszystkim z *retro* i *undergroundem*. Te techniczne wygibasy same w sobie nie stanowiły żadnej innowacji, wszakże zdążyły już do woli bawić się nimi legiony filmowców, od Bergmana i Tarkowskiego do niedawnego *Moulin Rouge*. Nowością było to, że wszystko działo się we Lwowie: co sekundę pojawiała się nowe tło z ko-

lejnym zakamarkiem, starym podwórkiem, śmietnikiem, labiryntem piwnic, w którymś momencie gwałtownie pochylił się i prawie upadł na widzów ratusz z trębaczem, w innym rozpadła się w pył od wybuchu Wieża Prochowa, potem jakiś lotniarz karkołomnie spadał na przemysłowe ruiny Podzamcza, a jego sztuczne skrzydła po kawałku odpadały i opadały, uderzając w fabryczne kominy i szkielety żurawi. Należało to rozumieć symbolicznie: duch katastrofy panował nad tym światem, koniec końców i posmak apokalipsy.

Wideoapoklip Jarka Mahika został nakręcony do piosenki *Stary Antonycz* w wykonaniu grupy Lwica Daniela — całkowicie lokalnego hitu z nalotem typowo lwowskiej *independyzacji* na granicy wszystkich możliwych w ostatnim dziesięcioleciu muzycznych *trendów* i *streamów*. Dlatego na ekranie migali przede wszystkim sami muzycy, na czele z jakimś dwupłciowym liderem w plastikowym wieńcu cierniowym; muzycy pojawiali się to z instrumentami, to bez, to w odrapanych pokojach jakiejś opuszczonej willi, to na schodach zrujnowanego kościoła, to pod upstrzonym angielskimi przekleństwami średnio-wiecznym murem. I śpiewali mniej więcej tak:

*stary antonycz wciąż jeszcze żyje
jeszcze nie umarł choć ma arytmie
wciąż łapie klimę i dużo pije
słodycz miłości dowcip mu wytnie*

Dalej szedł szesnastokrotny refren z dwóch tylko słów — „stary antonycz!”. Na ekranie całowały się wszelkie pokraki, biało upudrowane dziwki gromadnie wpychały się do tajemniczych limuzyn o ciemnych szybach, strzelał szampan, ktoś wycierał sobą kafele upapranej podłogi toalety publicznej, w którymś momencie mignęła fasada hotelu Grand z niesamowitymi szparami i lianami, wataha bezdomnych tańczyła wokół ogniska przed Operą. Ten kadr szczególnie rozbawił Artura Pepę, który w przerwie między śniadaniem i projekcją zdążył spotkać się ze swoją orzechówką i teraz energicznie tupał w takt muzyki, wyłapując tylko oderwane słowa o tym, jak:

*stary antonycz łązi po nocach
z baru do baru sny go nie znają
każdy tę twarz zapisaną ma w oczach
trzysta lat sowy nad nim latają*

Tak więc, tam rzeczywiście był niby-Antonycz — drągalowaty staruch w kapeluszu i płaszczu, z kolczykami w uszach, jakiś taki urbanistyczny fantom; szedł miastem, otwierając nogą drzwi piwnicznych knajpek i zanurzając się w ich piekło, jakby odbywał własną służbę patrolową („A ten aktor, jak on się nazywa?” — półgłosem spytała pani Roma na prośbę Karla-Josepha), a potem kochał się, nie zdejmując kapelusza, ani nawet płaszcza, z jakąś na wpół umarłą, wytatuowaną ślicznotką, wokół której wił się napis MY NAME IS FANNI — I’M REALLY FUNNY; za stosun-

kowo ciekawy pomysł dowcipnego Mahika można było uznać wtrącanie tu i ówdzie kolorów w ogółem czarno-biały, brudny obraz; na przykład, kiedy Antonycz pił wino z wysokiego kielicha, to ciecz była czerwona; tak samo na czerwono płynęła ona przez przewód pokarmowy jego przezroczystej kochanki; były jeszcze żółte kwiaty na zadymionym stosie pod czymś osłoniętym draperią pomnikiem; był też złocisty gwiazdny pył, który sypał się na zamglone miasto jak śnieg, ale to działo się później, gdy osamotniony Antonycz znikał już w promieniu księżyca („I tak go pani nie zna, to amator” — tak samo półgłosem odpowiedział clipmaker).

Tymczasem akcja zmierzała ku końcowi — ze wszech stron napływały strumienie wód podziemnych, miasto ze wszystkimi jego grzesznikami i grzesznicami zanurzało się w czarnych głębinach, w spienionej wodzie wirowały martwe ptaki, prezerwatywy, strzykawki, stare płyty gramofonowe; pozostali tylko muzycy na scenie wymarłego klubu, czy może opery, lider zdzierał z głowy i rozpaczliwie ciskał na wodę swój tymczasowy wieniec, kamera gwałtownie się oddalała, tworząc całkiem metafizyczną perspektywę przestrzenną z malusieńką cętką sceny nad światowym potopem; reszta słów została wyśpiewana w całkowitych ciemnościach, z głuchym akompaniamentem wiolonczeli — niczym z na wpół zatopionego pomieszczenia albo z nadgryzionej przez czas taśmy:

*stary antonycz wciąż między nami
chodzi po mieście przeklętym miejscu
jego dziewczęta nie podorastały
i śmierć jego czeka w odległym obejściu*

To był koniec. Wszyscy obecni na pokazie odetchnęli. Artur Pepa nie mógł nie odezwać się pierwszy, przecież jego pierwszego zaswędziały język, więc powiedział:

— Wiesz co, Jarku, wszystko byłoby świetnie, gdyby nie ostatni rym. Co to za „miejscu — obejściu”? Dużo lepiej by brzmiało „znika — sika”.

Ale zamiast homeryckiego śmiechu całego towarzystwa, na który właśnie liczył, uzyskał tylko uwagę Romy: „Bardzo zabawne!”.

— Tu na kasecie jest jeszcze... znaczy... takie wyjaśnienia, no... komentarz jakby — odpowiedział mu Mahik, trochę przewinął taśmę i zatrzymał ją w miejscu, gdzie on sam, rozwalony w fotelu na środku studia, opowiadał jakiemuś telewizyjnemu audytorium o swojej idei.

— ...szcze innego. Przez kilka lat przymierzałem się do tej pracy — mówił ekranowy sobowtór Jarka, dzięki starannemu montażowi telewizyjnemu pozbawiony wszystkich swoich „znaczy” i „no”. — Pociągała mnie jakaś taka uniwersalna historia o wiecznie żywym idolu, na przykład poecie. Teraz naszą pracę interesują się już producenci z entefau, emtiwi. Bardzo się cieszę, że Lwica Daniela... jak by to powiedzieć (tu

nieznani montażyści trochę sobie odpuścili)... znalazła dla mnie ten obraz.

Potem na ekranie pojawił się lider zespołu. Tym razem okazał się dziewczyną z butelką piwa i papierosem w ręku. Nakręcono ją gdzieś na starym mieście, na tle tamtego po angielsku wymalowanego muru.

— Wszystkich nas w dzieciństwie straszono starym Antonyczem — opowiadała, sama sobie przerywając częstym pociąganiem piwa i papierosowego dymu. — Pamiętam, że kiedy moi rodzice uważali, że źle się zachowuję, mówili: „Oj, przyjdzie stary Antonycz i zabierze cię do swojej ciemnej piwnicy”. Kiedyś podobno w naszym mieście pochowano takiego człowieka, a potem on się wszędzie pojawiał. W każdej rodzinie o tym wiedzano. Mieszkał po jakichś piwnicach, zbierał puste butelki, rozmałą makulaturę i chodził w takim długim płaszczu. I mówił takim przedwojennym językiem, z tymi wszystkimi słówkami. Czasem naprawdę się go bałam, a czasem nie bardzo. Któregoś dnia rysowałam na piasku koło naszego domu swoje tajne znaki, sama je wymyślałam, a potem niszczyłam, to znaczy zamazywałam na tym piasku. Narysowałam jeden taki znak i już chciałam go zetrzeć, ale poczułam, że ktoś nade mną stoi. To był on, mężczyzna w czarnym płaszczu. Najpierw się przestraszyłam, bo powiedział: „Tym oto znakiem przywołałaś mnie. Czego ci trzeba?”. Wtedy zaczęłam go strasznie przeproszać, paplać, co ślina na język przyniosła, że ja przypadkiem, że nie wiedziałam, itede, a on westchnął i sobie poszedł. Teraz myślę, że

to mi się tylko śniło. Ale i tak nie mogę go zapomnieć. Tytuł naszego drugiego albu...

Na tym zapis się urwał, ekran wypełniła szaro-biała, szumiąca masa, ale wszyscy zostali na swoich miejscach, po części dlatego, że pani Roma wciąż jeszcze tłumaczyła Zumbrunnenowi *piąte przez dziesiąte* sens opowiedzianej właśnie historii. Choć ta historia w sumie nic dla niego nie znaczyła — najważniejsze, że ona, Roma, zwracała się do niego. I to wystarczało.

„Ciekawa koza — myślał Artur Pepa o dziewczynie z piwem. — Ani okiem nie mrugnęła. Trzeba jakoś...” — ale dalej fantazjować mu się nie chciało: jak się będą poznawać, palić i pić, rozmawiać o poezji, muzyce, mistyce, seksie i tak dalej; mniejsza z tym, to nudne.

— To jak to się, znaczy... panie profesorze? — przypomniał o sobie Mahik, wydłubując kasetę z odtwarzacza.

— Moim skromnym zdaniem ogólnie mamy tu właśnie do czynienia z taktownym przenikaniem do świata archetypów — ochoczo zaczął Doktor, i Mahik natychmiast pożałował, że go zaczepił. — To właśnie one, według Junga, tworzą treść tak zwanej podświadomości zbiorowej. Ich bezpośredni obraz, który zostaje odzwierciedlony w snach i wizjach, ma wiele cech indywidualizmu, niezrozumiałości, a nawet naiwności. Archetyp w istocie reprezentuje nieuświadomioną treść, która w procesie swego konstytuowania się zastępowana jest przez to, co świadome i zmysło-

we, przy czym w duchu tej indywidualnej świadomości, w której się on pojawia.

— Bardzo panu dziękuję — potrząsnął kudłatą głową Mahik.

— Ten dziwny księżycowy kochanek — nie przerywał profesor — ten tajemniczy nieznajomy w płaszczu jest niewątpliwym archetypem, stale obecnym na granicy podświadomości i świadomości, w kręgu fantazji każdej świeżo rozkwitającej kobiecością dziewczynki, która akurat znalazła się w stadium swego indywidualnego, niespokojnego oczekiwania.

Ostatnie słowa profesor Doktor wypowiedział, prześlizgując się uśmiechniętym spojrzeniem po jak zawsze bardzo odsłoniętych nogach Kołomei i zatrzymując na moment wzrok na jej leciutko zaróżowionej twarzy. I tym razem to ona nie wytrzymała.

— Może skończymy rozmowę na tarasie? — energicznie zapytała Roma, której coś się w tym wszystkim nie podobało.

Ale na tarasie nikt niczego już nie skończył — wszystkich ogarnęło tak niepokonane i bezgraniczne lenistwo, jakie zdarza się tylko w wiosennym słońcu. A dalej osuwanie się w sen, wiosenność, senne rozmiękanie dusz i ciał, błogosławione zawieszenie w nirwanie, które zaczyna się gdzieś w najdrobniejszych strukturach kości, opanowuje wszystkie bez wyjątku tkanki, spowalnia krew i serce, mobilizując natomiast receptory — pod względem wrażliwości skóry i nozdrzy upodabniamy się do ciepłych zwierząt: tak wiele dotyków i zapachów, a żaden z nich nie ma nazwy!

Co w ogóle działo się z pogodą? Dlaczego to miejsce, znane przede wszystkim ze swoich cyklonów, nieustających, przenikliwych wiatrów, walki żywiołów i frontów atmosferycznych, dziś było tak nagrzane, jasne, przyjazne i przejrzyste? Dlaczego temperatura powietrza sięgała w słońcu dwudziestu dwóch stopni? Dlaczego wiatr nie był *wiatrem* w górskim znaczeniu tego słowa, a — jedynie różnej maści poetom pasuje to nader śliczne słówko — *zefirkiem*? Dlaczego wszystko wokół — i skaliste zębiska grzbietu, i białe szczyty dwutysięczników, i kamieniste wierchy — było tak wyraźne, jednoznaczne i wyjątkowo dobrze widoczne? Dlaczego spośród wszystkich możliwych dźwięków i dźwięczeń, złożonych na dnie tej ciszy, pozostało tylko jednostajne spływanie i kapanie wody z topniejącego śniegu? I żadnych ptasich krzyków? Jak to się mogło stać? Jak mogło się stać tak, że nawet profesor Doktor nie wyrzekł na głos: „Cisza — to język, którym do człowieka przemawia Bóg”?

Jakkolwiek do tego doszło, trwać to wiecznie nie mogło. Milczenie świata zostało przerwane ciężkim zbieganiem po schodach pozostawionego samopas męskiego ciała — pojawił się Artur Pepa z ogromną szachownicą w rękach.

— Aha, tu są wszyscy! — zawołał, oceniając wzrokiem rozrzuconą ludzką konfigurację. — I wszystkim dobrze! A kontakty międzyludzkie, rozrywki? Coście tutaj umierać przyjechali?

— Arturze! — z półsnu odezwała się do niego pani Roma.

Siedziała na leżaku i miała ochotę zdjąć przez głowę swoją lnianą koszulę z grubego płótna i odsłonić ramiona. „No dlaczego, dlaczego nie wzięłam kostiumu?”, myślała z żalem w półśnie, póki ten dureń, dureń, dureń go nie przerwał.

— Tak, to ja — odpowiedział jej dureń. — Co powiesz na szachy?

— Jakie szachy? — mruknęła Roma, nie otwierając oczu. — Co znów za szachy?

Po tych słowach półsen zawładnął nią z nową siłą i zobaczyła siebie samą mniej więcej z takiej odległości, w jakiej siedział na parapecie, bawiąc się aparatem fotograficznym, Karl-Joseph; tak więc, stanowczym ruchem ściągała przez głowę nieprzyjemnie przesiąkniętą dezodorantem oraz potem koszulę, i pięknie odrzuciła ją jak najdalej; aparat pstryknął w chwili, gdy zdążyła zasłonić rękami swoje duże piersi, ale to wszystko półsen, sen, sen (piersi przyśniły jej się znacznie większe niż w rzeczywistości).

— Stary, może ty? — Artur zaczął Mahika. — Goniec, wieża, hetman...

— Jakoś... tego... — zająknął się z leżaka kudłacz, ale Pepa już ruszył do parki kotków w bikini, wygrzewającej się opodal na dmuchanych materacach.

— Oho, ale sportsmenki! — gwizdnął Pepa. — Partyjkę dla trojga?

Zarówno Lila, jak i Marlena z niezadowoleniem uniosły głowy i obracając się z takim samym niezadowoleniem, zmieniły pozycje i położyły się na brzuchach. Wydawało im się, że ten *wiecznie ululany jełop*

zasłania je *zagranicznikowi*, który chce je przecież *pstryknąć w bikini*.

— Nie boicie się podpiec? — dokuczał Pepa. — No, dziewczynki, posmaruję was kremem! Macie krem do opalania?

— Spadaj — odpowiedziała któraś z nich, tak samo z pólśnu.

— Sorki — Pepa wycofał się i odpuścił, ale tylko na kilka minut.

Profesora wprawdzie nie zaczepił i ominął jego wyplatany fotel szerokim łukiem. Tak samo nie próbował zapraszać do gry Kołomei — po pierwsze dlatego, że w ogóle starał się nie zostawać z nią sam na sam, a po drugie, ponieważ chronił ją piąty wiosenny krąg — jej zielona nietkniętość. Pozostał tylko Austriak na parapecie; Artur potrząsnął w powietrzu szachownicą tak, że aż wszystkie figury w niej zagrzechotały, i zapytał:

— Szachszpilen? Ajne klajne szachszpilen, a?

Karl-Joseph położył aparat na parapecie i zeskoczył.

— No dobrze — powiedział, co mógł najprostszego; bo sformułowanie odmowy, do tego z jakimś uprzejmym pretekstem, było prawie niemożliwe. Poza tym zrobiło mu się żal tego nikomu niepotrzebnego, podpitego faceta.

— Jawohl? — spytał znowu Artur i równocześnie pomyślał: „Po grzyba mi te szachy? Przecież ja w ogóle nie umiem grać”.

Po chwili siedzieli już na stołkach i rozstawiali figury. A potem zaczęła się gra, o której przebiegu sądzić można było jedynie z nie zawsze sensownych okrzy-

ków Artura („koń! pion! goniec! szach! rosza! promocja! hetman! fersztejn, hetman?”). Zumbrunnen z kolei milczał. Przypadły mu białe — na co nalegał jego przeciwnik, bo „gościem jesteś, jasne?”. Zresztą Zumbrunnenowi było obojętne, jakie otrzyma figury — swego czasu sporo zajmował się szachami, zwyciężał na miejskich turniejach, korespondował z podobnymi sobie uczniami prywatnej szkoły Wiktora Korcznoja i z łatwością rozwiązywał zadania w specjalistycznych czasopismach. W czwartej minucie gry Artur Pepa powiedział: „Endszpil! kaput!”, i zaproponował kolejną partię: „Ale teraz ja białymi, jasne?”.

Jasne, że przegrał i tym razem, a w ciągu następnej półgodziny jeszcze cztery partie, i dopiero wtedy wyciągnął swoją tajną broń w postaci ostatniego w papierosnicy pryłuckiego, nabitego dla urozmaicenia zupełnie niezłą mieszanką konopi. Po pierwszym dymku gra nabrała spowolnionego dostojęstwa, a Karl-Joseph żywo poruszył nozdrzami i zapytał:

— *Hasch?*

— Wollen? — mrugnął do niego Pepa i podał papierosa.

— *Nicht schlecht!* — ocenił Karl-Joseph.

— A coś ty myślał! — potwierdził Artur.

Niedługo potem doszedł do wniosku, że rozwój wydarzeń na szachownicy jest mu z góry wiadomy. Z góry na sto partii. Przystawianie figur nie miało sensu — i bez tego wszystko zmierzało do zwycięskiego końca. Mógł bezbłędnie wymienić wszystkie posunięcia ze stuletnim wyprzedzeniem. I swoje, i prze-

ciwnika. Bo przemienił się w jedno wielkie Centrum Mózgowe, oto, w co się przemienił on, Artur Pepa. Było to podwojone Centrum Mózgowe: jedno tkwiło wewnątrz niego, a drugie było po prostu Arturem Pepą, tak go nazywano. Ta myśl trochę go wystraszyła.

— Słuchaj, co myśmy tu narobili — z zakłopotaniem powiedział Pepa. — Ziemia się pali pod nogami!

Spojrzał w niebo i zobaczył, że słońce znika za parawanem odległych szczytów. Artur Pepa nie do końca wiedział, co to takiego, ten *parawan*, ale był pewien, że w tej chwili słońce znika właśnie za *parawanem*. Zobaczył też wokół siebie głowy — całe towarzystwo zgromadziło się nad szachownicą, z ożywieniem omawiając partię i wskazując wielkimi jak kłody palcami na niedobitki figur.

— Schlechtersmajnkopfblijben! Sztrajchmalwidercurukk und bruchszlajfenwanderndcuzamen! — agresywnie powiedział Karl-Joseph.

Artur Pepa chytrze się na to uśmiechnął i zdecydowanym machnięciem ręki zrzucił z szachownicy wszystkie figury.

Jednakże tego samego jeszcze popołudnia, a może już następnego, pojedynek znalazł ciąg dalszy. Stało się to, co prawda, nie na tarasie, tylko wyżej — na wieży, stojącej po południowo-zachodniej stronie pensjonatu, dokąd wszyscy przenieśli się w ślad za słońcem. Na wieży, na szczycie, była okrągła platforma widokowa, z której otwierały się wszystkie strony świata,

włącznie z transylwańską, i wtedy wyszło na jaw, że ów świat składa się przeważnie z gór. Ponadto okazało się, że nie ma na tym świecie nic ciekawszego niż obserwowanie, jak po na wpół ośnieżonych górskich szczytach przesuwają się cienie chmur. Bo przecież po południu pojawiły się chmury.

I patrząc na nie przez ciemne szkła okularów przeciwsłonecznych *Giorgio Armani*, reżyser Jarko Mahik obmyślał, jak też będzie to wszystko robić: „Posadzę go w tym... w jednym z foteli... tam są takie ładne... po prostu ten... no, tron. Z bardzo drogim tłem — tapety, gobeliny, takie tam... Jedna przed nim na kolanach... a może tyłem?... no, tak czy siak na kolanach... zobaczmy. Druga z tyłu... za oparciem tego... tronu. Co ona może robić?... Obejmować go?... Może nie od tyłu?... Ale to pion nie wyjdzie... Fajny taki pion: ciało jeden — potem on sam — ciało dwa...”.

Zresztą nie tylko Jarko Mahik pozostawał w tej chwili w *niewoli zadumy*. Obserwowanie gór i chmur sprzyjało introspekcji. Wszyscy wymienili na temat krajobrazu pełne zachwyty komentarze, po czym zamilkli, być może marząc o odnalezieniu utraconej na tarasie nirwany.

Jednakże kolejne pojawienie się Artura Pepy strąciło ich z chmur na ziemię czy przynajmniej na wieżę.

— Aha! — zawołał Pepa. — Jam znowu tu, pokarmie dla szakali!

Na głowie miał jakiś krzywo nasadzony beret, ale nawet nie w berecie rzecz, a w tym, że w obu rękach trzymał po mieczu, i były to prawdziwe miecze, nieco

stępione i wyszczerbione, ale każdy miał z metr długości (w istocie jeden metr siedem centymetrów — tak się przynajmniej wszystkim wydało), i miecze te już same w sobie były groźne, ale jeszcze groźniejsze było to, że Pepa przemawiał pięciostopowym jambem:

— Za miecz, przybyszu nędzny z Austrii, chwyć! Ja wiem, że w szachach twój był szach i mat, a z mieczem sobie radę dajesz jak? Wiadomo, szachy to królewska... zabawa. Lecz pokaż, czy rycerski jest twój stan?! Za miecz ten chwyć!

Po tych słowach rzucił jeden z mieczy — na szczęście, klingą do dołu — w stronę Karla-Josepha, któremu nie pozostało nic innego, jak tylko ten miecz chwycić, i to dość zgrabnie, za rękojść.

— Wyzwanie więc przyjąłeś! — uradował się Pepa i potrząsnął mieczem w powietrzu.

— Arturze! — ochrypłym głosem przypomniała o sobie pani Roma.

— Ofelio, nimfo, módl się za mnie! — odpowiedział jej Artur. — A ty, przybyszu z Austrii, unieś miecz!

I jednoznacznie zaatakował Karla-Josepha, natychmiast przypierając go do metalowych poręczy, za którymi czai się już tylko przepaść. Dopiero wtedy Zumbrunnen zrozumiał, że to nie żarty.

— Ktoś może to powstrzymać? — gwałtownie okrywała się błądzą pani Roma. — Bardzo was proszę, niech ktoś coś zrobi...

Jej błaganie mogło być zaadresowane tylko do Mahika — jako jedyny spośród obecnych pasował

do kategorii „mężczyźni”. Profesor Doktor na razie się nie liczył, ponieważ zgodnie ze wszystkimi cechami należał do przeciwstawnej kategorii („starczy, kobiety, dzieci”), która obejmowała także i otwarcie zainteresowane nową rozrywką Lilę-Marlenę („Co on, niby że dla jaj?”), i wyrwaną z głębokiego tołkienowskiego otępienia księżniczkę Kołomeję Pierwszą („Szósty krąg — to żelazna obręcz pojedynku olbrzymów”), i samą Romę Woronycz („Boże, oni się pozabijają!”).

Ale Mahikowi nieśpieszno było rzucać się z gołymi rękami między walczących — sytuacja podobiała mu się przede wszystkim wizualnie, więc tylko podszedł kilka kroków bliżej, przygotowując kamerę („niechujowy obrazek!”).

Zumbrunnen, przyjąwszy wyzwanie, dwoma czy trzema ruchami — z mieczy sypnęły iskry — odparł atak przeciwnika. Swego czasu fascynował go fechtunek; chadzał nawet na specjalne lekcje szlachetnych sztuk walki przy bractwie akademickim Teutonia, choć szybko musiał je porzucić z powodu pogorszenia wzroku. Jednak pod względem techniki pamięć komórkowa jego ciała przechowywała całkiem sporo. Błyskawicznie przełamał niezdarny wypad Pepy (ciut za duży beret wciąż usiłował spełznąć Arturowi na oczy) i sam przeszedł do ataku; aby jak najszybciej to wszystko zakończyć, całkowicie pewnie uderzył od dołu po wrażej rękojeści. Arturowi miecz wyleciał z dłoni, opisał śmiercionośny łuk nad głowami obecnych i brzęknął o cement za ich plecami. Karl-Joseph

trochę źle wyliczył przy tym siłę uderzenia: kontynuując siłą inercji ruch do góry, jego ostrze jednak natknęło się na niebacznie nadstawioną głowę przeciwnika, drasnęło czoło i pozostawiło natychmiast podchodzącą krwią smugę, która przypominała kolejną zmarszczkę wypisaną przez życie.

— Ach, gorze, gorze, już pokonał mnie! — zakrzyknął Pepa i widowiskowo padł na wznak.

Karl-Joseph ostrożnie odłożył na bok swój miecz i pierwszy pochylił się nad zakrwawionym Pepą. Druga była Roma, która powtarzając bez ustanku: „Dureń, dureń, co za niemożliwy dureń, a gdyby tak w oko”, rzuciła się tamować krew — najpierw nieszczęsnym beretem, potem własną chustką, a następnie (tak samo pobladła Kola w kilka minut potem nadbiegła z aptecznymi utensyliami) kawałkami waty.

— Wszystkie szczegóły tego obrazu — skwapliwie zapewniał profesor Doktor — tworzą nad wyraz zmysłową całość i posiadają całkowite prawdopodobieństwo artystyczne.

— Nie umrzeć miałbym? Będę żył? — spytał Artur Pepa, pokornie pozwalając żonie owijać bandażem swój głupi łeb.

— Milczałbyś już, durniu nieskończony — odpowiedziała przez zęby pani Roma i natychmiast zaczęła się nieznośnie (czy bezgłośnie?) śmiać.

Karl-Joseph na wszelki wypadek znów odszedł do poręczy — podobnie jak bokser, który gdy pośle przeciwnika na deski, musi czekać na rozstrzygnięcie lub ciąg dalszy w swoim, dajmy na to, niebieskim na-

roźniku. Stamtąd przepaszająco obserwował Romę, jej działania ratunkowe, jej pokrytą czerwonymi plamami chustkę i jej śmiech (wszyscy inni też się śmiali). Czuł się straszliwie niezręcznie i wreszcie wydusił z siebie „pszephaszam”.

— Nic się nie stało — skwapliwie zapewniła Roma i znów się roześmiała.

— Jak to się nie stało? — z lekką urazą zaprzeczył Pepa, wstając na nogi. — Stało się, stało. Stało się to, co się stać musiało. I niech mnie czterech kapitanów w dół sprowadzi — uparcie zażądał jambem.

Ale żaden kapitan nie podszedł do niego, więc ruszył bez pocztu, pogwizdując za to *W górach Karpat* — *o, tam chciałbym żyć*.

— Rzeczywiście, chodźmy stąd — zaproponowała pani Roma. — Jakoś się chłodno zrobiło.

— *Jak byki jaskiniowe skaczą do się buki w złości, gdy w nich rozjątrzy nagle krew słońca szkarłatna płachta* — zupełnie słusznie zacytował profesor i też skierował się do wyjścia.

— A nam też pan robi zdjęcia? — zadała intymne pytanie Lila, gdy wszyscy schodzili po ciasnych, kręconych schodach, bardzo blisko siebie, i Karl-Joseph, ten przygnębiony władca sympatii widzów, znalazł się między nią a Marleną.

— Foto z nami? Zrobi pan? — sprecyzowała Marlena, żeby nie zostać w tyle.

— Nie robi — stanowczo przyrzekła pani Roma Międzydwoma.

Cóż, to się nie mogło dobrze skończyć — tego samego wieczoru (albo powiedzmy, następnego), gdy towarzystwo zebrało się na herbatę w mniejszej jadalni, Artur Pepa wymyślił nowy zakład.

— Przetłumacz mu — zażądał od Romy — że ja mogę wypić butelkę wódki. Sam!

— Ani myślę — odpaliła żona. — Sam i tak wie.

— Przetłumacz, że chcę się z nim założyć o butelkę wódki, że sam mogę wypić butelkę wódki — powtórzył Pepa. — Za jednym razem!

— Uspokój się i przestań — nie ustępowała Roma.

— Dobrze, sam umiem — machnął ręką zabandażowany wojownik. — Charlie, słyszysz? Ja. Piję. Jeden. Butelka. Flaszka. Wodka.

— *Warum denn?* — spytał Karl-Joseph.

Czuł się coraz bardziej samotny. Im dłużej tu siedział, tym mniej rozumiał, co się dzieje. Chodziło nie tylko o te słowa w niezbyt zrozumiałym języku. Chodziło także o nią, o kobietę, której przez ostatni rok już trzy razy proponował, żeby rzuciła wszystko i wyjechała z nim do Wiednia. „Będziesz mogła uczyć rosyjskiego i niemieckiego w szkole sobotniej — przekonywał ją po trzykroć. — Nazjeżdżało się do nas Rosjan, kupują mieszkania w pierwszej dzielnicy i bardzo dobrze płacą za lekcje. A ja wydam mój wielki album. Zarobię na nas dwoje. Dlaczego nie mielibyśmy zawsze być razem? Dlaczego mu nie powiedzieć całej prawdy?”. Roma trzykrotnie prosiła, żeby poczekał, i mówiła coś, czego nie rozumiał. Chociaż

mówiła to po niemiecku. Teraz, kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć, Karl-Joseph wpadał w kompletnie głuchą — ze wszystkich stron obita jakąś nieprzepuszczającą światła tkaniną — norę niezrozumienia i niejasności. Czuł się tak, jakby przykryło go coś ciężkiego i duszącego, i w tej przerażająco szczelnej, workowatej pułapce słyszał tylko natrętne, zewnętrzne dudnienie głosu jej męża:

— Patrz. Das ist ajne flasze. Ja mówię: ja ją wypiję. Trinken, jasne? Ty mówisz: najn. Ja mówię: wypiję. Ty dalej: najn. Zakład!

— *Wie so?* — spytał Karl-Joseph.

— Zo-zo — powiedział Pepa. — Albo nie zo! Nie tak! Patrz!

Postawił przed sobą dwie literatki i napełnił je po brzegi mętną orzechówką. To była ostatnia z przywiezionych butelek i Artur Pepa grał *va banque*. Roma trzymała się za głowę.

Jako pierwsza z jadalni wyszła Kola. Za nią, wzruszając ramionami, z przepraszającym uśmiechem, wysunął się profesor Doktor.

— Nie wiem, jak wy, ale na mnie pora — powiedział.

Ale odchodząc, nie mógł nie zacytować:

— *Z nas dwóch — o jednego za wiele dziś. I każdy uparty.*

— Będiesz jutro umierać z twoim sercem — ostrzegła Roma.

— Umierać? — Pepa przewrócił oczami. — „Umierać” to czasownik niedokonany. Charlie!

Wyciągnął rękę do Zumbrunnena. Ten, nic nie rozumiejąc, podał mu swoją. Pepa uścisnął ją żarliwie i tak zamarli: w uścisku rąk, patrząc sobie w oczy.

— Przetnij — powiedział Pepa do Mahika.

— Nie trzeba — Roma zatrzymała zawieszony nad stołem kosmaty cień i sama przecięła.

— Dziękuję, jaskółko — mrugnął do niej Pepa i wstał. — Charlie! I wy wszyscy! Zaraz wam pokażę!

Po czym wykonał to, co ćwiczył przez dobre pół życia i co trenował nieustannie przy każdej okazji albo i bez. Szklaneczka, ustawiona na zgiętej w łokciu ręce, została chwyciona zębami, głowa (tym razem zabandażowana) — ostro odrzucona do tyłu, i mętno-brązowa ciecz wolno spłynęła do wnętrza. Pracowała tylko grdyka, ta adamowa ozdoba męczyzny. Jednak to był dopiero początek: opróżniwszy literatkę, Pepa nie mniej gwałtownie (pracowała dolna szczeka) podrzucił ją w górę, w powietrze, i tak samo bezbłędnie złapał na tę samą zgiętą w łokciu rękę.

— Super! — nie zdołały powstrzymać oklasków prawie podbite Lila i Marlena.

Roma znów chwyciła się za głowę. W takich momentach była trochę dumna z męża, ale tego nie okazywała.

— Zaraz go rozłoży — powiedziała.

Ale Artur Pepa tak nie uważał. Kilka razy głęboko odetchnął, w skupieniu wsłuchał się w rozpełzanie orzechowego ciepła po swoim wnętrzu, wreszcie zażądał: „Liczcie na głos, *dziewczynki!*” — i zupełnie zgrabnie wywinął salto, po czym stanął na rękach.

I dopiero gdy obie *dziewczynki* pomyliły się w rachunkach, dobiwszy do siódmego dziesiątka, Artur Pepa przywrócił sobie właściwą pozycję, ponownie stając na nogach. To był jego tryumf — Lila i Marlana kłaskały i piszczały, Jarko Mahik bębnił dłońmi po stole, i pani Roma w końcu przestała trzymać się rękami za głowę. Patrzyła na niego — i tyle.

A Karl-Joseph dopiero teraz zrozumiał, że musi niezwłocznie powtórzyć cały wyczyn, inaczej przegra z kretelem. Dopiero teraz dotarło do niego, że to było wyzwanie, na które nie można nie odpowiedzieć. Uwięziony w swej głuchej, wyizolowanej celi, poruszył się, zaszamotał — i wziął w rękę drugą napełnioną literatkę.

— *Aber du sollst das nicht, Karl!* — spróbowała powstrzymać go kobieta, z powodu której wszystko to się działo. — *Sei kluger, du bist doch kein Idiot, Karl!*

Ale Karl nie posłuchał i zdjął okulary, a wtedy zmniejszony do rozmiarów swojego zmieszanego uśmiechu, po którejś tam trzydziestej trzeciej próbie zdołał w końcu ustawić szklanekę na zgiętej ręce. „Co tam, pijałem już w życiu z takich szklanek!” — zapewnił samego siebie i sięgnął zębami po paląco-śliską ściankę. Już po drugim łyku, gdy słowo „Zumbrunnen” oznaczało tylko i wyłącznie: „język, podniebienie, przełyk”, przeszyla go wizja, że „to będzie noc, kiedy umrę na Ukrainie od wódki”. Stąd też nie chcąc przedwcześnie umierać, jego ciało podniosło bunt, zablokowało samobójcze wlewanie, wyrzuciło z powrotem resztki jadowitej mieszanki, oczy zasłyły przy tym

łzami, a szczęki osłabły i rozwarły się — i zaledwie w jednej trzeciej opróżniona literatka uciekła w głuchoszmacianą przestrzeń, a potem — o dziwo — roztrzaskała się w drobny mak na podłodze. Zapachniało spirytusem i orzechami, i tylko któraś z dziewcząt głupio zarechotała, a poza tym zapanowała cisza, i w tej ciszy Karlowi-Josephowi przyszło na myśl, że stawanie na rękach nie ma już najmniejszego sensu.

Poczuł się jeszcze bardziej samotny. Gdzieś tam, poza granicami worka, w który go z głową wrzucono, brnęły, potykając się o siebie, ich gardłowe głosy („to nie grzech, to gorzała, na orzechach zgorzkniała gorzechowa orzała”) — wszystkie z wyjątkiem jednego, bo tylko jej głosu tam nie było: ona milczała. A Karl-Joseph nie miał siły na nią spojrzeć.

— Kuhwa! — powiedział Karl-Joseph i uniósł się nad stołem. — Ja idę. Ja kupuję. *Noch eine Flasche.* Futka tobie!

I pokazał palcem przed siebie, tam, gdzie powinien siedzieć Artur Pepa, ale gdzie tylko drgała jakaś wielka, brudnoorzechowego koloru plama.

— Proste jak świński ogon! — odpowiedział od strony plamy głos Artura, ale Karl-Joseph nie wiedział, jak to rozumieć. To znaczy, rozumiał każde słowo z osobna, ale nie łączyły się one w żadną sensowną całość. Często tak bywało w tej krainie.

Jednak tak czy inaczej dotarł na werandę, gdzie *nieznośnie długo* szukał kontaktu, a potem, gdy go nie znalazł, *jeszcze nieznośniej i jeszcze dłużej* — swojej kurtki i butów Salamandra. Nie wiedzieć czemu wszyscy oni

też przyleźli za nim na werandę — i Roma była wśród nich, i póki Karl-Joseph zawiązywał swoje salamandrowe sznurowadła, dyskutowali o czymś *nieznośnie szybko*, to była jakaś straszna sprzeczka, straszna dlatego, że on już naprawdę niczego nie mógł z niej zrozumieć („W takim stanie? samego? a kto przegrał? to ja z nim pójdę!”) — niczego, oprócz nie wiadomo ile razy powtórnego wyrażenia „trzynasty kilometr”, ale wiedział i bez nich, że jest na świecie takie miejsce — trzynasty kilometr — teraz był on naniesiony na wszystkie tajne mapy Zumbrunnena, dlatego że tylko tam, na trzynastym kilometrze, zawsze sprzedają orzech-futkę, podobnie jak dowolną inną.

Tak więc jakimś dziwnym sposobem uporał się z suwakiem przy kurtce, potem ze wszystkimi trzema zamkami w drzwiach i wypuścił samego siebie na spotkanie drogi, którą już kiedyś szedł. Do całkowitych ciemności została prawie godzina — akurat, żeby zejść z połoniny i przejść przez las.

— Jak sobie chcecie! — zawołała pani Roma Woronycz, chwytając z wieszaka pierwszą lepszą kurtkę i wybiegając w ślad za nim. A tak, myślała, a tak, póki nie pobiegła tym samym zboczem w dół, a *to* wciąż natrętnie odbijało w niej jak echo nowo powstały akcent: *atak, atak, atak...*

— *Ja nie ponimaju* — obraził się Artur Pepa, którego w końcu rozłożyło. — *Wodka konczyłaś, żena uszła, no i co to będzie?*

Ostatecznie postanowił trochę się przespać — póki *ta dwójka* nie przyniesie jego wygranej.

Ale gdy tylko Artur Pepa zmrużył oczy, znów się obudził. Co to było — alarm wewnętrzny, wezwanie z głębin tamtej strony, trąbka zwiastująca atak tachykardii? Czy może przyszło to z zewnątrz, zza drzwi, z korytarza, z dotykalnej przestrzeni nocy? Była przecież noc i Artur Pepa w całkowitych ciemnościach siedział ubrany na łóżku, którego druga połowa pozostawała pusta i nawet zaścielona. Czyli noc nie była taka głęboka, inaczej *ci dwoje* musieliby już jakoś wrócić, nad podziw trzeźwo osądził Pepa. Choć — *nie da się prawdy ukryć* — o wiele ważniejsze teraz było, by dowiedzieć się czegoś o tych wszystkich szmerach i jękach za drzwiami, jeśli w ogóle istniały. Zbadać ich naturę, odnalazł najlepsze sformułowanie Pepa. Właśnie tak, zbadać ich naturę. I choć zapocony w jego dłoni ogromny klucz zgrzytnął straszliwie w dziurce zamka, usiłując rozbudzić jeśli nie cały świat, to przynajmniej pensjonat, Pepa mimo wszystko otworzył nim ciężkie cisowe drzwi (skąd wiedział, że są właśnie *cisowe?*), naparł na nie ramieniem i bezgłośnie, niczym duch, wypadł na korytarz.

Tam też się nie świeciło — ktoś niezwykle oszczędnie pogasił na noc wszystkie lampy. Było natomiast bardzo jasno dzięki księżycowi. „No tak, pełnia” — przypomniał sobie Artur i w dalekiej perspektywie korytarza ujrzał strzeliste gotyckie okno, z którego lała się gęstymi strumieniami blado-mączna substancja. I na jej spotkanie, na spotkanie tego gotyckiego, smukłego okna, wzdłuż korytarza zmierzał reżyser Jarko Mahik z kamerą *betacam* na ramieniu. Kroczył miarowo, jak przez śnieg, ciężko stawiał nogi, podnosząc je wysoko. Kamera tymczasem pracowała bez przerwy — Arturowi Pepie powiedziało o tym jej czerwone oko, które skakało po korytarzu jak snajperski „zajaczek” i na chwilę wyłapywało z księżycowej mgły pojedyncze przedmioty: rozmaite wazy, szafki i nie wiedzieć czemu gaśnice, których tu wcześniej nie było. Artur dosłyszał nawet równomierny szmer taśmy w kasecie, choć dzieliło go od Mahika dobre sto kroków. Czasem zdawało się jednak, że to czerwone oko pobłyskuje nie z kamery, tylko z kudłatej potylicy Mahika. „No tak, symetria” — zawyrokował Pepa i ruszył jego śladem, pokonując korytarz miękkimi skokami od ściany do ściany i od czasu do czasu przeczekując chwilę za rozmaitymi figurami woskowymi. Sam aż trochę dziwił się własnej nadzwyczajnej zręczności, ale gdy zobaczył na swoich stopach białe baletki, wszystko zrozumiał.

W końcu korytarza, po lewej, były schody — właśnie tam skręcił reżyser. Pepa pokonał cały dystans trzema nieważkimi skokami i zdążył dostrzec na dole

ten sam czerwony błysk, co oznaczało, że Mahik poszedł klatką schodową w dół. Tym bardziej, że strzałka na ścianie przed schodami wskazywała ten właśnie kierunek, a litery nad nią — tym razem biegnące po wyświetlaczu — informowały o GRACH I ZABAWACH LUDOWYCH. Artur Pepa co tchu rzucił się za reżyserem, na piątym czy szóstym podeście znowu zobaczył jego potężne, napięte plecy — zaledwie o kilka schodków niżej — i chciał z ostrożności zwolnić, ale silna fala powietrza pociągnęła go dalej w przód, więc prawie depcząc Mahikowi po piętach, wpadł w ciżbę hałaśliwych i pstrokatych ludzi, przed którymi już nie było jak się schować. Pomieszczenie okazało się czymś w rodzaju namiotu weselnego, który mógł równocześnie pomieścić ze dwie setki gości (i mniej więcej tyle też ich było) — z długimi rzędami stołów i ławek, a także z drewnianym podwyższeniem do tańca. Uczta najwyraźniej trwała już nie pierwszą godzinę, harmider i krzyki były po prostu obłędne, chmury dymu tytoniowego i opary alkoholowo-gastronomiczne przemieniły powietrze w paskudnie zwartą i lepłą masę, więc nawet niezbyt skłonny do imperatywów moralnych Pepa pomyślał, że jakoś to niedobrze tak hucznie się bawić w Wielkim Tygodniu. Najgorsze, że w całym tym zamieszaniu całkiem spuścił z oka reżysera, który razem z kamerą zwyczajnie gdzieś przepadł, choć z reguły tacy chłopcy lubią na krzywy ryj przesiadywać po rozmaitych zabawach ludowych, coś tam niby uwieczniając na taśmie *dla przyszłych pokoleń*. Ale już nawet nie chodziło o to, żeby znaleźć Mahika.

Bo sam Pepa trafił w środek wartkiego i oszłamniającego kręgu: były to zasuszone, stare kobiety z długąsnymi, osmalonymi fajkami w zębach (a raczej w ustach, bo przez ostatnie sto lat zęby poście-rały im się do korzeni), splecione ramionami, tupiące w zapamiętaniu, które tańczyły swój szczególny *kobiecy arkan*. I każda z nich — a było ich może ze dwanaście — po swojemu zuchwale puszczała oko i krzywiła się do pojmanego znienacka przybłądy, a ponieważ wszystkie nieustannie krążyły i zawodziły, Artur Pepa w żaden sposób nie mógł poprosić którejś z nich o niezbędne wyjaśnienia. Po pierwsze, chciał wiedzieć, dlaczego ten babinec tańczy czy-sto męski taniec. Po drugie, po jaką cholere kręcą się właśnie wokół niego — że niby im własnych bez-zębnych facetów nie starcza. Po trzecie, kiedy to się wszystko skończy. Bo Artur Pepa niegdyś słyszał na *konferencji młodych pisarzy*, że istnieje taki magiczny arkan, który tańczony bywa i po siedem, i po osiem, i po dwanaście godzin — wytrzymują to tylko naj-silniejsi, ci, którzy zamiast krwi mają ogień albo po prostu *majtwerdsze żyły*. Tu jednak nie było mowy o żadnych żyłach — mógł tylko włączyć się w przytu-pywanie, potrząsać ramionami, głupio się uśmiechać i udawać, że wszystko to ogromnie mu się podoba, bo jest *takij do dancu bestryj szo joj*. Drewniany po-dest był już przy tym tak gładko wyszlifowany przez niezliczone wysiłki wcześniejszych tancerzy, że nogi Artura, tym razem w lśniących skórzanych *kapczu-rach*, rozjeżdżały się podstępnie we wszystkie strony,

aż trudno było pojąć, jakim cudem zdołał jak do tej pory nie grzmotnąć na krzyż pośród całej tej kolekcji staroci.

A udawało mu się to głównie dlatego, że od czasu do czasu któraś z babulek wyskakiwała z kręgu i chwyciła go za ramiona — wtedy należało z nią zatańcować, i Artur Pepa za każdym razem dziwił się, jak bardzo są lekkie, żwawe i w ogóle jak dobrze się z nimi tańczy, mimo że zmarszczki naprawdę pożerały je żywcem, i z bliska było to doskonale widać; ich skóra przypominała pozszywane razem kawałki pożółkłych map, zresztą map plastycznych. „Joj, Arturcziku — powiedziała mu na ucho jedna z nich — żał ciebie, łęginku sołodeńki, szo-ś wdowycu wziął, nie odna by diwka za takim fajnym tancurystom poszła, a ty sy świat zawjizał, sarako!“. I nie zdążył Artur nawet pomyśleć, co by odpowiedzieć, jak już inna ciągnęła: „Cy ty rozum swój w studni utopił, cy na bazarze sprzedał, jak tylko ta wdowa ciebie czarami zepsuła? Gdzieże twoje rozumy złociutkie nocowały, coś dwadzieścia lat na mądrego uczył się?“. A dalej trzecia: „Weźże tylko, Arturcziku, dobrego kija i wygoń gadzinę z chaty, a jak nie ustąpi, to kiń ją z wszystkimi statkami i czeladzią, a sam na kraj świata uciekaj, cy na budowę czeską, cy na wojnę czeczeńską!“. A potem jeszcze jedna: „Jek my na ciebie długo czekały, Arturcziku doroheńki, komuś ty nas zostawił, lubasek majkraszczych!“. A za nią kolejna: „Nicz ty nie mów, Arturcziku-łęginczyku, ty będziesz z nami tej nocy, chłopczyku, sołodeńko kochać

się, do rana całować, a potem u bani z nami, lubaskami pysznymi, do czyszczenia myć i kąpać!”. I bezecznie złapała go za spodnie, gdzie nie było nic, prócz chłodu. „A ile ty masz lat?” — spytał znienacka Artur, nie żeby to miało znaczenie, ale raczej, by zyskać na czasie. Jednakże najwyraźniej źle usłyszał odpowiedź, bo przecież nie mogła naprawdę mieć *trzydzieści i siedm*.

Tak, *nie da się prawdy ukryć* — magiczny taniec już od dawna stawał się nieprzyzwoity i zakazany, motywy *arkana* przechodziły w kołomyjki, a te z kolei w jakieś rytmiczno-erotyczne karpaten-ska, i w przeżuciu czegoś *najgolszego* Artur wyobraził sobie okręgową łaźnię z obłupanymi kafłami w niezmywalne żółte zacieki, krocionogi i pająki na ścianach, zardzewiałe krany z koślawymi kurkami, zatkanie włosami i watą odpływy w popękanych wannach (a czegoż warta była ta mieszanina zapachów — proszku na karaluchy, szarego i dziegciowego mydła!) — a dalej, ruchliwą gromadę rozebranych wiedźm z obwisłymi cymbalami i pośladkami, i te wiechcie kłaków między ich nogami, i to, jak rozpychając się łokciami, na wyprzódki suną ku niemu. I właśnie dlatego w ostatniej chwili zreflektował się i wyrwał z objęć kolejnej partnerki, chcąc niepostrzeżenie umknąć gdzieś w bok, ale natychmiast został ukarany: śliskie podeszwy rozjechały się, jak na spermie, do granic możliwości — i Pepa w końcu grzmotnęła na krzyż, widząc wysoko nad sobą własne zadarte nogi. Cóż, przeszło mu przez głowę, i teraz mnie zgwałca.

Jednak zamiast kręgu tryumfalnie wyszczerzonych twarzy o fakturze pieczonych jabłek, które powinny w tej samej chwili pojawić się nad nim i groźnie zawisnąć, dymiąc fajkami i radośnie cmokając sinymi wargami, ujrzał, jak rozstępuje się brezentowy dach i odsłania w górze niebo, a przede wszystkim — zobaczył, że leży pod drzewem, i nawet gdyby nie słyszał wysuszonego, zachrypniętego po nieprzeliczonych weselach głosu wyłupiastookiego cymbalisty („*wlazło dziewczę na czereśnię, czeresienki zrywać*”), to i tak by wiedział, że to czereśnia: tak wiele czerwieni wśród zieleni bywa tylko na czereśniach i tylko w czerwcu. Czereśnia rosła aż do nieba, wypełniała całą przestrzeń nad Pepą, wszystkimi swoimi wrażliwymi odgałęzieniami rozchodząc się po otaczających ją przestworzach, więc już nawet w takiej postaci stanowiłaby jeden z nielicznych w bezsensownym Arturowym życiu wzorów doskonałości. Ale tego autorom najnowszego wideoklipu było mało: realizując zapowiedziany przez wyłupiastookiego cymbalistę obraz, umieścili na drzewie jakąś zwinną i długonogą dziewczynę („*a ja z dołu jej pomagam, żeby podpatrywać*” — nadwyreżał cymbalista wszystkie swoje i bez tego zszarpane struny głosowe). Dziewczyna to zastygała wśród konarów, szeroko rozstawiając nogi, to przełaziła z gałęzi na gałąź, cała umazana czereśniowym sokiem, i dziwy, które mógł z dołu dojrzeć Pepa („*ludzie dobrzy, świat wiruje, kiedy tak spozieram*”), sprawiały, że niemal umierał z zachwyty („*tam w gałęziach na czereśni raj mi się otwiera*” — w porę znalazł jedyne pa-

sujące do tego stanu słowa braciacha-muzykant). Nie, Pepa nie mógł zobaczyć jej twarzy, ale dość mu było tych wyciągniętych w niebo nóg i wesołego uśmiechu w miejscu ich spotkania. „Ktoś ty?” — spytał niebo Artur Pepa, bo mądrzejszego pytania zadać nie mógł. „Ja tu czereśnie jem” — odpowiedziała dziewczyna głosem jego pasierbicy Kołomei i rzuciła w niego garść soczystych owoców. Nie mogąc się poruszyć, Pepa próbował łowić je ustami, ale nic z tego nie wyszło. Owoce padały mu na twarz, wciąż ich przybywało, to był miękki czereśniowy deszcz, w którym Pepa zgodziłby się leżeć bez końca, gdyby...

— Strasznie chrapiesz — powiedziała pani Roma, potrząsając go za ramię. — Ty zawsze chrapiesz, gdy zasypiasz na plecach.

Miała już na sobie swoją kuloodporną flanelową piżamę i właśnie zamierzała położyć się obok, na nie zbadanej przez Pepę połowie łóżka.

— A, przyszliście? — jej mąż ogarnął warunki czasu i miejsca. — Macie pół litra?

— Żadnego pół litra, śpij — odparła pani Roma, bo najmniej ze wszystkiego miała ochotę opowiadać *temu* durniowi, jak *tamten* dureń wydarł się na nią w środku lasu i jak obrażona wróciła bez niego, niech się teraz błąka choćby i do rana po ubogich wsiach, nikt mu niczego w nocy nie sprzeda.

Ale Dureń Pierwszy nad podziw pokornie przyjął takie oświadczenie: ciesząc się z okazji, pośpieszył do znanego tylko jemu i nam drzewa, łapczywie

przewracając wszystkie kartki na drodze między jawą a snem (korytarz, klatka schodowa, co dalej?), chociaż nie zdołał wśród tych stron znaleźć właściwej.

Zamiast tego trafił w ogon jakiejś wycieczki krajoznawczej, złożonej z kilkudziesięciu osób, w większości nieznajomych. Wypełniła ona cały przedpokój — gromadziła się wokół planszy z rozmaitymi starymi zdjęciami, pistoletami skałkowymi, kapeluszami, oglądała ze wszystkich stron krosna, kołowrotki i makiety dymarek. Pepa już od dłuższego czasu chciał zapytać pierwszego lepszego spośród nich: „A gdzie tu jest takie drzewo, czereśnia?” — wciąż nie miał odwagi; powstrzymywało go coś niejasnego — może kiepska akustyka pomieszczenia, w którym dźwięki niemal grzęzły w pustce i traciły wszelką wyrazistość, a może znów to księżycowe, rozmyte światło, którego i tu nie brakowało („No bo jesteśmy na Księżycu!”, domyślił się Pepa). Nie tracąc nadziei na jakąś okazję, Pepa musiał krążyć razem ze wszystkimi, a mimochodem dowiadywał się z tablic najróżniejszych, wcześniej mało znanych szczegółów, dotyczących karpackich butynów, cech szczególnych miejscowego owczarstwa, garncarstwa i dzwonkarstwa, o dacko-trackich korzeniach większości tutejszych oronimów („Dzyn-n-n-dzu!” — dźwięcznie wymówił Pepa jedną z tych nazw), o sposobach prześladowania molfarów i wieźm przez polsko-jezuickich klerykałów oraz sowiecko-bolszewickie organy ścigania, o związanych z tym problemach demograficznych, międzywyzna-

niowych i higienicznych; wreszcie Pepa dowiedział się, że bukowe orzeszki mają na organizmy ludzkie i zwierzęce szczególny wpływ, podobny do narkotyków. W sumie było to ciekawe.

Co prawda rzucał się w oczy pewien chaos, a niekiedy nawet bałagan w *prezentacji materiału*. Na przykład, plansza zatytułowana „Dynamika wydobywania ropy naftowej na Czortopolszczyźnie 1939–1985” prezentowała paleolityczną osadę ludzi pierwotnych; pod szyldem „Przymusowa kolektywizacja pod koniec lat 40. i na początku 50.” można było obejrzeć kilka karabinów maszynowych, minę przeciwpiechotną i cały poprzesztrzelany czerwony mundur; jeśli chodzi o planszę „Wielcy ludzie naszego regionu”, to nie wiedzieć czemu umieszczono na niej fotografie z wzorami ras owiec, przede wszystkim karpackich merynosów. Pepa tylko wzruszał ramionami i szedł dalej, wśród wszechobecnego migotania i szumu, nie pozwalającego zrozumieć słów, nieustającego.

Trwało to już nie pierwszą godzinę i Pepa zaczął się nawet przyzwyczajać do otaczającej go dziwnej atmosfery, tym bardziej, że zdołał dostrzec wśród obecnych kilka znajomych twarzy. Byli to ludzie, na których pogrzebach przyszło mu być w ostatnim czasie: przede wszystkim ten ciekawski i wszędobylski dziennikarz, wyrzucony w noc z przedsionka wagonu; byli też sąsiad z mieszkania piętro wyżej, znaleziony z dwiema kulami w tyle głowy, w swojej własnej taksówce, a także pewna redakcyjna sekretarka, uduszona łańcuchem w windzie; *nie da się prawdy ukryć* (tej nocy

z nieznanых powodów Arturowi bardzo się ów zwrot podobał) — *nie da się prawdy ukryć*, byli tu i inni krewni i znajomi, którzy poumierali, jak to się mówi, *własną śmiercią* — za nimi wszystkimi niedawno przyszło Pepie nosić wieńce, krzyże i wieka trumien. Zupełnie osobno stał krótko ostrzyżony, piegowaty nieboszczyk sprzed lat dwudziestu — kolega z wojska, który pewnego popołudnia bez ostrzeżenia i wyjaśnienia puścił sobie w twarz serię z kałasznikowa, gdy tylko objął swoją trzecią wartę.

Artur Pepa, ogólnie rzecz biorąc, ucieszył się, że znów ich wszystkich widzi. Najwyraźniej nie jest z nimi tak źle i nigdzie w rzeczywistości nie zniknęli. Chociaż gdzieś na dnie Arturowej duszy pozostało małe miejsce dla niepokoju: gryzła go myśl, że wcześniej czy później tak czy owak trzeba ich będzie pogrzebać, czyli kolejny raz przeżywać wszystkie te deprechy i doły.

Co ciekawe, znaczna część obecnych (a to właśnie określenie wydawało się dla nich najlepsze — *obecni*) zajmowała się różnymi pożytecznymi pracami: przedpokój wypełniało stukot i furkotanie wrzecion i kołowrotek, wirowały tu koła garncarskie, żarna, centryfugi nieznanых Arturowi warsztatów stolarskich; niektórzy w pełnej koncentracji ślęczeli nad rzeźbieniem rozmaitych wymyślnie rajskich wzorów, jeszcze inni strugali drewniane koniki czy dajmy na to, lepili je z owczego sera. „Artel”, przypomniało się Pepie z jakichś podręcznikowych czasów, gdzie to słowo przez dziesiątki lat przysypywał drewniany,

wiórkowy pył w oczekiwaniu na jego pięć minut, tuż obok „arteriosklerozy” i „artylerii”.

Tymczasem uwagę Pepy przyciągnął niczym szczególnym, oprócz chudości i pszenicznych wąsów, nie wyróżniający się typ w garniturze, najwyraźniej uszytym jeszcze w latach siedemdziesiątych, pewnie przez jakąś kołomyjską fabrykę odzieży. Tak, przyciągnął — ale wcale nie medalem przodownika oświaty ludowej i nie uniwersyteckim znacznikiem w kształcie rombu na szarej marynarce, a raczej tym, że nazbyt często pojawiał się gdzieś w pobliżu, w polu widzenia Artura. Zresztą, też nawet nie tym, a raczej pokasywaniem i odpluwaniem w ogromną, pogniecioną i nieświeżą chustkę, którą wydobywał z kieszeni spodni, a potem miał nerwowo i chował z powrotem. Zresztą, najważniejsze było chyba to, że wąsacz kilka razy obrzucił Pepę niedobrym spojrzeniem (a on dostrzegł to kątem oka), aż wreszcie jakimś dudniąco-zachrypniętym głosem zawołał: „Ty!”. Dla Pepy była to okazja, by przekonać się o słuszności swego wcześniejszego domysłu, że ten typ jest tu czymś w rodzaju zarządcy.

„Ty, ty” — nieprzyjaźnie powtórzył zarządca i pokijał na Artura palcem, na co ten spróbował się obrazić, ale w porę zrozumiał, że byłoby to nie na miejscu. Dlatego tylko ze zdziwieniem uniósł brwi i pokazując palcem na siebie, spytał, niczym nieszczęśliwie wywołany do tablicy dwójarz: „Kto, ja?”. „Chodź za mną” — pszenicznowąsy nie dał mu czasu ani na wątpliwości, ani na zastanowienie. I nie oglądając się, popłynął przez cały przedpokój (co to w ogóle

za słowo *przedpokój*, dlaczego *przedpokój*, kiedy to była *sala*, prawdziwa sala, rozmiarami równa największym poczekalniom świata!), a Pepie nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nim. „Ale dlaczego ja?”, miał ochotę krzyknąć w nieco przygarbione, wychudłe plecy zarządcy, które widniały jakieś dziesięć kroków przed nim. Co prawda właśnie wtedy pojawiła się nowa atrakcja: akurat przechodzili koło długich stołów, za którymi grupa *obecnych* zapamiętałe pracowała nad pisankami, od czasu do czasu zanurzając jajka to w naczyniu z farbami, to w gorącym wosku, a potem z napięciem manewrując pisakami i usuwając z idealnej powierzchni jaja wszystko, co niepożądane; zapach rozgrzanego wosku i naturalnych, mineralnych barwników przypominał Pepie o nadchodzącej Wielkanocy; skończone pisanki toczyły się po stole wzdłuż specjalnego, pochyłego wyżłobienia, zdążały przy tym obeschnąć, a potem trafiały do obszernej, wyścielonej watą skrzyni — każda do własnego zagłębienia. I tylko jedna z nich — z pomarańczowymi krzyżykami i gwiazdami na czarnym jak nie z tego świata tle, i do tego z dwoma złocistymi, falistymi pasczkami — nie trafiła do swego zagłębienia, w ostatniej chwili wyciągnięta z wyżłobienia przez Artura Pepę i wrzucona do dużej kieszeni płaszcza. „No i mam dla Romy prezent świąteczny”, z zadowoleniem skonstatował Pepa, całkowicie przekonany, że nikt niczego nie zauważył.

Wreszcie podeszli do jakichś niezwykle wysokich drzwi w końcu sali. Zarządca wskazał na nie ręką, su-

cho zakasłał i wydał rozkaz: „Precz! Precz stąd natychmiast!”. „Ale dlaczego ja?” — przypomniał sobie o swoim pytaniu Pepa. „Bo tobie nie wolno” — wyjaśnił zarządca. „Jakże to tak, wszystkim wolno, a mnie nie?” — nie zgadzał się Pepa. „Żyjesz z moją żoną? — zarządca rozzłościł się nie na żarty. — Precz stąd, i to już!”. Ze szczególnym naciskiem wymówił słowo *żyjesz*, przemieniając je w paroksyzm syku.

A więc o to chodzi, zrozumiał Pepa. To taki jest ten były *Lebenspartner* Romy! A kiedy z potrójną uwagą przyglądał się tej ziemistej, rozzłoszczonej twarzy z opuszczonymi wąsami, zarządca sypnął nowymi oskarżeniami: „Z żoną śpisz, dziewczęta psujesz, wódkę żłopiesz?”. Artur milczał, bo zaprzeczyć nie mógł. „Wracaj do nich i nie kręć się tu jak gówno w przeręblu!” — dobrodziej Woronycz spróbował podnieść przeziębiony głos, ale tylko strasznie się rozkasłał. „I natychmiast oddaj pisanek!” — zażądał po chwili, serdecznie spluwając w chustkę, haftowaną jeszcze przez Romę. „A ja się zaraz obudzę — powiedział na to Pepa, bo miał już tego dość — a mogę obudzić się choćby w tej chwili, i mnie się nic nie stanie, a ty zwyczajnie znikniesz!”.

O dziwo, groźba poskutkowała: Woronycz wyraźnie spokorniał, jego kłujący wzrok rozbiegał się w przestrachu i molfar zaczął dosłownie odstępować, cofając się w nieogarnioną głębię sali, gdzie szybko zniknął w grupie innych *obecnych*. Po cichu świętując swoje małe zwycięstwo, Artur Pepa znowu zagłębił się w otaczające go nieostro-księżycowe szelesty i szmery.

Jego pewność siebie wzrosła dzięki temu zdarzeniu na tyle, że już chciał wypytać tutejszych ludzi, gdzie można by spotkać... Tylko co właściwie chciał zobaczyć? Tego Artur Pepa już nie pamiętał, odrzucony przez fale swoich nocnych wędrówek zbyt daleko od tej *majślodszej* czereśni. Tak więc skupił się mocniej na przypominaniu i — *nie da się prawdy ukryć* — coraz bardziej gubił się w domysłach.

Ale wtedy zobaczył (znowu kątem oka, tym spojrzeniem, które czasem sprawia, że nawet samych siebie ze zdziwieniem nie poznajemy w lustrze), jak rozwarły się inne, wcześniej nie zauważone przez niego drzwi po przeciwnej stronie sali — drzwi były stosunkowo wąskie i nieduże, jakieś takie wejście *zapasowe* albo *służbowe*, zakpiłby w innych okolicznościach Pepa. I przez owe drzwi w *kącie*, dostrzeżone *kątem oka*, tak samo *do kącika* przecisnął się Karl-Josef Zumbrunnen — z właściwym tylko jemu zdezorientowanym i nietutejszym wyrazem twarzy. Do tego był bez okularów i tylko krećcio mrużył oczy, niezdecydowanie spoglądając na salę i *obecnych*. I choć tak *pokątne* pojawienie się powinno było wyjść mu całkiem gładko, w tej samej chwili nie wiedzieć skąd przypomniał o sobie zarządca Woronycz, który zadudnił na całą salę swoje: „Gotowe! Zaczynamy!”. Zresztą, nosowe wezwanie mogło w ogóle nie dotyczyć przybycia Austriaka, zadowolił się niejasnym domysłem Artur Pepa.

Zewsząd rozbrzmiała muzyka — z rodzaju tych, których nigdy nie udaje się odtworzyć po przebudzeniu. Artur Pepa nie znał ani zapisu nutowego,

ani specjalistycznej terminologii, ale muzykę lubił ogromnie, zwłaszcza tę, którą można było usłyszeć w snach. Tak samo żałował, że nigdy nie nauczył się grać na żadnym instrumencie, więc czasem zostawiał sobie tę szansę na następne wcielenie. I oto, ogarnięty przez niezwykle przepych i bogactwo dźwięków ogromnej, niewidzialnej orkiestry (niech się Wagner schowa!), zobaczył, jak ruszyła w dwie strony kurtyna teatralna (najwyraźniej do tej pory pełniła ona w sali funkcję jednej ze ścian), a za nią otworzyła się nieskończona przestrzeń sceny: był to uśpiony ogród, *biologiczny wiersz w dwóch odśłonach* — na pochyłym wzgórzu, zarośnięty pnączami i wszystkimi odcieniami zieleni, zaniedbany i przytłaczający ogród, całe słowicze miasto z dwunastoma rzekami i rozgwieżdżonym niebem, a w tej wężowej i mdłacej przestrzeni, między siódmą a ósmą wodą, stał otulony mchami i porośnięty lepkimi, oszałamiającymi kwiatami postument, wokół którego tańczyły dwie kobiece postaci (Artur Pepa od razu rozpoznał i blondynkę, i brunetkę).

Ale tak samo poznał i reżysera: dźwigając na ramieniu wciąż tę samą kamerę wideo z niegasnącym czerwonym okiem, Jarko Mahik kręcił się dokoła nich, odchodził i znów prawie deptał im po piętach, pełzał na brzuchu i na kolanach po gęstej, nieprzebytej trawie, po zboczu, po krzakach — to pozwalało Arturowi zobaczyć ich taniec z najdrobniejszymi szczegółami, reżyser udatnie zmieniał i układał plany, wyrывая z niemożliwej do ogarnięcia całości naj-

bardziej wyrafinowane fragmenty min i póź, a potem składając wszystko razem.

Choć — *nie da się prawdy ukryć* — z drugiej strony, wszystko to przypominało bardzo drogi striptiz w wybornych dekoracjach: tancerki rzeczywiście stopniowo pozbywały się barwnych strojów, na wszystkie strony leciały piórka egzotycznego, ptasiego odzienia — pasy, wstążki, błyskotki — dopiero teraz Artur Pepa domyślił się, że obydwie miały na sobie stroje panien młodych, ze znajomością rzeczy dobrany ubiór weselny, więc miały co rozplątywać, rozsznurowywać, rozwiązywać, rozsuwać i powoli rozrzucać wokół siebie (Artur skupił się na nazwach różnych elementów stroju, ale po głowie plątały się tylko „*plachta*” i „*spódnica*” z akcentem na „ó”, natomiast „*biustonosz*” był z innej bajki); *zieloność* od razu pochłaniała te rzeczy, jakby za każdym krzakiem i drzewem naprawdę czatował jakiś oszalały z niecierpliwości zwierz-fetyszysta; jednak kiedy nawet spódnice i koszule zostały rzucone jemu, wielogłowemu, na pożarcie, okazało się, że to pic na wodę — i tam, gdzie autentyczna, żywa narzeczona już nie miałaby nic oprócz własnego, *niepoczeho* skarbu, obydwie aktorki nosiły jeszcze złociste trójkąciaki na srebrnych sznureczkach!

Co działo się z muzyką? Tak, jej napięcie rośnie, przybyły jęki. Tancerki węzowym ruchem wspinały się na postument, Pepa przypomniał sobie dwa słowa równocześnie — *serpentarium* i *serpentina*, reżyser Jarko Mahik w kosmatym swetrze co chwilę migał gdzieś w pobliżu, tryskając na wszystkie strony eks-

tazą i potem, wszyscy troje niemal jednostajnym ruchem wypelzali na górę, gdzie już czekał na nich na swym łożu przebudzony kochanek. „Profesor?” — nie wierzył własnym oczom Artur Pepa, ale znów się uspokoił, bo przypomniawszy sobie, że to sen, i dlatego należy wszystko pojmować raczej symbolicznie.

Dziewczęta, które wywołały starego z otchłani anabiozy, rzuciły się nań z coraz bardziej ekstremalnymi pieściznami, jedna z nich robiła to jak Gina Wild, *nocne marzenie wszystkich samców*, druga jak Doris Fant, *nienasycona tygrysica rozkoszy* (Jarko Mahik nie darmo przez dwa miesiące łaził po internecie pornostron!), zdarły ze starego okrycie i zachłystując się własnymi jękami, doprowadziły siebie wraz z muzyką do szaleństwa; zagłębiały wrażliwe, zwinne języki w jego starczą, posiniałą pachwinę, odnajdując dotychczas najważniejsze strefy i ośrodki; po kilku chwilach zmieniony na twarzy profesor zaczął przemieniać się w *wiosny rozśpiewanej księcia*, który w końcu drgnął i rozplywając się w niekontrolowanym uśmiechu satyra, zaczął nieoczekiwanie żwawo i zachłannie pieścić obywie dziewczyny — ustami, nosem, dłońmi, głową, członkiem, wszystkim, co miał — aż wreszcie, doprowadzony do ostateczności, wytrysnął na wszystkie czterdzieści cztery strony świata, na łożo, na kwiaty, na mech, na gałęzie, na ich wykrzywione przez rozkosz twarze i — *nie da się prawdy ukryć* — na kamerę, długim i czarnym strumieniem ulgi, po czym ostatni raz zaryczał na całe góry, jak oszalały prahistoryczny jaszczur.

Wtedy wszędzie zapadła cisza, a potem kurtyna znów się zsunęła. Artur dosłyszał jeszcze tryumfalny okrzyk reżysera: „Gotowe! Mamy Balsam Warcabycza, dziękuję wszystkim!” — i w samą porę, bo sekundę później nic by nie usłyszał z powodu owacji. Była ona tak gwałtowna, że w sali podniósł się ostry i przenikliwy wiatr, który uderzył Artura w brzuch i piersi, do tego jeszcze sypnął mu w twarz chmurą piasku, cierni i obrzydliwej szarańczy, aż Pepa zamknął oczy i poleciał na łeb, na szyję w nieprzeniknioną ciemność, ze wszystkich sił starając się nie stracić ani włoska ze swojej biednej, zabandażowanej głowy.

A kiedy znów je rozwarł, wstał już dzień i Artur leżał w ubraniu pod kołdrą. Romy na jej połowie jak zwykle już nie było i może nawet zaczęłby jej szukać, żeby opowiedzieć o tych wszystkich marach — tyle że po chwili dotarło doń, że nic nie pamięta i że mógłby co najwyżej zmyślać.

III

CARUSO NOCY

Tak, Romy już nie było — ani obok w łóżku, ani w pokoju: dopiero przed świtem zagubiła się w ulotnym dwugodzinnym wahaniu między snem a jawą, by wreszcie zdecydowanie wybrać stronę jawy. Gdy wyszła na korytarz, sprawdziła, że Karl-Joseph Zumbrunnen wciąż nie wrócił — czego i tak była pewna. Jakby to nasłuchiwanie pod jego drzwiami, a potem ostrożne (coraz bardziej natarczywe) pukanie mogło cokolwiek zmienić! Po kolejnym kwadransie odważyła się nacisnąć klamkę, drzwi uległy — oczywiście żaden klucz od wczoraj ich nie zamykał i żaden Zumbrunnen od wczoraj tam nie bywał.

Wszyscy inni jeszcze spali, pensjonat był pogrążony w ciszy.

Wtedy Roma Woronycz poszła do większej jadalni, skąd mogła patrzeć przez okno na podchodzącą do budynku połoninę. Stłukła przy tym kubek i popłamiła parapet fusami z kawy. „Dziś raczej nie będzie ciepło” — stwierdziła. Wczoraj wieczorem musiała strasznie długo przedzierać się przez jałowcowe krzaki, w jakimś dziwnym, chłodnym półmroku, któ-

ry szybko przechodził w ciemność nocy (dokąd, no dokąd poniosło tego bałwana?), Zumbrunnen pewnie wyrwał w dół jak oparzony, z niepokojem spozrzała w stronę skoczni, ale odrzuciła myśl o ostatnim locie; zdołała go dogonić dopiero pod lasem i razem weszli na ścieżkę. „Pójdę z tobą” — powiedziała, gdy złapała oddech. „*Sounds cool*” — zgodził się. Zawsze gdy coś było nie tak, używał tych idiotycznych angielskich zdaniek. Przez pewien czas szedł kilka kroków przed nią. „Patrz, jaki księżyc, nie potrzeba latarki” — powiedziała. Ale to nie zadziało. „Czemu nic nie mówisz?” — spytała po przejściu w ślad za nim jeszcze z dwustu kroków. „Musisz wreszcie kogoś wybrać” — odpowiedział Zumbrunnen, gwałtownie wygrzebuując się z rozkisłego bagniska. Stał przed którymś ze szlabanów i odwrócił się do niej twarzą. „A co to ma do rzeczy?” — udała, że nie rozumie, w skupieniu patrząc pod nogi. Nie chciała upaprać się po kolana albo i gorzej. „Musisz wybrać między nami dwoma” — wyrzucił z siebie. „To nie może trwać wiecznie — powiedział po chwili, patrząc, jak kręci głową na wszystkie strony, planując następny krok. — Wydawało mi się, że jest ci ze mną dobrze. Czy tylko udawałaś, że ci dobrze?”. Gdy nie doczekał się odpowiedzi, ciągnął: „Myślałem, że to coś więcej. Wciąż tak myślę. Powinnaś mu o wszystkim powiedzieć, i wszystkim od razu ulżyć”. „Zdecydowałaś za mnie? — odezwała się, czując z przerażeniem, jak prawa noga zapada się w śmierdzące wiosenne błocko. — Dziękuję!”. „Nie ja. Sama postanowiłaś. Wydawało mi się, że zdecydowałaś już

wtedy, za pierwszym razem, w tamtym hotelu. I za każdym następnym. Pamiętam każdy z tych razów. Myślałem, że ty też pamiętasz. A jeśli nie, to jesteś po prostu...”. „Dokończ, kim” — zażądała, czując teraz paskudne bagniste mlaskanie również i pod lewą nogą. „Tak bardzo tego chcesz?” — spytał, opierając się obiema rękami o przegniły szlaban. „Chcę, żebyś dokończył — nie pozostawiła możliwości ucieczki. — Tak wiele ode mnie żądasz, a ty sam co?”. Stał w świetle księżyca, zupełnie błądy. „Jeśli to było tylko tak sobie — jego wargi w żaden sposób nie chciały złożyć się w wąski, cyniczny uśmiech — taka sobie chwilowa przygoda z *zagranicznym podopiecznym*, to jesteś po prostu kurwą, dziwką, i niczym więcej, no i dokończyłem!”. Wtedy jeszcze raz podziękowała, a potem rzuciła: „Daj mi wreszcie rękę! Nie widzisz, jak ja tu...”. Podał jej więc swoją straszliwie zimną rękę i boleśnie ściskając nadgarstek (poczuła ten chłód nawet przez kurtkę i sweter), wyrwał ją z błotnistej pułapki, ale nie puścił, gwałtownie przyciągnął do siebie, jego druga ręka spełzła jej po plecach tam, gdzie zaczynają się krągłości pośladków, łapczywie wepchnęła się w wąziutki przesmyk między rajstopami i majteczkami; zaczął wargami szukać jej warg, niezgrabnie szturchając to w policzek, to w szyję, ona wyrywała się ze wszystkich sił („Ach tak, to jestem dziwką?”), on przycisnął ją całym sobą, zamknął jej ramiona w swoich, myszkował rękami pod swetrem i wszędzie, najwyraźniej zachciało mu się przelecieć ją zwyczajnie na tym zasranym szlabanie, dmuchał jej

w twarz nieświeżą, orzechowo-wódczaną mieszaniną, ale gdy tylko wczepił palce w suwak od džinsów, zdołała („No nie, tak dobrze to nie ma!”) uwolnić rękę i wałnąć go z boku na odlew w twarz, strącając przy okazji te jego przekłète okulary. Oczywiście nie byłaby Romą Woronycz, gdyby wszystko to nie skończyło się ich wspólnym karkołomnym upadkiem przez ten *scheissener Schlagbaum*. On znalazł się na dole, nagle wyspokojniały, więc to ona wstała pierwsza. „Zwierzę” — powiedziała w chwilę później, poprawiając na sobie potargane ubranie. „Zabieraj okulary i więcej nie waż się mnie dotykać” — dodała, jak mogła surowo. Włożył okulary (prawe szkło pękło) i tak samo ostro odpowiedział: „Idź do diabła. Nie chcę, żebyś szła ze mną”. „No to jazda — powiedziała po ukraińsku. — Spadaj! Pijane bydlę!”. Ledwie się pohamowała, żeby nie rozryczeć się na głos i ruszyła na przełaj przez grzęzawisko. Zaraz popłyną głupie łzy — jeszcze tego brakuje, żeby to zobaczyć. Karl-Joseph spojrzął za nią, machnął ręką, jak strach na wróble pustym rękawem, i leciutko kulejąc, powędrował w swoją stronę.

A teraz go nie było. Między dziesiątą i jedenastą do jadalni poschodzili się inni, co prawda nie wszyscy, a tylko troje: Artur Pepa, Mahik i Kołomeja. Rozmowa się nie kleiła, pobrzękiwanie kubków i widelców doprowadzało sytuację do kresu wytrzymałości („Nieźle mu się tam siedzi, na tym trzynastym” — to oczywiście Artur, zawsze coś gada, byle tylko nie siedzieć cicho), reżyser w milczeniu sporządzał sobie coraz większe kanapki, typki w czarnych golfach — dziś chyba

inni — cyrkulowały między jadalnią i kuchnią, Pepa zaciągnął się czwartym od rana pryłuckim („Mamy nowego gościa?” — pytał, żeby tylko nie milczeć).

Profesor najwyraźniej wyjechał jeszcze przed świtem („To co, zostaliśmy bez Antonycza?” — Pepa powędrował wzrokiem do jelenich rogów na ścianie. „Ja go ten... no, odprowadziłem — powiedział Jarko Mahik. — Prosił, żeby wszystkim przekazać pozdrowienia”. „A co on tak nagle” — westchnął Pepa, strząsając popiół do ceramicznego kierzaka). W chwilę później przechwycił nieobecne spojrzenie Romy, znowu przeniósł wzrok na reżysera („A twoje ślicznotki co, dzisiaj nie jedzą śniadania?”), przekonał się, że w ten sposób nie przyciągnie jej uwagi, i puścił kilka kółek z dymu. Mahik wykończył budowę jadalnej piramidy listkiem sałaty („One też... no znaczy... pojechały. Skręciły — i do widzenia. Budżet, znaczy...”), po czym chwycił swój najnowszy produkt oburącz za brzegi i z rozkoszą wgryzł się w jego wielopiętrową strukturę. Pepa miał to wszystko głęboko w nosie, ale przecież nie można tak cały czas w napięciu milczeć przy akompaniamencie ptasich krzyków z zewnątrz („To one co, ze starym pojechały?”. „No, coś w tym rodzaju” — odpowiedział Jarko, przeżuując). Artur wyobraził sobie, jak w towarzystwie niezdarne go profesora — niech obiema rękami przytrzymuje na wietrze kapelusz! — Lila i Marlana w kusych tureckich kurtkach skórzanych nurkują do helikoptera, potem podciągają za ręce słabowitego dziadunia — i jak w ostatniej chwili jego kapelusz, porwany przez wiatr,

odlatuje w stronę gęstego transylwańskiego mroku. „Mogło być i tak”, pomyślał Artur.

Kola wyszła na taras, stała chwilę obok nieznanego, kędzierzawego chłopca (opowiadał coś zabawnego, bo oboje trochę się pośmiali), znowu weszła do jadalni („Siódmy krąg — to kiedy z kimś dotychczas nieznanym czujesz się lekko i swobodnie, jakbyście się znali od wieków”) i zaczęła wybierać jabłka z salaterki („Mamy nowego gościa?” — powtórzył niedawne pytanie Pepa). Kola wybrała dwa największe i najbardziej czerwone („Aha, też ze Lwowa, na weekend przyjechał” — „Ze znajomymi?” — „Chyba sam”), powycierała z nich serwetką krople wody i znowu poszła na taras („Szampon jest u was, mam? Chciałam umyć głowę”). Pani Roma odprowadziła ją wzrokiem („Rób, co chcesz, w łazience na stoliku, znajdziesz”) i znowu spojrzała za okno, gdzie nie było nic, oprócz obrzydłego *niepowtarzalnego i cudownego* krajobrazu: zachmurzenie zmienne, przejaśnienia, wiatr, duży cień na sąsiednim grzbiecie, kilometrowy, chyba z kamieni rzecznych ułożony napis — KARPACKA AKCJA OBYWATELSKA: POZNAJ SWOJE („A to skąd się wzięło, wczoraj jeszcze tego nie było, i jak przytargali na taką wysokość tyle kamieni?”). Ale wczoraj to nie dziś, pomyślało jej się. Wczoraj było jeszcze tak, a dziś jest zupełnie inaczej.

Gdzieś między pierwszą i drugą zaczęto głośno snuć przypuszczenia. Przede wszystkim mógł zabłądzić w lesie. Tam i w dzień czasem się można zaplatać między sosnami, a w nocy to już w ogóle. Las to taki

koszmarny labirynt, wielki zielony potwór, zwłaszcza ten nie ręką ludzką sadzony pralas, wpuszcza w siebie lekkomyślnych wiedeńskich łazików, przywykłych tylko do walcowania po pałacowych parkietach, i za nic nie chce ich wypuścić. Bo tu nie Wiedeń i nawet nie Lasek Wiedeński z wyasfaltowanymi wszystkimi ścieżkami. Las to zieloność, a *zieloność* pochłania. Ale noc była księżycowa, zaprzeczała pani Roma, i nawet mogłam zobaczyć pęknięcie na szkle jego okularów („O, czyżby?” — Artur podrapał bandaż na głowie), ale przede wszystkim to taki doświadczony podróżnik, ma za sobą setki kilometrów, już nawet w tych naszych Karpatach przebył dziesiątki najtrudniejszych tras i ognisko umie rozpalić jedną jedyną zapalką. Zresztą, czy naprawdę nie wydostałby się do tej pory z tego pralasu, nie takiego w końcu nieprzebytego? W dodatku tyle tu znaków orientacyjnych: drewniane tablice, przesieki, stare tory, kupy złomu, szlabany. I tak dalej, powiedział Artur Pepa, grzebiąc na wieki wersję zabłąkanego między trzema sosnami wiedeńskiego gapiszona w czarnym szapoklaku i wyperfumowanych rękawiczkach.

Dzikie zwierzęta, powiedziała Kola, gdy zeszła do jadalni w turbanie z ręcznika na głowie. Tak, tygrysy szablozębne i niedźwiedzie jaskiniowe, poparł ją *tatko*. Niekoniecznie, zaprzeczył Mahik, tu się zdarzają i wilki, i rysie, i te, no, dziki. Sam jesteś dzik, chciała powiedzieć pani Roma, ale głośno zauważyła tylko, że są przecież dorosłymi ludźmi i coś trzeba postanowić zamiast ciągnąć to czcze gadanie. Jednak

Mahik rozprawiał dalej: widzieli państwo przecież tu i ówdzie w lesie te czaszki jeleni, szczęki, ogryzki żeber i kręgosłupów! Ktoś przecież — jak by to powiedzieć — ukatrupił te jelenie! Albo na przykład, lawina. Widzieliście państwo, jak schodzi lawina? Trzeba wezwać szkolone psy, takie wielkie, stanowczo zakończył Jarko.

A ja myślę, że po prostu pije wódkę na trzynastym kilometrze, usiłował wszystkich uspokoić Pepa. Albo po prostu odpadł gdzieś po drodze i teraz śpi, wiele mu nie trzeba. Chcecie, to pójdę i go stamtąd przyprowadzę. Przy okazji kupię z pół litra, bo to już pół dnia na sucho, i święto tuż. Ale pani Romie jego pomysł się nie spodobał, zwłaszcza gdy wyobraziła sobie, że i ten dureń tak samo pójdzie i przepadnie. Najgorsze, że mógł mieć rację co do Zumbrunnena. Na jakiś czas całkowicie opanowała ją wizja niezwykle ciężkiego upojenia alkoholowego, galonów spirytusu technicznego, paraliżu, komy albo przynajmniej pobimbrowego amoku. Już od kilku lat gazeta „Eksces” wiele pisała o takich rzeczach.

O trzeciej piętnaście wciąż go nie było, a o czwartej dwadzieścia siedem na zboczu pojawiła się męska postać, podchodząca do pensjonatu starą wojskową drogą. Postać przemieszczała się bardzo powoli, raz po raz przystawała, rozglądała na wszystkie strony i zataczała dziwne pętle wśród kamieni i karłowatych brzózek, tym samym wciąż pozostawiając Romie cień nadziei. O czwartej trzydzieści osiem postać podeszła dostatecznie blisko, by Roma zrozumiała, że

to powraca z przechadzki, niosąc w rękach pęk niebieskich i białych krokusów (zgadnijcie dla kogo?), nowy mieszkaniec pensjonatu.

O wpół do szóstej Jarko Mahik przyniósł wiadomość, że był w pokoju Zumbrunnena, gdzie wszystkie rzeczy, razem z jego osobistym aparatem Nikon F5 i kilkoma zrobionymi filmami, leżą na swoich miejscach. To znaczy, że miał zamiar tu wrócić, słusznie zauważył Artur Pepa, prywatny detektyw. Kola zaczerpnęła wody do wazonu i zaniósła do swojego pokoju, myśląc, że ósmy krąg — to kiedy ściska się serce.

Wtedy Mahik zaproponował, by pójść poszukać planetnicy. Rok temu, tu niedaleko, kręciliśmy jedną taką dla programu pierwszego, dla „Tachykardii”, opowiadał reżyser. „Tachykardia” to nazwa takiego programu o tych, jak one, zjawiskach anomalnych. Wiem, skinął głową Pepa, chociaż nie oglądam. Jedynki w ogóle nie oglądam, dodał przy okazji. No i ten, nie obraził się Mahik, tu jest jedna taka planetnica, to znaczy jakby telepatka, no i nią telepie, za pięć baksów może — no, powiedzmy, owcę komuś znaleźć, jeśli się odłączyła, znaczy, no, zabłądziła. To ta planetnica tylko czary mary itede, od razu powie, gdzie ta owca, oni tam, i proszę bardzo, jest owca. No, Zumbrunnen nie owca, osadził reżysera Artur Pepa, komisarz policji. Prawda, znowu nie obraził się Mahik, za pięć baksów się nie da, pewnie z pięćdziesiąt za niego pójdzie. Przestańcie, powiedziała pani Roma, trzymając ręce przy skroniach.

O szóstej dwanaście Artur Pepa skonstatował, że zostały mu dwa papierosy i tak czy owak musi wyruszyć na trzynasty kilometr.

Jest jeszcze jeden wariant, powiedział na to Jarko Mahik o szóstej trzynaście. Jak się wychodzi drogą z lasu, to trochę wyżej, gdzieś tak z pół kilometra, przed mostem, jest cygański ten, no. Dwie czy trzy budy, śmietnik i parę kóz, piecyków znaczy. No i jakiś tam kibel. O nich tu różnie mówią, że niby to naprawdę cygański król z rodziną, no i służba, harem, kupa bachorów. Bo to nie jacyś tam ci, kotlarze czy inni jacyś koniokradzi, to sami jedni fachowcy od mokrej roboty. Ze specjalizacją — zabójstwa na zamówienie, przede wszystkim duchownych, nie, nie na zamówienie duchownych, a zabójstwa duchownych na zamówienie. A także kradzieże i rozboje. Król, znaczy. Tam z nim taka historia, że to król, ale w tej, no, w diasporze. Na emigracji, poprawił Artur Pepa. No tak, na wygnaniu, znalazł precyzyjne określenie Mahik. Cały jego dwór z pałacem, no tam znaczy wszystko, zapasy złota, różne tam kamyki, wszystko ma tam, za górami, w Pensylwanii. Transylwanii, poprawił Artur Pepa. Niech będzie w Transvaalu, mniejsza z tym, ciągnął Jarko Mahik. No i znaczy, tam w tej ich religii jest taka sprawa, że oni się nie mogą do swojego majątku wrócić z powrotem, dopóki nie złożą ofiary z człowieka. Krew znaczy, serce, wnętrzności. No i jasne, że ofiara ma być spośród obcych, no czyli z nas. Znaczy, spośród białych, byle nie Cygan. No i oni tu osiedli, między

lasem i Rzeką. Miejscowi, na ten przykład, dawno już o tym wszystkim wiedzą i zmykają stamtąd, gdzie pieprz rośnie. A jak kto obcy nie wie, to mogą zważyć do siebie do chałupy i...

Ja już nie chcę tego słuchać, powiedziała pani Roma, setny raz podchodząc do okna. *Skrzydła wyobraźni* natychmiast przeniosły ją na brzeg Rzeki i zobaczyła Karla-Josepha, który nie po tutejszemu omija sterty pustych puszek, wchodzi, zginając się wpół, do brudnej, czarnej budy, oblepiony ze wszystkich stron przez rozkrzyczane, ruchliwe Cyganiątka. Dlaczego my tu tak siedzimy i nigdzie nie idziemy, spytała. Ile czasu ja już o tym mówię, przypomniał Artur Pepa. Przejdziemy się nad Rzekę, rzucimy okiem — a potem na trzynasty. Możemy zejść w dwóch jakby grupach, rzucił pomysł Mahik. Jedni drogą przez las i potem do mostu, a drudzy też przez las, ale bardziej po lewo, znaczy do tych fachowców. Jakby co, to spotkamy się przed mostem.

Dałbym mu jeszcze pół godziny, powiedział Artur Pepa. Właśnie wymacał w podszewce kurtki, gdzieś pod dziurawą kieszenią, zapomnianą paczkę pryłuckich.

Mogę iść z *tatkiem*?, spytała Kola, związując swoje przyjemne w dotyku włosy w bojowy ogon. Nie, ty zostajesz, odparła Roma, i będziesz siedzieć w swoim pokoju — to ja pójdę z *tatkiem*. Na taką decyzję Kola tylko lekko wydeła usta, ale nie bardzo. Bo dziewiąty krąg — to kiedy zostaje się z kimś sam na sam i nie ma przed tym ucieczki.

A pan, panie Mahiku, kontynuowała działania organizacyjne Roma, musimy zdążyć przed zmrokiem. Najlepiej wyjść już, zaraz, nie za żadne pół godziny. Pan idzie czy zostaje, panie Mahiku?

Już, odpowiedział reżyser, tylko skoczę do siebie, wezmę tam te, no, gaz itepe. Znaczy, proszę w ogóle na mnie nie czekać, no bo i tak nam razem nie po drodze.

Wtedy właśnie postanowiono, że Roma z Arturem pójdą drogą przez las, a Jarko Mahik — *druga jakby grupa* — zejdzie do Rzeki bardziej z lewej strony, kierując się na stare tory kolejowe, szum wody i leszczykowe krzaki.

Tak, mówił do siebie Jarko Mahik, tak, tak, tak. Wszystko gotowe? Zwarty i gotowy, odpowiedziało, a dokładniej odszczeknęło w nim dawne pionierskie dzieciństwo z grupowym onanizmem w śmierdzących chlorem latrynach. Wszystko gotowe, pogodził się z dzieciństwem Jarko Mahik.

A jaki to jednak wynalazek, te spodnie z paczek — ile wszystkiego można upchać po kieszeniach! No to jeszcze raz: pełny przegląd. Na lewej nogawce cztery kieszenie. Pierwsza — boczna i głęboka — zawierała złożony w ośmioro i zafoliowany oryginał umowy z podpisami obu stron; cieńszą kopertę — ze wszystkimi niezbędnymi papierami i herbową pieczęcią Fundacji Karpacka Akcja Obywatelska; grubszą kopertę — z honorarium. Oprócz tego — kanapkę numer jeden, czyli największą spośród nich, cztero-piętrową z majonezem.

Druga kieszeń — tak zwana *nadupna* — idealnie mieściła w sobie kasetę, dla której się wszystko zadziało. Skręcony materiał miał stać się bombą. Także bombą, ale kaloryczną, miała stać się kanapka numer dwa z tej samej kieszeni — bekon na ostro, oliwki, masło musztardowe.

Z obu stron, na wysokości kolan, były kolejne dwie symetryczne kieszenie. Pierwsza mieściła tylko kanapkę numer trzy, symfonię serową. Druga — kanapkę numer cztery (poznaj smak Oceanu!) i niedoczytane kieszonkowe wydanie *Uczyń Samego Siebie Godnym Zbawienia*. W drodze do pensjonatu Jarczyk doszedł do strony dwudziestej ósmej, ale broszura miała ich aż pięćdziesiąt dwie, i chciał wiedzieć, co będzie dalej i jak to się wszystko skończy.

Ale na prawej nogawce były jeszcze trzy kieszenie. I pierwsza z nich — tak samo boczna i tak samo głęboka — mieściła nie tylko zaanonsowany przez Mahika gaz (akurat pod prawą ręką, wyciągasz i psikasz!), ale też inny zasobniczek, z muchozolem, a także półlitrową puszkę miejscowego piwa Wacabyecz Premium, jasnego.

Jeśli chodzi o prawą *nadupną*, to była w niej kolejna kaseta — z kopią materiału. I w tym samym miejscu, rzecz jasna, kanapka numer pięć, krakersy i salami — taki sobie lekki wstęp do *pełnowartościowego żywienia*.

Pozostawała jeszcze kieszeń na udzie, ostatnia na prawej nogawce, też zresztą bardzo ważna, bo znajdowały się w niej: kanapka numer sześć, wielka uniwer-

salna, złożona ze wszystkich składników, obecnych w wyżej wymienionych kanapkach; puszka 0,7 litra miejscowego piwa Aksamit od firmy Warcabycza, ciemnego; wibrator w kształcie męskiego członka o długości 22,5 cm, pożyczony do zdjęć w firmie Uciecha-2; dwa złociste napizdniki w kształcie trójkątów ze srebrzystymi tasiemkami, wydzierzawione do zdjęć w tej samej firmie.

Jarko Mahik jeszcze raz obrzucił nadzwyczaj dokładnym spojrzeniem pokój, w którym przyszło mu spędzić tych kilka dni i nocy. Pootwierał wszystkie możliwe drzwiczki, przetrząsnął szuflady, zajrzał pod poduszki i dywany. Wszystko jest? Chyba wszystko. Kasety, kanapki. Powinno być jeszcze coś na „ka”, ale nic oprócz *kajdanek* nie przychodziło mu do głowy. A i czasu na zgadywanie już nie było. *Rąsia buzia*, powiedział sobie Jarko Mahik, *rąsia buzia i spadówka*.

Jarkowi podobała się własna praktyczność. Nawet zgromadził tyle prowiantu, ile mu się należało — za dwie kolejne doby. W umowie stało jak byk: ...*A także trzy pełnowartościowe posiłki dziennie przez cały okres wykonywania zamówienia*. Zbiegając po schodach, z zadowoleniem myślał, jak *aligancko* wszystko ustawił. Czysta robota, pomyślało mu się, gdy tylko trzasnęły za nim drzwi werandy. Daleko w dole, na granicy jałowcowych krzaków i początku lasu, zobaczył tamtą zabawną parę. Nawet z takiej odległości widać było ich bezradne zdenerwowanie. Jarko Mahik w myślach parsknął śmiechem i ostro dał w lewo.

Karl-Joseph Zumbrunnen leżał w wodach Rzeki, trochę poniżej miejsca, w którym wpada do niej Potok. Wiele godzin ciągnął go prąd, dwa, trzy razy uderzyło nim o nadbrzeżne występy skalne, niemiłosiernie obijało w centryfugach kilku wirów, skrobało twardym piachem na płyciznach, w pewnym momencie solidnie poszarpało na progach najwęższego gardła, ale potem znów ruszyło go z miejsca, i choć rzucone na oba brzegi gałęzie tysiące razy usiłowały złapać jeśli nie za nasiąknięty sweter, to za poję kurtki — mimo wszystko wyniosło go do Rzeki. Dopiero tam wpadł na wapienny grzebień pośrodku koryta i tam jego swobodny spływ nogami do przodu został ostatecznie zatrzymany: nogi Zumbrunnena do kolan uwięzły w podwodnych szczelinach, a górna połowa ciała znalazła się nad falami, *na amen* przerzucona w poprzek grzebienia. I tylko zwieszona w dół, na wpół zanurzona głowa była rytmicznie podrzucana przez nurt, jakby Rzeka postanowiła wypłukać z niej tę szklistość i tę słabą próbę uśmiechu. Bo Karl-Joseph miał szczęście: jego twarz prawie nigdzie i prawie wcale nie została poobijana, i każdy mógłby go rozpoznać. Ale było mu to raczej obojętne.

Nieboszczyk to dziwna sprawa. Przeważnie trafiają się nam oni znacznie rzadziej niż wszyscy inni ludzie. Przywykliśmy, że ciało człowieka ma pewne właściwości plastyczne. Przemieszcza się w przestrzeni, gestykuluje, chroni się przed zderzeniami, utrzymuje własne, określane przez świadomość współrzędne. Przywykliśmy, że to niepodzielna całość, która mówi

i śmieje się, nawiązuje kontakt z jemu podobnymi, odpowiada na spojrzenia, sama siebie ogląda w lustrach. Ta ruchliwa fizyczna łupina jest dla nas tak ważna, że zastępuje wszystkie inne pojęcia i znaczenia — tak, jesteśmy przede wszystkim cielesni, i dlatego każde odchylenie od norm naszej cielesności wytrąca nam spod nóg wszelkie oparcie w kontaktach z resztą świata. Martwe ludzkie ciało — to najbardziej absolutne ze wspomnianych odchyłeń. Nie może przemieszczać się i mówić, jest bierne i na wszystko obojętne, niezdolne do odbierania bodźców. Jest ono nienaturalne (jak się nam zdaje), bo przecież zachowuje się nie tak, jak powinno się zachowywać ludzkie ciało. Najprościej nazwać to snem, ale co wtedy będzie z przebudzeniem? W porządku, nazwiemy to snem, ale wiecznym. Choć wtedy metafora, mająca uspokajać poprzez upodobnienie do normalności, ukazuje jeszcze bardziej okropną stronę: nie ma bowiem nic bardziej nieludzkiego, nic bardziej przerażającego niż wieczność. Nie warto więc upodabniać śmierci do snu. Co najwyżej odwrotnie. Jednak całe to przerażenie narasta tysiącrotnie, gdy patrzymy na martwe ciało, które dopiero co znaliśmy jako żywe, które jeszcze całkiem niedawno, przed straszliwie krótką chwilą, zachowywało się jak wszystkie normalne ciała. Jak to możliwe i dlaczego? Nasze zdumienie nie zna granic: masz tobie — nieboszczyk! Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że my wszyscy, nie..., lepiej powiedzieć: każdy z nas pewnego razu sam wywinie podobny numer, i zostanie nieboszczykiem.

Karl-Joseph Zumbrunnen lubił kąpiele w zielonkawej górskiej wodzie. I w ogóle, jak wszyscy moi bohaterowie, lubił wodę. To co, może pozostawić jemu i sobie nadzieję? I napisać, że było mu dobrze? Że jego ciało już nie czuło bólu, ale czuło nurt? Że jego włosy płynęły w strumieniach wody, jak wodorosty u Tarkowskiego? Że czuł się w tej wodzie jak ryba?

Wreszcie było mu dobrze.

Jarko Mahik patrzył nań z brzegu i myślał: „Ładnie, ładnie”. Taki fantastyczny kadr, tylko kręcić: odchyłona do tyłu i nieustannie podrzucana przez fale głowa, efektownie rozciągnięty na kamieniach korpus, ciekawie wygięty łokieć, druga ręka odrzucona w bok i zanurzona po nadgarstek (Jarko Mahik nic nie wiedział o trzech złamaniach, ale to nie ma znaczenia — już się umówiliśmy, że *tu* nie ma żadnego bólu), więc Karl-Joseph pieśczołtliwie gładził ręką płynącego rzeczno-psa.

Niestety, brakowało kamery. Jarko Mahik skrzyłby kosmiczny obrazek — ciało w wodzie, gra dwóch płynących podmiotów, śmierć jako objawienie istnienia czy może powrót do własnego domu. Śmierć jako odnalezienie własnej niszy, wanny, nirwanny (Jarko Mahik był pewien, że to słowo pisze się przez dwa *n*). Najazdem kamery pokazałby osobne fragmenty tego olśniewającego opływania, na przykład wysepki piany wokół palców. Ale najpiękniejsza była głowa — zachęcana przez niewidoczne mechanizmy wpływu, to znaczy pływów, to znaczy podrzucana siłą nurtu, nieprzerwanie kiwała się, zgadzając

ze wszystkim. Tak fizyka przechodziła w metafizykę, a ta w dialektykę.

Ale Jarko Mahik nie bywał estetą dłużej niż przez pięć minut. W szóstej minucie jeszcze raz mruknął do siebie: „*Rąsia buzia i migiem spadowa!*”. Przede wszystkim zaczynało być strasznie — stać na tym brzegu, obok trupa, który lada chwila zacznie się wypełniać gazami i wypuszczać trujące bąbelki. Tym bardziej, że zapadał już zmrok, a za nim nadchodziła ciemność. Niezbyt mądrze byłoby zostawać tu w poje-dynkę. Zawołać tego alkoholika i jego neurastenickę? Mahik skrzywił się na samą myśl. Gdzieś lecieć, kogoś zawiadamiać? A potem jeszcze te bezsensowne mili-cyjne procedury — zawracanie głowy (Mahik nazy-wał ten ból inaczej — *główny ból*, czyli *głównaja bol* po rosyjsku). Nie, najlepiej — *rąsia buzia i migiem spa-dowa!* Był w tym jeszcze taki dodatkowy czynnik, jak *nos*. A *nos* nigdy go nie zawodził.

Więc i tym razem, kiedy z czarnych rumowisk wyskoczył mu na spotkanie jakiś dziesiątek cygańskich rozwrzeszczanych smarkaczy, tego samego wieczora zresztą przez Mahika wywołanych, to nie odwrócił się i nie uciekł: ile by nie biegł, wszystko jedno, dogo-nią i zabiją, tak jak już zabili tego Austriaka — brzeg jest długi, Rzeki się nie przejdzie. Nie, Jarko Mahik po-szedł prosto na nich, na ich szczenięcy jazgot (*gimme, gimme some money, sir, gimme some candy, some ciga-rette, gimme your palm, your soul, your body!*), i z roz-pędu przedarł się przez ich szeregi (ponosząc przy tym pewne straty: kanapka numer trzy i kanapka

numer sześć, niech to diabli!), rozsypali się na wszystkie strony, dopiero wtedy przyśpieszył, choć cyganięta niespecjalnie go goniły, ale to my tutaj i teraz wiemy, a jego strach miał oczy tak wielkie, że Jarko tylko sapał (z przodu mignął most) i nie oglądał się; Cyganiątka, co prawda, chwilę za nim gwizdały, ale na tym się skończyło, bo najstarszy wśród nich i najwyższy zobaczył to, co zdążył już zobaczyć Jarko: Zumbrunnena w Rzece.

Jarko Mahik dał sobie trochę odetchnąć dopiero wtedy, gdy przebiegł most i dotarł do pobocza szosy na *wielkiej ziemi*. Ale to nie oznaczało, że stanął. Ten sam wewnętrzny refren, który nie odstępował go przez cały czas, dalej pchał go do przodu, w stronę Czortopola, odrobinę zmieniony i idiotyczny: *spadówka migusiem, królestwo za migusia...* W pełni opanowany od wewnątrz przez swoją mantrę, zdecydowanie kroczył wzdłuż drogi, nie chcąc zauważyć ani tego, że drogowskazy obiecują całych sześć czy nawet siedem i pół kilometra do najbliższej stacji (a i te kilometry ani chybi były z *huculskim* hakiem!), ani tego, że klimatyczna nieokreśloność przeżytego dnia nareszcie zaczyna się precyzować w postaci burzy śnieżnej. Około dwudziestej minuty jego marszu po wymarłej drodze wszystko się zaczęło: w niebie kilka razy błysnęło, zaraz potem przetoczył się pierwszy, drugi i trzeci grzmot, i gdyby Jarko Mahik bardziej interesował się folklorem, mógłby w tym miejscu wspomnieć o przedświątecznym wyjeździe świętego Ilii na jego wozie z kołaczami. Niczego podobnego jednak sobie

nie przypomniał, tylko poprawił kurtkę i przyspieszył kroku. Po kolejnej półgodzinie, przemoknięty do suchej nitki i całkiem oblepiony śniegiem, zrozumiał, że nie widzi, dokąd ma iść — za wyciągniętą w przód ręką zaczynało się nieznane. I nawet nieużywany gaz nie mógł w niczym pomóc.

Wtedy właśnie pojawiło się pierwsze i najwyraźniej jedyne w całej *sieci dróg regionalnych* auto. Wyskoczyło z gromu i śniegu, a dokładniej zza Jarkowych pleców, wjechało na zbocze, hamując ze zgrzytem i o mało go nie potrącając. Samochód trząśnięty muzyką i siedział w nim pełno łysych (w rzeczywistości tylko czterech, ale tak pijanych, że wydawali się przynajmniej trzy razy liczniejsi). Mahik trafił na tylne siedzenie, między dwóch najbardziej zapuchniętych i zachrypniętych, i pierwszy raz nie żałował, że w pensjonacie nie skusiła go żadna z kamer (*nos*, znowu *nos*, chwalił się w myślach). Wszyscy łysi, włącznie z kierowcą, podawali sobie napoczęte pół litra i przedzierając się głosami przez kurtynę z dźwięków magnetofonu (*widziałam orła cień, orła cień, orła cień*), zaczęli go wypytywać, kim jest i skąd się wziął; samochód ostro ruszył i momentalnie przemienił się w trzęsącą kolejkę z lunaparku, dla dodatkowych efektów wrzuconą w śnieżny chaos i co chwilę gotową w coś zaryć albo przewrócić się gdzieś *k czortowej materii*. Zwłaszcza jeśli kierowca dopiero przy trzeciej próbie wymawia słowo *parabellum*. Gdy usłyszeli Jarkową opowieść-legendę o zabłąkanym na samym dnie śniegowego szaleństwa idiocie-grzybiarzu (rechot

i porykiwanie mogły leciuchno rozsadzić od środka tę knajpę na kółkach), *tylni* jednak dali mu łyknać z butelki i dmuchając w niego z lewa i z prawa wszystkim, co nagromadziło się w ich wnętrznościach przez dwie czy trzy doby nieprzerwanego pijaństwa i palenia, obiecali dowieźć choćby do piekła. „A ty z Czortopola?” — padło przy tym pytanie, z którego Mahik wywinął się chytrze: „Znam tam parę osób”. Tak więc mknęli dalej, z magnetofonu leciało ich gangsta-disco, um-pa-pa, um-pa-pa, łup-łup-łup, i trwało to w nieskończoność: grożąca wybuchem limuzyna w czterech nieprzeniknionych ścianach śnieżnej bieli, wizg hamowania na zakrętach, smród przepicia, siedzenie na półdupku między dwoma rozmazanymi *żołnierzami*, niezręcznie formułowane pytania, poślizgi, buksowanie, histeria silnika, sztuczne i idiotyczne odpowiedzi, dowcipy, rechot — aż wreszcie wszystko się uspokoiło, po pierwsze burza. Wtedy Mahik zaczął nerwowo myśleć o zbliżającym się momencie zapłaty i jak będzie musiał wyciągnąć cały grubaśny pakiet z kieszeni numer jeden, a oni nawet tymi najwęższymi ze szparek z pewnością dostrzegą wypchaną zielonymi grubszą kopertę; jednakże nie ma lepszego sposobu na odpędzenie od siebie precz wszelkich zmartwień niż myślenie o nich zawczasu i — co najważniejsze — wyobrażenie sobie wszystkiego z najdrobniejszymi szczegółami; tak więc, i tu mu się udało: za cenę dwóch starych dowcipów o blondynkach, większej puszki z piwem i — w końcu — czortopolskich telefonów Lili i Marleny (*słuchaj, kolo, fajne babki są*

zajebiecie potrzebne, forsy nawpadało, ile wlezie, a przelecieć nie ma którą!) został szczęśliwie wypuszczony na wolność i swobodę, wolność i swobodę — i o dziesiątej wieczorem stał już przed głównym wejściem dworca „Czortopole Miasto”.

Po kolejnych dwóch godzinach, przylepiając się niedoschniętymi plecami do bezlitośnie *standardowej* kuszetki, sam jeden w wagonie pierwszej klasy bardzo powolnego i jedyne go pociągu, powiedział sobie: „No to jazda”. A gdy wysiadał rano na bury peron, kontynuował myśl, i tu ją zakończył: „Lwów”.

Zdążyli jeszcze wyciągnąć ciało z Rzeki (lodo-wata woda przelewała się przez cholewki gumiaków) i położyć je twarzą do góry na brzegu, tuż koło lasu. Z przeciwnego — zakazanego — brzegu można je było zobaczyć zupełnie wyraźnie, i gdyby ktoś tam-tędy przechodził, z pewnością zauważyłby po drugiej stronie ową wielką dunajską rybę na trawie pod głodem. Ale to już jutro, bo dziś zaczyna się ściemniać.

Pewnego dnia to się musiało stać. Opowiadano o tym od pokoleń: pewnego dnia wody Rzeki przyniosą wielką dunajską rybę. Nikt z nich nie rozumiał, jak to w ogóle możliwe. Przecież wody Rzeki nie mogą popłynąć wspak, i wody Dunaju też. Tak więc sens przepowiedni pozostawał niejasny, z biegiem lat nawet powoli przestawano w nią wierzyć, coraz bardziej wątpiąc w dokładność przekazu.

Ale oto stało się — dunajska ryba przybrała postać człowieka, obcokrajowca, który jeszcze niedawno

spacerował tu po brzegu, ciężko stąpając po trawie swoimi drogimi, solidnymi butami. I wszystko, co mogli dla niego zrobić, to wyciągnąć z wody na brzeg jego rybie, martwe ciało z wypełnionymi wodą płucami, trzema złamaniami oraz śmiertelnym urazem głowy. Niech inni go teraz znajdują i niech się nim zajmą — jutro. Może ten zarośnięty frajer, który uciekał brzegiem, póki nie przepadł w oddali, na szosie za mostem? Może już za kilka godzin przyprowadzi tu całe stado glin i zacznie się to, co głosiła przepowiednia?

Bo głosiła ona, że gdy tylko wody Rzeki przyniosą wielką dunajską rybę, oni muszą stąd odejść. To znak, że wszystko się zmieniło i czas przeskakuje w nowy wymiar.

Zdobyli się na ostatnią w tej krainie śnieżycę, pozbierali po wszystkich kątach resztki najniezbędniejszych gratów i ruszyli przez las, do którego nigdy wcześniej nie wchodził. Niemniej jednak szli całkiem pewnie: nie trzeba bywać w lesie, żeby go poznać. Posuwali się w górę rozciągniętym między drzewami, milczącym sznurem z siedmiu czy ośmiu osób, nie licząc nieletnich, a także króla. Zamięć przykryła ich swoją białą czapą, wyładowania atmosferyczne oświetlały fragmenty drogi, wszystkie na świecie posterunki graniczne były doszczętnie zasypane, żołnierze i ich psy chowali się po przypadkowych schronieniach — przed nimi był grzbiet, wiatr i dwugodzinne zejście na transylwańską stronę, gdzie przyczaiła się w oczekiwaniu inna przyszłość.

O czym mogło po wejściu do lasu rozmawiać dwoje ludzi, którzy przeżyli ze sobą dwanaście lat? Milczeli, to jasne.

Las przykrył ich z głową swoim zmierzchem. Po przekroczeniu granicy drzew poruszali się wolniej i uważniej. Tak przynajmniej każde z nich pomyślało: wolniej, uważniej. Złamane gałązki, boczna ścieżynka w zaroślach, wycięta wzdłuż pnia strzałka, podobnie jak stojąca w poprzek drogi porzucona przyczepa — wszystko mogło dokąds kierować dociekliwych oraz wskazywać potencjalną kryjówkę zaginionego Karla-Josepha. Ale nic nie kierowało i nic nie wskazywało!

Dlatego Roma i Artur w milczeniu *przeczesywali* swój wiosenny, przedwieczorny las, a od czasu do czasu jedno z nich stawało i przytłumionym głosem mówiło: „Słyszysz?”, na co drugie też stawało i odpowiadało: „Co?”. Ale wtedy pierwsze znów ruszało ze słowami: „*Nic, zdawało mi się*”. W sumie mogło to przypominać jakąś bardzo głupią grę dla niedorozwiniętych dzieciaków, co prawda nie pozbawioną głę-

boko ukrytego mistycznego sensu: *Słyszysz? — Nie, a co? — Nic, zdawało mi się...* I tak w nieskończoność.

Jednakże las, a dokładniej przepełniony symbolami i aluzjami pralas, był tylko pretekstem dla ich znacznie głębszego milczenia. Bo w rzeczywistości stały za nim zmęczenie, rozczarowanie i czas. Ludzkie życie jako takie to paskudnie smutna sztuka. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest zbyt długie, że tak naprawdę to kilka różnych żywotów w jednym łańcuchu, a każdy kolejny wydaje się coraz bardziej nieudolny i nędzny. No i co im, Romie i Arturowi, przyszło z tego, że byli razem przez całych dwanaście lat? No i dlaczego nie mogli byli poumierać jeszcze gdzieś w połowie tej drogi, kiedy dzwonili do siebie po siedem razy dziennie, żeby tylko usłyszeć *głos* (albo co prawda to prawda, gdy kochali się siedem razy dziennie, bo tak się wzajemnie i nieustannie pragnęli?).

A teraz każde z nich nie robiło nic innego, jak tylko układało w myślach listę pretensji do drugiego. Co ciekawe: ich dwustronne pretensje, choć nigdy przecież nie bywały wypowiedane na głos, tworzyły pewną symetryczną strukturę. I tylko nam — wam i mnie — dane jest ocenić całą jej symetrię.

Na przykład, znaczna część żalów Romy do Artura sprowadzała się do jego coraz wyraźniej widocznych wad fizycznych, o których wcześniej nawet nie miała pojęcia, a które nie mogły jednak nie powyłazić na wierzch w ciągu tylu lat *wspólnego zajmowania powierzchni mieszkalnej*. Tak więc, któregoś roku Artur zaczął chrapać, potem z zębów powypadały mu plom-

by, jego nozdrza i uszy pozarastały włosami, a penis-biedaczysko przemienił się w całkiem niezależną i bardzo kapryśną istotę, która najczęściej robiła coś wbrew jego woli (albo z równym powodzeniem *nie* robiła). Tę wyliczankę można by rozszerzyć o takie objawy ostatecznego *skapcanienia*, jak zwyczaj niekończącego się wysiadywania na sedesie (a to szeleszczenie gazetą, Boże mój!), albo dajmy na to, walenia się do łóżka z nieumytymi zębami po wielu godzinach picia, palenia i brudnych rozmów. Ponad wszystko na świecie Romie Woronycz żał było *tamtego* chłopczyka (a dwudziestopięcioletni Artur, na którego pewnego razu wpadła podczas wystawy kolorowych litografii, był dla niej właśnie chłopczykiem, jungą, królewskim paziem i Paziem Królowej równocześnie) — tak więc, tamten chłopczyk znikł, stopniowo i bez śladu, pozostawiając w zastępstwie *chłopa*, niedbałego i niekiedy brutalnego. I to było straszne.

Ze strony Artura wszystko wyglądało mniej więcej adekwatnie, stąd też pozostawało mu tylko pocieszać się cyniczną definicją starego Immanuela Kanta, że *ślub jest prawnie i społecznie zalegalizowaną umową między przedstawicielami różnych płci, zawartą w celu wspólnego korzystania z organów płciowych*. I było to tak samo straszne, bo nic, oprócz kantowskiego pasywnego *korzystania*, już się nie udawało — ani śladu przeżytych niegdyś radości, więc inny cytat, tym razem z innego geniusza minionych epok, wydawał się na miejscu jak nigdy: *you can't give me satisfaction...*

Romę coraz silniej drażniła tak zwana bohemiczność Artura, jego szaleńcze zrywy, wpadanie w otchłanie zapomnienia, kiedy udawał watażkę playboyów. W ślad za bohemicznością kroczyło kłamstwo — Roma była całkowicie pewna, że hulając od rana do nocy po wszystkich możliwych w ich mieście knajpach i klubach, ten facet nie może nie zdradzać jej z jakimiś przypadkowymi spódniczkami i pośladkami. Pośladki były w jej wyobraźni obciążone dzinsami i należały do rozmaitych głupich i nierozgarniętych małałów, które tylko marzyły o uwodzeniu podstarzałych, pożałuj, Boże, lowelasów o nozdrzach zarosniętych włosami.

Mężczyźni koło czterdziestki są jak otwarta rana: tylko dotknąć. Artur Pepa właśnie dobrnął do tych okolic.

Coraz bardziej nienawidził przy tym jej domatorstwa, patologicznej skłonności do wylegiwania się przed telewizorem lub dowolnym innym źródłem otępienia. Z roku na rok katastrofalnie malała liczba ludzi, w których towarzystwie im obojgu było tak samo dobrze. Ostatnio takich ludzi już w ogóle zabrakło, więc Artur zupełnie nieprzypadkowo zmuszony był kłamać, misternie motać trasy swoich wymyślonych wędrówek po mieście i przedmieściach, i zastępować twarze niemiłych Romie *wędrownych komedianów* twarzami przynajmniej jej obojętnymi.

Zobojętnienie — tak nazywała się największa z pretensji. Dziesięć lat temu kochał mnie jak pies, czasem myślała Roma. Wystarczało mu tylko podejrzyć,

jak zakładam (zdejmuję?) pończochy, niezbyt szczerze zasłaniając się przed nim drzwiami szafy albo naszym starym parawanem, żeby z okładem wystarczyło tego na dobre pół nocy. Ale co tam pończochy? Samego uśmiechu, ruchu głowy, intonacji bywało dosyć. A teraz mógł miesiącami jej *nie dotykać*, z oddaleniem i wyższością zanurzony we własne życie, które jest teatrem.

Tę samą pretensję — zobojętnienie — Artur w myślach adresował do niej. Była już o tym mowa — chętnie przypisywał to gwałtowne wygasanie namiętności biegowi lat i ich inercji. W uniesieniu zaczął nawet straszliwie przerysowywać jej coraz większą zamkniętość i ogólny brak chęci. Wiecie, w myślach zwracał się do wyimaginowanych rozmówców na tak samo wyimaginowanym sądzie obywatelskim, jeśli baba ma przez pół miesiąca menstruację, a przez drugie pół katar, to jej mężowi nader trudno jest pozostać namiętnym kochankiem. Zwłaszcza po dwunastu latach pożycia małżeńskiego. I przysięgi, tak.

Niekiedy oddawał się masochistycznie słodkim fantazjom i wyobrażał sobie prawdziwe przyczyny takiego rosnącego oddalenia, wymalowując burzliwe sceny jej spotkań z innymi. Początkowo był to jej spoczywający w pokoju wiecznym poprzedni mąż — zjawiał się w *swoim* mieszkaniu w niezliczonych godzinach Arturowej nieobecności i po gospodarsku brał ją na kuchennym stole, doprowadzając do krzyków rozkoszy coraz potężniejszymi ruchami nieubłagane zimnego i twardego trzpienia. Ale te wizje zostały w krótkim

czasie stanowczo odrzucone — tak bardzo nie przystawały do prawdziwego obrazu łagodnego entuzjastypisankarza z jego zaniedbanymi niedomaganiemicielesnymi i wybujałymi ideałami duchowymi. Znacznie bardziej realistyczny wydawał się jakiś chamski a wszechmocny *dziekan*, który pół swego życia poświęcił na zdobycie obecnej niezwykle wpływowej pozycji społecznej i przed odejściem na emeryturę korzystał z niej, jak mógł, zmuszając wszystkie bez wyjątku podwładne płci żeńskiej (studentki-dłużniczki, doktorantki, asystentki i lektorki) do prawdziwej *podległości*. Tak więc, zdarzyło się nieraz, że legł i na niej, dajmy na to, na skórzanej kanapie w swoim gabinecie, i ciężko dyszał jej nad uchem, a nieszczęsna Roma musiała jeszcze do tego drzeć i udawać, że umiera z rozkoszy. Później Artur odrzucił również i tę wersję — *dziekanem*, jak się okazało, nie było żadne obrzydliwe knurzynsko w apoplektycznym stadium nadużywania stanowiska, tylko zupełnie sympatyczna dama, znawca języków i literatur Wschodu.

Ale poniżające fantazje mimo wszystko do niego powracały. Czegóż warci byli choćby ci wszyscy ponad wszelką miarę odcytani chłopcy-neofreudyści, których *obsługiwała jako tłumaczka* po wszelkich miasteczkowo-międzynarodowych konferencjach! O, oni mogliby jej pokazać całą swoją *zbiorową podświadomość*! A stada nienasyconych studentów w akademikach i okolicznych parkach, ostrzyżonych na zero, z tatuażem FUCK ME na czołach i cokolwiek niżej! Ale co tu dużo gadać — wszyscy samcy świata, włącznie

z całym batalionem żołnierzy w drodze z łaźni na poligon, mogli okazać się kochankami Romy, to znaczy naprawdę była ona chciwa jak kotka i pragnęła tylko jednego, co chwilę zaczepiając przypadkowych *gentlemanów*, jeśli nie słowem, to spojrzeniem, i prowokując ich do ekstatycznych ekscesów w windach, budkach telefonicznych i przedsionkach wagonów.

Prr, szalona, mawiał w takich chwilach Artur Pepa do swojej rozdartej i zepsutej przez kinematograf wyobraźni. Ale to właśnie w takich chwilach czuł, jak nieprzeparcie ciągnie go do niej i jak wiele pozostało w nim niewyczerpanego. A więc wciąż jeszcze kocham, myślał.

A teraz, w lesie, dokąd razem trafili w poszukiwaniu tego trzeciego, myślał jeszcze o tym, jak ona wczoraj bandażowała mu głowę. Miłosierdzie, na które jednakowoż nie zasłużył. Artur nie znosił pewnych słów, wymyślonych chyba przez autorów słowników w celu powiększenia ich objętości: *ewokować, jeśliby, nieledwie*. Wśród jego ulubieńców było też słówko *jednakowoż*. Tyle że teraz nie wiedzieć czemu bardzo pasowało ono do jego myśli o miłosierdziu, na które jednakowoż nie zasługiwał, i o tym, jak zgrabnie i zręcznie jej ręce zrobiły wszystko, co zrobić należało. Niech mnie diabli, powtarzał sobie Artur Pepa, niech mnie diabli porwą w tym lesie z nią razem!

Tymczasem Roma myślała mniej więcej to samo (co ciekawe, oni *nieledwie* zawsze myśleli o tym samym): te jego wczorajsze całodzienne wygłupy, szachy, o których nie ma zielonego pojęcia, walka na miecze, a do

tego to stanie na rękach. Czyżby był zdolny do takich idiotyzmów dla mnie, pytała Roma swoją wewnętrzną, łatwowierną rozmówczynię. Ale jeśli nie, to dla kogo i czego? No dobrze, były tam jeszcze te dwie powiatowe pindy, uspokajała swoje nieprzesadnie bystre wnioski. Do tego wszelkie środki oszalamiające — alkohol, papierosy, haszysz. Tacy jak on zwyczajnie głupieją od przedawkowania i tracą głowę. Ale właśnie to *tracenie głowy* rzuciło go w objęcia jej młodej wdowiej samotności dwanaście lat temu. I dlatego to jej się w nim najbardziej podobało, jego *tracenie głowy*.

Nieco później jej myśli z lekkim poczuciem winy przeskoczyły na zaginionego Karla-Josepha. W ostatnich tygodniach zrobił się nie do wytrzymania, przy każdej okazji dokuczając jej aluzjami do rozstania z mężem i córką, to znaczy z *tą dwójką*, i przeprowadzki do jakiegoś Wiednia, Amsterdamu, Lizbony, do samego diabła (*Gdzie zechcesz*, powtarzał, *gdzie zechcesz, świat jest wielki, a do tego zawsze będziemy mogli bywać we Lwowie, wędrować po Karpatach, nocować pod gwiazdami na połoninach!*). Ileż razy prosiła go, by zapomniał o tych głupstwach, by wyrzucił z myśli te głupie *gwiazdy na połoninach* i tę tymczasową *historię pomyłek*, by pozostali przy tym przyjaciółmi, którzy razem pracują na niwie lwowsko-wiedeńskiego pojednania, ale on tylko się złościł i czasem uderzał pięścią w ścianę. *Dobrze, zgadzam się, żeby twoja córka została przez nas wzięta* — powiedział za którymś razem, najwyraźniej po długim

i bolesnym namyśle, używając przy tym częściej w jego języku biernej formy czasownika. Ale Roma zareagowała zupełnie nie jak doświadczona germanistka: *Moja córka nie jest rzeczą i nigdy nie zostanie wzięta*. Czasami zbyt ostro z nim rozmawiam, powinnam przestać, pomyślała, żeby przebłagać los i odebrać myśli od Karla-Josepha. No tak, przecież teraz uświadomiła sobie inne swoje nagłe zmartwienie — jej dziewczynka została całkiem sama w tym wielkim, dziwacznym budynku, gdzieś na górze, pod wszystkimi wiatrami. Dokładniej nawet nie sama, tylko *sam na sam* z tym obcym chłopcem, i co to będzie? (*Dziesiąty krąg — to niewola, z której nie można powrócić, niczego nie tracąc*, sformułowała Kola mniej więcej w tej samej chwili).

Patrz, znienacka odezwał się do Romy Artur w szybko mroczniejącym lesie. Roma zgrabnie przeskoczyła przez zryte ludzkimi śladami i ponownie zgęstniałe błocko. Co takiego, spytała. Spójrz na ten szlaban, pokazywał Artur, patrz, połamany. No to co, udawała, że nie rozumie. Tu wszystkie szlabany są połamane, od stu lat. Nie, ten akurat nie był, zapewniał ją mąż. Wczoraj przed południem doszedłem do tego miejsca i tutaj sobie wypilem, twierdził Artur z coraz większym przekonaniem. Otóż to, wypileś, zbijała go z tropu Roma. Ale on się nie poddawał. Przysiadłem na tym szlabanie i paliłem papierosy, jednego za drugim, z pięć albo sześć. O, widzisz, ciągnął, pet, a tam jeszcze jeden, i tu. Podniósł niedopałek z ziemi, starannie obejrzał go w gasnącym leśnym świet-

le i powiedział: „Pryłuki”. No to co, uparcie broniła się Roma. Chęć powiedzieć, że szlaban został złamany całkiem niedawno, twardo oznajmił Artur. To mogło stać się w wyniku jakiejś walki, szlabany nie łamią się same z siebie. Roma zmilczała. Nie, bez sensu byłoby podrzucanie mu wersji z wiatrem. Szlaban połamany przez wiatr — co za bzdura!

O, widzisz, znów się po chwili odezwał. I co tym razem, spytała z odrobiną czujności. Trawa za szlabanem jest bardzo pognieciona, oznajmił Artur, sławny tropiciel. W tym lesie pełno jest wygniecionej trawy, trzeci raz usiłowała zaprzeczyć. Nie, nie rozumiesz, cierpliwie tłumaczył Artur. To zgniecenie wygląda zupełnie inaczej — jakby ktoś w tym miejscu leżał na trawie, albo nawet — jak by to powiedzieć — tarzał się po niej. Ale krwi nie widać, odrzuciła Roma tropicelowi kolejny fałszywy ślad. Artur przez chwilę chodził wokół i rozglądał się na wszystkie strony. Po czubkach drzew przeszły dwa czy trzy silne porywy wichru. Niebo w prześwitach między koronami wydawało się prawie czarne.

Nie, krwi nie widać, powiedział Artur. A więc i walki nie było, rzuciła niby żartem Roma. Artur jeszcze moment przemyślał to, co zobaczył. Jeśli tu leżało ludzkie ciało, wskazał na trawę, później ktoś musiał je gdzieś odciągnąć. Ale nie widzę śladów. A jeśli ono samo wstało i sobie poszło, mało nie wygadała się Roma. To i my powinniśmy iść dalej, zgodził się z nią mąż. Postali jeszcze minutę czy dwie i ruszyli leśną drogą naprzód.

I dopiero wtedy, mniej więcej w tym samym momencie, ale każde na swój sposób, poczuli, jak pochyla się i zagęszcza nad nimi cała tajemniczość świata.

Nieco później, gdy już wychodzili z lasu, ostrożnie podchodząc do Rzeki, nad ich głowami po raz pierwszy błysnęło, potem jeszcze raz i jeszcze. Tylko tego brakuje, powiedziała Roma, szczerzej zawijając się we wszystko, co miała, i zarzucając kaptur na głowę. Jak teraz walnie, odpowiedział na to Artur i z niepokojem rozejrzał się po poczerniałym nagle krajobrazie. Poeta, jak zawsze, okazał się prorokiem: ledwie wymówił te słowa, a naprawdę *walnęło*, czyli solidnie zagrzmiało na całe niebiosa. Święty Ilia kołacze wiezie, rzucił przysłowie Artur Pepa i wziął żonę za rękę, od czego w niebie znowu rozległy się kolejne grzmoty, coraz głośniejsze i gwałtowniejsze.

Gdy biegli przez most, sypnął mokry śnieg. Dokładnie rzecz biorąc, przez króciutką chwilę był to najpierw zwykły zimny deszcz. Ale gdzieś w połowie mostu zauważyli, że deszcz zaczyna bieleć. Kiedy więc dotarli do drugiego brzegu, co sił pobiegli poboczem drogi do góry — w stronę rozwidlenia nad ujściem Potoku do Rzeki. W tym momencie wszędzie już było białe — na całej ziemi.

Po paru chwilach Artur pomyślał, że ta ucieczka nie przyniesie niczego prócz wyczerpania: w pierśiach szalała taka sama zawierucha, jak na zewnątrz, nad głowami groźnie błyskało, zewsząd gromy uderzały z taką siłą, że odbierały słuch; do ewentualnego

schronienia na trzynastym kilometrze było półtorej, dwie godziny marszu, do stacji kolejowej też coś koło tego, ale w przeciwną stronę. Tu i tylko tu, powtarzał w rytm biegu Artur, tu i tylko tu, tu i tylko tu. I tylko tu — nasza przystań!

Ciągnąc Romę za rękę, wybój po wyboju przeciął drogę, przebiegł jeszcze ze sto metrów i przeskoczył (Roma za nim) przez ogrodzenie nad przepaścią, a potem — *naj sy dije Boża wola* — jak się dało, trochę na nogach, trochę na plecach, brzuchach i tyłkach, na złamanie karku, ostro w dół, w przysypane śniegiem, szare zeszlóroczne łopiany, nie, jeszcze niżej, z błyskawicą i grzmotem — na dno, na samo dno tego świata, do królestwa samochodowej śmierci.

Uwalani śniegiem i błockiem, jak klauni w trocinach, ostatecznie wylądowali koło wszystkich tych zniszczonych i roztrzaskanych mercedesów i opli; błędząc w korytarzach tego na poły labiryntu, na poły cmentarzyska, między wszystkimi innymi fordami, citroenami i wołgami, natknęli się w końcu na coś większego i nie aż tak zniszczonego; po krótkiej tylko szamotaninie z zepsutymi drzwiami udało im się wcisnąć do środka, i oto już — dach nad głową, własna kryjówka poza zasięgiem burzy. Burza zresztą właśnie w tej chwili ruszyła w taki tan, że przepadły wszystkie punkty orientacyjne — został tylko biały chaos dokoła i biała pustka na wyciągnięcie ręki.

A więc muszą teraz odpocząć — Artur na podarłym na strzępy fotelu kierowcy (kierownicy już co prawda nie było — tylko resztki *bebechów*). Roma

obok niego, na czymś dość podobnym. Pora pozwolić im odpocząć.

Wśród najdziwniejszych kolekcji świata mogłaby znaleźć się również i ta — w nieznanym ostatecznych celach gromadzona przez posiadacza całego okolicznego pejzażu Warcabycza. Skupowane, a częściej po prostu *zbierane* po „czarnych punktach”, martwe auta regularnie zwożone były do tej przepaści, gdzie przez kilka lat nazbierało się ich koło setki. Za jeden z najznakomitszych wśród nich eksponatów całkowicie zasłużenie można by uważać ten, do którego wcisnęło się zadyszane małżeństwo.

Był to międzywojenny chrysler imperial, jeden z cudów automobilowej myśli lat minionych, tak, ten sam, który później okazał się raczej symbolem niż rzeczywistością. Jasne, każdy z was ma w tym miejscu prawo krzywo się uśmiechnąć. Jakże to — znowu złudzenia młodości, potworne potwory i powtarzające się powtórzenia?

Ale czy naprawdę o to mi chodzi? Chodzi mi przede wszystkim o prawdę *tej* historii. A ona wymaga, by *to* żelazne, zmarniałe ciało, którym jeszcze dziesięć lat temu *owa* forteca na kołach w żadnym razie nie była (bo właśnie wtedy widywano ją wśród fajerwerków na ulicach Czortopola), by właśnie *to* ciało, a dokładniej jego łupina, właśnie dziś, po nikomu z nas nie znanych drogowo-transportowych i po prostu przygodach ostatniej dekady, znalazło się w tej przepaści, dając schronienie dwojgu bliskich i dalekich ludzi.

Ale jeśli nawet nie był to ten sam chrysler imperial, to w każdym razie coś łądząco doń podobnego. Albowiem Artur Pepa nie mógł wybrać innej kryjówki. To zwyczajnie musiało być coś największego, najpotężniejszego i najlepiej zresztą widocznego.

Siedzieli więc teraz w mroku ogromnego wnętrza, milcząco wpatrzeni w nerwowe rozbłyski wśród gęstej, nieprzeniknionej bieli za ocalałymi szybami. Z ich ubrań spływała woda, sami też niemal gotowi byli się roztopić.

— A jeśli trafi w samochód? — spytała wreszcie Roma, wskazując skinieniem głowy na kolejny rozbłysk w świecie zewnętrznym.

— To pewnie spłoniemy — bez wielkiej pewności odpowiedział Artur i mimo wszystko zapalił papierosa. — Chociaż średnio się znam na fizyce.

— Koniec kwietnia — skonstatowała z żalem.

— Góry — wyjaśnił. — Bardzo zmienna pogoda, raj dla synoptyków.

Milczeli dokładnie tyle, ile palił się jego wilgotny papieros. Kiedy Artur zgasił niedopałek, powiedział:

— I znowu Antonycz. Gdzie nie spojrzysz, wszędzie Antonycz.

Roma popatrzyła na niego pytająco.

— Chodzi mi o *Umarle auta* — powiedział Artur. — W trzydziestym piątym roku, kiedy ten rupieć był nowym, superluksusowym superwehikułem, poeta Antonycz opisał jedną ze swoich kolejnych wizji. Miał to być taki cmentarz, na który zwieziono samo-

chody. *Jak szczątki gwiazd roztrzaskanych na cmentarzyskach śnią auta* — no i tak dalej...

— Nic dziwnego, że tu się takie rzeczy dzieją — poruszyła ramionami od pierwszych dreszczy Roma.

— Ty o Austriaku? — odwrócił się do niej twarzą.

Roma pomyślała, że właśnie teraz musi mu wszystko powiedzieć — wszystko, jak było. Inaczej uświerkną na amen w tym żelaznym worku, choćby z samego zimna.

— Wiesz, tam koło szlabanu... — zaczęła.

Ale w niebiosach zagrzmiało tak, że musiała zacząć jeszcze raz. Artur odwrócił się do niej nie tylko twarzą, ale i całym sobą.

— Koło tego szlabanu — zaczęła po raz trzeci i dalej wypaliła wszystko jednym tchem — widziałeś, że jest połamany. W nocy go dogoniłam, bo chciałam, żeby nigdzie nie szedł, taki pijany od tej orzechówki, nie wiem, czy ty pamiętasz, jak żeście się upili, no, myślałam, że ostatecznie z nim pójdę, żeby mu się coś nie stało, on przecież ciągle w ogóle sobie nie radzi w naszych warunkach, no więc, koło tego szlabanu dogoniłam go... daj papierosa!...

Długo zapalała od jego zapalniczki, wreszcie zaciągnęła się raz, drugi i zakasłała. Artur łagodnie odebrał jej papierosa i sam zaczął palić.

— No więc — szybko zaciągnęła — wtedy zaczął się do mnie przystawiać, wszędzie pchał łapy, wyrывałam się jak mogłam, ale przycisnął mnie całym ciałem, mało nie rozebrał, i tak przyparł do tego szlabanu, ale opierałam się, jak mogłam, i wtedyśmy go połamali...

— Kogo? — spytał Artur, błyskając żarem papierosa.

Niezależnie od otaczających ciemności poczuł, jak ciemnieje mu w oczach i jak do bólu chciałoby się tu i teraz objąć ją czy choćby wpić ustami w jej usta.

— Ale nie, to nie tak, jak myślisz — tłumaczyła Roma — nie, ten szlaban dlatego jest połamany, że on się na mnie pchał, a ja się wyrывałam, potem wepchnął mi rękę między nogi...

Artur jęknął, rozsypując w powietrzu starte na proch pół *pryluckiego*. Mrok przed oczami był gęstszy niż wszystkie mroki świata.

— ...bo on mnie chciał... no rozumiesz... na tym szlabanie, a ja nie chciałam, i wtedy złamaliśmy szlaban, i upadliśmy w tę trawę, ja byłam na górze, ścisnęłam go kolanami ze wszystkich sił, mówiłeś tam, że ktoś tę trawę pogniótł...

— Dalej — powiedział Artur prawie ostatkiem sił.

— Dalej nic — wzruszyła ramionami Roma. — Zostawiłam go samego w lesie i wróciłam na górę. Spaleś już, gdy przyszłam.

Od tego wszystkiego mało nie szczekała zębami. Ale zrobiło jej się lepiej — opowiedziała wszystko, co miała do opowiedzenia. Czyżby z miłości?

Artur poczuł, że wewnętrzny mrok nie zelżeje, póki się to nie stanie.

— Wszystko widziałem — powiedział. — Pobiegłem za tobą. I stałem trochę dalej. W świetle księżyca było doskonale widać. Potem poszedłem z powrotem.

W rzeczywistości istotnie poszedł za kimś, ale nie za nią. Skłamał, bo musiał skłamać. Czyżby z miłości?
— To ty tam byłeś?

Całym ciałem przechyliła się w jego stronę. To była dla nich jedyna szansa ratunku — inaczej mogliby skonać w tej metalowej trumnie. Zaczęli całować się dziko i boleśnie, tak nie bywało już od kilku lat — przedostała się do niego na kolana i była tak blisko, że wszystko popłynęło i zawirowało: przyszły łakome i szaleńcze przepychanki oraz trochę kłaniania, rozgrzebywanie namokniętych ubrań w nadziei dotarcia do ciepła, do skóry, jakieś ciuchy poleciały na tylne siedzenie, Arturowi udało się w końcu odnaleźć pod dziesięcioma swetrami i brzuch, i rowek między pierśmi; przytrzymując wolną ręką kieszeń płaszcza (*ostrożnie, ostrożnie*, powtarzał jedyne, co potrafił), mimo woli nacisnął jakąś dźwignię i — chwała imperialistycznym konstruktorom! — oparcie odchyliło się do tyłu, skrzypiąc rdzą...

Dopiero wtedy nieco się uspokoili i dalej było już zupełnie inaczej — płynnie i perfekcyjnie, z właściwym napięciem i rytmem. Jej leciutko wyciągnięta z rozkoszy twarz huśtała się nad nim wśród rozbłysków, miała zamknięte oczy, wyładowania piorunów smagały dach, skrzydła i zderzak olbrzymiego gruchota, ale nie wyrządziły im żadnej krzywdy, odskaakiwały z sykiem, wszystko wyglądało prawie tak, jak pierwszej nocy ich znajomości — jego włosy też były mokre (co prawda, dziś nieco przeszkadzała bandażowa oznaka bohaterstwa, ale to tylko wzmagало mi-

łość), na dworze tak samo sypał mokry wiosenny śnieg, polówka w kuchni drżała i trzeszczała całym szkieletem tak samo zdradliwie, jak to wiekowe, wyleniałe siedzenie, Roma tak samo zasłaniała usta dłonią, tłumiąc krzyk i jęki (tak, wtedy to miało sens: w pokoju spała Kola — ale dlaczego teraz?), a on z takim samym zachwytem i zdumieniem przybywał w niewyczerpanych strumieniach radości.

(Kiedy więc nie wiedzieć skąd, sponad grzbietu, sfrunęła do nich na samo dno przepaści blada, oblepiona bielą kreatura z opadającymi, ośnieżonymi wąsami i żałośnie przytuliła się z zewnątrz do szyby, nawet niczego nie zauważyli, zajęci wyłącznie sobą nawzajem. A molfar, który wcześniej nosił nazwisko Romy — Woronycz — pobył koło nich tylko przez chwilę i odszedł bezsilnie, rozpadł się na płatki śniegu).

I wtedy dopiero przetoczyło się przez nich leciutko ochryple i oszalałe zakończenie, po którym jak zwykle zamarli na długo i szczęśliwie. Co ciekawe, gromy i błyskawice też niedługo potem zamarły. A właściwie odeszły w siną dal, by przepaść w jakichś dalekich stronach. Tylko resztki mokrego śniegu jeszcze wysypywały się z niebieskich składów, ale coraz wolniej i łagodniej.

— Jak pięknie — powiedziała Roma dopiero wtedy, gdy już można było znów coś powiedzieć.

— Ale mogłaś zgnieść jajko — mruknął Artur, szeleszcząc płaszczem.

Roześmiała się, drżąc na jego piersiach.

— To by była nieodżałowana strata — powiedziała i znów ogarnął ją śmiech.

— To nie to, o czym myślisz — zaprzeczył.

I kolejny raz szeleszcząc płaszczem, wyciągnął z kieszeni pisanekę — z pomarańczowymi krzyżykami i gwiazdami na czarnym tle nie z tego świata, a do tego z dwoma złocistymi, falistymi paseczkami na górze i na dole. Teraz można ją było obejrzeć w świetle księżyca, które znenacka wypełniło całą przepaść, razem ze szkieletami i wnętrznościami samochodów, i bez przeszkód przeniknęło do środka ich schronienia na kółkach.

— O, a to skąd? — spytała Roma.

— Sam nie wiem — potarł zabandażowanym czołem o jej ramię. — Ale to dla ciebie. Prezent świąteczny.

Ostrożnie wzięła pisanekę i trzymała ją w koszyczku dłoni. Potem podziękowała, dotykając ustami jej ulubionej jamki pod jego jabłkiem Adama.

— Jutro mi dasz — powiedziała i schowała pisanekę z powrotem do kieszeni płaszcza. — Dziś jeszcze nie święto. Będę się cieszyć z niespodzianki. No naprawdę, jak mi się udało jej nie rozgnieść?

Znowu się roześmiała, wspominając, jak on to powiedział, kocur Mruczek.

— A w ogóle to wiem, jak to się stało — dodała po chwili z całkowitą powagą. — Po prostu już nie jestem niezgrabą.

— Od kiedy to? — udał zaniepokojenie Artur.

— Od teraz — dumnie oznajmiła.

— Ale ja lubię, kiedy jesteś nieporadna — uniósł się na łokciu.

— Czyżby? Nigdy w to nie uwierzę! — liznęła go w nos. — No dobrze, specjalnie dla ciebie jeszcze troszkę pobędę niezgrabą.

Przełaząc na swoje siedzenie, trafiła go kolanem w bok. Artur udał, że jęczy z bólu. Ale uznał, że głupio byłoby powtarzać żart o jajku.

— I widzisz, wszystko w porządku — zachichotała. — Znowu jestem niezgrabą. Zapalimy jednego na spółkę?

Długo pstrykał zapalniczką, potem zaciągnął się raz i podając jej papierosa, zadeklamował:

*Niekiedy ludzie-szakale sen mącą żelaznym trupom,
głodów i nędz swych kramiki rozkładają niczym na targu
rolę łóż grzechu sądzono pełnić wystygłym kadłubom
dla dziwek i pozerów krzeszących złe błyski na dnie ich letargu.*

— To ten Antonycz? — spytała. — Ciekawe, gdzie on teraz jest.

(Ostatnie zdanie wymówiła jakby niechcący — może tylko dlatego, że jej córka właśnie w tej samej chwili wpuściła do siebie swego pierwszego kochanka, bo *jedenasty krąg — to kiedy dwoje staje się jedno*).

— Pewnie w swojej karczmie na księżycu — odpowiedział Artur. — A gdzież by mógł być?

— To co on tam mówi o tych wystygłych kadłubach? — zaczęła zakładać swoje swetry, jeden za drugim.

— *Rolę łóż grzechu sądzono pełnić wystygłym ka-
dłubom dla dziwek i pozerów* — przypomniał Artur.

— No właśnie. Pasuje, ale nie do końca — zgodziła się. — Bo ty jesteś strasznym pozerem.

Nie podjął wyzwania, jedynie skrzywił twarz w paskudnym i zabawnym grymasie. Artur Pepa nie mógł być astrologiczną małpą, ale czasem bywał małpą życiową.

— Wiesz co — powiedziała — chyba przeniosę się na tylne siedzenie i spróbuję pospać. Tak czy siak się stąd nie wygrzebiemy. Czy zechcesz dzielić ze mną łóżę?

— Jeśli to *łóżę grzechu*, to chętnie — obiecał Artur.

— Wszystko w naszych rękach — zapewniła. — Pozwalam się obudzić, jeśli będziesz miał chęć.

Artur także ułożył się — ave, Chrysler! — na tym szerokim i dwuznacznym, niczym kanapa dziekana, skórzanym siedzeniu i objął rękami jej uda.

— Pozwalasz się obudzić? — wymruczał po swojemu gdzieś koło jej ucha. — Zgoda, jeśli nie prześpię porannej erekcji.

Śmiali się chwilę, potem trochę jeszcze rozmawiali, tocząc sprzeczkę o głupstwa, a potem jeszcze razem zapalili, bo — nie ma na to rady i jest taka prawda — jeśli po seksie bywa rozmowa, to najczęściej bywa też miłość.

I dopiero później, po nieokreślonym przez żadną chronometrię odcinku czasu, Roma Woronycz wyslizgnęła się z jego objęć, uruchomiła stary automobil i ruszyła nim w podróż po niezliczonych pokojach

pensjonatu, wpadając na ściany i strącając z postumentów urny i gaśnice. Co śniło się Arturowi — nie wiadomo, tajemnice są na świecie.

Ale gdy zaczęło mu się śnić stado psów, pędzących brzegiem Rzeki, nastał ranek. Pogoda zmieniła się nasty raz — wszystko, co w nocy było śniegiem, teraz w przyspieszonym tempie topniało, spływało, skapywało, nieznosnie ciepły wiatr usiłował postrzącać wszystkie głowy z ramion, nawet tu, na dnie przepaści.

Widziane we śnie stado okazało się w rzeczywistości jednym jedynym psem, co prawda dość dużym, jakimś mieszańcem wilczura, który zapamiętało oddawał się szczekaniu, stojąc na tylnych łapach i szturchając pyskiem okna chryslera. To jasne, że nie mogła mu się podobać ta zaskoczona we śnie i przestraszona para dwunogów. Co oni tu u licha robią? Co to w ogóle za porządki?

Rozeźlony pies nie był w swoim oburzeniu samotny. Przybiegł tu w towarzystwie aż trzech gliniarzy, z których jeden trzymał w pogotowiu *kałasza*. Drugi — najstarszy, sądząc z kolekcji złotych zębów i w ogóle całej fizjonomii — gestem nakazał im wyjść. Trzeci tymczasem umiejętnie wziął psa na smycz, od czego ten zaczął ujadać z jeszcze większą zaciekłością.

Mrużąc oczy od wiatru i światła, które ciepło i boleśnie dało po oczach, trochę nieporadni i mocno zasniani, Artur Pepa i Roma Woronycz, po kilku głupio nieudanych próbach otwarcia drzwi chryslera, zdołali jednak wyjść — przez przednie siedzenia. Led-

wie Artur stanął na mięknącej pod stopami ziemi, a już poczuł, jak niezgrabnie i paskudnie odleżał sobie nogę. Teraz w zasadzie musiał stać na tej drugiej. A tu jeszcze na dodatek: straszny wiatr, od którego pęka głowa, szum wody, ból oczu, tryzuby na czapkach, wściekłe ujadanie, niesmak w ustach, prawie wycelowany *kałasznikow* i wszystkie te słodkie pytanki w rodzaju *kto wy? skąd? co my tu robimy? dokumenci?*

Artur Pepa zdołał odpowiedzieć na pierwsze trzy z nich. Dokumentów, rzecz jasna, przy sobie nie mieli, nawet doświadczona Roma. Turyści, mówił Artur Pepa (trzeci gliniarz wreszcie syknął na psa, który na moment zamknął pysk, dupek cholerny), turyści ze Lwowa, wypoczywamy w Karpatach.

Turyści ze Lwowa, w Karpatach wypoczywamy, we Lwowie mieszkamy pod adresem, powiedziała Roma. A tutaj schowaliśmy się przed burzą, mokrzy i *zamurdzani*.

Pani, was nikt nie pyta, wyszczerzył kły *kamandir*. Przyjdzie *oczieried'*, to was zapytają.

Właśnie to powiedziałem, ciągnął Artur Pepa. Wyszliśmy pod wieczór z pensjonatu na spacer (z zaspiania wymówił *na szpacyr*), a tu, sami wiecie, burza z piorunami, nie ma się gdzie schować, tośmy tu się *skatulali* i schowali, o, *tuteczki*.

Słyszycie, powiedział na to do chłopców *kamandir*. Słyszycie, za kogo nas biorą — za imbecyli *durnowatych*. Słyszycie, przed piorunami w żelastwie się chować!

Słyszac taką totalną bzdurę, gliniarze jak jeden mąż zarechotali, nawet pies parsknął, lizus służbowy.

No z czego się, chłopcy, śmiejecie, spróbowała łagodnie Roma. Z czego się tu, chłopcy, śmiać. Jak się chowaliśmy przed burzą do tego samochodu, to o żadnej fizyce nawet nie myśleliśmy, byle się tylko schować. A wy się, chłopcy, śmiejecie, bo nie rozumiecie.

Pani, znowu do niej *kamandir*, ale ostrzej. Pani, zostawcie tę swoją fizykę! Bo my, pani, nie żadni dla was chłopcy, jeszcze pod nami nie leżała.

Starszyna, odezwał się na to Artur Pepa. Starszyna, nie tym tonem do kobiety. To moja żona, starszyna.

Ale ten na to jeszcze mocniej: Jak to twoja żona, to czego się po autach pieprzycie? Może to twoja kurwa, a nie żona? Może ona ze wszystkimi się po autach pieprzy, kurwa?

Wtedy Artur Pepa, członek zakonu Szlachetnych Kawalerów Mieczowych, zapadając się w swój najmroczniejszy z wewnętrznych mroków, zdrętwiała nogą — do przodu, byle przypakować w złotozębą mordę wszarza-pagoniarza, żeby nie śmiał więcej damom urodziwym ubliżać. Ale stojący naprzeciw glina tak się serdecznie przyłożył do *kałasza* — i tak mu serdecznie przywalił — że aż iskry poszły, i dziw, że bandaż z głowy nie zleciał.

Tak więc Artur padł bez przytomności na resztki śniegu, rozbryzgując szare fontanny, a Romę odciągnięto od niego siłą, żeby nie lamentowała jak na pogrzebie. Nawet pies się ponad miarę rozzłościł przez tego *lwowskiego jełopa*.

Ale ona mimo wszystko wyrywała się i wyzywała ich, kurwa, od bandytów i morderców, aż *głównokamandujuszczij* tak sobie pomyślał, że może by i ją po głowie trzasnąć, żeby się, kurwa, zamknęła i *nie mieszała* pełnić obowiązków służbowych, *kak sliedujet*, głupia cipa. No i ją wzięli — z płaczem, krzykiem i lamentem, a potem nagle ucichła i uległa — pod strażą tego, który trzymał na smyczy psa.

No i ją wyprowadzili na górę z przepaści, ostro pod górę, po śliskich kamieniach, z kamienia na kamień — jej stopy ślizgały się coraz niebezpieczniej — ale jakoś się jednak wdrapała i została wsadzona do UAZ-a, i wywieziona w nieznanym jej kierunku.

Oczywiście, póki mogła, oglądała się i widziała, jak dwaj pozostali — *kałasznikow* oraz *kamandir* — z obu stron przykuwali się do Artura Pepy kajdan-kami i (głowa Artura w brudnym bandażu bezwolnie kołysała się nad ramionami) ciągnęli go siłą między zardzewiałymi zderzakami i karoseriami w tę samą stronę.

I dopiero gdy odjechali, po jakichś pięciu czy siedmiu kilometrach, kiedy za jej zakratowanym oknem przemknęły z naprzeciwka aż dwa wozy milicyjne, zrozumiała, że to po Artura i że gorzej już w życiu być nie może.

Tak niezręcznie, paskudnie i gorzko nigdy chyba jeszcze się nie czuł — Karl-Joseph Zumbrunnen miał ochotę wyleźć z własnej skóry i długo, zaciekle deptać po niej ciężkimi bezlitosnymi butami. Dlaczego do tego doszło? Dlaczego tak się zachował? Dlaczego jest teraz sam w tym białym od księżycowego światła lesie?

Weil ich die unglückliche Liebe habe, pragnął wytłumaczyć się przed swoim starym gimnazjalnym mentorem, który w tej chwili surowo i z niemym wyrzutem spojrzał nań skądś, z Księżyca czy z najbliższej sosnowej dziupli. Mentor miał fioła na punkcie elegancji, tysiące lat wbijał im do głów, że *elegancja* to w rzeczywistości synonim *europiejskości* i by móc godnie reprezentować *austriackość*, trzeba o tym pamiętać zawsze i wszędzie, w każdych warunkach. Mentor zmarł wiele lat temu, ale teraz patrzył na Karla-Josepha, jednego z tysięcy swoich wychowanków, i chciał usłyszeć od niego jakieś usprawiedliwienie.

Weil ich die unglückliche Liebe habe, powtórzył Karl-Joseph z nieco większą pewnością, żeby tamten się odczepił. Ostatnie słowa prawie się rymowały. Na

długo zawładnęły jego kulawym marszem — po jakimś czasie, już wychodząc z lasu i nie przestając płonąć ze wstydu i miłości, Karl-Joseph wciąż krążył wokół tej niezdarnej i dokuczliwej parki (*Liebe habe, Liebe-habe, Liebehabe*). Czy to naprawdę niczego nie tłumaczy, panie mentorze gimnazjalny?

Mentor jeszcze chwilę przemykał za nim, pojawiając się to na moście, to po obu stronach drogi jednocześnie — i tu, i tam — odpowiedź wyraźnie go nie zadowalała, więc po dojściu do rozwidlenia nad ujściem Potoku do Rzeki Karl-Joseph gwałtownie machnął ręką i powiedział: „Dobra, dobra, moja wina, nie jestem teraz żadnym Europejczykiem, tylko pijaną świnią!”. Tego było dość, by mentor wreszcie się odczepił. Samokrytyczność — oto, na czym mu zależało, jak się okazuje! Karl-Joseph skręcił w prawo i idąc brzegiem Potoku w górę, znienacka zaczął rozmawiać z Romą, bo przecież o nią tu chodziło.

Po co szłaś za mną, po co biegłaś w dół zbocza, po co byliśmy razem, pytał Karl-Joseph, choć nawet nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Po co powiedziałaś o tym Księżycu?, żądał prawdy Karl-Joseph. Przecież gdy w środku nocy ktoś rozmawia z kimś o Księżycu, to jest to dowód ich bliskości, czyż nie? Przecież gdy dwoje ludzi patrzy z dołu na Księżyc, to łączy ich coś więcej, prawda? Ja nigdy nie rozmawiałbym o Księżycu z kimś, kto byłby mi obojętny. Roma milczała, brakowało jej słów.

A skoro tak, rozwijał logiczny ciąg Karl-Joseph, to musiałem odpowiedzieć tak, jak odpowiedziałem. Bo

to nie mogło trwać wiecznie — te spotkania po hotelach i cudzych mieszkaniach, tajne szyfry i umówione znaki. Jeszcze kilka lat takiej mordęgi — i wpadniemy w starość, i będzie za późno. Wszystko, czego żądam, to jasności. Czy nie zasłużyliśmy na otwartość w naszych stosunkach? Gdybyś choć raz, choć jeden, jedyny raz powiedziała *dość, nie chcę*, odszedłbym i nigdy więcej nie zbliżał się nawet na krok. Ale ty przecież tego nie zrobiłaś!

Karl-Joseph miał rację: rzeczywiście nigdy nie usłyszał od niej słowa *dość*. Równocześnie jednak raczej oszukiwał ją, a przede wszystkim siebie, oświadczając, że by odszedł. Wątpliwe, by był do tego zdolny. Najprawdopodobniej chodziłby raczej za nią jak zbity pies i ciągle żebrał o kolejne ukraińskie wizy dla kolejnych tajnych spotkań. Ale w tej chwili, przykryty z głową przez alkoholową falę, mógł uwierzyć w swoje bohaterskie wyrzeczenie. Najważniejsze, że Roma nie miała odwagi mu zaprzeczyć, należało do końca wykorzystać jej pełne winy milczenie.

Tak, chyba rzuciłem ci najgorsze ze słów, jakie mogłaś ode mnie usłyszeć, zaczął w chwilę później z jeszcze większym patosem, aż kamienie posypały się spod jego zdecydowanych butów. Wybacz, rzeczywiście cię obraziłem, to prawda. Ale ty przecież nawet nie poczułaś się urażona — przeciwnie, poprosiłaś o moją rękę. Ty poprosiłaś, żebym podał ci moją rękę! Karl-Joseph stanął jak wryty przed pniem sosny. Ty! Poprosiłaś! Żebym ja! Tobie! Rękę! Jak ja to miałem

zrozumieć, powiedz! Sosna, podobnie jak Roma, milczała, więc powędrował dalej.

Przecież jeśli w środku nocy ktoś podaje komuś rękę, ciągnął nieco spokojniej, oznacza to ich bliskość, czyż nie? Mogę nie znać dobrze waszych zwyczajów, to prawda. Na przykład, całujecie w usta świeżo poznanych ludzi, tańczycie z cudzymi partnerami, przytulając się do nich zbyt blisko, prawie nie istnieje u was prywatność przestrzeni osobistej, oddychacie sobie prosto w twarze i nosicie zbyt krótkie spódnice. Ale teraz chodzi mi o to, że ty podałaś swoją rękę! To coś zupełnie innego, to już nie gest, tylko zaproszenie.

Karl-Joseph tu także miał rację tylko częściowo: trudno znaleźć powody, dla których mógłby za prośbą Romy o pomoc przy wydostawaniu się z błota dostrzec jakąś wyższą, metaforyczną treść. W głębi duszy doskonale to wiedział. Ale w ferworze walki przydatny był każdy argument — najważniejsze, że Roma milczała, najważniejsze, że tu jej nie było.

I dlatego mógł sobie pozwolić na jeszcze większą otwartość, a mówiąc ściślej — na pewne zuchwaństwo. Ja trochę znam to wasze życie, mówił, ślizgając się na szyszkach i igliwiu, trochę znam, tak. Jestem pewien, że wśród twoich znajomych są dziesiątki kobiet i dziewczyn, które chciałyby znaleźć się na twoim miejscu. Na ogół tutaj marzą tylko o tym, żeby się wyrwać na Zachód, wszystkie te agencje matrymonialne, profesjonalni stręczyciele, modelki na eksport, prostytutka i tak dalej. Dobrze, ty jesteś inna — wciąż jeszcze wierzę, że jesteś inna — tylko że nie wiem, jaka

jesteś naprawdę. I czego chcesz, też nie wiem. Przecież podałaś mi rękę, chwycił się ostatniego, co mu pozostało. Ręka, ręka, podana przez nią ręka — dalej kończyły mu się argumenty. Trzymał tę rękę ze wszystkich sił, a potem się zmęczył.

Bo dalej zaczynał się już totalny zamęt w głowie: głucho zmagania, niekontrolowana swawola wymęczonego niezmiernie długim oczekiwaniem erosa, próba zbliżenia, która przeszła w brutalność, pierwszy w życiu policzek, trzask szlabanu, wściekły upadek gdzieś w diabły dwóch przerażająco wrogich ciał.

Umówmy się: to byłem nie ja i ty też nie byłaś sobą, powiedział do Romy na pożegnanie Zumbrunnen, w końcu uwalniając ją razem z ręką.

To pożegnanie nastąpiło niedługo przed tym, jak Karl-Joseph doszedł do całodobowej knajpy na trzynastym kilometrze — miejsca, które zdążył już odwiedzić jednego z poprzednich dni, gdy zwiedzał okolicę w poszukiwaniu przyszłych tematów. Zapamiętał wtedy wszystko, co było potrzebne: aluminiowo-plastikowy pawilon na podeście (nie wiedział, że zgodnie z tutejszą tradycją takie budowle przyjęło się nazywać *budami* albo — wytworniej — *akwarium*), wylane z cementu i do cna pokruszone schody, przed drzwiami tak samo cementowy taras, na który w lecie najwyraźniej wynosi się stoliki — no i tak dalej, aż do porzuconych tu i ówdzie na otaczającym terenie koksowników, grzybków-altanek, śladów po ogniskach, przepełnionych kontenerów na śmieci. Nic nadzwyczajnego, podsumował wtedy Karl-

-Joseph, który podczas wcześniejszych wędrówek po Karpatach Wschodnich trafiał na dziesiątki miejsc tego rodzaju. *Ci ludzie — pisał kiedyś w którymś z listów — szczególnie lubią urządzać pijatyki na zielonej trawce, jednak jest to zupełnie co innego niż to, co w naszym świecie określa się mianem pikników. Góry i lasy, które ostatnio obszedłem, są niewiarygodnie zaśmiecone śladami takich ponad miarę rozrywkowych imprez: potłuczone szkło, puste puszki, papier i różne stare szmaty nie dają szans na normalne przeżywanie otaczającego piękna. W tragikomiczny sposób niemal wszędzie towarzyszą temu tablice propagandowe, które w wierszowanej formie (!) nawiązują do ochrony narodowych bogactw. Z drugiej jednak strony, trudno tu winić samych ludzi — system od małego przyzwyczaił ich, że wszystko wolno. A propos, oto on, bardzo charakterystyczny paradoks: niewolnikom wszystko wolno!... Tak więc dla przyszłych pokoleń przełamanie tej inercji to kwestia honoru.*

Tak pisał pewnego razu, nie domyślając się nawet, że przyszłe pokolenia już przystąpiły do przełamywania wspomnianej przezeń inercji, bez czekania na rekomendacje mądralińskich przybłędów. Na przykład ta właśnie mordownia, zbudowana jeszcze w czasach, gdy na sąsiedniej połoninie rządził zawzięty promotor sportów narciarskich Malafej, ona na przykład, początkowo planowana jako *smażalnia pstrągów dla robotników leśnych i gości tej krainy* (położenie nad Potokiem w zasadzie mogło być dla takiej idei korzystne, co sygnalizowała pierwotna nazwa: „Srebrzyste wodo-

graje”, ale wszystko to doprowadziło tylko do kilku jej bankructw i wielu lat stania pustką) — otóż ta knajpka nareszcie doczekała się *prawdziwych gospodarzy*. Jakaś bardzo rozgałęziona rodzina, jak to się mówi, wydzierżawiła to miejsce od właściciela, przedsiębiorcy Warcabycza I. I., i zorganizowała całodobowy interes. Rzecz jasna, o żadnych pstrągach nie było już mowy — zarówno *robotnicy leśni*, jak i kochający przyrodę ojczystą *goście tej krainy* i bez pstrągów wybierali tę pułapkę, w której słodko i niepostrzeżenie przepijało się całą posiadaną gotówkę.

I do tych właśnie drzwi gdzieś między jedenastą a dwunastą w nocy przywędrował kolejny gość tej krainy.

Trochę chwiejnym krokiem przemieszczał się między aluminiowymi stolikami i stołkami w podświetlanym przez *lustrzaną kulę* półmroku, pamiętając, że ktoś ma u niego pół litra, które musi tu koniecznie kupić. Wewnątrz bawiło się jakieś młode towarzystwo (tak, dresy, skóry i *mówiłaś do mnie mój zajączku z taśmy*), kilka razy szturchnęli go łokciami, gdy przedzierał się między tańczącymi w stronę baru (niech to diabli, taka zabawa z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek! — mógłby pomyśleć i zdziwić się ktoś inny), ale Karl-Joseph dawno już niczemu się nie dziwił, tak samo jak i temu, że przyciśnięty przez wewnętrzne, duszące fale do baru, ciągle nie może zwrócić na siebie uwagi szefowej, która ze swej strony zajęta była kokietowaniem kogoś znacznie bardziej bliskiego

i znajomego, a dokładniej jakichś dwóch typów, którym dziesiąty raz odmawiała *dawania na piękne oczy*. Karl-Joseph nie widział w tym żadnego sensu, żaden z nich pięknych oczu nie miał, ale dzięki tej zwłoce zdołał sformułować w myślach swoje zamówienie (nie wiedział zresztą, jak będzie poprawnie — *butelka* czy *flaszka*, słyszał wcześniej i to, i to); tak więc, po jakichś pięciu minutach, usiłując przekrzyczeć cały harmider włącznie z muzyką („*ptaszyno ma, z tęsknoty drżę*”), wyciął falsetem swoje „ja phoszę panią... futka dla mnie!” — usłyszano go za trzecim razem, szefowa, kapiąca od makijażu *kubita* w nieokreślonym wieku, odwróciła się wreszcie do niego twarzą, a nie nisko umiejscowionym tyłkiem, i odpowiedziała coś w rodzaju „proszę usiąść, ktoś podejdzie”. Karl-Joseph jeszcze przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze usłyszał („ktoś podejdzie”?), ale jedyna sensowna wersja kazała mu wreszcie odsunąć się i klapnąć za pierwszy wolny stolik. Długo patrzył stamtąd na tańczących, nikomu niepotrzebny, samotny w obcym świecie przybysz, ale najbardziej rozpaczliwa z jego modlitw została w końcu wysłuchana — i podszedł do niego chłopak w bejsbolówce, pewnie syn szefowej, chociaż w sumie dla czego od razu syn, po prostu ktoś z tak samo nisko, jak u niej, zawieszonym tyłkiem. „Słucham, dobry wieczór” — nieuprzejmie powiedział chłopak, a usłyszawszy od Karla-Josepha „futka... eine flaszk phoszę”, odszedł w milczeniu.

Karl-Joseph pomyślał, że nikt z nich nie ma podstaw, by tak wrogo się do niego odnosić. Ale zaraz po-

tem przypomniał sobie pęknięte szkiełko — może to dlatego? Na wszelki wypadek zdjął okulary, i w efekcie jego wzrok rozplynął się w plamach i rozbłyskach — to było okropne, nie mniej niż przedtem, siedzieć w tej migoczącej dziurze, w tym gąszczu przypalonych zapachów, słuchać, jak obok niezgrabny chór wtóruje magnetofonowi: „*a ja znalazłem inną*”, i nic nie widzieć! Minęło jeszcze wiele minut, zanim pojawiła się nad nim głowa, cała w zielonych i czerwonych rozbłyskach, tym razem należąca do dziewczyny, ale o dobrotliwym głosie („pan zamawiał?”), po założeniu okularów okazało się, że ma tak samo dobre oczy — i dziewczyna postawiła przed Karlem-Josephem szklankę wódki. „Nie — powiedział — nie stakan, nie szklanka! Bahdzo phosze... flaszka. Jedna...”. Dziewczyna zapytała o coś w rodzaju „na wynos”, ale Karl-Joseph nie zrozumiał pytania („nowy nos? co za nos?”), więc tylko pokazał gestem, żeby nie zabierała szklanki, i podziękował. „Może szaszłyk?” — spytała jeszcze z cieniem współczucia, ale znowu tylko podziękował. Dobra dziewczyna, jak się zdaje, wzruszyła ramionami i odeszła.

Wlał w siebie kilka paskudnych łyków i pomyślał, że zawsze zdąży dostać to przekłete przegrane pół litra. Musi tylko przywyknąć do wszystkiego, co tu się dzieje, i wyartykułować jak należy swoje zamówienie. Tym bardziej, że pierwsze łyki błyskawicznie zaczęły pracować na *starych drożdżach* i Karl-Joseph od razu poczuł, że mu odpuściło, w jakichś tam centrach wydano rozkaz zdjęcia z posterunku nazbyt czujnych wartowników, przestał dygotać i razem z ciepłem

wchłonął ten hałas, tupot, tę muzykę. Odpuściło mu tak bardzo, że już przestał nawet czuć na sobie dwa spojrzenia zza któregoś dalszego stolika (czy to nie te same typki, z którymi banalnie świergotała przy barze szefowa, kiedy przyszedł?). Ale odpuściło mu — nic więc o tych spojrzeniach nie wiedział.

Po dziesięciu minutach dojrzał do tego, by znowu podejść do baru i zamówić kolejną szklankę. Teraz gospodarzył tam szef, najwyraźniej ojciec tamtej dziewczyny z dobrymi oczami i głosem, bo tak samo jak ona spytał, podając wódkę, czy Karl-Joseph nie chciałby szaszłyka. Zapytany, potrząsnął głową (te wielkie kawały zwęglonego z wierzchu, surowego mięsa z cebulą w żadnym razie nie przeszłyby mu przez gardło), ale żeby nie obrażać gospodarza, wydusił z siebie coś w rodzaju „jeden pomahancz phosze”. Gospodarz jego zamówienia nie zrozumiał („ha, a *ona* mnie przekonywała, że *Apfelsine* to po ichniemu pomarańcza, a nie żaden apelsyn!”) i po chwili wahania dał mu snikersa.

Wracając na miejsce ze szklanką i idiotycznym snikersem w rękach, Karl-Joseph sam się sobie dziwił, jak płynnie i zgrabnie się porusza, zdołał złapać rytm i okazało się to prawdziwym tangiem białej myszy, nawet sami tańczący podziwiali jego ekspresję. Ten sukces należało wykorzystać, więc po osuszeniu połowy szklanki trzema zachłannymi łykami, Karl-Joseph podniósł się zza stolika i krzyknął: „*Achtung, Achtung!*”. Obecni nie przestali tańczyć swojego *tańca białych myszek*, ale wszyscy razem spojrzeli

na niego — i *kolesie*, i *laski*, i dobroooki szef przy barze, i jego łagodna córka w kuchni, i oczywiście tych dwóch niepięknoookich — wszyscy patrzyli na niego i widzieli, jak rzuca się głową naprzód i staje na rękach...

Otchłań zawirowała i pociągnęła go na siebie, ze-
wszad spadały stołki, potem nie było nic, jakieś ręce
prowadziły go przez czerwone i zielone rozbły-
ski, a kiedy znów zaczął widzieć, to wisiało nad nim
mnóstwo głowiastych plam, ale czemuś nie było mu-
zyki, siedział przy swoim stoliku, a oni coś między
sobą szwargotali („urznął się w trzy dupy” — co to
znaczy „urznął się w trzy dupy”?), a córka szefa włoży-
ła mu na nos okulary. Karla-Josepha ogarnął śmiech,
ogromnie spodobali mu się wszyscy ci ludzie, i jak
o niego zadbali, zapragnął ich jakoś podnieść na du-
chu, więc klasnął w dłonie i z okrzykiem „*Go dance!*”
odpędził od siebie.

Rzeczywiście od niego odeszli i niby na jego życze-
nie puścili muzykę, więc kolejny już raz został sam,
rozmiękczyła go dziwnie przyjemna senność, z głębin
której nadal obserwował coraz to nowe tańce i to, jak
zuchowato piją i całują się, piją i całują się, piją i ca-
łują się — i trwało to jeszcze długo, długo, aż cisnął
w kogoś z nich snikersem, ale udali, że niczego nie
zauważyli. Dopiero wtedy łysy wodzirej w skórzanej
kurtce zapowiedział ostatni taniec dla jubilatki (*was,*
eigentlich, soll das bedeuten, diese jubilatka?), po czym
rozległa się straszliwie rozczulająca piosenka *Dieñ*
rażdienija prazdnik dietstwa. Wirowali w jej takt nie-

samowicie długo — Karl-Joseph zdążył dziesiątki razy zasnąć i znów się obudzić, a oni wciąż wirowali i znów puszczali ją od samego początku, i wszyscy śpiewali coś jakby „nikuda, nikuda, nikuda ot niewo nie diet-sa”, najbardziej podobało mu się to ich „nikuda, nikuda, nikuda”, ale tu dziewczyna w środku koła wpadła w histerię, cisnęła szklanką o podłogę, skórzany wodziej bezlitośnie wymierzał jej policzki („urznąła się w trzy dupy, urznąła się w trzy dupy”, znów szwargotali, dzięki czemu Karl-Joseph zrozumiał, że to jakiś rodzaj zaklinania nieszczęść — „urznął się w trzy dupy — urznąła się w trzy dupy”).

Następnym razem otworzył oczy, gdy towarzystwo już hałaśliwie opuszczało knajpę, ktoś jeszcze dopijał, ktoś docałowował, *jubilatkę* prowadzili do drzwi pod ręce, Karl-Joseph zdążył zobaczyć bure zacieki od wymiotów na jej białej bluzie, na dworze jeszcze jakiś czas pokrzykiwali, ktoś wracał, dopłacał coś gospodarzowi, potem długo zapalały wszelkie dżipy i niwy, a następnie Karl-Joseph złożył zmęczoną głowę na stół.

Jednak zanim to zrobił, poczłapał wzdłuż baru, czując na sobie oskarżycielskie przeważnie i szydercze spojrzenia wszystkich czworga członków rodziny właścicieli (było wprawdzie wśród nich jedno współczujące i litościwe) — tak więc, powłókł się gdzieś w piekielne kręgi zaplecza, w jakiś korytarz, gdzie powinna być toaleta. Jak mógł, raptownie chwycił się ścian, które schodziły się i rozchodziły, sufit z samotną słabiutką żarówką spadał w dół, podłoga stawiała dęba i najeżdżała na niego, kopnął drzwi z wyrwanym, zwi-

sającym smętnie zamkiem i wszedł do środka, gdzie nie znalazł żadnego sedesu, a tylko obmurowaną cementem dziurę z dwoma tak samo wycementowanymi *śladami* w kształcie stóp rozmiar czterdzieści trzy; ale nie to było najważniejsze — Karl-Joseph zobaczył przede wszystkim goły tyłek, opuszczone poniżej kolan spodnie od dresu, rytmiczne ruchy ud, dalej było pochylone w przód kobiece ciało, odpowiadające na ruchy w tym samym rytmie, z rękami spazmatycznie zaciśniętymi na żeberkach kaloryfera. „Kto to?” — wyjęczała kobieta, obracając głowę. „Czekaj, czekaj” — odpowiedziało z niecierpliwym dyszeniem męskie ciało, i póki Karl-Joseph wylewał z siebie do ocementowanej dziury coś niezwykle ciemnego (sprawiało mu przyjemność trzymanie w rękach swojego, tak ciężkiego, tak dużego, tak pełnego teraz członka), nie przestawali szamotać się, wyrzucając z siebie całą swoją zwierzęcość. Ale gdy tylko Karl-Joseph skończył, męski tyłek ostatni raz wyprężył się, i w końcu znieruchomiał. „No i tak” — powiedział właściciel tyłka, podciągając spodnie. „Teraz ty” — kiwnął głową do Karla-Josepha, trzepnął go po ramieniu i wyszedł na korytarz.

Dziewczyna wstała z kolan, odwróciła się do Karla-Josepha wyłazącymi spod rozchełstanej bluzki piersiami i przysiadła na kaloryferze. „Chcesz?” — spytała go bez jakiejkolwiek intonacji. Przysunął się do niej, choć skąd mógłby wiedzieć, że to już ostatni taki podarunek, ale z całkowicie zachłanną rozpaczą rzucił się dotykać jej wargami i rękami, zapadając się językiem

w wódczanej dziurze ust, jakby rzeczywiście wszystko to działało się dlań po raz ostatni. Dziewczyna zadygotała w jego rękach i rozłożyła nogi, wciskając go w siebie. Zaczął zsuwać się w dół, nagle dotarło do niego, jak bardzo jest, szczerze mówiąc, zmęczony, razem ze swoim ogromnym i nikomu niepotrzebnym członkiem, ona chyba tak właśnie to zrozumiała, bo poluzowała węzeł — rozwarła zamek nóg za jego plecami i znów je złączyła, głaszcząc go po biednej głowie, dokładnie tak, jak czasem robiła to Roma w innych czasach i okolicznościach. Wtedy to wtulił głowę w jej kolana i tak zamarł w zapomnieniu. Dziewczyna niezauważalnie wysunęła się i zniknęła.

I w tej chwili czyjaś ręka zaczęła coraz bardziej natarczywie tarmosić go za kark. Karl-Joseph, nie podnosząc głowy, strącał ją z siebie (i w taki sposób okazywał Romie, że nie potrzebuje już jej spóźnionej czułości), ale Roma nie rezygnowała, jej dłoń była duża i twarda, pokryta okropnie zniszczoną, szorstką skórą, a palce grube i krótkie, więc błyskawicznie pokonując ponad połowę dystansu między snem a jawą, Karl-Joseph zrozumiał, że to nie żadna Roma, bo jej dłoń nie może być aż tak po męsku silna i zaniedbana, no i gdzie te wszystkie kremy, które jej podarował, gdzie ich cudowne działanie?! Dopiero wtedy oderwał nareszcie głowę od lepkiej i zimnej aluminiowej powierzchni.

Przy jego stoliku siedziało dwóch łysych typków — tych samych, oczywiście. Byli mniej więcej w jednym wieku, to znaczy gdzieś między trzydziestką a czter-

dziesiątką, choć w tym kraju, jak już kiedyś zauważył Karl-Joseph, dość łatwo się pomylić, oceniając wiek człowieka po jego wyglądzie. Tak więc, wygląd obaj mieli taki sobie. I co najważniejsze, po co te skórzane czapki na głowach?

Karl-Joseph wyraźnie zobaczył to wszystko (i skórzane czapki, i kompletnie zapuchnięte pyski, i w ogóle *wygląd*), gdy tylko założył swoje, teraz już dwakroć pęknięte, okulary. Tego okazało się dosyć, by jeden z nich, ze zgniłym przednim zębem, powiedział: „Słyszysz, frajer, weź po sto!”. Karl-Joseph milczał i patrzył na obydwu przez pokreślone pęknięciami szkło. Nie podobali mu się.

Jego milczenie, można sądzić, im też się nie spodobало, bo drugi, z wytatuowanymi na palcach głupotami, powiedział trochę ostrzej niż pierwszy: „Ty co, jełopie? Weź nam z Afganem po sto, poniał?”. W rzeczywistości Karl-Joseph niczego *nie poniał*. Jedyne, co mógł zrobić, to znowu zamówić wódkę. Potoczył wzrokiem po knajpie — o tej porze już zupełnie opustoszałej i cichej. Ktoś co prawda drzemał za barem — pewnie szef.

„Wy chcecie... pić futka?” — spytał Karl-Joseph. Łysi spojrzeli po sobie. Póki trawili nową informację, Karl-Joseph krzyknął w stronę baru swoje „futka phosze... tszy hazy!”. Łysi znowu spojrzeli po sobie i ten z wytatuowanymi palcami postanowił sprawę wyjaśnić: „Ty co, Dżon Wenczer?”. Karl-Joseph rozumiał, że chodzi mu o jakąś firmę, to jasne, że z kimś go pomyłono. Przecież Karl-Joseph ani jednego dnia

w życiu nie przepracował dla żadnej firmy, z czego był nawet dumny. Dlatego tylko przecząco pokręcił głową. „A jakiego chuja tak mówisz?” — zapytał ten z wytatuowanymi palcami. „Z akcentem” — sprecyzował zgniłoząb. Karlowi-Josephowi wydało się, że zaczyna rozumieć. „Ja jestem cudzoziemiec — wyjaśnił, cudem przypominając sobie, że w ich języku to się nazywa *cudzoziemiec*. — Ja jestem Austhyjak”.

Podszedł tamten wilkowaty chłopak w bejsbolówce i postawił na stole trzy szklanki wódki. „I szaszłyk! — zażądały wytatuowane palce. — Jeden dla mnie, jeden dla Afgana”. „Kto płaci?” — nie popuszczał ten w bejsbolówce. „Filu, ja szaszłyka nie chcę, mnie mięso w ogóle nie kręci, wiesz przecież!” — powiedział zgniłoząb. „On płaci” — wytatuowanym palcem pokazał na Karla-Josepha Filu. I sprawdził: „Dobrze mówię, facet?”.

Karl-Joseph przytaknął. Nie chciało mu się wszczynać kłótni z tymi dwoma. Gołym okiem było widać, że to straszni nieszczęśnicy, może nawet jacyś bezdomni, i oczywiście głodni. Dlaczego nie miałby kupić im jakiegoś jedzenia? I zaczął przypominać sobie, jakie nazwy noszą różne tutejsze potrawy, żeby spróbować coś dla nich zamówić, ale niczego oprócz *Banusch ist eine typisch huzulische Speise* przypomnieć sobie nie mógł. A ten w bejsbolówce i tak już odszedł, więc wzięli się po prostu każdy za swoją szklankę. Karl-Joseph wyciągnął ją na spotkanie dwóch pozostałych, zabrzęczało szkło, Afgan skrzywił wargi, siłąc się na uśmiech, Filu nawet się nie siłił.

Karl-Joseph, jak zawsze, wypił tylko dwa czy trzy łyki. Jego nowi znajomi opróżnili swoje szklanki do dna i równocześnie sięgnęli do wymiętej paczki papierosów. „Watha! — rozpoznał Karl-Joseph. — Ja mam... w mój dom... paczka watha!”. „Chcesz zapalić?” — nie zrozumiał go Afgan i podał paczkę, rozsypując przy tym po stole ciemne drobiny tytoniu. „Nie” — powiedział Karl-Joseph, ale od razu pomyslał: *why not?*, i poprawił się: — „Dawaj jedna... sztuka”. Znowu mu popuszczało, świat wyraźnie się ocieplał, nawet Filu wydobył z siebie cień uśmiechu i zakomenderował w stronę baru: „I co tak cicho siedzimy, a? Muzyka się skończyła czy grajko zdechł?!”. Nisko zawieszona, zła kobiecina z tamtej strony baru głośno westchnęła i ze słowami: „A daj ci Panie Boże zdrowie!”, podreptała do magnetofonu, skąd natychmiast znowu rozwrzeszczało się wszelkie gównó.

Karl-Joseph wciągał gęsty, niesmaczny dym z wilgotnego papierosa, przesiąkniętego kieszenią Afgana. Wyobraził sobie, jak szare smugi dymu przenikają do wnętrza jego ciała, wypełniają klatkę piersiową, otaczają płuca i serce, niezwłocznie rozsiewając na nich mnóstwo chorobliwych narośli, takich śmiertelnych pęcherzyków. Te wizje rozbawiły go, ale nie dał nic po sobie poznać, bo pamiętał, że tych dwóch cały czas przygląda mu się zza zasłony dymnej. „W ogóle, jak się nazywasz?” — spytał Filu. A może Afgan — Karl-Joseph niespecjalnie zauważył który. „Czahli” — odpowiedział w gęstwinie dymu. „Charlie Chaplin, czy jak?” — rzucił Filu, a Afgan zarechotał,

co pozwoliło również Karlowi-Josephowi po przyjacielsku pośmiać się z nim razem z wizji małych rakowych pęcherzyków na swoich płucach. „Nie chciałaś mnie żywego, naści martwego” — pocieszał się złośliwie, mówiąc do Romy.

Tymczasem dobrooka dziewczyna przyniosła Filowi jego szaszłyk. Wydawało się, że polane keczupem kawałki tłustego mięsa wciąż jeszcze ruszały się na talerzu. „Czszy futka... *nochmals bitte*” — zamówił domyślny Karl-Joseph. Lubił zamawiać u tej dziewczyny. „Słyszysz, Charlie — wtrącił Filu — weź od razu butelkę i normalnie... Akurat na trzech... Po co się bawić jak dzieci, dwie setki, trzy setki!...”. Karl-Joseph z tego wszystkiego wyłowił tylko słowo butelka, ale to zupełnie wystarczyło, więc z cieniem winy patrząc z dołu na dziewczynę, poprawił się: „*Eine Flasche bitte...*”.

„A kto zapłaci?” — megierowato krzyknęła zza baru zła kobiecina, która jak się okazało, od dawna ich podsłuchiwała. „Słyszysz — uspokajająco powiedział Afgan — daj jej coś, to się odpierdoli”. Karl-Joseph i tym razem wspaniale złapał kontekst. Stąd też na stole pojawił się jego portfel z wytłoczonym na skórze dziwacznym słowem *GSCHNA-A-ASS!!!* (czy to nie prezent od Ewy-Marii na Boże Narodzenie ‘90?) i spośród wielu innych banknotów jego właściciel wydostał na światło dzienne zieloną dwudziestkę. „Mamo, dwadzieścia baksów!” — krzyknęła dobra dziewczyna w stronę baru, na co zła kobiecina fuknęła swoje „lej”. Karl-Joseph, w myślach śmiejąc się z własnej ostrożności, schował portfel z powrotem do kieszeni. Ale

Afgan i Filu i tak byli bardzo zadowoleni ze wszystkiego, co zobaczyli.

Jakieś pół godziny później (ale kto by czas liczył?) wszystko znowu popłynęło, zawirowało, zamigotało — głowy w skórzanych kaszkietach, nieogolone podbródki, grdyki, szczęki, stół, poplamiony ciemną *gorzechową orzałą*, brzęk nie wiadomo który raz uderzających o siebie szklanek, nieprzeżute okrawki szaszłyka na talerzu, przemieszane z kupkami popiołu i czterema zduszonymi petami, ostatnie trzy pielmenie w zgęstniałym zimnym tłuszczu na kolejnym talerzu, skórki od chleba, okruchy, rozrzucone wszędzie austriackie monety, butelki — puste i na wpół pełne; smugi gorzkiego dymu nie nadążały już się rozwiewać i owijały ich stół coraz szczelniejszą, prawie nieruchomą masą, wielkim murem, przez który nawet tej idiotycznej muzyce trudno się było przebić — Karl-Joseph wyłapywał w niej tylko trzy akordy, być może dlatego, że z obu stron spadały na niego, mieszając się i straszliwie między sobą kłócąc, jakieś bezsensowne historie jego towarzyszy: każdy z nich usiłował wydać się ciekawszym od drugiego, przebić do obojga uszu tego Australijczyka, bo jedno to za mało, i wychodziła z tego jakaś całkiem już niemożliwa mieszanina, prawdziwy *groch z kapustą* — „Ja w afganie kurwa był dowódca w ryj w dniopietrowskim kryminale komu w styję komu w szamot dowódca mówi gdzie synkowie na miny ja żem z marszu przeładował jednego kabla przecwelili

w leninowskiej kurwa izbie tak czy tak cię przełożą be-
wupe cały w ogniu dupa blada” — Karl-Joseph chciał
podnieść ręce w górę i krzyknąć swoje *achtung*, żeby
na moment ucichli i wysłuchali jego własnej historii,
o czym, nie wiedział, więc w spowolnionym rytmie
przebiegał w myślach najważniejsze przygody swe-
go życia, ale nic z tego nie wychodziło, i siedział tak
z opuszczonymi rękami i pochyloną głową, niezdol-
ny do powstrzymania tego coraz mniej zrozumiałe-
go strumienia: „wszystkim opierdol żarcie w bardachę
zona wyła młode kurwa kity wszystko w ogniu co
twój kandahar najwyższe naczałstwo za nim dyżur-
ny tam kurwa dwa wagony czaju to dla wszystkich
mało sam strzelałem po tarczach a on dziesiona szpi-
lę trzyma normalnie pieprzysz dawaj tu za dwa wa-
gony czaju kurwa jasne ogień no i został w sanitarce
gruzin patrzy trzeci stopień oparzenia i na kibel pedał
dureń za trzy szlugi sam się dziargnął i kaplica” — to
były zwykłe męskie historie, każdy chciał dokrzyczyć
się z nimi do tego przybysza, opowiedzieć mu całą
prawdę, ale wychodziły z tego tylko szczątki, same
wykrzykniki, wyrażenia modalne — „tip-top-sru-raz-
-tango-orient-siema-kurka-ziomal-bewupe-cekaem-
-paka-zupak-erkaem-twoja-mać”, obydwaj zamilkli
niemal równocześnie i Afgan z jakiegoś powodu prze-
zegnął się, a Filu złapał za głowę.

Wtedy magnetofon znowu zaśpiewał, jakieś bab-
skie głosiki wciąż powtarzały „*powiedz czego ty chcesz,
czego ty chcesz*”, Karl-Joseph w myślach zdecydow-
wał, że to imię dziewczyny w rosyjskim sarafanie,

która teraz tańczyła na środku knajpy, powiewając na wszystkie strony grubym warkoczem i wymachując nieosiągalnymi nogami, jakaś taka Czegotychce, wielka baba z dalekich stepów, Karl-Joseph wabił ją do siebie gestami, ale udawała, że tego nie dostrzega, przymykała oczy w ekstazie, aż się tym znudził, i wszystko się skończyło, a Czegotychce, nisko się w pas pokłoniwszy, odeszła za kulisy, oklaskiwana przez całą salę.

„Ja kupuję... flaszkę... butelkę dla siebie — oznajmił Karl-Joseph — orzechofa futka... jeden”. W końcu udało mu się niczego nie pomylić w tym podstępny zestawieniu słów. Ale nie udało mu się podnieść ze stołka i wydobył portfel na stół. „Kupuj. Mnie” — powiedział do któregoś z nich. Afgan podszedł do baru, nużąc i marudnie targował się o coś z zaspanym szefem, wysypywał zawartość portfela na bar, przebierał w banknotach — dolary, marki, hrywny, wszystko się pomieszało — prezydenci, hetmani, działacze kultury, kursy rynkowe, marże, coś obaj podliczali, ciągle myląc się i cicho sprzecząc. Wreszcie Afgan wrócił z zakorkowaną butelką, Filu wyjął mu ją z rąk i schował sobie do wewnętrznej kieszeni na piersiach. „Mnie” — chytrze uśmiechnął się Karl-Joseph. „A nam?” — spytał Filu. „Wam kupowałem. Już” — przypomniał Karl-Joseph. Miał naprawdę ochotę wracać i dojść do tego pensjonatu, i tam wypić to pół litra na dwóch z jej mężem, i opowiedzieć mu, jak ją kochał, a potem zasnąć nareszcie w swoim pokoju, ale na tyle mocno, by obudzić się za kilkadziesiąt lat.

„A nam?” — powtórzył Filu. Karlowi-Josephowi od samego początku ten Filu mniej się podobał. Dlatego swój portfel z wytłoczonym *GSCHNA-A-ASS!!!* dał nie jemu, tylko Afganowi: „Wam”. „Cała forsa?” — w pierwszej chwili nie zrozumiał obdarowany. „Ja ci daję” — twardo wyjaśnił Karl-Joseph. Afgan rozdziawił gębę i zamarł w niezdecydowaniu, ale Filu był bardziej przytomny: „Dają, bierz. Czego się gapisz jak sroka w gnat?”. Afgan zabrał portfel. Karl-Joseph wyciągnął rękę w stronę Fila. Chciał dostać swoje przegrane pół litra. „Poniosę ci — uspokoił go Filu. — Jeszcze stłuczysz”. Karl-Joseph pomyślał, że może to i racja. Zresztą, czemu nie miałby przyprowadzić tych dwóch do pensjonatu? Przynajmniej będzie z kim posiedzieć, nawet jeśli tam już wszyscy śpią.

„Daleko masz?” — spytał Filu. „Na Dzyndzu!” — Karl-Joseph kiwnął głową tak gwałtownie, że mało mu okulary nie spadły. Obydwaj zagwizdali. „Morze gówna” — powiedział Afgan. „Pijanemu to i morze po kolana” — zaprzeczył Filu. Karl-Joseph zdziwił się, że nawet oni wiedzą o morzu, które było tutaj miliony lat temu. „Tak, mosze” — potwierdził Karl-Joseph i zebrał wszystkie siły, by wstać. Pomyślał o wc i zaczął mętnym spojrzeniem szukać tego samego korytarza. Ale Filu przejrzał jego myśli i wstając tak samo trochę niepewnie, wycedził: „Na dworze się wyszczasz. Pora iść”. „*Why not?*” — uległ Karl-Joseph i chwiejnie ruszył do wyjścia. Stojąc w drzwiach, obejrzał się na bar. Miał wrażenie, że szef jest strasznie spięty. Dlaczego oni tak rzadko się uśmiechają? Karl-Joseph poma-

chał na pożegnanie (szef nawet nie drgnął) — i wstał w noc.

Szli jeden za drugim drogą nad Potokiem: Afgan z przodu, kilka kroków dalej Karl-Joseph, z tyłu kroczył, pogwizdując coś podobnego do „czegotychce”, Filu. Ściągało go gdzieś w bok, często się zatrzymywał, zostawał z tyłu, rozglądał się w księżycowej pustce i myślał, jak by tu przerobić tego jelenia z *Australii*, żeby jednak nie oddawać mu pół litra.

Karl-Joseph już po drodze zdecydował, że nie zostanie tu do niedzieli. Wejść na górę, wypić wszystko do dna, spakować *Klamotten* — i na zawsze. Ale tu pomyślał o zdjęciach, no tak, pozostawił sobie prawo zachowania jej maleńkiej fotografii, to było banalne zdjęcie paszportowe, bo sam nigdy — ani razu — jej nie fotografował, nie wiedzieć czemu. Przedzierając się przez szum Potoku i szum we własnej głowie, Karl-Joseph krzyknął Afganowi w plecy: „Ty! Oddaj!”. Afgan odwrócił się i niczego nie zrozumiał. „Mój... — zmarszczył się Karl-Joseph w gorączkowym poszukiwaniu słowa. — Ja tobie dał!”. Podszedł do Afgana z wyciągniętą ręką. „Ty czego?” — ofuknął go Afgan. Karl-Joseph wreszcie przypomniał sobie słowo: „Kaszelok!”. To nie było możliwe — w takim strasznym hałasie, z bólem w piersi i głowie — sformułować długie i nieznośnie złożone zdanie o tym, że tam, w tym portfelu, zostało jej (czyje — jeszcze i to trzeba wyjaśnić?!) zdjęcie, on chce tylko zabrać zdjęcie, odda całą resztę, przecież podarował im te

pieniądze, nie o to mu chodzi, ale nie może im oddać tej fotografii.

Jego ręka sięgnęła do kieszeni Afgana, i wtedy dostał w twarz. Okulary potłukły się do reszty, ostry ból nosa sparaliżował wszystko, oprócz poczucia straszliwej niesprawiedliwości, tępego i dzikiego nieporozumienia, więc po omacku runął do przodu, chwycił rękami poły kurtki Afgana, ale nie ustał na nogach — Afgan najpierw uległ, a potem się wyślizgnął, otchłan znów ruszyła na jego spotkanie („urznął się w trzy dupy” — szepnął Karl-Joseph, odstraszaając nieszczęście, ale było już za późno) — z tyłu nadbiegał już Filu, i to jego ręka, obciążona ciemną butelką, na moment wzleciała w górę i jak kamień wylądowała na głupkowatej i zbolącej głowie przybysza, zanim jeszcze ten całym sobą zarył w nadbrzeżny żwir.

Nie było już ani rozbłysków, ani lepkiej orzechowej cieczy przemieszanej z krwią, ani odłamków szkła, ani przeciągłego krzyku któregoś z tych dwóch. Była tylko bezwolność, było zsuwanie się ciężkiego ciała w dół, po kamieniach, sękatych, śliskich gałęziach, po igliwiu, szyszkach, wapiennych grzebieniach — i wreszcie wody Potoku przyjęły w siebie wielką dunajską rybę z jej ostatnią tajną myślą, by nie powracać.

Nikt z nas do końca nie wie, czym jest życie. Ale najprzykrzejsze, że niczego nie wiemy również o śmierci, przeczytali przyjaciele w jednym z jego listów.

Wiele lat później Artur Pepa będzie wspominał ten dzień jako jeden z najdłuższych w życiu. Pomijając wszystko inne, rzeczywiście wyda mu się on straszliwie długi. Oczywiście zdarzy się to tylko wtedy, gdy Artur Pepa w ogóle dożyje. Ale jeśli jednak dożyje, z pewnością będzie go wspominał.

Bez wątpienia wśród jego wspomnień musi znaleźć się miejsce dla ciepłego, niemal gorącego wiatru, który prawie urywa głowę. I dalej — dla wszechogarniającej, gwałtownej odwilży, dźwięcznego spływania, kapania, dudnienia tysiąca pulsów, rozłazącej się pod stopami, brudnej śniegowej kaszy. I oczywiście będzie tam owo pomieszczenie, do którego został zaprowadzony: beznadziejnie zapuszczone, z zaciekami po topniejącym śniegu na ścianach, odpadającymi kawałkami szarego tynku, z porozstawianymi tu i ówdzie wiadrami i słojami, które od czasu do czasu wynoszono gdzieś na korytarz, a potem już opróżnione odnoszono na miejsce i ustawiano pod stróżkami wody, ciurkającymi z nabrzmiałego wilgocią, popękanego sufitu. W swoich wspomnieniach Artur Pepa będzie siedział na ta-

borecie, na środku tego pomieszczenia, i zdychał od palpitacji serca, do których dołączy tępy ból splotu słonecznego, potwierdzający, że uderzenie kolbą automatu wcale mu się nie przyśniło. Będą jeszcze dwa ślady po kajdankach, na nadgarstkach, najpierw białe i blade, później zaczną nabrzmiewać krwią i poczerwienieją, podstępnie zaczną pulsować we wspólnym z dudnieniem odwilży rytmie.

Ale nawet gdyby to wszystko się nie wydarzyło, Artur Pepa tak czy owak nie mógł wątpić, że wpadł w poważne tarapaty. Dość było zobaczyć krążenie najpierw jakiegoś jednego, potem dwóch, a czasem nawet trzech *przedstawicieli władzy* po cywilnemu, którzy chodzili wokół jego stołka, przybliżali się i oddalali, znikali i znów wracali na kolejne okrążenie — ale tak, że w pomieszczeniu zawsze zostawał przynajmniej jeden z nich, później okazało się, że to właśnie on jest tu Pierwszy i najważniejszy, ale na razie Artur Pepa jeszcze niczego podobnego nie dostrzegł, ze skupieniem nasłuchując rozkołysywania się własnego, dobrze znanego, sercowo-naczyniowego trzepotu. Nade wszystko miał ochotę wstać ze stołka i usiąść na podłodze — w razie kolejnego zapadnięcia w niebyt tak byłoby znacznie bezpieczniej. Oprócz tego pragnął zwyczajnie na tej mokrej deszczowej podłodze poleżeć na wznak — patrzyłby w sufit, łowił ustami ciurkającą brudną wodę i może za jakąś godzinę czy dwie trochę by mu odpuściło; ale o tym mógł co najwyżej pomarzyć — któż to widział, żeby przesłuchiwany leżał, a śledczy łagodnie pochy-

lali nad nim głowy, jak bracia miłosierdzia nad martwym bohaterem!

Artur Pepa doskonale rozumiał, że jest przesłuchiwany, wynikało to przede wszystkim z tego, że żądano od niego jak najwięcej odpowiedzi („nazwisko, imię, imię ojca?”, „miejsce zamieszkania?”, „miejsce pracy?” — od zawsze najbardziej przezeń znienawidzone pytanie, nie ma nic idiotyczniejszego niż mówić obcym ludziom: „Jestem poetą” — bo co to w ogóle za *praca* i gdzie jest jej *miejsce*?). Uciekł się do starej sztuczki, ot, takie niewinne wykręty, niezbyt istotne naciąganie faktów, *wszyscy zresztą jesteśmy pismakami*, tak więc, określił siebie mianem *dziennikarza*, co w nieunikniony sposób doprowadziło do nieznośnie powtarzającego się uściślania: „Jaki organ drukowany obywatel reprezentuje?”. Rozkładany od środka przez coraz szybszy, niszczący stukot, palnął coś mętnego o internecie i współpracy ze stacjami radiowymi, przypomniał sobie o statusie wolnego strzelca („wolny to jak, nieetatowy?”), no właśnie, sami znaleźli najlepsze słowo — *nieetatowy*, więc kiwał głową na to ich *nieetatowy*, ale nie dano mu ani chwili oddechu. To było tak samo niemożliwe, jak wymacanie plecami czegoś twardego — oparcia, ściany, powierzchni ziemi, cze-gokolwiek — nie, stołki nie miewają oparc! Tak samo ze śledczymi — nie dają ani chwili oddechu, zwłaszcza kiedy zaczyna ci brakować powietrza. To głowa, analizował Pepa, to tlen, który nie dociera tam, gdzie powinien, a oni oczywiście w tym właśnie momencie chcą wiedzieć, jakie to tematy i o czym, i ile te stacje

radiowe teraz płacą, i kto finansuje te programy, i tak dalej — i naturalnie mogą wszystko od razu sprawdzić — dlatego jeden z nich gdzieś znika, sprytnie prześlizgując się między dwoma strumyczkami wody z sufitu, ale to jest gdzieś tam, na samym końcu widzialnej dla Artura przestrzeni, bo na pierwszym planie tkwi ten, jak się potem okaże, Pierwszy, to znaczy jego straszliwie blisko nachylona głowa, cała w mikroskopijnych zacięciach po goleniu i — „cel przyjazdu, co obywatel tu robi?”.

„Karczma „Na Księżycu” — odpowiada ktoś inny z ciała Artura. — To taki pensjonat. Na Dzyndzule. Tam mnie zaproszono i tam mieszkam. Już kilka dni. Coś w rodzaju konferencji. — Ale w tym samym momencie do Artura dociera, że ten ktoś inny w jego ciele wystawił go swoimi odpowiedziami, dureń jeden, bo na pytanie „jaka konferencja, temat, o czym, charakter?” nic nie umie odpowiedzieć, i rzeczywiście, jak to się wszystko nazywało, co tam u licha było w tym zaproszeniu? Głowa Pierwszego przyjmuje do wiadomości jego niemoc („dziwna jakaś ta konferencja! sami nie wiecie, czym się tam zajmujecie!”); oczywiście na tym nie poprzestanie: „Kto jeszcze przebywa na Dzyndzule?”. Artur wylicza powoli, chociaż wciąż kogoś mu brakuje, czwarty raz zaczyna od początku, zachowując Romę na sam koniec, ale oni — i Najważniejszy, i Drugi (który właśnie wyskakuje zza pleców Artura) — jednogłośnie przyczepiają się do Austriaka: „Kto to taki, ten fotograf? Dawno go znacie?”, a potem, już całkiem zniecierpliwiona: „Czemu macie zabanda-

żowaną głowę?”. Artur (czy tamten, inny?) mówi coś o pojedynku na miecze — i brzmi to jak totalna, kompletna bzdura. „Na miecze? — słyszy Artur gdzieś od drzwi — Chcieliście zabić go mieczem?”. Ach, tak, to wrócił Trzeci — i nie tak po prostu, tylko z jakimś papierkiem — „Nie, to tylko żarty, może raczej wygłupy, ta walka na miecze” — Arturowi jakoś udaje się wycisnąć z siebie to całkowicie niezadowolające wyjaśnienie, na co Pierwszy, który wczytał się w świeżo przyniesiony papierek, zaprzecza: „Tacy poważni, powszechnie znani ludzie — i wygłupy? Przyjechali na konferencję i co, złapali za miecze?”. „To była pijacka idea” — ostatecznie zawala sprawę ten ktoś w Arturze. „Obywatel dużo pije? — łapie za słowo Pierwszy. — To wy swego czasu podpisaliście taki list?”.

Dlaczego list, co za list, nie rozumie Artur i odsuwa myśl o jednoznaczności objawów — ucisk w piersiach po lewej stronie, rozszalały galop mięśnia sercowego, narastający niepokój („Słyszysz, Ty, nie teraz, nie teraz, nie teraz, proszę!”), ach tak, list, list otwarty, dotyczący śmierci tego wszędobylskiego dziennikarza, chyba trudno im będzie tu i teraz wyjaśnić, jak należy, że istnieje, dajmy na to, taka *forma pokojowego reagowania na niepożądane tendencje społeczne*, fuj, co za ohydne sformułowanie — nie, nie to, po prostu przerażające było, na jakie igraszki ta Nicość sobie z nami pozwala i jak zabiera w noc najlepszych ludzi, rozwłócza ich wzdłuż torów, „Tak, podpisałem” — jasne, teraz już bliżej do śmierci niż do życia, byle tylko mdlejąc, się nie posikać! Bo przecież oni tylko na to cze-

kają — może im wystarczy w charakterze zemsty, żeby się przed nimi posikać?! Żeby osiągnąć taki cel, nie powstrzymają się przed niczym — więc dalej, szczekając jeden przez drugiego, Drugi i Trzeci atakują z obu stron: „A on, tak w ogóle, a on, ten fotograf, a on, żebyś pan wiedział, a on obiekty przemysłowe, jasne? I wojskowe też, jasne? Szpieg, jasne? Agent wywiadu — no!”.

Pierwszy spojrzał mu prosto w oczy (znów tak strasznie blisko, czym on się u licha goli?): „Słabo wam? Czemuście zbledli? Kac? Gdzie obywatel był przedwczoraj w nocy? Czemu obywatel stawiał opór przy zatrzymaniu?” — no i co mam wam powiedzieć, macie tyle pytań, a ja jestem jeden, gdyby tak było nas kilkuset — wszyscy, którzy podpisują listy otwarte! „Muszę się położyć — Artur (czy ktoś inny zamiast niego?) ledwie obraca językiem — dajcie mi kwadrans, to na ogół mija, zaraz przejdzie, odpowiem na wszystkie pytania, ale nie teraz, nie od razu. Potrzebuję powietrza”. Nie wiedział już nawet, czy wyartykułował choćby połowę z tego wszystkiego, czy tylko usiłował — wewnętrzne zakłócenia nie pozwalały usłyszeć własnych słów. Byle tylko w żadnym razie nie wspomnieć o tym sikaniu — na pewno to wykorzystają, i wtedy już naprawdę nigdzie nie puszczą.

„Możecie iść?” — spytał któryś z boku i z bardzo daleka. „Tak” — Artur oblizwał wargi i wstał ze stołka. „Może wziąć was pod rękę?” — inny głos, też z boku, ale z bliska. „Ja sam” — machnął ręką Artur i natychmiast zobaczył samego siebie, jak na dworze pada na wznak w ten błotnisty śnieg, gdzieś tam, pośród podwórza,

tyłem głowy w brudne, topniejące grzęzawisko, we wszystkie wiosenne strumyki świata, obok parkanu w kolorze *maskującym* i pustej budki wartowniczej, która cała trzeszczy, chwając się jak na szczudłach od dusząco potężnego wiatru — na tym wymarłym terytorium byłej miasteczkowej hauptwachy, dokąd przywlekli go kilka godzin temu. (W rzeczywistości nie minęła jeszcze nawet godzina, ale pamiętamy, że był to dla niego bardzo długi dzień). Tak, paść na ten śnieg i zasnąć, póki śnieg do reszty nie stopnieje.

Teraz włókł się korytarzem, tak samo odrapanym i wilgotnym, z takimi samymi zaciekami i rozlewiskami na ścianach, z tym samym smrodem grzyba; wzięli go w środek trójkąta, więc nadzieje na *krok w lewo, krok w prawo* od razu zostały pogrzebane — i tak nie daliby mu wymknąć się ani w prawo, ani w lewo. Choć były tam nawet jakieś drzwi — metalowe, z zakratowanymi okienkami, troje czy może czworo drzwi po obu stronach — wszystko to świadczyło o wieczystym dziedziczeniu, w tych celach niejednemu z naszych rozgnieciono jaja, bo przecież nie tylko hauptwacha, i co tam ta hauptwacha, i skąd by się wzięła tak po prostu w późniejszych rakietowych czasach — nie, tu pachniało jeszcze latami czterdziestymi, tu zabijano kulą w tył głowy, i mogło to być uznane za najwyższy przejaw miłosierdzia po wszystkich wcześniejszych sesjach z drutem kolczastym, rozżarzonymi gwoździami i pełnymi krwi butami. Oto krótki kurs historii *zaadaptowanych* pomieszczeń ziemi karpackiej, jeszcze jedna nieprzeżyta opowieść.

Artur Pepa, na ile był w stanie, celował w inne drzwi, wejściowe, za nimi już czuło się podwórze i wiatr, lecz tam tkwił jeden z gliniarzy, ten z *kałaszem*, a może inny, ale też z *kałaszem*, palił na progu i gdy tylko zobaczył całe cywilne kierownictwo razem z *podejrzanym*, wyrzucił niedopałek na wiatr, trzasnął drzwiami i służbiście zadzwonił kluczami („w lewo, w lewo” — przebił się do Arturowego ucha ktoś z tyłu i odepchnął go od drzwi wejściowych, kierując do innego korytarza). Dyżurny gliniarz poszedł przodem, nieporadnie i długo zgrzytał kluczem w jakichś kolejnych drzwiach, wreszcie zamek się poddał i niemal wepchnęli Artura do stosunkowo suchego pomieszczenia, gdzie na dwóch zsuniętych razem koślawych biurkach leżało przykryte do pasa resztkami starych worków ciało Karla-Josepha Zumbunnena. „Wiecie, kto to jest?” — zagrzemiał Pierwszy przez wszystkie swoje zacięcia. „Gillette, najlepsze dla mężczy-y-zny” — w innych okolicznościach przypomniałby Pepa (poniekąd pięciostopowym jambem) wszystkim tym zacięciom, ale tutaj zrobił tylko parę kroków do ściany, gdzie zwalono na podłogę całe stosy starych, pożółkłych gazet. Musiał pochylić się do przodu, żeby nie upaść. Stał tak, jedną ręką oparty o ścianę. „Wiecie, kto to jest?! — napadły na niego kolejne dwa głosy. — Słyszeliście pytanie? Czemu milczycie? Czemu bledniecie? Wiecie, kto to jest?!”.

Pepa wiedział tylko tyle, że o umarłych zazwyczaj mówi się jedno z dwojga: albo *całkiem inny człowiek*, albo *zupełnie jak żywy*. Ale teraz nie mógłby powie-

dzieć ani jednego, ani drugiego, i oczywiście to nie brak okularów na podłużnej — nadmiernie jednak podłużnej — twarzy był tego powodem.

„To on” — powiedział Artur Pepa. Jego ręka ześlizgnęła się w dół po ścianie, ale tych dwóch — Drugi i Trzeci — złapało go pod łokcie i odwróciło twarzą do zwłok Zumbrunnena.

„On, czyli kto? — nie odpuszczał Pierwszy. — Możecie określić go *pełnym zdaniem*? Znacie tego człowieka?”.

„Zumbrunnen — usłyszał Artur swój oddalony głos. — Dlaczego on jest martwy?”.

„Dlaczego on jest martwy?” — wszyscy trzej powtórzyli pytanie niemal równocześnie, ale każdy zaakcentował inne słowo: *dlaczego, on, martwy*. A wtedy, niczym z najgłębszej zasadzki, obydwaj, Drugi i Trzeci, w obydwójce Arturowych uszu ryknęli: „A wy nie wiecie dlaczego?”.

Zapasy powietrza w płucach i mózgu topniały coraz szybciej, wrażenie katastrofy spadało na głowę coraz bardziej ogłuszająco, mącąc synkopową recytację Pierwszego, z której Artur wyłapywał tylko pojedyncze impulsy: *anonimowy telefon — ciało na brzegu — wszelkie dane — obywatel obcego — liczne urazy — śmierć nastąpiła około — srebrna plakietka z imieniem — mieszkaniac miasta Wien — Wiedeń stolica Austrii — wskutek uderzenia ciężkim przedmiotem — nie można wykluczyć że — siedem do dwunastu godzin w wodzie — niewątpliwe zabójstwo — i jeszcze coś takiego, co znajdowało się między tymi*

słowami i najwyraźniej nadawało im znacznie pełniejszy sens i porządek.

I dopiero wtedy, gdy Pierwszy, gwałtownie zmieniając intonację, pchnął go palcem w pierś (*my was podejrzewamy, was my podejrzewamy, podejrzewamy was my!*), do Artura Pepy ostatecznie dotarło, że to właśnie ten jest tu Pierwszy, więc nie ma sensu kręcić otumanioną głową na wszystkie strony i opędzać przed tymi ich *przyznajcie się*, tylko koniecznie trzeba dobić się do tego Pierwszego ze swoim — jakże się to nazywa?! — *alibi, alibi, mam alibi, ja też mam jakieś pojęcie o powieściach kryminalnych, spałem tamtej nocy, moja żona była obok, w tym samym łóżku, ale gdzie ona teraz jest, słabo mi, otwórzcie okno, ona potwierdzi, gdzieście ją podziali*.

„Alibi? — Pierwszy strasznie się z tego słowa ucieszył. — Oczywiście, alibi! Tak to się właśnie nazywa! Tylko dlaczego szliście za nimi? Przecież poszliście za nimi tamtej nocy? To wasze alibi?”

Gdyby nie te uderzenia od środka, pomyślał Pepa. Gdyby nie ta odwilż, nie ta klimatyczna katastrofa, nie puls trzysta trzydzieści na minutę. Zrobił dwa kroki do tyłu — po tych żółkłych gazetach — i trafił plecami w ścianę. To na chwilę pomogło: „Dobrze, jeśli to ja, to jaki miałbym motyw?” — *motyw, motyw!* — to to słowo, niech powiedzą, jaki motyw, niezdary!

Ale Pierwszy tylko na to czekał, bo od razu zaczął odliczać na palcach: *nałogowe pijaństwo, sprzeczka na gruncie pijackiej rywalizacji, naturalna chęć udowod-*

nienia cudzoziemcowi swojej wyższości, zazdrość, mało wam? Bo im wystarczy z okładem!

„Zazdrość! — Pepa spróbował się roześmiać, ale mu nie wyszło. — Jaka znowu zazdrość? Na jakiej podstawie (tak, oczywiście, *podstawa*, właśnie to słowo, *podstawa!*)?”

Nie odrywając melancholijnego wzroku od poszarzałych zwłok na zsuniętych razem biurkach, Pierwszy odpowiedział: „A choćby na takiej, że wasza żona od kilku lat sypiała z tym nieszczęśnikiem. Sypiała, rozumiecie? Kochankami byli. I wszyscy o tym wiedzieli. A wyście nie wiedzieli? Nikt wam nie uwierzy, żeście nie wiedzieli!”

„Nikt wam nie uwierzy!” — skakali Pepie przed oczami Drugi i Trzeci, a raczej ich usta i kości policzkowe, *dziesiątki, setki ludzi wiedziały, cały świat wiedział, wszyscy tylko o tym gadali, no!*

Gazety usunęły mu się spod nóg. Pragnął jak najciszej — żeby nie rozgniewać tego innego w swoim wnętrzu — położyć się na plecach. Ale tam była ściana.

„Nie możecie mówić? Wody? Boicie się trupów? Śmierci? Może to wyście ją spowodowali? Czemu milczycie? Coście robili przedwczoraj w nocy? Oczywiście! Czemu wywracacie oczami? Przyznajcie się, to wam ulży!” — jeden przez drugiego wyskakiwali ze swoimi pytaniami, nie, to pytania wyskakiwały, ale przede wszystkim wyskakiwało z nich to ich *przyznajcie się*, chociaż nie, już nawet nie *przyznajcie się*, tylko o ileż bardziej profesjonalne *gadaj*, zupełnie jakby z każdego z nich wyskoczył diabeł na druciku i wszyscy razem

powtarzali *gadaj, gadaj*, a także *powiedz, że to był nie-szczęśliwy wypadek*, i wtedy przyprowadzono Romę Woronycz — jej pojawienie się było wyliczone co do minuty, przytrzymano ją w korytarzu akurat tyle, żeby doprowadzić sprawę do końca, tak więc teraz była tu, ale zawisała gdzieś pośrodku, niemal w powietrzu, jedną rękę wyciągając do jego zabandażowanego czoła, drugą — do powiek Zumbrunnena, *okazanie* — tak to się chyba miało nazywać, choć w rzeczywistości był to tylko niemy okrzyk, stłumiony do szlochu.

I wtedy już odpływając, zdążył jeszcze ostatni raz zwrócić się do Kogoś: „Słyszysz, Ty, prosiłem przecież, nie teraz, nie teraz!”, a potem, wyslizgując się w swoją całkowitą samotność i izolację przez ich niemilknące, jednostajne *gadaj*, przez wyciągniętą doń rękę Romy, ociężały i przechylony, zdążył pokazać im przed nosem środkowy palec, jakby chciał coś podkreślić. Drugi i Trzeci rozstąpili się, a on — kolejny raz tego samego dnia! — rozciągnął się jak długi, tym razem na stosy gazet, na ich zakurzoną, chrzęszczącą żółtość, na wszystkie te portrety, wstępniaki, jubileuszowe wzmianki i listy mas pracujących.

Ale tym razem czerń, która go pochłonięła, miała inny charakter. Unosił się w tunelu, oddalając od topniejącej powłoki świata, od wszechobecnego dudnienia wody, od nieznośnej i mdlącej górskiej wiosny; trafił do dziwnych, szerokich filcowych rękawów, więc zderzenia ciała z miękkimi ścianami wcale nie sprawiały mu bólu, aż w końcu nieznane systemy pneu-

matyczne wystrzeliły go niczym z armaty powietrznej, i wyleciał gdzieś na zewnątrz — w inne korytarze, z innym światłem, gdzie tłumy jakichś interesantów cisnęły się pod zamkniętymi drzwiami gabinetów, wszyscy nieustannie o czymś rozprawiali, ale Pepa nie mógł wyłowić żadnego słowa z wyjątkiem tego, że wszyscy pragną dotrzeć do *Ilka Ilkowicza*. Potem udało mu się usłyszeć własne imię, wypowiedziane przez megafonowy głos dyżurnego, i zabrzmiało to niczym wezwanie.

Wtedy wszyscy inni niechętnie się rozstąpili, robiąc dla niego wąziutkie przejście — popychany przez silne strumienie powietrza w plecy i tyłek, potykając się, wpadł za próg *reżyserki*, gdzie z głębi, *od konsoli*, otoczone ze wszystkich stron dziesiątkami włączonych monitorów, spojrzało na niego żółtawo-zmienne migotanie, zamknięte w nieostrych i nietrwałych konturach nibyludzkiej postaci. Artur Pepa zaczął intensywnie przecierać oczy, żeby cokolwiek dostrzec w tym zjawisku świetlnym, ale to tylko pogorszyło sprawę.

— Witam, witam — powiedziała żółta postać męskim głosem, z którego nagle wyrzwał japiszon i komsomolec w jednym, oddany obywatel, wieczny działacz-młodzieżowiec z równiutkim przedziałkiem i przekrzywionym krawatem. — Niestety, nie udało mi się znaleźć czasu, żeby jednak osobiście zajrzeć do was na Dzyndzuł. Rozumie pan, tyle spraw, święta idą. I sam pan wie, że wszystkim trzeba zdążyć.

Skinął w stronę monitorów. Na każdym coś się działo — dziesiątki i setki filmów, wątków, klipów,

błyskawiczna zmiana planów kamery, drzenie konturów i przysłon, obroty min i gestów.

— Pan Warcabycz? — spróbował się domyślić Pepa.

— W zasadzie tak. Mam zbyt wiele imion, bym zdołał wymienić je tu wszystkie. Zresztą, po co to panu? Mam nadzieję, że trochę panu lepiej? Jak się oddycha?

Artur Pepa rzeczywiście czuł prawdziwą ulgę, bo cała jego tachykardia została gdzieś tam, w rzuconej na poząłkę stosy gazet powłoce cielesnej.

— Muszę przyznać, że jestem zachwycony pańską żoną — ciągnął gospodarz. — Poprosiła, bym się za panem wstawił, i nie mogłem odmówić.

— O czym pan mówi? — Pepa zażądał konkretów.

— O telefonii komórkowej — migotliwy gospodarz znów skinął w stronę monitorów, z których natychmiast, jak na zamówienie, błazeńsko-demoniczne głosy wrzasnęły: „Dzwoń bez przeszkód — żyj jak zechcesz!”. I od razu, ze wszystkich monitorów naraz, przedrzeźniając się wzajemnie: „Dzwoń namiętnie — żyj pokrętnie! Dzwoń luzacko — żyj partacko! Dzwoń mobilnie — żyj debilnie!”, po czym całe to monitorowe towarzystwo rozrechotało się rubasznie i rechotało dopóty, dopóki gospodarz nie machnął swoim ciemnożółtym promieniem.

— Na szczęście, pani Roma miała przy sobie ten swój gadżecik. Właściwie nawet nie jej, tylko nieśczęsnego Karla-Josepha. Może myślała, że zacznie sam do siebie dzwonić? Chociaż w tych naszych górach nigdy i nigdzie nie da się dodzwonić, w rzeczy sa-

mej! Ale z tamtego świata, czemu nie? Jakkolwiek by było, dobrze, że wpadła na to, by zabrać ze sobą tę zabawkę, a jeszcze lepiej, że umiała z pamięci wystukać mój, to znaczy Warcabytza Ilka Ilkowicza, numer.

— To wszystko totalna bzdura — prychnął Pepa.

— Tego bym nie powiedział — z lekką urazą zaprzeczył gospodarz. — Kiedy ci tak zwani *stróże prawa* zawieźli ją na *przesłuchanie*, żeby jak najszybciej, jak to oni mówią, *zamknąć sprawę* kłopotliwego austriackiego nieboszczyka, nic jeszcze nie wiedziała o zabójstwie, podobnie zresztą jak i pan. Ale wiedziała, że musi pana ratować, uderzono pana automatem w piersi, jak ostatniego bandytę, pan upadł w śnieg, i tyle tylko widziała, potem zawieźli ją na tak zwaną *daczę*, to dawny kobiecy psychiatryk, i trzymali w zamkniętej, zimnej celi, ale miała tam czas, żeby — zupełnie słusznie — przypomnieć sobie o mnie, dobrą godzinę męczyła się, próbując odtworzyć z pamięci mój numer, a potem olśniło ją, że Karl-Joseph musiał ten numer mieć w telefonie, i rzeczywiście miał, tyle, że nie pod W i nie pod V, tylko pod B, jakbym był jakimś Bartsabytschem... Dobrze, że przynajmniej kiedyś dał jej pin do swojego telefonu, sam pan rozumie, to były dość intymne stosunki...

Japiszonowaty komsomolec niepostrzeżenie przemieniał się w pochłoniętą własnym trajkotaniem i domysłami staroświecką damę-plotkarkę.

— Zadzwoiła do pana i co? — przypomniał główny wątek Pepa, wydobywając przed plotkarkę zwyczajniejszego komsomolca.

— I powiedziała tak...

Dalej było buczenie słuchawki, a potem *to* przemówiło telefonicznym głosem Romy:

„Panie Warcabycz, ja pana nie znam, i pan mnie nie zna, ale oni złapali mnie i mojego męża, w końcu jesteśmy tu pana gośćmi, przecież może pan coś dla nas zrobić, może pana posłuchają, wszyscy mówią tylko o panu, i że jest pan wszechmocny, zabiją go, oni go zabiją...”.

— I tak powtarzała drżącym kobiecym głosem — *to* ciągnęło, wyłączwszy telefoniczną Romę — i wciąż o mojej wszechmocy, dopóki nie powiedziałem: „Dobrze, postaram się na nich *wpłynąć*”.

To słowo już na pewno nie mogło zostać wypowiedziane przez damę-plotkarkę — powrócił działacz z równym przedziałkiem.

— Wtedy rozpląkała się do słuchawki, i w samą porę, bo właśnie przyjechała major z okręgu, żeby ją przeszukać, więc komórkę też jej zabrali, tylko rozkodować im się nie udało, za niski poziom umiejętności zawodowych, spece z głowami na karku poszli do biznesu, a niektórzy czmychnęli na Zachód, bo co to ja jestem, żeby im za dwadzieścia baksów miesięcznie dostawać odcisków na dupie. (Pepa zauważył, jak Warcabycz na moment przemienia się w małomiasteczkowego geniusza komputerowego z pretensjami najbardziej brutalnego łamacza zabezpieczeń). Więc teraz gapią się na tę komórkę jak cielę na malowane wrota. Pomyśleć tylko, już z pana zabójcę robią, pieprzone pinkertony! Parodia nad parodiami! Co z pana za zabójca?

— Ano ze mnie też — westchnął Pepa, przed którym nagle zaczęły rozstępować się inne głębie ich historii. — Wszyscy po trosze jesteśmy zabójcami. Ale kto naprawdę, kto to zrobił?

Z ostatniego po lewej monitora w szóstym rzędzie na górze mrugnęło doń wielkie, poprzecinane czerwonymi żyłkami, mętne oko. Potem *kamera* odjechała, oko okazało się tkwić w niemiłosiernie wymiętej szczeciniastej gębie. Mówiąc ściśle, takich gąb było aż dwie — obydwie przerażone i zaślinione, niczym płaskie ryby miały się w przestrzeni monitora, jakby usiłowały się dokąś z niego wyrwać.

— Już ich przycisnęli — padł komentarz ze strony Warcabycza, tym razem karka i bulteriera. — Dwóch gówniarzy z okolicy, tak sobie, nic wielkiego, brud spod paznokci, drobiazg i drobnica. Dorwali się do jego kasy, a trochę tego było, no i zachciało im się na laski, jak szaleć, to szaleć. Jakiś bałwan, znasz go, nadał im Lilkę i Marlenkę w Czortopolu, znaczy adres, telefon, takie tam. No i oni sobie trochę tego, potem razem coś tam, potem któraś panna jakimś trafem portfel tego naszego Karolka przylukała i wyszło jej, że to właśnie Karolka portfel, przypadkiem jej się zapamiętało — taki miał pierdolniczek firmowy z wygibasami, no to pomyślała, wzięli ukradli albo na drodze leżał, pal lichu. Wtedy po pijaku się poprztykali, gówniarzom palma od razu odbiła, laski obrażać zaczęli, czepiać się, dopierdalać, chuju-muju, Marlenkę przycisnęli i dawaj, niby że przelecą we dwóch, a Lilka nogi za pas i poleciała do moich chłopców dzwonić,

z brygady — tak i tak, szczeniaki się powściekali, obcą forsą szastają, moi wpadli z marszu, łomot tam, chujumu, no i wycisnęli prawdę, jak było — i proszę, to oni faceta załatwili, w pale się nie mieści. Widzisz, moi chłopcy w takie sprawy nie leżą, oddali ululańców glinom, niech robią po swojemu. No i śpiewają teraz, całkiem ich popaprało, wzięli mojego gościa i odwalili mokrą robotę...

— Przy czym w dosłownym znaczeniu *mokrą* — wtrącił się na moment chorowity szkolny wunderkind, wyskakując z żółtawego migotania przed zamilkłego karka. — Ciało wpadło do Potoku i zmoczyło się. Jak rzadko, etymologia zadziałała tu na rzecz semantyki: uderzyli po głowie i odwalili mokrą robotę. Chociaż w rzeczywistości są tylko narzędziem.

Na lewym monitorze w szóstym górnym rzędzie migały odciski palców, wykrzywione twarze przesłuchiowanych i przesłuchujących, drżenie rąk, jęki, szal, zgrzytanie zębów.

— Chociaż w rzeczywistości są tylko narzędziem — powtórzył ten najpierwszy głos, Warcabycz-1.

I wszyscy inni (dama-plotkarka, japiszonowaty bankier-komuch, kark, haker-wirtuoz) potwierdzili z żółtego migotania:

— W rzeczywistości są tylko narzędziem.

Artur Pepa pomilczał chwilę, patrząc na obrazy monitorów. Wydawało mu się, że dotarł już do wnętrza tajemnicy, że za moment nastąpi eksplozja.

— Po co wam była jego śmierć? — zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie.

— A po co w ogóle jest śmierć? — odpowiedział mu z fotela na kółkach szaleniec-wynalazca.

— Dla wiecznego odrodzenia! — paskudnie zarechotał złośliwy cyrkowy karzeł z brodą do kolan.

— Dla uczczenia Antonycza — przypomniał szkolny prymus-wunderkind. — Dla jego wiecznego powrotu.

— A więc dlatego, by pana córka, przepraszam, piasierbica, pozbyła się wreszcie ciężaru cnoty — znów wepchnęła się na przód dama-plotkarka.

— A pańska żona, obywatelka Woronycz — rozepchnął wszystkich łokciami komuch-japiszon — wybierając między mężem i kochankiem, wybrała jednak pana, a nie, dajmy na to, Orfeusza...

— Kogo, powiedziałeś? — zapytał Pepa, czując, jak zasycha mu w ustach.

— Orfeusza przecież! — chórem krzyknęli wszyscy: i komuch, i kark, i prymusik, i szalony wynalazca, i cyrkowy karzeł, i staroświecka dama, i haker-wirtuoz, i lafirynda, i ładacznica, i haczykonosa wiedźma-panienka, i wilczyca, i wrona, i mara, i nawet kara, bo wszyscy oni byli Warcabyczem, a dokładniej, ową ciemnożółtą substancją za konsolętą.

— To pan się nie domyślił? — padło stamtąd pytanie.

— Więc to było zabójstwo rytualne? — chwycił się promienia jasności Pepa.

— Każde zabójstwo jest rytualne — odpowiedziano. — Ale ma pan rację, że z mojej strony to nie był akt mojej wolnej twórczości.

— To pan jest diabłem? — wypalił prosto z mostu Pepa, choć nie wiedział, czy zostanie usłyszany, tak bardzo wszystko w nim wyszło.

— Jestem autorem — *to* odpowiedziało radośnie, znęcając się. — A w każdym razie właścicielem praw autorskich. I właśnie teraz nadeszła pora, bym sam włączył się w przebieg wydarzeń. To znaczy, stanę się teraz *dei ex machina*. Nie pamięta pan numeru Żumbrunnena?

Ale Pepa niczego takiego nie pamiętał, zapatrzony w ostatni z prawej monitor w trzynastym rzędzie na dole — z tym samym pomieszczeniem, krzątanicą gli-niarzy, przykrytym do pasa ciałem na zsuniętych razem biurkach, Romą i jeszcze jednym ciałem, jego własnym i nieprzytomnym.

— W porządku, sam pamiętam — zafalowało śmiechem od monitorów i *to* zabrało się do wybierania jakiegoś długąsnego szeregu cyfr.

Na monitorze coś zadzwoniło i Pierwszy chwycił ze stołu odebrany Romie podczas przeszukania telefon — w jego *allo* brzmiały lekka ostrożność i zdziwienie.

— Major Wszywłuk? — zabrzmiało od konsolęty. — Tu Warcabycz Ilko Ilkowicz. Znaie takiego?

Pierwszemu na chwilę dech zaparło, ale zdobył się na swoje zdyscyplinowane *tak jest, Parszywłuk, słucham*, po czym zgiął się wpół, coraz bardziej przytłaczany zaświatową tyradą Właściciela:

— Parszywłuku, co tam, jak tam, a? Nastrój przedświąteczny? W porządku? Problemy? Kto ich teraz nie ma! Słuchaj, Wszywłuku. Tam twoje orły-sokoły prze-

dobrzyły z głupoty, za niewinność wzięli dwójkę moich gości, męża i żonę, no, że niby tam kogoś załatwili, Australijczyka jakiegoś czy co. No więc, Parszywłuku, moi z brygady czystym przypadkiem wpadli na kogo trzeba. Nie, na tych, co naprawdę załatwili. Nie, już przekazali twoim do dalszych działań. Tamci już śpiewają, Profaniuuku. To weź ty i wypuść moich gości, a? *Poniał*, majorze?

Tamten zdążył przygiąć się jeszcze niżej, a potem po trzykroć powtórzyć swoje *jasne, Ilko Ilkowiczu*.

— O to to — z zadowoleniem powiedział bóg z maszyny. — Gości moich wypuść, wóz jakiś pchnę dla nich, jasne? I zmykaj już do domu, sobota, rozumiesz, ze święconką pora, jajka, takie tam, i tak dalej. I tobie też, Pokrzywłuku, rozumiesz, odpoczywaj, dzdzwonimy się jeszcze w tygodniu.

Monitory gaśły jeden po drugim, z góry do dołu, od lewej do prawej, znikwały wszystkie filmy świata, wątki, klipy, zamierały wszystkie przedświąteczne historie z przekrzywionymi planami operatorskimi, ludzkimi minami i gestami.

— Artur Pepa? — grzmiąco zapytano od konsoly.

— To ja — odpowiedział wezwany, cofając się do wyjścia.

— Zostałeś uwolniony. Możesz wracać. Do widzenia.

„Ostra niewydolność wieńcowa”, usłyszał Artur Pepa gdzieś w górze nad sobą. „Proszę zwrócić uwagę

na potliwość” — dodał ktoś inny. „Tak, przechodzi” — ze znajomością rzeczy odezwał się kolejny. Najbliżej była Roma, ostrożnie odwijała ten jego brudny, poszarzały bandaż, a potem wycierała czoło i skronie mokrą gąbką, więc rzeczywiście wrócił do tego najsuchszego pomieszczenia, i choć na razie trudno było na podstawie koloru skóry określić, który z tych dwóch mężczyzn jest bardziej martwy, to Artur Pepa naprawdę poczuł, że go *uwolniono* (rzedniejąca czerń i jej migotliwe przejście w wir coraz jaśniejszych plamek, pojawianie się pierwszych konturów i kolorów, cichnące dzwonięcie w uszach, bębnienie rynny za otwartym na oścież oknem, odnalezienie przez płuca szczęśliwej umiejętności wykorzystywania powietrza i — co teraz podobało mu się najbardziej — ten obfity pot ulgi, oznaka ratunku; naści jeszcze jedno odroczenie-obwieszczenie, palancie).

Potem wszyscy dokądś wychodzili i wracali, czasem zostawiali tylko we dwóch — Zumbrunnen i on, potem Roma powiedziała, że samochód już czeka, *może pan wstać i iść?*, ze współczuciem zapytał Pierwszy, Artur Pepa podniósł się z podłogi, przylepione do jego pleców gazety osypały się z szelestem, potem podano mu płaszcz i *zarekwirowaną podczas przeszukiwania* pisanekę, mechanicznie wsunął ją do kieszeni, w korytarzu opiekuńczo chwycił go pod ramię ten sam, z *kałasznikowem*, dyżurny gliniarz, ale tuż za progiem Pepa niecierpliwie wyswobodził się spod jego opieki i co tchu rzucił za róg budynku. Opróżniał pęcherz długo i ekstatycznie, wierząc swym niespo-

dziewanie jasnym strumieniem coś w rodzaju otworu w świeżo uwolnionej spod śniegu rozmięklej glinie; ciepły wiatr zrobił swoje i uciekał teraz gdzieś dalej, zewsząd wiosna wybuchała wciąż nowymi zapachami, Pepa zapiął rozporek, zza pleców doganiały go ostatnie, trochę przepraszające życzenia Pierwszego („na pana miejscu wybrałbym się jednak do lekarza, wie pan, całe dwie minuty *bez pamięci* to nie żarty”), ruszył podwórzem byłej katowni, no tak, hauptwachy, w stronę parkanu i wyjścia na drogę. Już koło furtki, wiszącej na drutach i na wpół otwartej, zrównał się z Romą, żeby spytać:

— Naprawdę z nim spałaś, tak?

Charakterystyczne, że podstawiono dla nich ten sam automobil-dżipoid z tym samym silnikiem od BWP. I kierowca też mógł być ten sam — wielkie uszy, silny kark, czarna skórzana kurtka. A nade wszystko ta sama była tablica na dachu, z tym samym napisem: Program Charytatywny BOHATEROWIE BIZNESU — BOHATEROM KULTURY. I siedzieli w nim teraz tylko we dwoje, gdzieś w samej głębi, daleko od tego chłopaka za kierownicą — prawdziwi *bohaterowie kultury*, pani Roma Woronycz i jej mążzonek Artur Pepa.

Droga stawiała się coraz bardziej wyboista, zaczęło nimi rzucać na ich tylnym siedzeniu, po obu stronach drogi wędrowali miejscowi ze świątecznymi koszami w rękach, uszasty kierowca wyprzedzał wszystko, co zobaczył, przechodnie odskakiwali w stronę rowów i kamienistych poboczy, uciekając przed brud-

nymi strugami spod jego kół, nigdzie nie zostało już śladu po stopniałych śniegach, tylko połamane słupy i drzewa świadczyły o nocnym żywiole. Ale dopiero wtedy, gdy znowu przedarli się przez wściekle wzburzony nurt Rzeki i ruszyli rozmięktą leśną drogą, Roma chwyciła go za rękaw płaszcza.

— Dlaczego o to zapytałeś?

Pepa ocknął się z odrętwienia i odpowiedział, nie tyle jej, ile lasowi za oknem, wszystkim jego gałęziom, w przestrachu smagającym okna samochodu:

— Chciałem wiedzieć, co się przy tym czuje.

Nie zrozumiała, ale on niczego nie wyjaśnił: na temat ciała, które się z nią kochało, oglądania go po śmierci, znieruchomienia i zsuniętych razem starych biurek. Brakowało mu słów, by wyjaśnić coś takiego.

Kobiety zawsze płaczą, gdy widzą umarłego. Pepa miał doświadczenie.

— To wszystko moja wina — powiedziała Roma nieco później. — Musisz ode mnie odejść. Przynoszę śmierć. On jest już drugi, wiesz?

— Wiem. I dlatego nigdzie nie pójde. Chcę być przynajmniej trzeci.

Roma nie doceniła żartu, jeśli to był żart.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim Pepa odważył się rzucić przed siebie:

— Ciągłe go kochasz?

— Żal mi, że jest teraz sam. Wszyscy zostajemy tutaj, jutro święto, a jego już nie będzie.

— Wszyscy zostajemy, ale nie na tak znowu długo — przypomniał Pepa.

Objął ją ramieniem i przedzierając się do jej ucha przez ostatnią szczelinę, gdzieś między pierwszym szlochem a pierwszym drgnieniem ramion, wytchnął jedyne, co zdołał:

— Choć nic na ten temat nie wiemy.

Dziwne, ale to ją uspokoiło.

Potem znaleźli się w środku lasu tylko we dwoje: uszasty rzezimieszek po kaskadersku zawrócił na tej samej polanie i wysadził ich wśród przywiedłych anemonów. Na pożegnanie wyburczał coś w rodzaju „macie tam ze siedem kilometrów, za dwie godziny będziecie, jutro po trzeciej podstawią helikopter, rze- czy pozbierajcie i czekać trzeba, przylecą po was, żeby przed pożarem zdążyć”, po czym ostro trzasnąwszy drzwiami, zniknął, skąd przybył. Daleko w górze, cały w blasku zachodu, czekał na ich powrót usiany plamami śniegu Dzyndzuł z niewyraźną cętką pensjonatu na samym grzbiecie.

Szli pod górę, czasem podawali sobie rękę i podtrzymywali się na śliskim podejściu. Kiedy dotarli do dolnych jałowcowych zarośli, zatrzymali się na krótki odpoczynek. Pepa rozejrzał się po milczących szczytach i powiedział pierwsze, co przyszło mu na myśl:

— W rzeczywistości wszystko może wyglądać znacznie lepiej, niż nam się wydaje.

IV

KOŃCZĄC

Karl-Joseph Zumbrunnen patrzył na Karla-Josepha Zumbrunnena. Drugi z nich był ciałem i leżał na zsuniętych razem biurkach, od stóp do pasa przykryty kawałkami starego płótna. Pierwszy natomiast był czymś innym, znacznie bardziej ulotnym. Tej nocy nadeszła chwila jego wyzwolenia. Dziwnie się czuł, widząc samego siebie z zewnątrz, i to nie w lustrze: mówiąc ściślej, chodziło o zderzenie dwóch największych tajemnic istnienia — Śmierci z Ja.

Karl-Joseph, ten, który się oddzielił, przebywał gdzieś wyżej, być może na suficie. W każdym razie na swoje niedawne ciało patrzył z góry: początek rozkładu, pierwsze plamy na skórze, dalsze objawy też całkowicie przewidywalne — stężenie pośmiertne, ogólna martwica, rozwarstwienie epidermy z powstawaniem pęcherzy wypełnionych surowicą. Karl-Joseph wszystko to wiedział, choć nigdy nie studiował patologii i anatomii. Ale teraz w ogóle niezmiernie wiele wiedział i rozumiał.

Czy odczuwał żal? Czy czuł się nieswojo w tym mroku, przetykanym księżycowym światłem z dworu?

Nie wiadomo. Pewne jest tylko to, że nie chciał i nie mógł długo tu wisieć — wzywał go Księżyc. Rano mieli *dostarczyć* ciało do Czortopola na sekcję zwłok, choć sama sekcja nie mogła zacząć się przed poniedziałkiem, bo jaki pieprzony patolog będzie grzebać w trupie w Niedzielę Wielkanocną, a i w poniedziałek to bardzo wątpliwe, najpewniej we wtorek, albo jeszcze lepiej, po Świątach, we środę, tak więc rano mieli go tylko dostarczyć do *chłodni*, dla zatrzymania *przemiany tłuszczowo-woskowej*. Ale Karl-Joseph i tak już widział, czym to się wszystko skończy: blade światło argonowych żarówek, metaliczne pobrzękiwanie ostrych narzędzi (chłód to sterylność, a sterylność to chłód!), skrupulatne wypełnianie protokołu w specjalnym, przeszytym i zapieczętowanym dzienniku, monotonna konstatacja zmian i nieuleczalnych chorób, a także wydobywanie z rozciętego ciała rozmaitych kamieni rzecznych, glonów, kilku pociemniałych osikowych liści, bladych od śluzu larw i poczwarek. A potem — to także Karl-Joseph mógł wyraźnie zobaczyć — cyniczne i niedbałe zaszywanie, podczas którego oderwane wnętrzości zostaną byle jak przysztukowane do pachwiny lub czegośkolwiek innego. Karl-Joseph mógł teraz widzieć nawet te grube, *surowe* nici, i igłę-groszówkę, długą na pół ołówka, i sanitariuszkę z kostnicy, trochę niespełna rozumu (dwadzieścia dziewięć lat *stażu pracy w jednym zakładzie!*), z rozlanym biustem, pożółkłymi oczami i ciężkim, formalinowym oddechem.

Jako fotograf Karl-Joseph lubił mrok nie mniej niż światło.

Ale teraz zyskał nieprzeliczone nowe możliwości: widzieć, wiedzieć, odczuwać. A także przenikać na wylot, wszakże jego struktura była teraz rzadsza niż najmniej gęste struktury materii. Dlatego bez wysiłku wyszedł na zewnątrz przez sufit i dach dawnej hauptwachy. Uniósł się nieco nad dachem i teraz mógł ogarnąć ją całą, razem z dwoma gliniarzami na warcie, którzy chrapali w przybudówce *na odwachu* (porozrzucane służbowe manele, włączony i rozgrzany do białości piecyk elektryczny typu *słoneczko*, zagracony musztardówkami, niedopitymi flaszkami, resztkami jedzenia oraz niedopałkami stolik, magnetofon kasetowy Wiosna, dwa załadowane i oparte o ścianę *kałasze*, dwóch spoconych od snu gliniarzy w samych kalesonach na jednym tapczanie — nie, to nie pedały, tylko bracia cioteczni, rodzina, Mykulak Iwan i Drakulak Sztefan). Mieli pilnować trupa do jutrzejszego poranka. No to go pilnowali.

Karl-Joseph po raz pierwszy poczuł coś w rodzaju dziwnej, bolesnej lekkości, kiedy udało mu się — znów bez żadnego wysiłku — ruszyć w górę i osiągnąć tak zwaną wysokość ptasiego lotu. Trafił w sam strumień księżycowego światła, gęstego i jakoś nawet namacalnego. Księżyc na niebie wciąż wyglądał jak w pełni, i dlatego wydawał się nieco złowieszczy, choć tak naprawdę pełnia była we środe, a teraz Księżyc już chudł, i wiedzieli o tym doskonale wszyscy cerkiewni astronomowie. Karl-Joseph też. Zakręcił się

jak ryba w strumieniu światła i na nieokreślony moment (czas był już dla niego czymś innym) zamarł. I żadnych okularów, przyszło mu na myśl, żadnych binokli, soczewek, dodatkowych dioptrii. Widział teraz na wylot i do głębi, w całej otwartej przed jego Okiem przestrzeni.

Na przykład, jak rośnie trawa, jak ropa naftowa płynie rurami, jak ryby płyną rzekami i potokami, z nurtem i pod prąd. Albo widział szkielety na dnie zasypanych jaskiń i czaszki na dnie zapadniętych studni. Czy powiedzmy, niezliczone TIR-y, zamarłe w długich kolejkach przed przejściami granicznymi, wyładowane pół żywymi, pół uduszonymi Pakistańczykami (tym razem był pewien, że to ludzie z Pakistanu, a nie z Bangladeszu), którzy warstwami leżeli bez ruchu pod podłogą.

Widział także tysiące oświetlonych od środka cerkwi — po całym kraju.

Karl-Joseph Zumbrunnen zatoczył niewielkie koło nad doliną Rzeki i bez wahania wziął kurs na Transylwanię. Tego nie da się wyjaśnić — to można tylko przyjąć do wiadomości. Umarli zazwyczaj wędrują na zachód. Z pamięci przy płynęła dziecięca zabawa w pilota i nie wiedzieć czemu wspomnienie, jak lekko było skakać do wody, w najzieleńsze rzeczne głębie koło młyna.

Ale czy można to nazwać pamięcią?

Zbliżył się do Grzbietu nad samą połoniną Dzyn-dzuł i — nic nie mogło go powstrzymać, nawet zew

Księżycą — ostro zniżył lot. Okazało się to silniejsze nie tylko od Księżycy, ale też od niego samego: nie wszystkie nici zostały przerwane. Przeszumiał nad czubkami przysypanych śniegiem jałowcowych krzaków, ominął skocznię i wyszedł prosto na pensjonat. *Ciągnęło go* tu, to było jego Miejsce, dziwaczny budynek z gankami, tarasami, z dziesiątkami okien. Ale świeciło się tylko w dwóch z nich. I do pierwszego Zumbrunnen przypadł, a gdzie tam, przylgnął całym sobą, uderzył o nieprzenikający chłód szyby zespolonej. Za oknem znajdował się pokój Kołomei Woronycz. Dziewczyna na wpół leżała na nierozłożonej kanapie i coś nieprzerwanie pisała w grubym niegdyś notatniku, wrywając zeń zapisane kartki jedną po drugiej. Była to już sto trzynasta strona jej listu do przyjaciela, który odszedł wczoraj o zachodzie słońca.

„Wiem — pisała Kola na sto trzynastej stronie — że jesteś dwoisty, ale dlatego właśnie jesteś wieczny. Ty, który zaledwie zeszłej nocy byłeś tu i fajnie wszedłeś we mnie [Kola przekreśliła ostatnie cztery słowa] łagodnie uwolniłeś mnie od tego piętna, cienia, ciężaru, klejnotu, mam na myśli moje dziewictwo, niech spoczywa w pokoju wiecznym, tak więc Ty jesteś właśnie tym, na którego czekałam przez całe życia [ostatnie trzy słowa skreśliła], nie powiem jak długo. Ale równocześnie jesteś inny — okrągłutki, stahy i uysy, przypominający hobbita podstarzały pleciuch [ostatnie słowo przekreśliła] gaduła. Bo jak teraz już wiem,

istniejesz w dwóch wersjach. Młodej — gdy wiecznie masz dwadzieścia siedem lat. Chyba właśnie tyle miał Tamten Poeta w noc swojej śmierci. I starej — kiedy masz tyle lat, ile Tamten Poeta miałby dziś. Gdyby nie umarł za młodu. Tylko nie mów, że to wszystko nie tak i że znowu nie kumam! Przecież widziałam, jak wychodziłeś z werandy do Posłów od Nocy! Kryli się w ciemnym gąszczu, czekając na Ciebie. Co, myślisz, że miałam haluny? [skreślone całe zdanie]. A Ty ostatni raz spojrzawsz na mnie przez ramię — to nie byłeś Ty! [cztery ostatnie słowa, podobnie jak wykrzyknik, skreśliła], aha, to był ten profesor, na pół sekundy przebił się przez Twoją powłokę, bo Ty i on to jedno, wiem. Myślę, że dzięki temu możesz być i tu, i na Księżycu. Bo w rzeczywistości pozwolono nam tylko na jedno: być albo tu, albo na Księżycu. Jesteśmy rozdzieleni, prawda? W ogóle, ja wiem, że Ty już jesteś tam. Ha! Widziałam, jak rozpuynałeś się w tym ohydny [ostatnie słowo skreślone] blasku Księżyca, jak ja już mam go dosyć! A wtedy Posłowie Nocy, niczym trzy wielkie puszczyki, wyfrunęli ze swojej zasadzki w gęstwinie. Szedłeś w górę po promieniu Księżyca, a oni lecieli nad Tobą i trochę z boku, jak jakaś eskorta”.

Słowo „eszkorta” musiała przenieść, wyszło „eszkorta”. Cztery litery przechodziły na kolejną kartkę, a sto trzynasta została tak samo gwałtownie wydarta i rzucona na podłogę koło kanapy — do gromadki stu dwunastu jej poprzedniczek. Karl-Joseph domyślił się, że teraz będzie o nim.

„Wiesz — pisała dalej Kola — piszę do Ciebie, ale jak ja Ci ten list wyślę? Bo przecież Ty nigdy więcej się już przede mną nie zjawisz, to jasne. Przed Tobą jeszcze tak wiele — niepoczęty kraj — nienapoczętych dziewcząt! Nienapoczęty dziewcząt raj! Co do zwykłych usług pocztowych, to zupełna kicha — sam wiesz, ile to wszystko trwa, gdy chodzi o komunikację między nami a Księżycem. Faktycznie całe życie. Ale mnie to wisi [skreślone] Ale to nie ma dla mnie znaczenia — i tak dopiszę ten list do jego ostatniego wielokropka, bo jestem pewna, że tak czy inaczej zostanie przeczytany. A u nas coś nowego. Wczoraj wieczorem moja mamana z Pepą przyniesli wiadomość, że tu zabili tego Austriaka-fotografa. Coraz częściej o nim myślę. [Ostatnie zdanie skreśliła]. Już go nie ma, a okazuje się, że ja nic, nic zupełnie o nim nie wiedziałam! I już nie będę wiedzieć, jak się okazuje. Co to był za gość? Dlaczego tu przyjeżdżał, co go ciągnęło w te strony? Nie, nie tak — to nie tak, że ja o nim myślę, ja się po prostu próbuję połapać, bo on gdzieś tu teraz jest. Na przykład tu, za tym oknem. Zamykam oczy, odwracam głowę do okna, liczę do dziesięciu: *jeden-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem-dziewięć-dziewięć-i-pół-dziewięć-i-trzy-czwarte-dziewięć-na-nosku-dziewięć-na-włosku-dziesięć!* Otwieram oczy — za oknem nie ma nic i nikogo, tylko noc. Ale on gdzieś tu jest. Może po prostu nie pozwolono mi go widzieć? Ale dzięki niemu zrozumiałam, czym jest dwunasty krąg. To krąg wieczności, początek i koniec w jednym, Alfa i Omega, my wszyscy razem i każde z osobna...”

Karl-Joseph Zumbrunnen całkiem sensownie, równocześnie z *dziewięć-na-włosku*, zanurkował w podmuchu wiatru i zniknął sprzed jej okna. Oczywiście nie chciał, by go odkryto. Dlatego w końcu nie dowiedział się, czym jest dwunasty krąg. Ogólnie rzecz biorąc, list Koli trochę rozbawił go swoim patosem, tą odwieczną cechą młodych i żywych. A do tego, przypomniało mu się, ta dziewczyna zbyt wiele czyta fantasy i słucha Morrisona. Co za mistyka, orzekł Karl-Joseph.

W rzeczywistości już od dawna ciągnęło go do innego okna — i łatwo domyślić się czemu. Tak samo gwałtownie uderzył o szybę, przypadając do niej twarzą.

I zobaczył słabo oświetlony od wewnątrz przez nocną lampkę pokój małżeństwa Pepa-Woronycz. Artur i Roma, jak się zdawało, spali. Ale co tam — zdawało się! Spali i tyle. Spali tak, jak śpią razem ludzie, którzy się kochają. To znaczy tak ciasno i tak razem, i tak blisko, i w jednym rytmie oddychając, jak robią to ludzie, którzy śpią razem z miłości. To był niezmiernie głęboki sen. Karl-Joseph nawet nie próbował jej wołać. Włączona lampka nocna świadczyła tylko o tym, że może jakiś czas temu się kochali. Wielkie, wypełniające okienną ramę oblicze po drugiej stronie ich pokoju na moment przemieniło się w maskę bólu. Okazuje się, że jeszcze mógł *to* poczuć.

Zerwanie, zerwanie. Pożegnanie, strata, zerwanie.

Ile sił odepchnął się od zimnego *eurookna*. A potem, zaciekle tnąc nocne powietrze, śrubą poszedł w górę. I dopiero wtedy znowu spojrzął w dół — na mleczno-

biały od śniegu oraz księżycowej poświaty Grzbiet — kiedy budynek pensjonatu zmniejszył się pod nim do bezsensownego pieprzyka na skórze świata.

Żaden przygraniczny pelengator, jak i być powinno, nie namierzył jego wędrówki po niebiosach. Już po transylwańskiej stronie Karl-Joseph pierwszy raz zrozumiał, *kto* tu zawsze krzyczy ptasim głosem. On sam ledwie zdołał wypłynąć z powietrznego wiru, który okazał się potężną anomalią astralno-energetyczną. Dziesiątki, jeśli nie setki dusz pędziły w tej czasoprzestrzennej przepaści, nie mogąc się nigdy z niej wyrwać. Najprawdopodobniej większość z nich była skazana na wieczne przebywanie w tej centryfudze. Karl-Joseph chytrze wyslizgnął się przez pozbawioną powietrza trąbę między dwoma cyklonami, nadchodzącymi z przeciwnych kierunków, z których każdy mógłby obracać nim do końca czasu.

Dopiero wtedy Zumbrunnen ostatecznie obrał swój kurs. Po lewej stronie pozostawił Suczawę, skąd właśnie dobiegały chóry całonocnego nabożeństwa, przemieszane z rykami puzonów na jakimś cygańskim weselu i gwizdkami manewrowymi na stacji Suczawa Północna, a po prawej — Bystrzycę i Piatra Neamț. Uparcie podążał wzdłuż Karpat i ze wszystkich sił starał się nie oddalać od kamienistych pasm grzbietów. Po transylwańskiej stronie wcale nie było śniegu, a wiosna wydawała się już tak głęboka, że tam w dole lada chwila mogły zakwitnąć sady. Ludzie pozostawiali jeszcze niżej, ta kraina na wysokości w ogóle nie do nich należała. Pomiędzy ludźmi i grzbietami rozcią-

gały się lasy. Karl-Joseph nie tylko pamiętał o tym — słyszał wszystkie strumyki w zaroślach i widział każde źródło z osobna. Ale mógł znacznie więcej — był w stanie usłyszeć każdy listek na każdym drzewie i jak pękają pączki, i jak oddycha mech, i — co nie wymagało specjalnego wsłuchiwania się — jak pod korą przyrastają roczne słoje albo jak bije serce wilka, a nawet jeża. Potem dostrzegł przed sobą pierwsze zęby Alp Transylwańskich, jednak nie dolatując do nich ostro skręcił na zachód. Tak, na zachód, bez wątpienia na zachód — w ucieczce przed świtem.

Od samego początku otwierał się przed nim cały wachlarz możliwości. Mógł na przykład wybrać najkrótszą drogę — nad Słowacją. Tam także nie brakowałoby gór, jeśli koniecznie chciał widzieć pod sobą góry. Mógł zboczyć bardziej na południe i krążyć nad samą słowacko-węgierską granicą — gdyby pragnął nie gór, ale wapiennych pagórków i winnic. Zresztą mógłby tę granicę przekroczyć, niepostrzeżenie nie tylko dla strażników, ale i dla siebie samego — i pojawić się nad kartograficzną zielenią Zemplińskich Wzgórz, a potem dryfując nie tyle na południe, ile na zachód, dotrzeć ostatecznie do Dunaju nieco powyżej Budapesztu. To właśnie Dunaju nie można było ominąć — zarówno w słowackim wariantcie trasy, jak i węgierskim. I dlatego mosty, barki, nadbrzeżne trzcin, tereny zalewowe i tak by nań czekały.

Gdyby jednak miał chęć na drogę nie najkrótszą, ale właśnie najdłuższą, to mógłby od samego po-

czątku ruszyć na północ i przeciąć Polskę. A to by oznaczało, że z pewnością przeleci również nad Lwowem. Karl-Joseph Zumbrunnen kochał to miasto mocniej i szczerzej niż większość jego mieszkańców. Teraz można już, nie kryjąc całej prawdy, powiedzieć głośno to, co za jego życia musiało pozostawać tajemnicą: Karl-Joseph często widział Lwów we snach. W tych, w których wypełniając sekretne rozkazy tajemniczych zwierzchników, przenikał do jakichś odrapanych, konspiracyjnych mieszkań, a stamtąd do zagraconych najrozmaitszym tysiącletnim chłamem podziemi, bo miał za zadanie odnaleźć wodę, koryto, rzekę. W ostatnim z tych snów znalazł ją, ale spowodowało to przerwanie służby pod Operą; Zumbrunnen pamiętał jeszcze, jak zewsząd przybywało pienistej, mętnej wody, jak stał w niej po pas, nie mogąc się ruszyć, jak — choć był rybą — ostatecznie woda zakryła go z głową i się zachłysnęła.

A mimo wszystko teraz od samego początku oddalał się od Lwowa. I nikt już nie powie dlaczego. Może, od dziecka przyzwyczajony do rysowania na mapach geograficznych, zapragnął domknąć półelipsę Karpat półelipsą swojego lotu? Stworzyć wokół środka Europy wirtualny owal imienia siebie samego?

Istnieje też inna możliwość. Może to był korytarz — *jego* osobisty korytarz — i zwyczajnie nie miał wyboru.

Wszystko idzie ku lepszemu w tym najlepszym z istnień.

Jeszcze tej samej nocy we Lwowie reżyser Jarko Mahik, pijany w sztok, zmaltretowany i nieszczęśliwy, nie wiedzieć jakim cudem znalazł się na dworcu kolejowym, gdzie wygrzebał z tylnej kieszeni ostatnie grosze za wstęp do płatnej poczekalni o *podwyższonym komforcie*. W rzeczywistości żadnego komfortu — nawet obniżonego — nie było tam ani śladu, natomiast niewątpliwą przewagę stanowiła nieobecność znienawidzonych Cyganów, którzy od niedawna tak się na niego zawzięli. Jarko Mahik ciężko opadł na dworcową ławkę i spróbował popatrzeć na wszystkie strony w poszukiwaniu ludzkiego współczucia. Nastawienie ostrości w wybałuszonych i wilgotnych oczach nie dało żadnych efektów. Jednakże gdy tylko wydobył z *głębokiej bocznej* napoczętą butelkę Balsamu Warcabycza, przysiadł się do niego jakiś żołnierzyna. Żołnierzyna okazał się dezterem, czekającym na pierwszy poranny pociąg podmiejski *domoj na Wielkanoc*.

„Znaczy — opowiadał Jarko Mahik dezterowi, gdy ten przywarł do butelki z ciemnym paskudstwem — tego, jak by to powiedzieć? Przyjeżdżam w piątek, nie? Skręcony materiał na kasecie, forsa w kopercie, nie? No, znaczy, wsio w pariadkie, nie?”.

Opowiadał tę historię ze czterdziesty raz. Żołnierzyna nic prawie nie łapał, ale udawał, że słucha.

„Znaczy — ciągnął Mahik — to ja sobie, tego, pospałem, pojadłem i włączam kasetę, a tam nic! Rozumiesz, wodzu, nic! Ni-chu-ja! Wszystko poszło się jebać! Klip sezonu, lista przebojów! Taka erotyka — debeściarska! De best of, wodzu!”.

Łapał oddech, pociągał z butelki i ocierał łzy. Przez cały dzień tej historii wysłuchały dziesiątki przypadkowych, nieznanych mu ludzi. Początkowo była zrozumiała, ale im dalej, tym bardziej się zapętleła. Tym razem też trudno ją było pojąć:

„Wtedy ja, no w tej kopercie, kaska — no taka była niechujowa paczka, i same zielone, wodzu! I co ty myślisz? Ja do koperty, a tam, tego, cały plik jakichś papierków, jedno gównno, cała sterta papierków, tylko dupę wycierać! Wodzu, taka paczka, że dwieście tyłków można by podetrzeć, wodzu!”.

Doświadczenie życiowe mówi: gdy tylko Jarko Mahik dochodził do tego miejsca, załamywał się. Tym razem też tak było — zaryczał: „Na kasecie czysto, a z honorarium gównno!”.

Żołnierzyna już od dawna posyłał kudłatego palanta do wszystkich diabłów, substancja w butelce wyszła, a słuchanie w kółko, że „to wszystko cygaństwo, wodzu, to wszystko cygaństwo, nie, ty tylko tego — kaseta pusta, a z honorarium gównno”, dojadło już do bólu. A jednak posyłał go tylko w myślach: do pierwszego porannego pociągu *domoj* były jeszcze dwie godziny i tak czy inaczej *dupa blada*.

Tak więc tu i teraz mamy ostatnią okazję, by zobaczyć ich z bliska.

Na przykład, jak przytłoczony swoimi stratami Mahik powoli się uspokaja, jak przypomina o sobie jego zmęczenie, jak mówi coraz ciszej i mniej wyraźnie, połykając całe słowa i zdania („honorarium zapierdolili, Austriaka zaciukali, cała kaseta w gównie”)

i wreszcie jak wpada, niczym w otchłań, w rozpacz drzemącego otępienia. Żołnierzyna na razie znosi tę głowę na swoim ramieniu.

Kilka chwil później reżyser Jarko Mahik, nie otwierając oczu, zauważy, jak do płatnej poczekalni *o podwyższonym komforcie* — wykorzystując moment, w którym wszyscy wokół, bileterki i ochrony nie wyłączając, zasną snem kamiennym — ze wszystkich stron przenikają zgięte wpół, skradające się postaci w obdartych ubraniach. Bezszelestnie suną na niego, rozkładając ostrza sprężynowców. Serce podejdzie mu do gardła, Jarko skuli się, Cyganie podniosą nad nim noże. Jarko Mahik wrzaśnie na cały dworzec kolejowy stacji Lwów.

Karl-Joseph mógłby usłyszeć ten krzyk, gdyby bardzo mu na tym zależało. Choć przecież oddalał się, i to nie tylko od Lwowa, ale i od myśli o Lwowie. W tej chwili zidentyfikował pod sobą Braszów ze stadem wron, które oblepiło szpiczastą wieżę i dachy Czarnego Kościoła i zapewne rozpoznawszy w nim świeże ciało astralne, podniosło z tego powodu niesamowity rejwach na całą mu podległą przestrzeń. Zwrot w niebie nad Braszowem spowodował, że Karl-Joseph narazie ruszył wzdłuż Alp Transylwańskich. Chyba specjalnie dla niego blask Księżyca jeszcze się nasilił. Każdy uskok i każdy występ skalny mógł widzieć z taką dokładnością, jakby sam je dla siebie wymyślał. W zamkach i pałacach bawiono się tej nocy, ale wszystkie zabawy zmierzały już ku końcowi. Damy

otulały w futra swoje przezroczytoblade, przyprószone księżycowym pyłem, wydekoltowane ramiona, tak samo bladzi panowie kłaniali się sobie, pobłyskując kopertami zegarków i monoklami. Wyborne arystokratyczne towarzystwo z godnością wsiadało do trzęsących tarantasów i karoc, by jeszcze przed wschodem słońca dotrzeć po serpentynach dróg nad urwiskami do domów, popić przed snem dobrze wysezonowanej krwi i zapaść w sen w trumnach.

Z prawej strony Karl-Joseph pozostawił Sigiszoarę ze wszystkimi jej labiryntami, nieco później dzięki konturom cytadeli, średniowiecznym arkadom między Górnym i Dolnym miastem i katedrze luterńskiej wypatrzył Sybin (no tak, nigdy w życiu tam nie był, ale tak samo rozpoznałby dowolny budynek, ulicę, plac w dowolnym mieście czy przedmieściu świata — na tym polegała szczególna korzyść z jego nowych możliwości, więc wypowiedział w myślach „Sybin, Hermannstadt” i jeszcze kilkakroć powtórzył), a potem po gwałtownej erupcji ogromnej chmury wymieszanych, trujących zapachów — no tak, pochodne ropy naftowej i siarka, siarka, oczywiście! — od razu rozpoznał, że też z prawej strony, ale znacznie dalej, o jakieś półtorej, dwie setki ludzkich kilometrów, mija Timiszoarę.

Transylwania w ogóle pachniała ropą naftową, zresztą pachniał nią cały świat.

Sigiszoara, Timiszoara — obydwie nazwy wydały mu się podobne do zaklęć. To była jeszcze jedna nić, wciąż nie zerwana — dziecięca i dziecinna miłość do zaklęć.

Ale — oczywiście — nie tylko zamki, nie tylko rynki zabawkowych niemieckich miasteczek, nie tylko maszty i wieże. Najwięcej było pustki, a drugie miejsce zajmowały żelazo i beton, dziewięcio-, dziesięcio- oraz dwunastopiętrowe bloczyska, pozawieszane bielizną i szmatami, upstrzone antenami satelitarnymi *dzielnice-sypialnie*, dalej słyły podmiejskie wysypiska śmieci, składowiska, zapuszczone tereny przemysłowe, hałdy i osiedla górnicze. Wszystko na swoim miejscu.

Niedaleko granicy serbskiej góry przeszły w równinę. Karl-Joseph westchnął i po raz ostatni obejrzał się na fatalną krainę, zwaną Karpatami.

W tej samej chwili, a może i w następnej, Artur Pepa i Roma Woronycz obudzili się tylko na moment i zetknęli wargami. Potem, zapadając znów w ten sam epizod, przy którym właśnie naciśnięty został guzik „pauza”, rozpletli objęcia i odwrócili się do siebie plecami. Część druga każdego spania we dwoje to chwilowe oddalenie, powrót do indywidualnych skorup ze zbawczym sygnałem z dna spowolniającej świadomości: to dopiero połowa nocy! To dopiero połowa życia!

Nie istnieją, jak sędzę, statystyki mówiące, ile ludzkich par śpi razem w jednym i tym samym momencie. Jeszcze trudniej ustalić, ile z nich śpi razem z miłości, ile z przyzwyczajenia, ile ze zmęczenia, ile z wyrachowania, ile z rozpacz. A już całkowicie niemożliwe jest statystyczne wskazanie, ile wśród nich jest par hetero-

a ile homoseksualnych. Dzięki Karlowi-Josephowi wiemy, że nie tylko bracia-gliniarze Mykulak i Drakulak spali tej nocy na jednym tapczanie. Widzieliśmy także Mahika, który złożył swoją kudłatą głowę na żołnierskim ramieniu dezertera.

A w czortopolskim internacie szkoły kaowców spały w jednym łóżku Lila i Marlana. I nie był to skutek *lesbi-show dla romantycznego i samotnego mężczyzny*, jak głosiły niektóre plakaty reklamowe. To była sama konieczność. Sama miłość.

I leżą teraz, przytulone do siebie jak najmocniej, dwie całkiem jednakowe *panny* czy może *dziewuchy*, albo lepiej powiedzieć: *laski*, farbowana blondynka i farbowana brunetka, tyle że jedna z nich ma solidnie podbite oko i mocno chwiejącą się górną trójkę, a druga — czerwoną plamę *malinki* pod lewą piersią oraz całą kolekcję sińców na szyi i przedramionach.

I nic ich nie rozłączy. Chyba że szengenśka wiza.

Nad Wojwodiną Karl-Joseph Zumbrunnen wreszcie dotarł do Dunaju. Najpierw skręcił w lewo na Nowy Sad, ale zapach brudnych bandaży gwałtownie odrzucił go na północ. Jakiś rok temu były tu wściekłe bombardowania, więc nie udało mu się na rzece zobaczyć co najmniej połowy oczekiwanych mostów. Nie lepiej wyglądały sprawy z żegluga: wizja ruchomych światła na statkach gdzieś w dole okazała się haniebnie naiwna. Jednak Karl-Joseph mimo wszystko postanowił lecieć nad samą wodą, dalej na północny zachód. Wciąż jeszcze zachował resztki dunajskiego idealizmu

ze swego niedawnego życia, dokładniej rzecz biorąc, była to już tylko pamięć pamięci na poziomie najdrobniejszych struktur komórkowych jego obecnego *ciała*. Tak więc, przez jakiś czas ciągnęło go w górę nad Dunajem, ale już od samego początku ta droga okazała się przepełniona lecącymi w przeciwnym kierunku aniołami. Nie, nie robiły mu przeszkód — po prostu za każdym razem musiał wyjaśniać, kim jest i skąd pochodzi. Było to, po pierwsze, dość niezwykle (jak w wojsku raport przed kapralem), a po drugie, trochę poniżające. Nieco później zrozumiał, że będzie to trwało dopóty, dopóki nie porzuci koryta Dunaju — był to tak zwany Korytarz Dunajsko-Anielski, miejsce stałych patroli, strefa pod specjalnym nadzorem. Dlatego Karl-Joseph zdecydowanie skrzył trochę na zachód. Stało się to gdzieś nad węgierską granicą, dalej był Pecz, gdzie kolejne stado wron powitało go nerwowym hałasem, w przestrachu krążąc wokół minaretów. Później popłynął nad wielką pustką puszczy, gdzie wciąż jeszcze trwała noc — cały czas na północny zachód, no tak, uciekał przed dziennym światłem, przecież należał już, już *prawie* należał do Innego Światła.

Ale światła ziemskiego, elektrycznego, wciąż tymczasem przybywało. Im dalej na zachód, tym więcej pojawiało się w dole oświetlonych szos, torów, bulwarów, wyszczerbiony tasak Balatonu był cały oblepiony przez świetlistą girlandę nabrzeżnych reflektorów, latarni i pław, dalej za Sopronem już można było odgadnąć

jedno wielkie migotanie, które zbliżało się, nasuwało nań jak zachodnia cywilizacja — no tak, to była już ona, Austria, nieodłączna część Imperium Elektryczno-Świetlnego. Tylko Jezioro Nezyderskie jeszcze wabiło go czarną, wydłużoną plamą, i zdołał poczuć całą słoność jego ciepławej wody, cały szmer jego trzcin, bo przecież w ogóle mógł tej nocy poczuć wszystko. Ale już nie tak, *nie tak* — i to było najsmutniejsze.

Od południowego wschodu zbliżał się do Wiednia. Nie potrzebował żadnego kompasu ani astrolabium — rozsypane kolorowe światła w dole, wpisane w ogromny świetlny łuk z dwoma niedokładnymi okręgami na końcach, świadczyły, że ma pod sobą Schwechat. O tej porze nic się tu jeszcze nie działo — dziesiątki większych i mniejszych samolotów nocowały wprost na płycie lotniska. Co prawda, zaczynał już schodzić do lądowania UPS6612 z Kolonii, podczas gdy OS3016 z Bangkoku miał dwadzieścia jeden minut spóźnienia. Dalej zaczynał się prawdziwy kołowrót: Liège, Kopenhaga, Sydney przez Kuala Lumpur, a także — niech to diabli — Odessa przez Lwów. Odloty do Budapesztu, Stambułu, Aten, Frankfurtu. A potem już co minutę.

Przez jakiś czas Karl-Joseph trzymał się blisko tego z Kolonii i zdążył zajrzeć przez iluminator do na wpół pustego wnętrza z dużą grupą Hindusów w pomarańczowych turbanach (po jaką cholerę im Wiedeń o takiej godzinie?!), ale ze względu na coraz bardziej odczuwalne rozświetlanie się wschodniej części nieba *za plecami*, ruszył w bok od skrzydła boeinga i kon-

tynuował swój niezależny od wszelkich połączeń lotniczych kurs.

À propos, z pewnością nie należy wyobrażać sobie Karla Josepha jako jakiegoś antropomorficznego samolotu — horyzontalne położenie korpusu i nóg; ręce w roli skrzydeł, głowa z pilotem w środku. Tak naprawdę całą swoją *antropomorficzność* pozostawił był jeszcze tam, na zsuniętych razem biurkach, w pomieszczeniu byłej katowni, a potem hauptwachy, gdzieś w Karpatach Wschodnich. Tak naprawdę był chmurką, Kroplą w Oceanie, po prostu kroplą, kropką, cząstką księżycowego blasku.

Tak naprawdę był wszystkim.

Nie porzucając swego księżycowego korytarza, Karl-Joseph Zumbrunnen dotarł do Simmeringu i dalej poleciał nad odgałęzieniem torów, które przeszło w wielotorową płataninę lokomotywowni Kiedering. Po obu stronach torów rozciągały się nieużytki, za którymi wyrastała średnio ciekawa zabudowa. Gdzieś tam, z lewej, w jednym z takich niezgrabnych domów niedaleko Kurparku, mieszkała chyba po ślubie Eva-Maria — ale nawet nie skoncentrował się, by zobaczyć jej sypialnię, łóżko, ją samą, by posłuchać, jak oddycha we śnie. Z kolei, kiedy zahaczył o terytorium Cmentarza Centralnego, całkiem wyraźnie ujrzał ceremonię spalenia swojego byłego ciała w tamtejszym krematorium. Miało się to stać dopiero za osiem dni (wezwanie austriackiego konsula na Ukrainie, wyrobienie koniecznych papierów, konferencja prasowa ambasadora, lot Kijów–Wiedeń pod specjalnym nad-

zorem, kilkoro znajomych, zgromadzonych z okazji kremacji, dalej już tylko ogień, ogień, ogień) — właśnie tak to musiało wyglądać i zakończyć się garścią pyłu, prochu, popiołu, który kiedyś umiał fotografować i całować. Ale Karl-Joseph miał inne sprawy na głowie niż ten pył.

Bo dalej był Südbahnhof, Dworzec Południowy — przyszła jego kolej. Tak, ulubiona oaza z palmami, skrzydlatymi lwami, bezdomnymi, wariatami, turecko-arabskimi taksówkarzami, bałkańskimi prostytutkami, dworzec dla biednych, południowo-wschodnia forpoczta *lepszego świata*. Tak, niejedną ze swych nocy spędził w tych okolicach, krótkowzroczny poszukiwacz przygód i fotograf z jego obecnym imieniem, któremu wówczas chodziło o cały album z nocnymi dworcami Wiednia: przepełnione kosze na śmiecie, dziesiątki zgniecionych puszek po piwie — nie wiedzieć czemu zawsze Ottakringer, a nigdy Zipfer, plastikowe butelki, papierowe torby, pudełka, gazety, reklamy. Teraz też rozpoznał tych samych ludzi w poczekalniach — Predraga, Maricę, Dejana, Willy'ego, Nataszę, Izmaila — czyżby naprawdę nigdy stąd nie wychodzili, przez wszystkie cztery, a gdzie tam, niemal pięć lat?

Nawet go nie poczuli. Dawanie znaków nie miało sensu. Jego prędkość rosła — coraz szybciej i szybciej. Już przelatywał nad Wiedniem, nad Karlsplatzem, nad poziomo zawieszonymi w niszach przejścia podziemnego ćpunami, nad pierwszymi tramwajami na Ringu, nad dnem metra i wszystkim, co pod nim. Widział już przed sobą tam, za historyczno-kulturalną

kłoałą Wewnętrzneę Miasta, całe północne okolice z Łaskiem Wiedeńskim, zielonym i lepkiem o tej porze roku. Zapraęnął upaść na ten las.

Ale gdzieś w powietrznym trójkącie między Świętym Stefanem, kościołem małańskim oraz Kaplicą Kapucynów władczo uderzono nim o niewidzialną i nieprzenikalną kurtynę. I tylko oślepioo nieznosnie białym błyskiem. Wyrosła przed nim Świetlista Ściana, z której chrypliwy jazzowy głos zapytał:

— Ktoś ty? Kto żąda, by go wpuszczono?

Karl-Joseph ani się obejrzał, jak odpowiedział:

— Jego Wysokość, Cesarz Austriacki, Król Węgierski.

Widzowie (a były ich, niewidzialnych, setki tysięcy na tym koncercie) zagwizdali i zatupali.

Wtedy ze Świetlisteę Ściany ten sam głos przemówił:

— Nie znam takiego. Kto żąda, by go wpuszczono?

Znów odpowiedź sama mu się wyrwała:

— Cesarz Świętego Rzymu, Karl-Joseph, Apostolski Król Węgier, Król Bohemii i Cyganii, Król Jerozolimski, za młodu fan Judas Priest i Iron Maiden, Wielki Książę Transylwański, Wielki Herzog Toskański i Krakowski, Herzog Lotaryński...

Na to zerwał się na owym stadionie jeszcze potężniejszy szkwał oburzenia.

— Nie znam takiego. Kto żąda, by go wpuszczono? — trzeci raz zapytał ze Ściany jeszcze bardziej ochryply głos.

I dopiero wtedy nowo przybyły odnalazł właściwą odpowiedź:

— Jestem Karl-Joseph, biedny grzesznik, fotograf i cudzołożnik, zdaję się na Twoje miłosierdzie.

Niewidzialni Widzowie ucichli. Zaledwie na pół sekundy, choć wydawało się, że na dziewięć tysięcy lat.

— A więc możesz wejść — wyrzekł nareszcie głos ze Ściany.

A wtedy Ściana przestała być ścianą, i stała się Świetlistymi Schodami, i prowadziły one — być nie może — w górę.

(Wyobraźmy sobie, że stało się to właśnie tak. Bo cóż nam pozostaje? Ciało na zsuniętych razem biurkach?).

W tej samej chwili Artur Pepa kładzie dłoń na ciepłym udzie Romy. Zdarza się to akurat w pół drogi między snem a jawą. We śnie dopiero co miotał się hałaśliwy tłum, coś jakby huculski chór czy teatr. Wykradli mu z kieszeni pisanek, całą w pomarańczowych gwiazdach i krzyżykach, i nie chcieli oddać. Widząc, że się budzi, miarowo znikają — kłaniając się, potańcowując i coś frywolnego wstydliwie podśpiewując.

I niechaj to będzie *odejście bohaterów*, ale już innych — z innej powieści innego autora.

A my też powinniśmy odejść — z nadzieją, że tym razem Artur Pepa jednak nie prześpi porannej erekcji.

2001–2003, Boalsburg–Feldafing–Stanisławo-Frankiowsk

ORFEUSZ CHRON(OLOG)ICZNY

To nie tyle *notatki na marginesie* czy *historia powieści* albo *choroby*, ile próba autokomentarza. Z niewątpliwym akcentem na *auto*. Czyli komentarz autora, zrobiony przede wszystkim dla siebie samego. Zastanawiając się nad nim, nagle doszedłem do wniosku, że taki autokomentarz do mojej najnowszej powieści może zawrzeć w sobie dosłownie wszystko, co działo się ze mną przez ostatnie siedem, osiem lat. Tyle właśnie czasu trwało jej, tej powieści, przeżywanie razem z pisaniem.

Ale *wszystkiego* zawrzeć tu nie można — i musiał się już o tym przekonać każdy mniej lub bardziej maksymalistyczny kronikarz.

Moje notatki są więc z konieczności wyrywkowe.

1

Przełom 1995/1996 przezimowałem z Antonyczem. Wstyd się przyznać, ale pisałem o nim doktorat. To była próba, zresztą podwójna. Po pierwsze, próba mojej młodzieńczej

miłości do jego poezji — czy przetrwa? Po drugie, sprawdzenie moich możliwości pisania na komputerze. To narzędzie właśnie pojawiło się w moim domu. Jeszcze rok wcześniej, kończąc *Perwersję*, żarliwie zapewniałem, że ta *mrugająca istota* nie może być pomocna przy kształtowaniu najdelikatniejszej tkaniny prozy. I okazało się, że maleńki, migający kursor w przerażającej, czarnej pustce monitora sprzyja jednak pewnej migotliwości myśli.

Nieco wcześniej wiele dni spędziłem na robieniu rozmaitych okołodoktoratowych wypisów z tekstów Antonycza, głównie z jego wierszy. Uderzyło mnie, że niektóre jego strofy często wywierają znacznie silniejsze wrażenie niż całe wiersze. Kolejny raz na nowo czytałem strofę o *karczmie na księżycu* — i nagle wyobraziłem ją sobie jako wypisany na ekranie kinowym epigraf do modnego francuskiego filmu o poecie-dekadencie. Potem jakoś przyszło mi na myśl, że gdy niezależnie od skutków, skończę z doktoratem, zacznę pisać powieść — fikcyjną biografię Antonycza.

To chyba tak właśnie było.

2

W 1997 roku wokół mnie zaczęli umierać ludzie. Oczywiście już wcześniej poznałem takie zjawisko, jak śmierć, ale zdawała się ona na tyle odległa, że nie mogła dotyczyć mnie osobiście. Zaczęło się od mojego ojca — po jego śmierci w noc przed Wielkim Piątkiem bardzo długo dochodziłem do siebie (jeśli w ogóle doszedłem). Na początku lipca

z Kijowa nadeszła wiadomość, że jeden z moich najbliższych wówczas przyjaciół, Witalij Kociuk, umarł w reanimacyjnych mękach spalonego przez nieznanych morderców ciała. Nie pojechałem na pogrzeb, ale (przepraszam za to „ale”, w żadnym razie nie pojawia się ono tu po to, by przeciwstawić jeden *wysilek* drugiemu), tak więc — nie pojechałem na pogrzeb, lecz porządnie się upiłem w pewnym mieszkaniu w Iwano-Frankiwsku jeszcze tego samego wieczora, czyli 6 lipca. Wyszedłem na balkon, całe niebo było w gwiazdach. Ni stąd, ni zowąd przypomniało mi się, że Antonycz zmarł równo 60 lat temu, w noc świętojańską 1937 roku. Nie pamiętam, jak długo to trwało — balkon i niebo gwiaździste nade mną. Chyba właśnie tyle czasu, ile zrozpaczony pijany człowiek potrzebuje na wypalenie dwóch czy trzech papierosów pod rząd. Ale stało się — najbardziej mistyczne uczucie, jakie kiedykolwiek mi się przydarzyło: zrozumiałem z całkowitą jasnością, że Antonycz *jest* (mimo skonstruowanej przez medyków 60 lat temu śmierci) i — to prawdziwy wstrząs — że Witalij też *jest*. To było *od czuwanie obecności*, odważyć się zacytować, nieważne, jak bardzo już zużyto tę frazę Tarasa Prochaški.

3

Podobną rzecz — czy tak mi się tylko wydaje? — odnajdujemy w jednym z listów Rainera Marii Rilkego, który wyjaśniając swojemu polskiemu tłumaczowi mgliste i nieoczywiste, a mimo to kluczowe koncepcje *Elegii duinejskich*,

napisał tak: *Śmierć to inna, nieoświetlona przez nas strona życia: powinniśmy osiągnąć najwyższą świadomość naszego istnienia, która czuje się zadomowiona w obydwu nie rozgraniczonych między sobą sferach i pobiera pokarm z ich niewyczerpanego źródła... [...] Nie ma ani tego, ani tamtego świata, jest tylko jedna wielka jedność, w której przebywają wyższe niż my istoty, „aniołowie”.*

Kwestia „aniołów” do tej pory jest dla mnie nie całkiem jasna, tym bardziej, że sam Rilke wziął ich w cudzysłów. Ale jeśli chodzi o obydwie nie rozgraniczone sfery jednej wielkiej jedności, to wszystko dotknęło mnie do głębi.

Powieść miała stać się poszukiwaniem granic w niepodzielonej jedności i ich pokonywaniem. Innymi słowy, autor zapragnął znaleźć terytorium, gdzie *my wszyscy* — ci, którzy odeszli i znikli z widzialnej powierzchni świata, oraz ci, którzy wciąż jeszcze na niej pozostają — mamy szansę na spotkanie.

4

Rilkego już tylko wyciągnięcie ręki dzieli od Orfeusza. Jego ręki, Rilkego.

Z całego Panteonu właśnie Orfeusz, nie wiedzieć czemu, nie daje mi spokoju swoimi kolejnymi, nieco groteskowymi wcieleniami. Najpierw Samuel z Niemirowa, szlachetny łotr i *hulajdusza*, uspokoił grą na flecie podłużnym rozwścieczone bestie z wędrownego zwierzyńca i nakazał im spokojnie wrócić do porzuconych klatek. Potem już inny

Niemirycz, Jurij (daleki potomek tamtego, zwany też Jurkiem Niecnotą), trafia na (właśnie tak, w sam środek) zabawę nie z tego świata, umiejscowioną w czortopolskiej Willi z Gryfonami, aby — jak mu się zdaje — wyciągnąć stamtąd swoją Eurydykę-Amalteę, a naprawdę, by przejść pewną antyśmiertelną inicjację i uwolnić się, choćby chwilowo, od nieuleczalnej choroby. Otto von F. w moskiewskiej *Moscowiadzie* nie tylko uważa ukraiński przekład *Sonetów do Orfeusza* Rilkego za najlepszy z tych, które zna. On sam ostatecznie trafia we wszystkie bez wyjątku strategiczne piekła moskiewskiej podświadomości zbiorowej, a jego Eurydyka tym razem ma na imię Gala.

Stach Perfecki (Spas Orfejski) to całkiem osobna historia. Jego śmierć, jak się zdaje, fikcyjna i udawana, jednak utwierdziła mnie w przekonaniu, że następna, w następnej powieści, powinna być prawdziwa.

5

A więc Orfeusz. A więc śmierć.

Mitologiczna śmierć Orfeusza jest dość przerażająca: rozerwały go na strzępy niepowstrzymane w swoim szale menady. Ciekawe, w jakiej stronie świata mogło się to wydarzyć? Wiadomo na przykład, że głowę Orfeusza, która nieustannie wzywała Eurydykę nawet po oderwaniu od ciała, do brzegów wyspy Lesbos przyniosły morskie fale, a do morza — wody rzeki Hebrus. To gdzieś w Tracji, a może w Scytii. W każdym razie stało się to gdzieś w północno-

-wschodnio-barbarzyńskiej części świata. Ponieważ jednak w każdym z opisów Hebrusu mowa jest o rwącym nurcie, wapiennych mieliznach, mnóstwie progów i wąskich przełomów, to jestem przekonany, że do napadu menad na Orfeusza doszło gdzieś w naszej karpacko-bałkańskiej strefie. Mitologiczny Orfeusz też stąd pochodził. W przeciwieństwie do Karla-Josepha Zumbrunnena, którego tylko daleka rodowa fatamorgana pradziada — karpackiego leśnika — pewnego fatalnego dnia po raz pierwszy zaprowadziła na te *przez Boga i ludzi zapomniane ziemie*.

Nie wiemy, po co wędrujemy — zauważyłby tutaj sam Karl-Joseph. — Czyżbyśmy i bez wędrówek mieli za mało samotności?

6

To już zupełnie nie ma znaczenia, ale nie mogę pozbyć się wspomnień z sierpnia 1997. Wędrowaliśmy po słowackich górach, okolica nosiła nazwę Slovenský Raj, choć jak dla mnie, to raj jest tam wszędzie. Pewnego razu po siedmio- czy ośmiogodzinnej, dość męczącej przeprawie nad przepaściami (trzymaliśmy się rozpiętych nad nimi łańcuchów) wreszcie rozłożyliśmy się w rajskiej trawie. Obok płynął strumień, właściwie niewielka rzeczka, zielonkawa i czysta, na dnie było widać nie tylko każdy kamyk, ale nawet każdą muszelkę i ziarenko piasku. Było tam niewielkie zagłębienie, takie sobie jeziorko niemal bez nurtu, jakieś półtora metra głębokości, i wtedy zobaczyłem trupa jeszcze nie

znanego mi mężczyzny, wypływającego na powierzchnię, to znaczy nie — już leżącego na powierzchni, w czystej górskiej wodzie. Został zabity przedwczorajszej nocy, i teraz całe nasze towarzystwo uważnie spoglądało w jego stronę, na wpół leżąc w rajskiej trawie po trudnym marszu. Patrzyli wszyscy — ale widziałem go tylko ja.

7

Góry to w ogóle czynnik powieściotwórczy. Zwłaszcza w wypadku *Dwunastu kręgów*. Jakkolwiek banalnie by coś podobnego zabrzmiało, góry są głównym bohaterem tej powieści, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych wprost oszałamiałem na punkcie zbierania górskich pejzaży. Na przykład jesienią 1998 po raz pierwszy ujrzałem Appalachy w Pensylwanii. To już prawie nie góry, takie sobie spłaszczone wzniesienia, mające po kilkaset metrów, porośnięte chaszczami, choć czasem ze śladami czegoś bardzo karpackiego. Do dziś zamieszkują je Łemkowie, choć anglojęzyczni. Sto lat wcześniej zhańbili się jako łamistrajki w tamtejszych kopalniach, za co społeczność irlandzka i niemiecka głęboko się na nich obraziła. Anglojęzyczni grekokatolicy — to coś tak samo niezwykłego, jak na przykład prawosławni Turcy, Gagauzi.

Tu właśnie przyjadę pisać moją nową powieść, postanowiłem, niczym jakiś Andy Warhol, któremu wszystko wolno.

Pod koniec sierpnia 1999 roku razem ze Stasiukami (prowadził Pro chaśko) weszliśmy na Pietrosa, wdychając niezwykle intensywne zapachy rozgrzanego w słońcu jałowca i często przywierając ustami do szyjki piersiówki. Co do jałowca: te jego zapachy sprawiły, że wspinając się w aureoli upału coraz wyżej, po cichu przysięgłem wypić cały gin z tonikiem, który będzie w kiosku, gdy tylko powrócimy na dół, na usianąioskami, zbawienną ludzką równinę. Na Pietrosa wyruszyliśmy po alergizującym noclegu w uniwersyteckiej stacji badawczej w Kwasach (oto, gdzie jest naprawdę śródziemnomorska roślinność — wszędzie cyprysy i pinie!). Taras Prochaśko poprowadził łatwiejszą, ale i tak niełatwą drogą: pozostawiliśmy z prawej pokonany przez nas wczorajszego wieczora Szesul. Jeśli połonina może nazywać się Szesul, pomyślałem sobie, to dlaczego nie mogłaby się nazywać Dzyndzuł? Pewien mądrała uczył mnie, że wszystkie karpackie oronimy mają tracką (a więc orfejską) naturę.

Zejscie z Pietrosa do Jasini okazało się sprawą znacznie bardziej złożoną niż wspinaczka. Wplątywaliśmy się w jakieś jagodowe zbocza, zielone pęta jagód omotywały nam nogi, choć inercja ostrego spadku wciąż popędzała w dół. „Śmierć na jagodowym polu” — przepowiadała Monika. Wciąż pamiętam, jak wreszcie wydostaliśmy się na leśną drogę i potem cały czas szliśmy nad którymś dopływem Cisy, w którym woda — znowu — wydawała się tak zielona i czysta, że ledwie powstrzymywałem swoje rybnie instynkty; pamiętam jeszcze niezliczone tamy w dół nurtu. Od tej właśnie chwili Karl-Joseph Zumbrunnen, mój bohater, do końca życia lu-

bił zanurzać się w niezliczonych górskich potokach i w skupieniu leżeć w nich, patrząc w głęboki, bez jednej chmurki, błękit otchłani w górze.

9

Do Jasini dotarliśmy — na przekór wszystkim prorocstwom — jeszcze tego samego wieczora, ale już prawie padając ze zmęczenia. To było niezwykle doświadczenie czegoś, co w metafizyce nosi miano *wiecznego zbliżania się*. Im dłużej szliśmy, tym większą liczbę kilometrów, dzielących nas od tego zakłętego miejsca, wymieniali napotkani tubylcy. Jasinia zdawała się czymś w rodzaju środkowoeuropejskiej Szambali. Aż wreszcie o zmierzchu dotarliśmy tam. Wtedy okazało się, że to nie jest ani Szambala, ani Macondo. Choć niekiedy jednak przypomina Czortopole.

Co prawda i tak spóźniliśmy się na pociąg i do następnego — o drugiej w nocy — zostało zaledwie pięć godzin. Przystajna trawa aż się sama prosiła — wyciągnęliśmy się w niej z piwem i jedną jedyną (więcej w kiosku nie mieli) butelką ginu z tonikiem.

Wtedy to właśnie podszedł do nas w mroku pewien pijak — z tych, którym ponoć brakuje do szczęścia tylko papierosa. Zwabiony polszczyzną Andrzeja i Moniki, i tak by się nie odczepił. Poza tym miał ogromną ochotę porozmawiać o karpackich wędrówkach, bo on tu jest przecież najbardziej doświadczony i *samyj opytnyj*. W którymś momencie zdecydowanie zmienił mu się głos i ostrzegł nas przed chodze-

niem na Bliźnicę (*Blizniacy*, mówił), kiwając ręką w stronę niewidocznej w nocy góry. Chcieliśmy wiedzieć dlaczego. „Dowbusz tam wszystkie złoto zakopał — odpowiedział pijak. — I teraz tam żyje ten, no...” — przystawiając palce do głowy, pokazał rogi. Udaliśmy, że nie rozumiemy. „Dwunasty!” — wypalił Poseł od Nocy.

Dwunasty — jak dla mnie, fantastycznie wymowne imię. Bo kiedy Imię łączy się z Liczbą, rodzi się orfeizm.

10

Imion dotyczy tu jeszcze niejedna historia. Ale oto przynajmniej jedna z nich.

Jesienią 2000 roku szukaliśmy mieszkania w Pensylwanii. To było strasznie ważne: miejsce, które miało stać się naszym domem na najbliższe dziesięć miesięcy. Dla mnie oznaczało to, że będę w nim pisał nową powieść. Przestrzeń, w której pisze się powieść, powinna być czymś szczególnym, podobnie jak krajobraz, który należy mieć za oknem. Postanowiłem oglądać tylko te mieszkania, w których przynajmniej z jednego okna widać góry. Nawet jeśli byłyby to spłaszczone wzniesienia Appalachów.

Dwunaste z rzędu mieszkanie do wynajęcia znajdowało się w *historycznym miasteczku* Boalsburg, założonym przez Irlandczyków i Szkotów gdzieś w początkach amerykańskiej niepodległości. Było znane z autentycznej tawerny z 1828 roku i starego cmentarza wojskowego. Przypominało nam głównie starą pocztówkę albo kadr z filmu o Mary Poppins.

Dwunaste mieszkanie miało zamiast jednej ze ścian ogromne okno. *Zielona przestrzeń* za nim obiecywała, że mogą przychodzić tu jelenie i sarny (las zaczynał się właśnie tu, trochę wyżej, o jakieś pięć minut drogi). Ale dla mnie główną atrakcją krajobrazu stała się góra Tussey, a dokładniej jej spora część, na najdalszym planie. Dobrze mieć takie tło.

Kiedy podpisywałem umowę, manager podał mi kopertę z adresem właściciela, na który należało wysyłać czeki. Karpati — tak brzmiało jego nazwisko, Frank Karpati.

Trochę niezwykle, powiedziałem do managera. Węgierski Żyd, wyjaśnił. Uciekł jeszcze w pięćdziesiątym szóstym, kiedy tam była rewolucja. O czym będzie pana powieść, zainteresował się na pożegnanie. O Karpatach, odpowiedziałem, a on się roześmiał. Zupełnie jakbym żartował.

11

W Ameryce okazało się, że to *kraina wielkich możliwości*. Z kilku nawet potrafiłem skorzystać. W styczniu 2001 roku w Pensylwanii napadało śniegu i ścisnął mróz. Wtedy pojawiła się *możliwość*, by polecieć nad ocean, na Florydę. Przejście ze stycznia do subtropików poruszyło wszystkie istniejące we mnie membrany. Powieść nagle zaczęła wypełniać się konkretami — obrastać imionami, charakterami, perypetiami. Obserwowanie oceanu przydawało temu wszystkiemu jakiegoś szczególnego sensu. Temperatura wody osiągała dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Dałem so-

bie słowo, że gdy tylko wrócimy, usiądę do pisania. W samolotach między Fort Lauderdale i Pittsburghiem przez całą drogę rysowałem mapki okolicy: szosa, Rzeka, nad nią most, pralas, pensjonat na połoninie, transylwańska granica...

Pierwszego lutego utworzyłem tajny plik doc1.doc i wystukałem początek pierwszego zdania: *W listach z Ukrainy Karl-Joseph Zumbrunnen pisał...*

Nad jego dalszym ciągiem przesiedziałem bezradnie trzy kolejne dni.

12

Od samego początku była to walka. Takich trudności pisania jeszcze nie znałem. Miało to przyczyny nie tylko prywatne, ale również społeczne — pozbawione głowy ciało przyjaciela, które spowodowało rewolucję. Zamiast pisać zdania powieści, okrągłe, nasycone i wielowymiarowe, godzinami siedziałem w internecie, odpowiadałem na maile, podpisywałem listy otwarte, kopiowałem i rozsyłałem reportaże i odezwy.

(No tak, pochwal się, gołąbeczku, swoim wkładem w wielkie dzieło niszczenia wciąż ostatecznie nie zniszczonego systemu. Tak naprawdę po prostu zamierałeś z bezsilnie zaciśniętymi pięściami. Jeśli to jest wkład, to sam wiesz jak bardzo nikły).

O głowie Orfeusza wiemy, że pochowano ją na Lesbos, skąd jeszcze przez kilka lat wygłaszała proroctwa. O głowie Georgija nic nie wiadomo.

W rzeczywistości spotkałem się z nim dwa razy, ale za każdym razem na ostatecznej granicy bliskości. Latem 1996, po nagraniu jakiejś rozmowy dla telewizji, znienacka zadał mi pytanie, którego wcześniej jeszcze nikt nie postawił: „Jurku, a co się naprawdę stało z Perfeckim? Żyje?”.

Interesowało go to, bo należał do tego samego gatunku ludzi, tak sobie myślę.

Moją powieść ciągnęło gdzieś w bok. Kiedy w marcu skończyłem w bólach czwarty rozdział, zatrzymałem się i o mało co nie postawiłem na niej krzyżyka, niszcząc wszystkie tajne teksty.

13

Ale w rzeczywistości przepadł tylko jeden z nich. Pod koniec roku, w listopadzie, musiałem pisać go od nowa z pamięci. Pamięć okazała się źródłem znacznie pewniejszym, niż sądziłem. Czasem wydaje mi się, że nie zgubiłem ani słowa.

Tym razem powieściowa machina ruszyła z miejsca lekko i radośnie: dawała o sobie znać sprawdzona przestrzeń willi Waldberta w Feldafingu (Górna Bawaria), gdzie swego czasu pisałem *Moscoviadę*. Spacerowanie nad jeziorem albo wieczorne wypadki do Monachium też nie przemijały bez śladu — obmyślanie mise en scene i dalszych rozgałęzień historii przebiegało w wagonach S-Bahnu i pociągach regionalnych. Tego roku zaczęły się one spóźniać, zmieniać trasy, przepadać bez wieści. Idealna kolejowa struktura idealnie punktualnych

Niemiec zaczęła trzeszczeć i pękać. Na peronach zbierały się nieoczekiwane tłumy zdenerwowanych pasażerów i co ich wszystkich obchodził ten Ausländer oraz jego notesy i ołówki, poutykane po wszystkich kieszeniach?

14

Połowa grudnia 2001 przyniosła jeszcze jedną ofiarę. W Wiedniu z okna własnego mieszkania *gdzieś na Pratersternie* wyskoczył Christian Loidl — poeta, którego niektórzy z nas zdążyli polubić jak siebie samych. Obdarzony szczególnego rodzaju rozstrojem nerwowym, od czasu do czasu wydawał gdzieś z głębi wnętrza jakiś niekontrolowany wysoki dźwięk — przypominający krzyk egzotycznego ptaka, być może argentyńskiego. O Christianie jeszcze kiedyś napiszę osobny i odrębny rozdział Jedynej Księgi. Teraz chcę powiedzieć o czymś innym.

Około dziesięciu dni przed jego ostatnim skokiem (mówią, że wcześniej zmienił już swój elektroniczny nick na *air-poet*) razem piliśmy w Wiedniu wódkę-pieprzówkę, a on chwalił się kupionymi na pchlim targu wiewiórczymi łapkami. Nina zdążyła sfotografować go w chwili, gdy przyłożył je do ust w miejsce wąsów. Wąsy wyszły opadające, coś jakby *placz Ukrainy*. Dzień wcześniej ogolił głowę, więc na zdjęciu wygląda teraz całkiem jak kozacki charakternik.

Ale ja znowu nie o tym mówię. W rzeczywistości chcę powiedzieć, że ani tego, ani następnego wieczora w żadnym razie nie przypominał kogoś, kto zamierza odebrać sobie ży-

cie za jakieś dziesięć dni. Ależ skąd, nawet omawiał z Serhiem Żadanem jakieś plany dotyczące wspólnego spędzania Bożego Narodzenia na Ukrainie.

Jednak dziesięć dni później to się stało: *airpoet*.

15

Cały 2002 rok przeżyłem z poczuciem niedokończonej powieści. Pozostał mi ostatni lot już oddzielonego od własnego ciała Zumbrunnena. Znów zasiadłem do map, planów miast, schematów nawigacji lotniczej. Na tydzień przed nowym 2003 rokiem kilkoma ostrymi ruchami skończyłem pierwszą redakcję, a potem aż do marca nie mogłem przestać jej poprawiać.

Ale teraz zrozumiałem, że ostatecznie moja nowa powieść skończyła się dopiero jakieś dwa tygodnie temu, w pociągu między Suczawą a Bukaresztem. Przyszło to razem z nagłym zrozumieniem, że ten ruch na południe i trochę na zachód to nic innego, jak epilog. I dlatego ten pociąg jest środkowo-europejski, pola kukurydzy i słoneczników za oknem to Rumunia, śmietniska wokół betonowych straszydeł to Cygania, a nieskończone pasmo górskie na horyzoncie — to Karpaty.

Ale kim w takim razie jest ten jedyny w całym wagonie pasażer, ten ja?

ŹRÓDŁA CYTATÓW

ŹRÓDŁA

Bohdan Ihor Antonycz, *Księga Lwa*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981 [dalej jako: PIW].

Antologia poezji ukraińskiej, red. F. Nieuważny, J. Pleśniarowicz, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977 [dalej jako: APU].

Bohdan Ihor Antonycz, *Twory*, Dnipro, Kyjiw 1998 [dalej jako: TWO].

CYTATY I NAWIĄZANIA

Tytułowe „dwanaście kręgów”

Elegia o kluczach do miłowania, przeł. Jerzy Litwiniuk, PIW, s. 42.

Epigraf

Zaproszenie, przeł. Olga Petyk, APU, s. 635.

5

s. 135: *Autoportret*, przeł. Tadeusz Hollender, PIW, s. 37.

s. 135: *Sady*, TWO, s. 244.

s. 136: *Autobiografia*, przeł. Kazimierz Andrzej Jaworski, PIW, s. 33.

s. 136: *Zielona ewangelia*, przeł. Jerzy Pleśniarowicz, PIW, s. 58.

s. 139: *Polarium*, przeł. Kazimierz Andrzej Jaworski, PIW, s. 88.

s. 139: *Arktyka*, TWO, s. 144 (pingwinów nie ma ani tu, ani tu).

6

- s. 143: *Apaga satanas*, przeł. Jerzy Litwiniuk.
- s. 145: *Zaproszenie* [epigraf], przeł. Olga Petyk, APU, s. 635.
- s. 146: *Dom za gwiazdą*, przeł. Olga Petyk, PIW, s. 159.
- s. 147: *Obroty*, przeł. Jerzy Litwiniuk, PIW, s. 163.
- s. 149 i n.: *Cienie nad miastem*, przeł. Jerzy Litwiniuk.
- s. 152: *Słowo o czarnym pułku*, przeł. Wiktor Woroszyński [z powodów cenzuralnych opublikowane pod nazwiskiem Jerzego Litwiniuka], PIW, s. 97.
- s. 152: *Słowo pro Alkazar*, TWO, s. 155.
- s. 154: *Diabelski brydż*, przeł. Jerzy Litwiniuk.
- s. 156: *Portret cieśli*, przeł. Stanisław Ulicki, PIW, s. 121.
- s. 157: *Weselna*, przeł. Kazimierz Andrzej Jaworski, [w:] K. A. Jaworski, *Pisma*, t. 3 [Przekłady poezji ukraińskiej, białoruskiej i narodów kaukaskich, red. M. Łesiów], Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1972.
- s. 159: *Ranek w mieście*, przeł. Jerzy Litwiniuk.
- s. 161: *Ballada o błękitnej śmierci*, przeł. Jerzy Litwiniuk, PIW, s. 167.
- s. 165: *Ars poetica*, przeł. Florian Nieuważny, PIW, s. 82.
- s. 168: *Elegia o pierścieniu nocy*, przeł. Jerzy Litwiniuk, PIW, s. 62.
- s. 168: *Amen*, przeł. Jerzy Litwiniuk.

7

- s. 176: *Burza*, przeł. Jerzy Litwiniuk.
- s. 186: *Cisza to język...*, [w:] Bohdan-Ihor Antonycz, *Poeziji*, Radianskyj Pyśmennyyk, Kyjiw 1989, s. 298; przeł. Katarzyna Kotyńska.
- s. 195: *Byki i buki*, przeł. Olga Petyk, PIW, s. 130.
- s. 197: *Dzwonkowa pani*, przeł. Wiktor Woroszyński, „Zwierciadło”, 1990, nr 22.

8

- s. 219: *Księżę*, przeł. Florian Nieuważny, PIW, s. 54.

10

- s. 259–260 i 265–266: *Umarłe auta*, przeł. Jerzy Litwiniuk.

12

- s. 328: *Posły od nocy*, przeł. Wiktor Woroszyński [z powodów cenzuralnych opublikowane pod nazwiskiem Jerzego Litwiniuka], PIW, s. 156.

Spis rzeczy

I	PRZYPADKOWI GOŚCIE	9
II	Z KAMIENIA I SNU	111
III	CARUSO NOCY	221
IV	KOŃCZĄC	321
	 ORFEUSZ CHRON(OLOG)ICZNY	 347
	ŹRÓDŁA CYTATÓW	363

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.
www.czarne.com.pl

SEKRETARIAT: ul. Łukasiewicza 8, II p., 38-300 Gorlice,
tel./fax +48 18 353 58 93, e-mail: lukasz@czarne.com.pl

REDAKCJA: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa, tel./fax +48 18 351 02 78,
tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa,
tel./fax +48 22 621 10 48, e-mail: katarzyna@czarne.com.pl,
krystyna@czarne.com.pl

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma, ul. Zwrotnicza 6,
01-219 Warszawa, tel./fax +48 22 632 83 74, e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład komputerowy: ROBERT OLEŚ — DESIGN PLUS
31-029 Kraków, ul. Morsztynowska 4/7, tel. 012 432 08 52

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICTW NAUKOWYCH
90-450 Łódź, ul. Żwirki 2, tel. 042 636 89 31

Wołowiec 2005
Wydanie I
Ark. wyd. 12,3; ark. druk. 23

oraz:

Taras Prochaśko	NIEZWYKLI
Dubravka Ugresic	FORSOWANIE POWIEŚCI-RZEKI
Nenad Veličković	KOCZOWNICY
Renata Šerelytė	IMIĘ W CIEMNOŚCI
Danilo Kiš	GROBOWIEC DLA BORYSA DAWIDOWICZA
Terézia Mora	WSZYSTKIE DNI
Fatos Kongoli	SKÓRA PSA

Już w księgarniach:

Renata Šerelytė	GWIAZDY EPOKI LODOWCOWEJ
Eginald Schlattner	CZERWONE RĘKAWICZKI
Zsuzsa Bánk	PŁYWAK

A14849



© by Renate Schmidgall

JURIJ ANDRUCHOWYCZ (1967), poeta, eseista, tłumacz. Założyciel grupy poetyckiej BuBaBu. W Polsce ukazały się trzy jego powieści: *Rekreacje* (1994, 1996), *Moscoviada. Powieść grozy* (2000, 2004) i *Perwersja* (2003), tomy esejów: *Erz-herz-perc* (1996), *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem, 2000, 2001) i *Ostatnie terytorium. Eseje o Ukrainie* (2002), tom poezji *Piosenki dla martwego koguta* (2005) oraz płyta *Andruchoid* (2005; słowa: Jurij Andruchowycz, muzyka: Mikołaj Trzaska, Wojciech Mazolewski, Macio Moretti). Mieszka w Iwano-Frankiwsku (Stanisławowie) na Ukrainie.

Nowa powieść Jurija Andruchowycza *Dwanaście kręgów*, wydana po kilku latach prozatorskiego milczenia, jest odmienna od trzech poprzednich. Sam autor nazywa ją najbardziej osobistą spośród swoich książek. Na kanwie imaginacyjnego „alternatywnego życiorysu” ulubionego poety Andruchowycza, Bohdana Ihora Antonycza — „Jima Morrisona lat 30.”, snuje autor quasi-kryminalną, pasjonującą opowieść o współczesnej Ukrainie — krainie, gdzie *wszystko, czego sobie życzymy, o czym myślimy i czego się spodziewamy, z pewnością nam się przydarzy. Sęk w tym, że zawsze za późno i zawsze jakoś inaczej.*

Charakterystyczne dla Andruchowycza karnawałowa logika, wyszukane gry słowne, rozszalały intertekstualizm zostały tu wzbogacone o nowe elementy: sceptycyzm oraz ironię w pełni dojrzałego twórcy. Andruchowycz tworzy świat będący organicznym połączeniem rzeczywistości poetycko-baśniowej z gorzką ukraińską teraźniejszością. A miejscem akcji jest tajemniczy, zagubiony wysoko w Karpatach pensjonat — zamek niczym z Juliusza Verne’a? Czortopol w miniaturze? — własność nie mniej tajemniczego bogacza-filantropa, który w finale okazuje się...

Naprawdę nie wiem, jak Andruchowycz to robi. Młody osobnik z wszczepionym dwustuletnim mózgiem siadł okrakiem na szczycie magicznej poloniny i co najmniej czterech galicyjskich pokoleniach, obejmując pamięcią czasy od Franciszka Józefa po najnowsze piosenki Radiohead. To jest możliwe jedynie w Galicji, aby jedna głowa i dusza mogły złożyć w całość archeologiczny realizm z upaloną acz logiczną opowieścią.

Mikołaj Trzaska



FORUM



ResPublica

Notes

PRZE
KROJ

PANI

TYGODNIK POWSZECHNY

odra



Cena 36 zł

ISBN 83-89755-18-1



9 788389 755186